

ÉRIC

GIACOMETTI

JACQUES

RAVENNE



RELIKWIA
CHAOSU

TRZECI TOM SAGI OBNAŻAJĄCEJ
TAJEMNICE II WOJNY ŚWIATOWEJ!



ÉRIC
GIACOMETTI
JACQUES
RAVENNE

**RELIKWIA
CHAOSU**

Z języka francuskiego przełożyła
Bożena Sęk



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

Le Soleil Noir. La Relique du Chaos
© 2020 by Editions Jean-Claude Lattès

Copyright © 2022 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga
Copyright © 2022 for the Polish translation by Bożena Sęk
(under exclusive license to Wydawnictwo Sonia Draga)

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Marta Chmarzyńska
Korekta: Iwona Wyrwisz, Izabela Sieranc, Aneta Iwan

ISBN: 978-83-8230-312-4

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!
Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.
ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice
tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28
e-mail: info@soniadrage.pl
www.soniadrage.pl
www.facebook.com/WydawnictwoSoniaDraga

E - wydanie 2022

Spis treści

Saga Czarne Słońce

Prolog

CZĘŚĆ PIERWSZA

1

2

3

4

5

6

7

8

CZĘŚĆ DRUGA

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

CZEŚĆ TRZECIA

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

CZEŚĆ CZWARTA

41

42

43

44

45

46

47

48

49

50

51

52

Epilog

Aneksy

Przypisy

Saga Czarne Słońce

Energia stwórczo-niszczycielska istnieje w każdej istocie. W każdej rzeczy. Jest mrokiem i światłością. Jest tym, co się składa na cztery relikwie. Jest tak straszna i potężna, że sam Chrystus zasłania sobie twarz w jej obecności.

Fragment *Thule Borealis Kulten*

Streszczenie tomów I i II, *Triumf ciemności i Noc zła*

Berlin, rok 1938. Pułkownik SS Karl Weistort morduje żydowskiego antykwariusza i rabuje mu cenną księgę *Thule Borealis Kulten*. Dzieło to zawiera legendę czterech świętych relikwii w kształcie swastyk różnej wielkości, mających moc wpływania na bieg historii.

Lhasa, rok 1939. Do Tybetu wyrusza ekspedycja kontrolowana przez Ahnenerbe, nazistowską instytucję prowadzącą badania naukowe i ezoteryczne. Pierwsza relikwia zostaje odnaleziona niedaleko Lhasy i wysłana do Wewelsburga, zamku Heinricha Himmlera, szefa SS. Niemcy wywołują drugą wojnę światową.

Montségur, 1941. Weistort wyciąga z więzienia w Barcelonie Tristana Marcasa, francuskiego handlarza dziełami sztuki. Niemiec chce, by marszand pomógł mu odnaleźć drugi artefakt ukryty w katarskim zamku Montségur we Francji. W Londynie komandor Malorley z Kierownictwa Operacji Specjalnych (SOE), nowych tajnych służb, otrzymuje od premiera zielone światło na wysłanie ekipy, która ma odzyskać relikwię z Montségur. Malorley przyjaźnił się z zamordowanym niemieckim antykwariuszem. Przy pomocy archeolożki Eriki von Essling, pokonując wrogość Laure d'Estillac, której rodzina jest właścicielem zamku, Tristan odnajduje drugą relikwię, lecz oddaje ją ekipie angielskiej, nazistom zaś przekazuje kopię. W rzeczywistości jest agentem Malorleya. Ciężko ranny Weistort zapada w śpiączkę.

Berlin, czerwiec 1941 roku. Laure d'Estillac, która wyjechała do Londynu, także zostaje agentką SOE. Prawdziwa relikwia z Montségur trafia w pewne miejsce

w Stanach Zjednoczonych, jej podróbka natomiast tam, gdzie pierwszy artefakt – do Wewelsburga. Tristan Marcas w podziękowaniu za służbę otrzymuje od Niemców Żelazny Krzyż. Hitler, czując się niepokonany, napada na ZSRR. To przełomowy moment wojny – odtąd Anglicy już nie są osamotnieni w walce z Niemcami.

Kreta, październik 1941 roku. Szukając trzeciego artefaktu, Tristan i Erika rozszyfrowują nowe informacje w *Thule Borealis*, po czym udają się na stanowisko archeologiczne położone w zapadłej wiosce na Krecie. Tam znajdują wskazówkę, która doprowadza ich do klasztoru w Niemczech. Ostatecznie Tristan odkrywa, że trzecią swastykę podarowano Hitlerowi w młodości. I że Führer dzień i noc nosi ją przy sobie.

Wenecja, grudzień 1941 roku. W mieście dożów dochodzi do spotkania Hitlera i Mussoliniego. Brytyjskie służby specjalne wysyłają do Wenecji nową ekipę pod dowództwem kapitana Iana Fleminga. Jej zadaniem jest odzyskać relikwię i zamordować obu dyktatorów. Operacja jednak się nie udaje, a Tristan Marcas musi wrzucić swastykę do laguny, aby nie wpadła w ręce Niemców. Erika von Essling zostaje ranna w głowę i przejściowo traci pamięć. Ona jedna wie o zdradzie Tristana.

Pearl Harbor, grudzień 1941 roku. Hitler stracił swój talizman. Jednocześnie dochodzi do drugiego przełomowego momentu, który naruszy równowagę sił w światowym konflikcie. Japonia przypuszcza morderczy atak na amerykańską wyspę na Hawajach, czym prowokuje przystąpienie do wojny Stanów Zjednoczonych u boku Wielkiej Brytanii przeciwko państwom Osi.

A teraz...

Na początku lipca 1942 roku widać wyraźnie, że nigdy jeszcze wynik tej wojny nie był równie niepewny. O ile Anglia zdołała odsunąć od siebie ryzyko inwazji i korzystać ze wsparcia Ameryki, o tyle Rosja Stalina ugina się pod brutalnym atakiem Wehrmachtu. Europa kontynentalna pozostaje pod nazistowskim butem, eksterminacja Żydów weszła w potworną fazę – mordowania na skalę przemysłową, jakiej dotąd nie znała ludzkość.

Wielkie poszukiwanie swastyk osiąga apogeum. Obydwie strony mają jednakowe szanse. Niemcy zdobyli pierwszy artefakt, alianci drugi, trzeci przepadł na zawsze. Kto odnajdzie czwartą relikwię, ostatnią, ten zmieni bieg wojny i historii.

21 czerwca 1942

Od: SOE, kwatera główna, dział E

Do: Gabinet Wojenny Premiera

Klasyfikacja: Poziom tajności 5

Miejsca odkrycia:

Dolina Yarlungu, Tybet: 29°21'26.7"N/ 90°58'23.3"E

Zamek Montségur, Francja: 42°52'32.1"N/ 1°49'57.5"E

Opactwo Heiligenkreuz, Austria: 48°03'23.2"N/ 16°07'50.5"E

Ostatnie znane lokalizacje:

Zamek Wewelsburg, Niemcy: 51°36'25.6"N/ 8°39'04.9"E

MIT, USA: 42°21'36.6"N/ 71°05'39.1"W

Wenecja, Włochy: 45°24'17.9"N/ 12°22'14.2"E

Prolog

Rosja

17 lipca 1918

Jekaterynburg

Dom Ipatjewa

Przyjemna była ta lipcowa noc. Noc zachęcająca do picia i śmiechu z dala od drewnianych chat, do spania pod gołym niebem bez obawy, że przyplącze się zapalenie płuc. Czarodziejska chwila rzadka jak lata obfitych zbiorów. Tutaj, na wschodnich stokach Uralu, na granicy między Europą i Azją, lato trwa tyle co jedno mrugnięcie, po czym wszystko jak okiem sięgnąć zamarza.

Niemniej tego wieczoru na ulicach Jekaterynburga nie było żywego ducha, nikt nie korzystał z przyjemnej pogody. Od czasu rewolucji każdy żył jak w zimie – zaszyty w domu, za zaryglowanymi drzwiami, skulony w kącie. Ze strachu. Ze strachu w pierwszej kolejności przed komunistami, którzy zawładnęli miastem. Region ten nosił zresztą nazwę Krasnyj Ural, Czerwony Ural, z powodu gorliwości, jaką lokalne sowiety, rady ludowe, wykazywały się w masowej eksterminacji wrogów ludu: burżujów, kułaków i reakcjonistów wszelkiej maści. Ale także ze strachu przed białymi, nieregularnym wojskiem złożonym z imperialnych regimentów wiernych strąconemu z tronu carowi i z kozackich hord trzymanyh twardą ręką przez watażków równie okrutnych, jak nieustraszonych. Biali nadciągali z syberyjskich równin, nieuchronnie coraz bardziej zbliżając się do celu. U bram miasta staną niebawem, to tylko kwestia dni.

Dwa rozjuszone niedźwiedzie rozszarpywały kłami Rosję. Czerwony i biały. Trwała dzika walka na oślep. Przetrzeć mogła tylko jedna ze stron.

– Towarzyszu Berin, myślicie, że nas oszczędzą, jeśli wpadniemy w ich ręce?

– Kozacy nikogo nie oszczędzą. Litość nie należy do nielicznych zalet białych psów atamana Krasnowa. Tak cię potną na kawałki, że rodzony ojciec cię nie rozpozna. Potną na żywo, rozumie się.

Jewgienij Berin, który to powiedział, nie przekroczył jeszcze trzydziestki, mówił jednak powoli jak człowiek dużo starszy. Oczy miał jasne, wyblakłe od oglądania zbyt wielu potworności. Młody żołnierz obok niego wyglądał na ledwie wyrosłego z dzieciństwa, tonął w połatanym szynelu.

Siedzieli we dwóch w budce wartowniczej, na spółkę dopalając papierosa. Nogi opierali o pas z amunicją do ciężkiego karabinu maszynowego Maxim, którego lufa była wycelowana w zamknięte okiennice domu Ipatjewa. Decyzją Rady Obwodu Uralskiego ten piękny dwupiętrowy dom, położony przy ulicy Wozniesińskiego na wzgórzu w obrębie miasta, przekształcono w tymczasową warownię. Willę niczym mur otaczał drewniany płot z dwiema wartowniami. Szyby w oknach pomalowano białą farbą. Oddział Armii Czerwonej stacjonował w domu, strzegąc posiadłości. I jakby tego było mało, tydzień wcześniej dołączyła do niego ekipa czekistów¹. Powód takiego pokazu siły dla nikogo nie był tajemnicą. Cały Jekaterynburg wiedział, kogo od końca kwietnia trzymają w domu Ipatjewa.

– Kiedy mama mnie usypiała, opowiadała mi, że po śmierci człowieka nowa gwiazdka się zapala tam, na niebie – szepnął młodzik, Tola Kabanow. – Mówiła też, że Droga Mleczna to perłowa tkanina, na której każda gwiazdka oznacza duszę.

– Tola, twoja matka to na pewno przyzwoita kobieta, ale też głupia...! – zawołał Jewgienij Berin, klepiąc po ramieniu młodego. – *Durak ty!*² Teraz lud nie powinien wierzyć w te bzdury. Dusze, Bóg, raj... Wymyślili to, żeby chłopci i robotnicy się nie buntowali. Istnieje tylko jeden raj: ten, który budujemy na ziemi.

O ile nam się uda, dodał w myśli.

Rewolucja trwała od niecałego roku, a wrogów miała tak licznych, że nikt z jej zwolenników nie obstawiłby zwycięstwa w krótkim czasie. Całe połacie kraju pozostawały pod kontrolą białoarmistów wspieranych po cichu przez Anglików i Francuzów, urażonych traktatem pokojowym, który bolszewicy zawarli z Niemcami.

Jewgienij zgniół niedopałek na brudnej posadzce i zerknął na zegarek. Pora to zakończyć. Zbyt długo czekał na tę chwilę. Wieczność cała. A dokładnie trzynaście lat. Uważany za jednego z najlepszych oficerów Czeka, Jewgienij Berin się szczycił, że jest wcieleniem rewolucjonisty od pierwszej chwili. Działaczem i bojownikiem wykutym z najlepszej stali bolszewickich ideałów. Towarzysz Lenin osobiście go wskazał jako tego, który złoży raport o tym, co się stanie tej nocy w murach domu Ipatjewa. Berin przebył prawie dwa tysiące kilometrów z Moskwy koleją transsyberyjską, przejechał kraj z zachodu na wschód. Męcząca podróż trwała długo, dodatkowo przerywały ją niekończące się postoje między Niżnym Nowogrodem a Jekaterynburgiem.

Z uchylonych drzwi willi padł strumień światła. Stał w nim towarzysz Paweł Damow i skinął na Berina. Jewgienij gardził tym człowiekiem. Dla niego Damow był brutalem nieznanym skrupułów, za to diabelnie inteligentnym. Zdołał wskoczyć do pociągu rewolucji i również wsiąść do najlepszego wagonu – do wagonu Czeka. Dochrapał się przydomka Ołowiany Kubek po akcji odwetowej w klasztorze w Kostromie nad Wołgą. Otóż Damow niespodzianie dostał natchnienia i zmusił

mnichów do wypicia stopionego ołowiu, po czym wykończył wszystkich toporem. Wyczyn ów zapewnił mu awans w Czeka. W pół roku Damow stał się katem, którego wabili ważni wrogowie reżimu. Szeptano również po kątach, że jest skorumpowany do szpiku kości, nikt jednak nie zdołał tego udowodnić.

Jewgienij gwizdnął na palcach, dając znak kierowcy ciężarówki zaparkowanej na ulicy. Silnik ZIS-a kaszlnął trzykrotnie, po czym donośnie zawarczał.

– Nie rozumiem, towarzyszu – odezwał się młody żołnierz. – Już trzeci wieczór z rzędu każecie Grigorijowi uruchomić tego gruchota i spalać benzynę przez kwadrans. Słysząc go nawet na końcu ulicy. Wczoraj mieszkańcy się skarżyli.

– Ich skargi to miód na moje serce. Trzymaj wartę jak należy.

– Mam iść z wami, towarzyszu?

Jewgienij obrzucił wzrokiem chłopaka. Ile on ma lat? – zastanowił się. Szesnaście? Siedemnaście? Może się i tak zdarzyć, że nie doczeka końca tego roku. Ostatnie raporty o stratach Armii Czerwonej wzbudzały zimny dreszcz. Młody Kabanow nie musiał uczestniczyć w tym, co miało się stać.

– Nie, Tola... Patrz sobie dalej w gwiazdy.

Jewgienij wyszedł z budki i szybkim krokiem pomaszerował do szeroko otwartych ciężkich drzwi. Zalatywało od nich potem i wyschniętym winem. Ołowianego Kubka otaczał tuzin ludzi. Uzbrojeni byli w nagany, ich szef trzymał w ręce siedmiostrzałowego mauzera. Połowa tych ludzi była Łotyszami, nie-Rosjanami, Węgrami, którzy podążyli bolszewicką ścieżką. Znajdował się tam również Jakow Jurowski, komendant domu Ipatjewa przysłany tu przez uralski sowiet. On właśnie klepnął Jewgienija w ramię.

– Przychodzicie w samą porę, towarzyszu. Wszystkich zebrano na piętrze.

– Powiedzieliśmy im, że będą mieli zrobione zdjęcie w piwnicy, bo tak pokażemy całemu światu, że jeszcze żyją – oświadczył rechetliwie Ołowiany Kubek.

Jeden z Łotyszów ze znudzoną miną podniósł rękę.

– Znaczy się... dzieciak nie może iść... Ta jego choroba...

– Ojciec z radością go poniesie. – Ołowiany Kubek znów zarechotał. – A ty, towarzyszu, nie zawracaj mi więcej głowy takimi bzdurami.

Jewgienij podążył za Ołowianym Kubkiem i Jurowskim w stronę zejścia do piwnicy. Buty stukały głośno na kamiennych schodach. Dwadzieścia trzy. Wszystkich stopni było dwadzieścia trzy. Jewgienij na pamięć znał ich liczbę, w tej scenie uczestniczył już kilka razy. Nie było mowy, żeby wyszła z tego jakaś amatorszczyzna.

Ołowiany Kubek pierwszy znalazł się w podziemiach. Z satysfakcją stwierdził, że jego instrukcje wykonano co do joty. Ścianę w głębi obito deskami. Pomieszczenie

było duże, pomieściłoby komitet dzielnicowy. Niepasujący do niego kryształowy żyrandol rzucał światło tak zimne jak ośnieżone wierzchołki uralskich gór.

– Burżuje nawet w piwnicy obnoszą się ze swoją arogancją – sarknął Damow.

Jewgienij cofnął się do cienia, aby mieć ogląd całości. Obserwował przedstawiciela rady ludowej, który tkwiąc pośrodku piwnicy, wyjął z kieszeni pomięty papier. Po cichu czytał krótki tekst, który usprawiedliwiał ich obecność w tym domu tej właśnie szczególnej nocy. Nikt z kierownictwa nie ośmielił się podpisać oficjalnego dokumentu.

Na schodach rozległo się stukanie obcasów i drewnianych podeszew butów. Jewgienij cofnął się nieco głębiej w cień.

Orszak otwierali służący: lokaj, pokojowa, kucharz, za nimi lekarz rodzinny. Łękliwie rozglądali się dokoła. Jewgienijowi się zdawało, że kogoś z nich brakuje, lecz nie miał pewności. Było to bez znaczenia, oni się przecież nie liczyli.

Czekiści popchnęli ich w głąb pomieszczenia.

– Stańcie pod samą ścianą. Do zdjęcia niewolnicy będą za panami.

Ponownie rozległy się kroki, cichsze. I szepty. W bladym świetle żyrandola pojawiło się pięć kobiet. Szły jak somnambuliczki z włosami w nieładzie i zaspanymi twarzami, w szerokich szarych sukniach. Najstarsza, matka, z trudem się poruszała, za nią podążały cztery spłoszone dziewczynki. Wydawało się, że ten orszak zjaw łączą niewidzialne łańcuchy. Za nimi wkroczył mężczyzna, na rękach niosąc dziecko, które obejmował czułym wzrokiem. Wąsy mu zwisały, brodę miał potarganą, twarz zapadniętą, odziany był w luźną koszulę, która podkreślała jego chudość.

– Czy mogę dostać krzesła dla żony i syna? – zapytał z wahaniem.

Ołowiany Kubek złapał go za kołnierzyk pod brodą.

– Myślisz, żeś tu ciągle panem, Kola³?

Komendant Jurowski się wtrącił:

– Zostawcie go, towarzyszu. Nie jesteśmy potworami...

Skinął na jednego z Łotyszów, który podstawił im dwa rozchwierutane krzesła. Matka usiadła na jednym bez słowa, na drugim ojciec usadowił syna, szepcząc:

– Wyprostuj się, Alosza, zrobiją nam zdjęcie. Prezentuj się godnie. – Po czym zwrócił się do córek: – Wy też stójcie jak należy.

Grupa wreszcie była gotowa. Panowie i służdy odpowiednio ustawieni zastygli grzecznie w oczekiwaniu na fotografa.

W piwnicy zapadła cisza jak makiem zasiał.

Jewgienij Berin, który stał przy schodach, chłonał wzrokiem każdy szczegół sceny. Co ciekawe, opanowało go uczucie, które w swoim mniemaniu zdążył zapomnieć. Litość. Ci ludzie byli tak jak on istotami z krwi i kości.

Jedna z dziewczynek, podtrzymywana przez starszą siostrę, usiłowała stłumić szloch. Wydawało się, że matka nie rozumie, co tu się szykuje. Jewgienij znał na pamięć imiona całej rodziny. Cztery córki: Olga, Tatiana, Maria, Anastazja. Matka Aleksandra. I ostatni potomek – Aleksy, chory, a zatem nieczystej krwi.

Berin czuł, że jego determinacja słabnie. Nie należało tego robić. Nie teraz. Za bardzo wyczekiwał tej chwili. W kieszeni spodni wymacał cienki srebrny łańcuszek swojej siostry, z którym się nie rozstawał.

I wróciła mu odwaga. Rodzina, którą miał przed sobą, nie była taka jak inne. Te cztery dziewczynki, chłopiec, kobieta i mężczyzna byli Romanowami. Rodziną carską z dynastii, która od trzech stuleci żelazną ręką rządziła krajem. Chudym jej ojcem, starającym się przybrać korzystną pozę, był Mikołaj II, pozbawiony tronu car Wszechrusi.

Niemniej człowiek, którego Jewgienij nienawidził bardziej niż jakiegokolwiek żywej istoty na świecie, wyglądał teraz na równie groźnego jak wygłodzony stary pies. Berin walczył ze sobą, by odsunąć ten obraz dzielnego ojca rodziny.

Był to przecież Krwawy Mikołaj!

Pewnej mroźnej nocy roku 1905 w petersburskim Pałacu Zimowym ten człowiek o łagodnym spojrzeniu rozkazał swoim ludziom strzelać do setek bezbronnych ludzi.

Jewgienij zacisnął łańcuszek w dłoni.

Natalia. Ledwie trzynastoletnia. Wczesnym rankiem znalazł ją martwą rozciągniętą na zmrożonym placu, z buzią straszliwie okaleczoną ciosem szabli.

Towarzysz Lenin miał słuszość. Nie ma litości dla ciemnych.

Głos Ołowianego Kubka rozdarł ciszę:

– Towarzyszu Jurowski, pora to zakończyć.

Komendant podszedł do cara i dumnie wypiął pierś. Należało przestrzegać form.

– Decyzją wymiaru sprawiedliwości i postanowieniem Rady Obwodu Uralskiego ty, Mikołaju Romanow, twoja żona i całe twoje potomstwo zostaliście skazani na karę śmierci. Wyrok ma być wykonany natychmiast.

Z głębi pomieszczenia dobiegł szcęk odwodzonych kurków naganów. Rozległo się szlochanie. Car niewzruszenie wytrzymywał wzrok Jurowskiego.

– Tu nie ma sprawiedliwości, tylko jest morderstwo. Kobiet i dzieci. Jesteście zwykłymi potworami. Bóg i ludzie osądzą was za tę zbrodnię.

Jewgienij wyłonił się ze skrywającego go dotąd cienia i stanął w pełnym świetle. Podszedł do zdetronizowanego cara. Ich twarze niemal się stykały, gdy wysyczał:

– Na morderstwach już ty się znasz, Mikołaju...

Były car pokręcił głową.

– Nie rozumiem.

– Tracimy czas – przerwał im Jurowski, podchodząc do nich z rewolwerem w ręce.

Jewgienij uniósł dłoń i obrzucił go władczym spojrzeniem. Był okiem samego Lenina, jego rozkaz liczył się bardziej od poleceń wszystkich ludzi zgromadzonych w tej piwnicy. Komendant czym prędzej się wycofał.

– Daj mi skończyć, potem zrobisz swoje – rzekł Jewgienij, po czym ponownie zwrócił się do monarchy: – Carze! Mój ojciec i siostra maszerowali pod oknami twojego pałacu dziewiątego stycznia tysiąc dziewięćset piątego roku.

Mikołaj zbladł. Berin ciągnął z napięciem w głosie:

– Pamiętasz to? Domagali się tylko trochę więcej chleba i wolności. Moja siostra bardzo cię kochała, mówiła, że jesteś dobry i szlachetny. Były tam też kobiety i inne dzieci. Setki dzieci. W wieku twoich. I co zrobiłeś tamtej nocy? Poszczyłeś na nich swoich żołdaków. Twoi żołnierze wypadli na plac z szablą w dłoni. Podobno się śmiali. Kiedy przyszedłem tam bladym świtem, znalazłem trupa siostry. Ojciec też tam był, brzuch miał wybebeszony jak wieprzek zaszlachtowany na Paschę. – Jewgienija ogarniał coraz większy gniew. – Ludzie mówią, że tego samego wieczoru w pałacu twoja żona i córki przymierzały wyszywane perłami i szmaragdami suknie, które przysłano prosto z Paryża. A ty stałeś sobie na balkonie i paliłeś drogie cygaro, patrząc na tę jatkę.

Mikołaj się zachwiał, lecz nie odwrócił wzroku.

– Na Boga, nie! Za bardzo kocham swój lud – powiedział car, kręcąc głową. – Nigdy nie chciałem tej masakry, dowódca straży pałacowej wydał ten rozkaz. Od tamtej pory codziennie kajam się za to przed Bogiem.

– Dobrze się składa, pogadasz sobie z nim wprost – rzekł na to Jewgienij, dając znak Jurowskiemu.

– Nie! Zaczekajcie! – błagał Mikołaj II. – Oszczędźcie moją żonę i dzieci. W zamian zdradzę wam niewiarygodną tajemnicę. Tajemnicę, która uczyni z was potężnych ludzi. Potężniejszych od Lenina i Trockiego.

Jewgienij obrzucił wzrokiem skazanego. Często miał do czynienia z kłamcami, było to częścią jego pracy, lecz człowiek przed nim wydawał się szczery.

– Słucham.

– Nasz ród przekazuje ją sobie od wieków. Dzięki niej dostaliśmy władzę i bogactwo. Popełniłem błąd, rozstając się z nią na początku rewolucji i umieszczając ją w bezpiecznym miejscu. Powiem wam, gdzie ona się znajduje, ale uwolnijcie moją rodzinę.

Jewgienij podniósł pistolet i lufę przystawił carowi do skroni.

– Nie będziesz nam tu niczego narzucał. Gadaj, co to za tajemnica.

– Chodzi o... o relikwię. Świętą relikwię, która pochodzi z pradawnych czasów. Jest...

Huknął strzał. Ostatni car Rosji nie zdążył dokończyć zdania. Zachwiał się, czerwona plama rozlała się po jego koszuli na wysokości serca. Po krótkiej chwili runął na ziemię na oczach przerażonej rodziny i sług. Rozległy się przeraźliwe krzyki.

– Relikwia! Co za brednie! – urągliwie rzucił Ołowiany Kubek, który trzymał dymiący jeszcze pistolet. – Lenin mówi, że przesady to kaganiec...

– Ja tu wydaję rozkazy! – ryknął Berin.

– Jesteś tu, żeby obserwować, jak mam wykonać egzekucję. Chcesz, żebym w raporcie wspomniał o twojej kontrrewolucyjnej postawie? – burknął Damow. – Usuń się, zanim ktoś podziurawi ci skórę.

Berin zerknął na komendanta i na wpatrujących się w niego zabójców. Znał te spojrzenia. Jeśli się choćby odrobinę zawaha, zostanie to odnotowane w raporcie. Podszedł do plutonu egzekucyjnego.

– W porządku, ale oszczędźcie dziewczynki i chłopca. Oni nie...

– Tylko bez sentymentów, burżujku! – ryknął Ołowiany Kubek, znowu wymachując mauzerem. – Towarzysze, celujcie, jak was uczyłem: w pierś. Byle nie w głowę, krew za bardzo wtedy tryska.

Huknęła palba z rewolwerów i karabinów, wtórowały im przeraźliwe krzyki członków rodziny carskiej i ich sług. Jeden z oprawców, któremu skończyła się amunicja, zamocował na karabinie bagnet i wraził go w szyję czołgającego się carewicza. Spadkobierca tronu wyzionął ducha z głową na ojcowskich butach.

– Kretynie! – wrzasnął Jurowski. – Wszystko tu zakrwawi!

Wydawało się, że caryca i jedna z jej córek jeszcze żyją. Ołowiany Kubek nachylił się nad monarchinią, która wiała się na ziemi niczym robak. Spod poszarpanego, zakrwawionego stanika sukni połyskiwały czerwone i zielone refleksy światła.

– Patrzcie tylko... opancerzyły się... Pociski się odbiły od kamieni szlachetnych ukrytych pod ubraniami.

Ołowiany Kubek wyszarpnął zza stanika Aleksandry dwa szmaragdy i rubin, po czym strzelił w oko jej córce, która kurczowo uchwyciła się matki.

Jewgienijowi zbierało się na wymioty, egzekucja przekształcała się w krwawą jatkę.

– Dobijcie ich! – krzyknął Jurowski. – I zabierzcie ciała, trzeba je przenieść na ciężarówkę.

– A co potem? – zapytał Jewgienij.

– Wywieziemy je daleko, ze trzydzieści kilometrów stąd, na uroczysko Czterech Braci. Trupy się spali, a popioły wrzuci do nieczynnego szybu. Napisz w swoim

raporcie, że wszystko przebiegło jak należy. Towarzysze nie zawiedli w spełnieniu rewolucyjnego obowiązku.

Strzelcy się uwijali wokół zakrwawionych zwłok ofiar, zdzierając z nich kosztowności. Jewgienij pragnął tylko jednego: rozwalić tych ludzi. Byli ulepieni z tej samej gliny co mordercy jego siostry i ojca.

– Nie omieszkam zaznaczyć, jaką wykazałeś się odwagą w obliczu tych kobiet i dziecka. Aha... Ołowiany Kubek, oddasz mi wszystkie cenne rzeczy, które twoi ludzie tak sprawnie wyszukują. To własność rewolucji.

Berin zrobił w tył zwrot. Było mu niedobrze. Tak długo wyczekiwał zemsty, a kiedy wreszcie nadeszła ta chwila, przeobraziła się w niewysłowioną potworność. Ziemię i ścianę pokrywała mieszanka strzępków ciał, krwi i moczu. Okropny smród przenikał całą piwnicę i jego umysł. Takie było jego ostatnie wspomnienie Romanowów.

Wyszedłszy z domu Ipatjewa, zaczerpnął głęboki haust czystego powietrza i spojrzał w nocne niebo. Wydało mu się, że wysoko, bardzo wysoko mrugają nowe gwiazdy.

CZĘŚĆ PIERWSZA

Wszelkie źródła władzy, intelektualne, naturalne i nadnaturalne – od nowoczesnej technologii po średniowieczną czarną magię, od nauczania Pitagorasa po faustowskie inkantacje do pentagramu – powinno się wykorzystać w celu ostatecznego zwycięstwa.

Wilhelm Wulff, astrolog Himmlera

Sukces nigdy nie jest ostateczny. Porażka nigdy nie jest totalna. Liczy się tylko odwaga dalszego działania.

Sir Winston Churchill

1

Niemcy
Pomorze
Lipiec 1942

Samochód sunął powoli zwirową drogą, która wyglądała na nieuczęszczaną od lat. Wokół jak okiem sięgnąć rozciągały się poszarzałe, nieprzebyte lasy. Tristan się zastanawiał, czy w tych okolicach w ogóle ktoś jeszcze mieszka. Czasami widać było boczną drogę ginącą wśród drzew, ani razu jednak nie dostrzegł dachów wioski czy przysadzistych kształtów zabudowań gospodarstwa. Odkąd opuścili Królewiec, droga wciąż biegła przez gęste bory, które ciągnęły się aż do samego morza. Od czasu do czasu Tristan przyglądał się szoferowi w mundurze, zerkającemu nerwowo na mapy rozłożone na przednim siedzeniu pasażera. On również musiał doświadczać odurzającego absurdu uczucia zagubienia w świecie bez końca. Obserwując uważnie otoczenie, Tristan w końcu zdołał odkryć dawne ślady ludzkiej aktywności. A to wiązki chrustu przewiązane gałęzią jeżyny, a to drzewo ścięte siekierą i już pokryte mchem. Wszystko zdawało się porzucone.

– Daleko jeszcze do zamku? – zagadnął.

Szofer nie od razu odpowiedział. W SS dyscyplina nakazywała dokładnie ważyć słowa.

– Moim zdaniem za jakieś pół godziny dotrzemy do morza, a potem jeszcze z dobrą godzinę przyjdzie nam jechać do posiadłości von Esslingów.

Tristan opuścił szybę i wystawił głowę na zewnątrz. Rozłożyste gałęzie drzew tworzyły nad drogą sklepienie z liści. Nie mógł przez nie dojrzeć barwy nieba. Poczuł natomiast na policzku smagnięcia wiatru przesyconego jodem. Bałtyk był niedaleko. Jego bliskość skłoniła go do uporządkowania myśli.

Przyjechał tu na bezpośrednie polecenie Himmlera. Podczas krótkiego spotkania, na które Reichsführer wezwał Tristana, jasno dał mu do zrozumienia, że wraz z przystąpieniem do wojny Stanów Zjednoczonych i rozszerzeniem się konfliktu na cały świat Ahnenerbe będą czekały nowe zadania. I pragnął wiedzieć, czy Erika udźwignie ich ciężar po ranie odniesionej w Wenecji.

– Proszę spojrzeć – odezwał się szofer.

Ciemna masa lasu przed nimi zdawała się rozjaśniać. Pomiędzy drzewami niczym błędny ognik połyskiwały srebrne refleksy. Sosny o powyginanych pniach jęczały pod wpływem wiatru. Skraj lasu był coraz bliżej. I nagle, gdy wyjechali z zakrętu, pojawiło się przed nimi morze, szary bezmiar wód o rozedrganej tafli pieszczonej ciężkimi białymi chmurami.

Samochód się zatrzymał.

Tristan wysiadł, szarpnął nim wiatr.

Za godzinę zobaczy Erikę.

I stanie w obliczu swojego przeznaczenia.

Liebendorf

Posiadłość von Esslingów

Erika od lat nie wchodziła do swojego dziewczęcego pokoju. Kiedy wróciła do zamku na rekonwalescencję, rodzina przygotowała dla niej inne miejsce, aby nie sprowokować natłoku wspomnień. Lekarze mówili, że doznała amnezji i należy oszczędzać jej pamięć. Erika wzruszyła ramionami. Kretyni! Pamiętała wszystko, od pierwszego wypadniętego zęba, który schowała pod poduszką, po ostatnią noc spędzoną z Tristanem na miłosnych zmaganiach. Zapomniała natomiast, co naprawdę się stało w Wenecji podczas spotkania Hitlera z Mussolinim. Przebudziła się w szpitalu z prawą skronią rozoraną pociskiem nieznanego pochodzenia. Wyjaśniono jej, że została raniona w trakcie wymiany ognia z angielskim oddziałem, który podjął próbę zamordowania Hitlera, lecz niczego nie pamiętała. Od tej pory usiłowała sobie odtworzyć przebieg wydarzeń. Na próżno.

Pchnęła drzwi. Okiennice w pokoju były pozamykane. Nie otworzyła ich. Wiedziała, co jest za nimi: obsadzona gęstą roślinnością długa aleja, która przecinała park, prowadząc do samej bramy wjazdowej. Właśnie przez nią Tristan przybędzie na teren posiadłości. Erika знаła ten widok na pamięć, a poza tym wolała półmrok. Odkąd została raniona, zbyt jasne światło wywoływało u niej zawroty głowy.

Położyła się na łóżku. Było miększe niż kiedyś. Niewątpliwie nakryto je dodatkowymi narzutami, aby pościel nie zawilgła. Ściany pokoju były nagie z wyjątkiem jednej, na której wisały dwie fotografie w przeszklonych ramkach. Na pierwszej, w barwach sepii, widniała kobieta, której czoło aż lśniło pod szerokim złotym diademem, a na pierś spływały liczne naszyjniki. Była to Sophia Schliemann, żona archeologa, który odkrył mityczne ruiny Troi i Myken. Wystrojona niczym bogini, Sophia nosiła kosztowności wydobyte spod ziemi przez jej męża, liczące kilka tysięcy lat. Ta kobieta tak zafascynowała ongiś Erikę, że wpłynęła na jej decyzję

o zostaniu archeologiem. Drugie zdjęcie przedstawiało około trzydziestoletniego mężczyznę o śniadej, rozweselonej twarzy, wymachującego oskardem przed jakimś murem. Hansa, jej profesora archeologii na uniwersytecie. I co najważniejsze, jej pierwszą miłość. Erika ze smutkiem musnęła ramkę. Co by rzekł, gdyby się dowiedział, że jego uczennica zostanie dyrektorką Ahnenerbe? Sama dotąd się zastanawiała, jak to się stało, że stanęła na czele instytutu. Że z obiecującej młodej archeolożki przeobraziła się w jedną z naczelných badaczek Rzeszy. Jak to się stało, że ona, potomkini dobrej rodziny, skończyła jako poszukiwaczka niesamowitych świętych swastyk w Montségur, na Krecie i w Wenecji? Za pierwszym razem działała z rozkazu Reichsführera, ale co nie pozwoliło jej później rzucić tym wszystkim?

Odpowiedź nosiła imię: Tristan.

Dla niego kontynuowała poszukiwania. Wstała z łóżka i musiała przytrzymać się ściany. Znowu doznała zawrotu głowy. Ale gdzie on był, kiedy w Wenecji ta kula omal jej nie zabiła? Co robił? Dlaczego jej nie ochronił? W czarnej dziurze pamięci Eriki wciąż krył się czyjś cień. Cień mężczyzny, którego kochała.

Morze Bałtyckie

Droga wiodła wzdłuż wydmy porośniętej chaszczami. Tristan stał oparty o samochód. Zamknął oczy przed tumanem piasku niesionego przez wiatr. Tutaj nie było lata. Pochylił się i pobiegł ku ścieżce, która przez wydme prowadziła na plażę. Na piasku zalegały sterty szarego drewna i pustych muszli. Tristan odnosił wrażenie, że brnie przez chaotyczny cmentarz morski. Poczucił się lepiej, gdy już przy samym morzu dotarł do wąskiego paska brunatnego piasku okrywanego bez przerwy pianą. Nogi mu grzęzły w mokrym podłożu, a jemu się wydawało, że nareszcie znów czuje grunt pod stopami. W głębi ducha nigdy nie lubił morza. Bezkresny horyzont nie był na miarę człowieka. Tam żadna granica już nie istniała, zastępowało ją pragnienie, aby iść wciąż dalej i dalej. Niepohamowani zdobywcy, nienasyceni dyktatorzy z pewnością byli ludźmi, którzy za długo wpatrywali się w morze. Co do tego Tristan miał pewność. On potrzebował twardego podłoża, aby się zastanowić. Dzisiaj bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

Odkąd Erika wyjechała do rodzinnej posiadłości, często do niej pisał – połączenia telefoniczne były bardzo złe – lecz otrzymywał odpowiedzi równie krótkie, jak nieznaczące. Wychwytywał w nich sprzeczne sygnały. Czyżby Erika cierpiała na pogłębiającą się amnezję, czy też traktuje go nieufnie? Jest w stanie cięższym, niż przypuszczał, czy szykuje się do powrotu, do odwetu? Tristana ogarniała coraz większa podejrzliwość. Wiecznie oglądał się za siebie, regularnie przeglądał swoje

rzeczy i starał się zachowywać jak najdyskretniej. Od pobytu w Wenecji nie przesłał ani jednej wiadomości do Londynu. Udawał nieżywego.

Zawrócił w stronę wydmy. Jeszcze ponad godzina do spotkania z Eriką. Po przybyciu raz-dwa będzie wiedział, na czym stoi. Albo Erika niczego nie pamięta, albo wie, kto próbował ją poczęstować kulką między oczy.

I wtedy już nie będzie miał wyboru.

Liebendorf

Posiadłość von Esslingów

Szeroki podjazd prowadził do samego zamku, którego front z dwoma pawilonami po bokach wychodził na park. Wszędzie wokół rządziła puszcza. Ten dawny dworek myśliwski należał do von Esslingów od stuleci. Rodzice Eriki powiększyli go i zmodernizowali, przekształcając w rodzinną letnią rezydencję. Zamek jednak zachował pierwotną surowość i ani francuskie okna tarasowe, ani dach pokryty kolorowymi dachówkami nie potrafiły tego zmienić.

Wysiadając z samochodu, Tristan mimowolnie się skrzywił. Ten zamek wyglądał niczym grobowiec, który tylko czeka zimy, aby zniknąć pod śniegiem. Erika pojawiła się na tarasie. Włosy, których nie obcięła ani nie zaplotła, opadały jej do pasa. Bardzo zeszczupiała. Idąc podjazdem, Tristan się zastanawiał, czy powinien ją uściskać. Podczas wielomiesięcznej rozłąki nigdy żadne z nich nie wspomniało o łączącej ich relacji. Kiedy Erika znalazła się bliżej, Marcas zauważył, że jej twarz zrobiła się niemal przezroczysta. Wydawało się, że jedynie oczy należą jeszcze do świata żywych. Miała na sobie za szerokie bryczesy wpuszczone w sfatygowane buty z cholewami. Piersi nie było znać pod grubym wełnianym swetrem.

– Zimno ci? – zapytał Tristan, sięgając dłonią do jej ramienia.

– Tu jest zawsze zimno, nawet w lecie – odparła Erika, odsuwając się od niego.

Poprowadziła go do salonu. Było to pomieszczenie przechodnie, którego drzwi tarasowe w głębi otwierały się na park zamkowy. Szara, nieruchoma tafla w oczkach wodnych odbijała wyniosłe korony wielkich drzew. Bez jednego spojrzenia w kierunku widoku na zewnątrz Erika wtuliła się w fotel przy kominku. Wyciągnęła ręce do ognia, aby je ogrzać.

– Jeszcze nie całkiem doszłam do siebie, ale chcę jak najszybciej wrócić na stanowisko. Powiedz, co słyhać w Ahnenerbe.

Tristan zwrócił uwagę, że mówiła głosem znacznie poważniejszym niż wcześniej.

– Powołano pełniącego obowiązki dyrektora, niejakiego Wolframa Sieversa, prehistoryka. Załatwia bieżące sprawy. Ale w związku z nasileniem działań wojennych

i tak większość programów chwilowo wstrzymano.

– A co z poszukiwaniem swastyki? Została jeszcze jedna.

Tristan podszedł do ognia. Nie było mu zimno, jednakże blask płomieni w tym ponurym wielkim domiszczu dodawał mu otuchy.

– Jak wiesz, wszystkie informacje, które mogą pomóc odnaleźć swastyki, pochodzą z *Thule Borealis*. Dzięki wskazówkom z książki Ahnenerbe prowadziło poszukiwania w Tybecie, Montségur, potem na Krecie. Ale o lokalizacji ostatniej relikwii nie ma tam ani słowa.

– No przecież w manuskrypcie stoi jak byk, że ukryto cztery swastyki.

– Zgadza się, tyle że brakuje końcówki tekstu. Albo została usunięta, albo ten, kto napisał *Thule Borealis*, nie zdołał dokończyć książki.

Erika nagle się ożywiła, jakby myśl o poszukiwaniach podziałała na nią pobudzająco.

– Trzeba rozpatrzeć dwie hipotezy. Po powrocie do Berlina zbierz interdyscyplinarną grupę specjalistów, koniecznie z filologiem, który musi zbadać, czy są znaki lingwistyczne pozwalające stwierdzić, czy tekst ma ciąg dalszy, i specjalistę od dawnych pism. Jeśli z książki usunięto jedną kartkę albo kilka, zauważy to w badaniu pod mikroskopem.

Tristan kiwnął głową.

– Słusznie. Ale jeszcze bardziej by nam pomogło prześledzenie dziejów *Thule* aż do teraz. Wiemy, że manuskrypt spisano w klasztorze w średniowieczu, później jednak...

Francuz wstał, by obejrzeć witrynkę w głębi salonu. Na półkach poustawiano w niej starożytne rzymskie naszyjniki i fibule, naczynia na prochy i posążek z piaskowca nieznanego postaci, która brała zamach młotem. Czy z powodu relikwii Erika została archeologiem?

– *Thule Borealis* odnalazł Weistort.

Tristan obrócił się gwałtownie. Weistort kierował niegdyś Ahnenerbe, raczej się nie patyczkował w swoich działaniach.

– Dlaczego mi o tym wcześniej nie powiedziałaś?

Erika wzruszyła ramionami.

– Sama się dowiedziałam przed samym wyjazdem do Wenecji. Informacja była w nieuporządkowanych papierach Weistorta. W każdym razie zabrał *Thule Borealis* żydowskiemu antykwariuszowi w Berlinie w trzydziestym ósmym roku.

– Wątpię, czy uregulował należność.

– To nie nasz problem. Trzeba znaleźć tego antykwariusza...

Francuz wszedł jej w słowo:

– A co? Myślisz, że Weistort zostawił go żywego?

– To odszukaj jego rodzinę. Może ktoś coś wie.

Tristan patrzył na nią oniemiały.

– Mam znaleźć żydowską rodzinę w nazistowskich Niemczech w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim roku? Jak sądzisz, co najpierw powinienem objechać: obozy koncentracyjne czy cmentarze? Powiedz, a załatwię to.

– A może ty byś mi najpierw powiedział, dlaczego tu przyjechałeś?

– Himmler zamierza zreorganizować Ahnenerbe i chce wiedzieć, czy jesteś w stanie wrócić na stanowisko.

– A ty masz ocenić, w jakim jestem stanie?

Tristan nie odpowiedział.

– Oprócz zawrotów głowy, które są następstwem zranienia, czuję się dobrze. Czułabym się jednak znacznie lepiej, gdybym wiedziała, co się stało w Wenecji.

– Naprawdę niczego nie pamiętasz?

Tym razem Erika nie odpowiedziała.

– Trafiła cię zabłąkana kula. Jakaś grupa próbowała...

– Nie chcę słuchać oficjalnej wersji. Wystarczająco długo mi ją serwowano. Chcę poznać twoją. Gdzie byłeś, kiedy pocisk mnie trafił?

– Tam gdzie ty. Na tarasie Pałacu Kina. Tam ewakuowano delegację niemiecką. Przy plaży.

– I niczego nie widziałeś?

– Zobaczyłem, że upadłaś. Podbiegłem. Miałaś zakrwawioną twarz. Pomoc przybyła szybko.

– To wszystko?

– Czemu na siłę szukasz innej wersji? – uniósł się Tristan. – Wszyscy powtarzają to samo. Były dziesiątki świadków.

– A gdybym ja pamiętała co innego? – rzuciła Erika.

Tristan spojrzał na nią uważnie. Istniały dwie możliwości: albo blefowała, albo odzyskała pamięć, choćby tylko częściowo. W obu przypadkach było jasne, że straciła do niego zaufanie. Ryzyko było zatem zbyt duże.

– Przy amnezji wspomnienia egzogeniczne mogą wypełniać luki w pamięci. To forma odpowiedzi organizmu na strach przed czarną dziurą.

– Nie wiedziałam, że taki z ciebie specjalista – zakpiła von Essling. – Doksztalciłeś się po tym, co mi się stało? Dlaczego?

Tristan popatrzył nad jej ramieniem w kierunku podjazdu. Kiedy przyjechał, nikogo tu nie widział. Ani ogrodnika, ani służby. Kto mieszkał w zamku z Eriką?

– Nie odpowiadasz? Myślisz, że zwariowałam? To powiesz Himmlerowi?

Przyjrzał się schodom prowadzącym na górę. Z dębowego drewna. W powietrzu unosił się jeszcze zapach terpentyny. Ktoś je niedawno wypastował.

Erika wstała i przytrzymała się oparcia fotela.

– Idź się położyć – powiedział Tristan. – Nie czujesz się dobrze. Musisz odpocząć. Odprowadzę cię. Twoja sypialnia jest na piętrze?

Kiedy położył dłoń na ramieniu archeolożki, z dziedzińca dobiegł warkot silnika. Tristan popatrzył przez przeszklone drzwi. Do drzwi spieszonym krokiem zmierzali dwaj esesmani. Z sieni doszedł tupot podkutych butów. Trzasnęły drzwi.

– Herr Marcas?

Tristan kiwnął głową.

– Proszę z nami.

Anglia
Stonehenge
Lipiec 1942

Starzec odziany był w długą białą szatę, która sięgała mu do kostek. Mimo sędziwego wieku – liczył ponad osiemdziesiątkę – trzymał się prosto niczym dąb, święte drzewo, które otaczał kultem od najmłodszych lat. Brody nie miał rozczochranej, wręcz przeciwnie. Starannie przycięta w szpic, nadawała mu szacowny wygląd dziewiętnastowiecznego arystokraty. W dłoni ścisnął kostur równie sękaty jak jego przedramię, równie ciemny jak jego oczy sterane przez czas.

Wielki kapłan Zjednoczonego Kościoła Druidycznego Anglii, Walii i Szkocji podniósł życzliwy wzrok na dziesięciu innych celebransów, również odzianych w takie same białe szaty.

Starzec trzykrotnie uderzył kosturem w prastary kamień pod swoimi stopami, w miejscu gdzie jego przodkowie wzywali dawnych bogów.

– Wolni mężowie i niewiasty, witam was serdecznie i dziękuję, żeście przebyli tyle mil, aby wziąć udział w tym nadzwyczajnym konwencie⁴. Tu, w Stonehenge, na najświętszej ziemi naszego ludu.

Wysoko w górze białe księżyc, zawieszony na czarnej draperii nocnego nieba, oświetlał łąki jak okiem sięgnąć. Srebrny dysk unosił się wprost nad głowami obecnych, jakby otaczał ich ochroną.

– Naszej ziemi znowu zagroził najeźdźca. Nie przybywa ani z Dalekiej Północy, ani z Rzymu. Wyłonił się z ciemnych puszczy Germanii. Dzicy wojownicy najeżdżają i masakrują przeciwników, biorą w niewolę kobiety i dzieci. Wykonują rozkazy bezlitosnego wodza, który chce nas sobie podporządkować. Wolni mężowie i niewiasty Brytanii, Walii i Szkocji, nasze wojska potrzebują, abyśmy je wsparli, ponieważ walka toczy się nie tylko na ziemi, ale także na drugim świecie. – Postawny druid zamknął oczy i wyciągnął ręce, jakby chciał objąć niebiosy. Przez zgromadzonych przebiegł długi szept. – *Ag nan Gorath, ulban neflet* – wypowiedział pierwsze słowa rytuału w pradawnym języku.

Starzec znów poczuł, że krąży w nim życiodajna siła. Jej fala wzbijała się z ziemi, przechodziła przez niego i rozpływała się w kosmosie.

– *Ag beran Toad!* – zakrzyknęli zgromadzeni.

Ulokowana u wejścia do megalitycznego kręgu Laure obserwowała przez lornetkę imponującą nocną ceremonię. Rozejrzała się bacznie po okolicy i dostrzegła ciężarówkę wojsk lądowych zaparkowaną kawałek dalej przed domkiem strażników.

Rozpoczęła się operacja Witchfall i nic nie mogło jej opóźnić. Wszystkie drogi prowadzące do Stonehenge blokowały zapory wojskowe, trzydziestoosobowy oddział żołnierzy zamknął strefę wokół monumentu. W przeszłości odbywało się tu wiele ceremonii druidzkich, po raz pierwszy jednak chronili ją uzbrojeni żołnierze. Wydano rozkaz: nikt nie może robić zdjęć oprócz wojskowej ekipy filmowej.

Młoda agentka SOE zerknęła na zegarek – wielka rozgrywka miała się zacząć za kilka chwil. O ile oczywiście druid będzie przestrzegał zaplanowanego rozkładu. Nastawiła ucha, już zaraz nastąpi wróżebny moment rytuału.

– Wolni mężowie i niewiasty, obnażcie oblicze naszego śmiertelnego wroga.

Od ziemi wytrysnął strumień światła z reflektora i padł na menhir nakryty białą tkaniną o karbowanych brzegach, przypominającą spadochron. Dwaj druidzi pociągnęli za sznury, ściągając płótno, które zasłaniało potężny głaz.

Reflektor wydobywał z mroku gigantyczną twarz o wymiarach trzy metry na dwa.

W druidów wpatrywał się Führer hipnotycznym, szalonym wzrokiem. W padającym świetle jego oczy zdawały się oscylować, jakby żyły własnym życiem.

– Oto nasz wróg. Adolf Hitler! Niechaj jego nieczny umysł trafi na wieczność w piekielne ognie. Niechaj jego kości spróchnieją, niechaj krew mu wyschnie, niechaj ciało zgnije. W imię bóstw: Luga, Elargrla, Meldora niechaj będzie przeklęty on i jego bliscy aż po ostatnie pokolenie.

Jeden z druidów zapalił pochodnię i podszedł do portretu zdobywcy Europy.

– Niechaj ten oczyszczający ogień strawi twe ciało i duszę na wieczność!

Płomienie pochodni zaczęły lizać najpierw podbródek, później wspięły się wzdłuż policzków i dosięgły wąsa. Twarz dyktatora zwijała się we wstrętnym rozżarzonego grymasie.

Laure podniosła do ust krótkofalówkę i mruknęła głucho:

– *Go!*

Upłynęło kilka sekund, po czym naraz znikąd wytrysnęły trzy kolumny światła.

Laure nie posiadała się ze zdumienia, że widok jest taki piękny. Reflektory obrony przeciwlotniczej utworzyły trzy rozjarzone kolumny, które pięły się wysoko w noc. A dokładnie w kierunku srebrzystego księżyca.

Znów zabrzmiał głos postawnego druida:

– Niechaj nasi wrogowie wiedzą, że światła zapłonęły i że osaczymy ich w najgłębszych nawet ciemnościach.

Laure westchnęła. Odkąd zaczął się rytuał druidzki, nie dawała jej spokoju jedna myśl: jak ludzie zdrowi na umyśle mogą tak postępować? Wiedziała, że w tej samej chwili w trzech innych świętych miejscach Zjednoczonego Królestwa odbywają się równie zaskakujące ceremonie. Na wyspie Man wiccańscy czarownicy rozpalali stosy, na których palili kukłę wyobrażającą Himmlera, szefa SS. W Edynburgu bracia z Hermetycznego Zakonu Złotego Brzasku na gałęzi świętego dębu wieszali kukłę ubraną jak marszałek Goering. W New Forrest, od tysiącleci pogańskim świętym miejscu, wyznawcy wielkiego boga Pana zarzynali kozła, który na boku miał zdjęcie doktora Goebbelsa. W każdym z tych miejsc żołnierze strzegli sprawujących ceremoniał przed spojrzzeniami gapiów i jeden tylko operator uwieczniał uroczystość.

Nagle trzy słupy światła zgasły. Teraz tylko księżyc zalewał srebrnym blaskiem święte głązy i ich kapłanów. Laure schowała lornetkę i skierowała się do domku strażników tego miejsca. Umierała z głodu, przede wszystkim jednak z pragnienia, aby dowiedzieć się więcej na temat Witchfall. Nowej operacji, którą przeprowadzał jej przełożony z SOE.

– Komandorze, możesz mi wyjaśnić, co się dzieje?

Drzwi drewnianej chaty otwarły się z hukiem i wpadła przez nie Laure, wpuszczając powiew wilgotnego powietrza.

– Przychodzisz w samą porę, jajka są gotowe – powiedział szef wydziału S stojący przy byle jakiej kuchence, w której palił się ogień.

Smakowity zapach smażonego bekonu wypełniał pomieszczenie o ścianach wyłożonych dębem, przez co przywodził na myśl góralską chatę. Nieco w głębi przy ciężkim stole ktoś siedział. Przypominał cukierek owinięty w potrójną warstwę papierków. Gruby cukierek. Aleister Crowley łąpczywie zjadał kanapkę ze słoniną i jajkami.

– Malorley ma rację. Dobrze pani to robi. Wygląda pani na lekko poruszoną.

– Ja poruszona...? Bez żartów – odparła Laure, rzucając na stół rękawiczki. – A co mam powiedzieć o tych oszołomach na zewnątrz? Skąd wyście ich wytrzasnęli? Z jakiegoś wariatkowa czy co?

Crowley westchnął ciężko, aż zatrzęśły mu się grudkowate policzki.

– Moja droga, pani się myli. Mędracy, których komandor Malorley zebrał wraz ze mną w czterech miejscach świata, to sam kwiat, elita magii, czarownictwa i druidyzmu. Witchfall. To ja wymyśliłem nazwę tej operacji. Ostatni raz przeprowadzono coś takiego przeszło sto lat temu, a zamiast portretów Hitlera i zaprzędanych mu kanalii były wizerunki Napoleona i jego marszałków.

– Niech pan przestanie pleść bzdury – rozkazała Laure, zdejmując kurtkę moro.

Malorley usiadł przy stole, stawiając na blacie talerz z jajkami sadzonymi.

– Potwierdzam, znalazłem w królewskich archiwach raport z ceremonii kropka w kropkę takiej jak nasza. W tysiąc osiemset trzecim roku cała rzesza brytyjskich czarowników i druidów spotkała się na konwencie, by odprawić kolektywne zaklęcie przeciwko waszemu cesarzowi, który zamierzał najechać Anglię z armią stu tysięcy żołnierzy zgrupowanych w Boulogne.

– I podziałało! – dodał Crowley. – Podobno tamtej nocy korsykański niedźwiedź dostał konwulsji we własnym łóżku. I rankiem zrezygnował z tego podłego zamiaru.

– No tak... – Laure również usiadła przy stole. – Coś mi się zdaje, że wasz zdrowy rozsądek też dostał konwulsji. Podobnie jak rozsądek tych pajaców przebranych za druidów i wariatek z wyspy Man, które latają na miotle.

– Niech pani się z nich nie natrzęsa – rzekł Crowley, łakomie zjadając jajko. – To na swój sposób buntownicy, luminarze... rewolucjoniści!

– Czyżby? – Młoda Francuzka się uśmiechnęła, odkrawając kawałek smażonego bekonu. – Dziwne, na historii nikt nigdy mnie nie uczył, że Robespierre i Lenin składali w ofierze dziewice i ucztowali podczas czarnych mszy.

– Jeśli chodzi o tych dwóch, należałoby raczej mówić o czerwonych mszach, zważywszy na to, ile cmentarzy po sobie zostawili – zdenerwował się Crowley. Zerwał się nagle zadziwiająco zwinnie jak na człowieka tej tuszy. Oczy błyszczały mu podnieceniem. Oparłszy się rękami o blat, nachylił się do Laure. – Nic pani nie rozumie, młoda damo. Magia, przyzywanie dawnych bóstw jest bliskie przewrotowi. Magowie, druidzi, czarownicy godni tego miana to rewolucjoniści. Od wieków walczą z tyranią narzuconą przez Ukrzyżowanego i jego psy łańcuchowe. W średniowieczu czarowstwo fermentowało w reakcji na nikczemną zupę warzoną w piekielnym kotle Kościoła i arystokracji. Skoro Jezus i Matka Boska błogosławią tyranii papieży, królów, księży, pluńmy im w czcigodne oblicza. Całujmy w dupę Szatana albo wielkiego bożka Pana i obalmy posąg największego dyktatora, jakiego ziemia nosiła. Mam na myśli Boga!

– Pana Crowleya dopadł jakiś ostry marksistowski kryzys – skomentowała tę wypowiedź Laure, rzucając ironiczne spojrzenie Malorleyowi.

Mag nie podniósł rzuconej rękawicy, lecz kontynuował swą diatrybę:

– Jako kobieta, powinna pani to wszystko rozumieć.

Laure niewzruszenie jadła jajka.

– Nie widzę związku, nie mam żadnego upodobania do Lucyferowego zadka...

– No nie! Niechże pani uchyli choć trochę otwory, które służą pani jako uszy! W średniowieczu magię głosiły przecież kobiety. Mówiono na nie czarownice, ale przede wszystkim były uzdrowicielkami i wieszczkami. Dawały nadzieję wszystkim

tym uciskanym biedakom, a Kościół i władcy palili je na stosie. A już nie wspomnę o sile pożądania...

– Ach, seks... Tak właśnie myślałam, że leży to panu na sercu. Przecież *sex magic* to pańskie ulubione nauczanie: dostąpić najwyższej władzy w oparach rozkoszy. Czytałam pana dossier w SOE. To bardzo wygodne dla zaspokajania swoich zbroczeń z kobietami. A i z mężczyznami.

Malorley z rozbawieniem obserwował słowną szermierkę swoich dwojga agentów. Crowley wyraźnie się rozżłościł i teraz nie mógł już się zatrzymać.

– Czczę tak samo Izydę, jak Ozyrysa! I co? Jestem z tego dumny. Zbroczenia, mówi pani? O nie, raczej rezerwa. Rezerwa wobec moralności, która nas kastruje i nie pozwala nam na wolne życie. Rezerwa wobec Watykanu, który zamknął się jak forteca i pozwala niemieckiemu Antychrystowi mordować ludzkie bydło. Rezerwa wobec świata, którym rządzą ludzie w butach z cholewami i w hełmach, prowadząc nas ku apokalipsie. Rezerwa wobec świata powodowanego jakoby rozumem i obyczajnością i posyłającego od wieków swoje dzieci na rzeź. Przy dźwiękach trąbek, *Te Deum*, *Międzynarodówki*, *Marsylianki* czy *Horst-Wessel-Lied*. Nie seks jest zbroczeniem, tylko wojna!

– W sumie coś w tym jest – przystała Laure zmieszana. – Ale mimo wszystko pan jest naprawdę stuknięty. Inteligentny, ale stuknięty jak mało kto.

– No wreszcie jakiś komplement. Dziękuję – odparł, siadając na powrót.

Francuzka zwróciła się do Malorleya:

– A tak poważnie, komandorze. To, że twój kumpel mag wierzy w te banialuki, mieści się w normie, ale że ty...? Czy to nie przesada ściągać tu batalion obrony cywilnej do ochrony tego zebrania? Że nie wspomnę o reflektorach obrony przeciwlotniczej i wojskowej ekipie filmowców. Chyba nie przekonałeś Churchilla, że trzeba zaczarować Hitlera i jego przeklęte wojska?

Malorley zapalił fajkę i z rozbawieniem przyglądał się podwładnej.

– Musimy mieć wszelkie szanse po swojej stronie. Zatrucie i magia, oto smakowity koktajl...

– Z tobą jest taki problem, komandorze, że nigdy nie wiadomo, czy poczucie humoru jest twoją bronią czy wykrętem.

– Prawdopodobnie i tym, i tym.

Crowley delectował się plastrem bekonu.

– Pyszności. Ach, świnia... Jedno z nielicznych zwierząt, którego nie można składać w ofierze podczas rytuałów magicznych. Jagnię, wołu, byka, kota, koguta można, a świni nie. Zbyt nieczysta zarówno dla Boga, jak i dla Szatana. Tylko na Antylach składają świnie w ofierze na Boże Narodzenie.

Laure spojrzała na Crowleya z politowaniem, po czym z kieszeni swej wojskowej kurtki wyjęła pomiętą gazetę i położyła ją na stole.

– À propos ofiar... Czytali panowie dzisiejsze gazety?

– Nie mieliśmy czasu. Od dwóch dni szykowaliśmy ten konwent. A co?

Młoda agentka SOE rozłożyła na blacie bulwarówkę. Nad zdjęciem zakrytego ciała tytuł bił po oczach:

SWASTYKOWY MORDERCA ZNOWU UDERZYŁ!

– Na cmentarzu w West Brompton znaleziono zwłoki kobiety na nagrobku – wyjaśniła Laure głosem pełnym napięcia. – Na czole miała wyciętą nożem swastykę. Do złudzenia przypomina to ofiarę Moiry O'Connor. No wiecie, tę dziewczynę zaszlachtowaną i porzuconą w zeszłym roku na cmentarzu w Tower Hamlets. Takie zwłoki wprawiają w zachwyt naszego przyjaciela, obecnego tu satyra.

Crowley wypluł spory kęs słoniny na talerz i obrzucił Francuzkę zabójczym wzrokiem.

– Niech Scotland Yard się tym zajmie – powiedział Malorley. – Może to naśladowca.

– Albo i nie. Dobrze by było podsunąć trop policji.

– Nie ma mowy! Przypominam, że Moira O'Connor to agentka Abwehry, którą wykorzystujemy bez jej wiedzy. Aleister spotyka się z nią raz w miesiącu i przekazuje jej informacje, które uważam za stosowne jej podsuwać. Stała się kartą atutową w naszej rozgrywce z niemieckimi tajnymi służbami.

– A jeśli ofiar będzie więcej? Pozwolimy jej współzawodniczyć z Kubą Rozpruwaczem?

Malorley się podniósł i stanął przed Laure.

– Priorytetem jest wojna. I poszukiwanie swastyk. Resztą niech się zajmie policja.

– Ta mała ma rację – wtrącił Crowley. – Może warto by się dowiedzieć, czy Szkarłatna Czarodziejka znowu wyjęła ofiarne noże.

– A cóż pan się tak martwi? – zdziwił się Malorley.

– Moira trzyma mnie w szachu kompromitującymi zdjęciami z pierwszym trupem. Nie mam ochoty odpowiadać za kolejne zbrodnie.

Komandor pokiwał głową. Argument był wystarczający.

– W gazecie podają datę i godzinę zgonu?

– A jakie to ma znaczenie? – spytała Laure. – Rytualnie ofiary wyglądają tak samo. A ciało zostawiono na cmentarzu.

Malorley wziął gazetę i przebiegł wzrokiem artykułu. Twarz mu pojaśniała.

– Według tego tekstu śmierć nastąpiła najdalej trzy dni temu, co odsuwa podejrzenia od naszej czarownicy.

– Skąd ta pewność? – powątpiewała Laure. – Czyżbyś widział się z nią ostatnio w tym jej burdelu sado-maso... jakże mu tam... w klubie Hellfire?

Crowley uchwycił urażone spojrzenie oficera SOE i z uśmiechem wtrącił:

– On ma rację. Moira O'Connor bierze udział w ceremonii, która się odbywa na wyspie Man. Pojechała tam w zeszłym tygodniu. Alibi ma solidniejsze niż podziemny bunkier pod gabinetem wojennym Churchilla.

– Wykorzystujecie ją w operacji Witchfall? Nie kapuję.

– Nie tylko odgrywa w niej aktywną rolę, ale w dodatku tu obecny Aleister przekaze jej kopie nagrań z ceremonii. Które ona czym prędzej przekaze do Berlina...

– Można jaśniej?

– Trzeba czymś zająć naszych ludzi, skoro utknęliśmy z poszukiwaniem czwartej swastyki. To operacja dezinformacyjna wymierzona w przywódców Rzeszy, którzy wierzą w tajemne moce. W Himmlera w pierwszej kolejności. Świadomość, że rzucono na nich zaklęcie, może wpłynąć na ich zachowania i spowodować, że zaczną podejmować złe decyzje. Wpadłem na ten pomysł po rozmowie z tym wariatem Rudolfem Hessem, kiedy się dowiedziałem, że szef SS wierzy w reinkarnację i czary i niektóre decyzje podejmuje na podstawie rad astrologów. – Popatrzył na zegarek. – Na razie mam czas, by wrócić do Londynu i troszkę odpocząć. Jutro późnym popołudniem spotykam się z naszymi przyjaciółmi z MI6, którzy ciągle jeszcze nie przetrawili porażki poniesionej przy zamachu na Hitlera i Mussoliniego w Wenecji.

– A my kiedy wracamy do stolicy? – zapytał Crowley. – Mam być na ważnym wernisażu.

– Najpierw proszę się upewnić, że pańscy druidzi rewolucjoniści wsiadają do samochodów. Przydzieliłem panu kierowcę, który potem odwiezie pana do domu.

– O Tristanie dalej nic nie wiadomo? – zagadnęła Laure.

Malorley nie odpowiedział.

Pomorze
Lipiec 1942

Godzinę po opuszczeniu zamku Eriki samochód wiozący Tristana zatrzymał się przed podwójnym gęstym ogrodzeniem z drutu kolczastego, strzeżonym przez esesmanów w mundurach polowych. Za nim, za linią drzew poprzecinaną wieżyczkami strażniczymi, można się było domyślić polany. W drodze Francuz nie zadał ani jednego pytania swojej niechcianej eskorcie. Siedząc przy oknie, obserwował trasę, szybko jednak wóz zaczął kluczyć bocznymi drózkami, a las stawał się coraz gęściejszy. Tristanowi przeszło wtedy przez myśl, że jeżeli wiozą go na egzekucję, to niewątpliwie lepszego miejsca nie znajdą. Dyskretnie i bez śladu. Tylko czemu zwlekają? Poza tym esesmani najpierw by go przesłuchali, w tym byli specjalistami i sprawiało im to przyjemność. Nie, nie, powód musiał być inny.

Wciąż stali przed bramą prowadzącą za ogrodzenie. Wartownicy krążyli wokół auta niczym psy gończe. Jeden podniósł maskę, drugi sprawdzał koła. Szukają bomby, pomyślał Tristan zaskoczony wzmożoną kontrolą. Nagle skrzydło bramy się otworzyło. Strażnicy wrócili na swoje stanowiska, a samochód ruszył naprzód. Już nie jechali po kamienistej polnej drodze, lecz po równiutkim asfalcie. Zbita masa drzew powoli rzedła. Pojawiły się budynki w kształcie długich walców strzeżonych przez oddziały obrony przeciwlotniczej. W miejscu, gdzie droga się rozwidła, po lewej wyłonił się patrol i zatrzymał wóz.

– Losowa kontrola – zakomunikował podoficer. – Proszę zgasić silnik i w żadnym razie nie wysiadać z samochodu.

Naraz otoczyły ich psy. Jeden wskoczył na maskę i powarkując, obwąchiwał przednią szybę. Inne opierały się łapami o boczne szyby, odsłaniając zębiska.

– Znakomity komitet powitalny – ironicznie zauważył Tristan. – Ciasteczka będą później?

Odpowiedziało mu tylko ujadanie, lecz w jednej chwili ucichło, gdy rozległ się gwizdek. Patrol odstąpił i zniknął w krzakach. Samochód ruszył powoli, po czym skręcił w lewo. Zaskoczony Marcas ujrzał pas startowy, który ginął we mgle. W oddali słabo migotały światła betonowej wieży. Szofer zatrzymał wóz na nasypie i dał znak Francuzowi, aby wysiadł.

– Jeśli ma być światowe przyjęcie, to uprzedzam, że nie wziąłem smokingu.

Kierowca na powrót uruchomił silnik. Tristan został sam. Pas startowy świeżo wysprzątało – co jakieś dziesięć metrów wznosiły się na nim kopczyki zamiecionych sosnowych szpilek. Marcas obmacał sobie kieszenie, ale znalazł tylko zapalniczkę. Papierosy zostawił u Eriki. Krótka wizyta u niej była kompletną klapą. Nie zdołał ustalić, czy jego kochanka wie i dlatego mu grozi, czy też grozi mu, żeby się dowiedzieć. W każdym razie nie starczyło mu zimnej krwi. W pierwszym odruchu chciał problem rozwiązać natychmiast. Nie myśląc o skutkach. Co świadczyło, że żyje w napięciu, które nie pozwala mu brać pod rozwagę wszystkich parametrów sytuacji, od własnego bezpieczeństwa zaczynając. Na szczęście przyjechali po niego ci esesmani.

Kątem oka nadal obserwował pasażerów samochodu. To zwykli wykonawcy. Dobrze zrobił, że nie stawiał oporu i nie zadawał pytań. W obliczu nazistów, a esesmanów w szczególności, nigdy nie należało reagować jak potencjalny podejrzany. To pierwsza zasada przetrwania w reżimie totalitarnym. Z Eriką nie potrafił się wykazać taką przezornością. I powinien wiedzieć dlaczego.

Wzdrygnął się, usłyszawszy głuchy warkot. Rozchyliły się wrota jednego z budynków w kształcie tunelu. Tristan rozpoznał charakterystyczny dźwięk śmigieł tnących powietrze, co zaraz potwierdził widok jasnego kokpitu wyłaniającego się z wrót i dwojga czarnych skrzydeł. Samolot wyjechał z hangaru i zajął pozycję na pasie. W środkowej części kadłuba otworzyły się drzwi, wypuszczono metalowe schodki. Zszedł po nich oficer SS w galowym mundurze, ruszył marszowym krokiem po asfaltowym pasie i zatrzymał się przed Marcasem.

– Heil Hitler!

Zanim Tristan nonszalancko wyciągnął ramię w pozdrowieniu, padł rozkaz:

– Reichsführer chce pana widzieć.

Maszynę Focke-Wulf 200 przystosowano w środku do przewozu dowódcy SS. Współpracownicy Reichsführera już się uwijali wewnątrz. Mapy ruchów wojsk, raporty służb policyjnych, dane przemysłowe... Cała aktywność SS skupiała się w kabinie samolotu. Kiedy leciał nad Niemcami, Himmler w każdej chwili mógł zasięgnąć informacji na temat swojego imperium. Znacząco rozszerzył wpływy i władzę swojej organizacji. Obecnie SS było ośmiornicą, która obejmowała mackami całą Rzeszę. Dysponowała setkami tysięcy żołnierzy walczących na froncie wschodnim, za pośrednictwem Gestapo kontrolowała wszystkie organy bezpieczeństwa, w fabrykach zbrojeniowych wykorzystywała pracę niezliczonych więźniów i deportowanych. Istne państwo w państwie – SS stawało się organem niezbędnym do funkcjonowania nazistowskich Niemiec.

Kiedy Tristan szedł pośród krzątanic, silniki zaczęły głośno pracować. Samolot szykował się do startu. Prowadzący Marcasa oficer obejrzał się na niego i uroczyście oznajmił:

– Zobaczę, czy może pana przyjąć.

Ścianka działowa odgradzała resztę maszyny od sali konferencyjnej. Gniazdo Himmlera musiało znajdować się za nią. Oficer zapukał, wszedł i zaraz na powrót się wyłonił.

– Proszę chwilkę poczekać.

Siedzący za stołem Himmler uważnie czytał dossier, którego okładkę opatrzone pieczęcią „Poufne”. Był to raport pochodzący z tajnych archiwów Heydricha. Po śmierci swego najwierniejszego współpracownika Himmler zażądał, aby przekazano mu wszystkie jego prywatne dokumenty. Nikt nie mógł się dowiedzieć, co zawierają, nawet Führer. Himmler natychmiast rozpoznał pismo podwładnego: była to zwięzła notatka na temat biblioteki, którą Reichsführer zamierzał stworzyć. Miała być najobszerniejszą kolekcją starych książek ściągniętych z całej Europy, w całości poświęconych czarownicom, których tragiczny los rozpałał wyobraźnię niczym stosy u zarania okresu odrodzenia. Co najmniej trzysta tysięcy pozycji drukowanych lub w postaci rękopisów... Kiedy Goering się o tym dowiedział, nie ustawał w docinkach i kpinach z biednego Heinricha i jego namiętności do nieszczęsnych wariatek, którym się wydawało, że mogą latać na miotle. Himmler nie zważał na to. Gruby Hermann zawsze miał spóźniony zapłon: pewnie zastanawiał się wtedy nad przepisem na magiczny napój dla swoich esesmanów albo na eliksir nieśmiertelności dla Hitlera...

Himmler się uśmiechnął.

Prawda była zupełnie inna.

Teraz, gdy po najechaniu Rosji eksterminacja Żydów odbywała się na skalę niemal przemysłową, stwierdzono, że doszło do przecieków. Administracje niektórych państw neutralnych, takich jak Szwajcaria czy Szwecja, zaczynały już nastawiać ucha na te pogłoski. Himmlera poinformowano o tym w pierwszej kolejności, on również pierwszy zrozumiał, że drogo może zapłacić za taką rzeź, jeżeli naziści przegrają wojnę.

Postanowił więc temu zapobiec, usiłując dowieść, że Rzesza tylko odpowiada na pierwsze ludobójstwo w historii: dziesiątek tysięcy Niemek oskarżonych o czarownictwo i spalonych przez żądnych krwi księży, pastorów morderców, podnoszących rękę na innych ludzi chrześcijan, którzy wywodzili się w prostej linii od Żydów. Heydrich w swojej notatce nie krył, jak mało przekonująca wydaje mu się ta argumentacja, która grozi raczej przyciągnięciem uwagi opinii międzynarodowej niżli jej odwróceniem. Himmler czuł się rozczarowany: czyli życie Niemki, która

w okrutnych cierpieniach zginęła na stosie, jest mniej warte niż życie Żyda? Zdecydowanie Führer ma słuszość: wszystkie problemy stwarzają Semici i dopóki definitywnie się z nimi nie rozprawią, dopóty świat nie zazna pokoju.

Z żalem postanowił sprawę czarownic na razie odłożyć.

Wpuszczono do niego Tristana.

Salonik, w którym urzędował Himmler, zaskakująco się różnił od reszty wnętrza samolotu. Tu nie było krzątania ani hałasu. Nawet warkot silników zdawał się oddalony, jakby cały świat się zatrzymywał u drzwi szefa SS. Zdumiewający był kontrast między gwarem wśród podwładnych Reichsführera a pełną skupienia ciszą w jego salonce.

Himmler siedział przy iluminatorze za stołem, na którym nie było żadnej książki ani teczki z aktami, leżał jedynie notes w podniszczonej okładce. Wszystkie ścianki pomieszczenia pokrywała boazeria. We wnękach zabezpieczonych szkłem znajdowały się różne przedmioty kolekcjonerskie. Zaskoczony Tristan przystanął przed wyeksponowaną książką.

– Mein Kampf, egzemplarz z dedykacją, który podarował mi Führer – wyjaśnił Himmler. – Zabieram go, dokądkolwiek jadę.

– Prawdziwy talizman – skomentował Tristan.

– Nawet pan nie wie, ile w tym racji. Niektóre książki są jak drzewa: ich soki to krew autora, a ich przeznaczeniem jest zielenić się przez całe wieki.

Francuz omal nie odpowiedział „Amen”, tak bardzo wciąż go zdumiewała skłonność Himmlera do wygłaszania nieoczekiwanych mętnych kazań. Ten był hodowca drobiu kierował się szczególną logiką, kiedy się wypowiadał na swoje ulubione tematy, takie jak historia czy ezoteryka. Wielu nazistowskich dygnitarzy otwarcie z niego szydziło, jak choćby Goering czy Goebbels, przekonani, że naprawdę brakuje mu piątej klepki. Mniej się śmiali, gdy Reichsführer posyłał im, zwykle na urodziny, pełne dossier na temat ich łajdactw, choć sądzili, że to wszystko było tajemnicą. Pełny wykaz z opisami kochanek Goebbelsa przyprawiał go o depresję, która trwała kilka dni. Goering natomiast zamykał się w swojej rezydencji Carinhall, otrzymawszy zaktualizowaną listę swoich dostawców morfiny, której łaknął jak mało czego. Z Reichsführerem zawsze należało zachowywać ostrożność.

– Widział się pan z Eriką von Essling? Jest gotowa na powrót objąć stanowisko?

Himmler mówił głosem bardziej nosowym niż zwykle.

– Pominąwszy to, że nic nie pamięta z zamachu w Wenecji, jest w pełni formy.

W samochodzie Tristan miał czas przemyśleć, co powie Reichsführerowi o Erice. Dla niego lepiej będzie, jeśli dziewczyna wróci do kierowania Ahnenerbe. Jeżeli przestanie panować nad swoją paranoją, na pewno szybko to zauważą i Himmler sam

ją odwoła. W mniemaniu wszystkich Hitler uniknął śmierci dzięki skutecznym działaniom SS. Inna wersja zamachu w Wenecji z pewnością bardzo by zakłopotła Reichsführera.

– Zadania Ahnenerbe będą teraz inne. Odtąd kwiat niemieckiej nauki musi pracować na rzecz tytanicznego przeznaczenia Rzeszy. Musimy zaoferować Führerowi wszelkie środki, by z powodzeniem poprowadził dalej swoją chwalebną krucjatę odrodzenia rodzaju ludzkiego...

Marcas odnosił wrażenie, że słucha radiowej przemowy, i chętnie by przekręcił potencjometr, wyłączając urządzenie.

– ...nasze wojska przeszły do ofensywy na Kaukazie. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, za kilka tygodni będziemy kontrolowali Morze Czarne. Mamy szeroki plan: podburzyć wszystkie narody w regionie, żeby wystąpiły przeciwko komunizmowi. Najpierw jednak musimy tam zrobić rygorystyczną segregację.

– Nie bardzo rozumiem, Herr Reichsführer.

– Wszystkie ludy krymskie i kaukaskie są zatrute żydostwem. Trzeba bezwzględnie wyłuskać Żydów, by oczyścić ten region. W tym celu Ahnenerbe musi mi dostarczyć jak najszybciej specjalistów zdolnych ich wyszukać, żebyśmy mogli wyeliminować wszystkich. Będzie to priorytetowe zadanie von Essling.

– Ale ona jest przecież archeologiem, a nie...

Himmler wziął do ręki notes ze stołu.

– A pan handlarzem dzieł sztuki, którego wyciągnęliśmy z Hiszpanii w trzydziestym dziewiątym roku. Dlatego zresztą jest pan tutaj. Ale najpierw chcę wiedzieć, jak stoimy z poszukiwaniem czwartej swastyki.

– Jak pan wie, Herr Reichsführer, wszystkie informacje, które pomogły nam odnaleźć pierwsze trzy swastyki, pochodziły z Thule Borealis. Niestety w manuskrypcie nie ma ani słowa o czwartym artefakcie.

W odróżnieniu od Hitlera, który unosił się gniewem przy lada przeciwności, Himmler zawsze zachowywał spokój w obliczu niepomysłnych wieści.

– Macie jakiś trop?

– Wiemy, że w trzydziestym ósmym roku Thule Borealis odzyskał od berlińskiego żydowskiego antykwariusza pułkownik Weistort. Powiniennem go przesłuchać.

– Pułkownik nadal jest w śpiączce po odniesieniu ran w Montségur, ale widuję go regularnie. Sam go przesłucham.

– Może też udałoby się zdobyć jakieś informacje, gdyby specjaliści przeanalizowali Thule Borealis. Mógł nam umknąć jakiś szczegół. Rękopis znajduje się na zamku Wewelsburg, który jest pod pańskimi bezpośrednimi rozkazami...

Himmler otworzył notes.

– Wydam stosowne polecenia, ale wszystkie analizy będą przeprowadzane na zamku. Manuskryptu w żadnym wypadku nie wolno wynosić z Wewelsburga.

– Wedle rozkazu, Herr Reichsführer.

Ktoś dyskretnie zapukał do drzwi. Himmler skinął na Marcasa, aby otworzył. Wszedł oficer, trzasnął obcasami.

– Wylądujemy we Frankfurcie za niecałe trzy godziny.

Himmler dłonią wskazał Tristanowi fotel.

– Studiował pan historię sztuki we Francji, później zaczął pan prowadzić swoją działalność. Może mi pan wyjaśnić, na czym polegała?

– Na prostym założeniu: miłośnicy sztuki są nienasycony. Dzieła sztuki to ich narkotyk. Ciągłe potrzebują nowych przedmiotów dla podsycecia swojego pożądanego. Ja im je dostarczałem i właśnie na tym polegała moja praca.

– To znaczy?

– Czasem klient miał konkretne zamówienie, na przykład chciał taki czy taki obraz z tej czy innej kolekcji, a ja znajdowałem sposób, żeby go dostał. Albo wyszukiwałem jakiś rzadki eksponat, na który się napalał.

Reichsführer znów wziął do ręki notes, otworzył go w miejscu zaznaczonym przez srebrną zakładkę z trupią główką.

– A co dokładnie porabiał pan w Hiszpanii w trzydziestym dziewiątym roku?

– W czasie wojny domowej wykonywałem ekspertyzy kolekcji, gromadziłem najcenniejsze przedmioty i znajdowałem sposób, żeby je przewieźć w bezpieczne miejsce. Najczęściej za granicą.

Himmler jakby się wahał. Nie wezwał Tristana jedynie po to, by pomówić z nim o przyszłości Eriki von Essling i poszukiwaniu czwartej swastyki. Do tego wystarczyłaby krótka rozmowa przed samym wejściem do samolotu.

– Wspomniałem panu o nowym kierunku działań, który chciałbym nadać Ahnenerbe, instytut jednak nie powinien tracić z widoku swoich pierwotnych zadań: odnajdywania i chronienia wszystkiego, co z mocy prawa należy do kultury niemieckiej. Po zakończeniu wojny zgermanizujemy w całej Europie każde ważne miejsce, które świadczy o niemieckim geniuszu.

Tristan wystraszył się znaczenia tych słów.

– W całej Europie, Herr Reichsführer?

– I nie tylko! Dziś już wiemy, że wszystkie rasy wywodzą się od Aryjczyków, czyli mają pochodzenie germańskie. I że jeśli chodzi o narody europejskie, ich degeneracja wzięła się z wymieszania z rasami niższymi. Znaczą to, że jeśli gdzieś pojawia się dzieło sztuki, nieuchronnie musi być pochodzenia germańskiego, bo tylko aryjski artysta może tworzyć genialne dzieła. Dlatego jest pan tutaj.

Nachyliwszy się do iluminatora, Tristan spostrzegł, że na skrzydłach fockego-wulfa nie ma wielkich krzyży o zgiętych ramionach, które zazwyczaj zdobiły rządowe maszyny Rzeszy. Dowódca SS podróżował incognito. Obawiał się jakiegoś zabłąkanego angielskiego myśliwca czy cel lotu był tajny?

– Zna pan doktora Alfreda Rosenberga? – zagadnął naraz Himmler.

Marcas przejrzał w pamięci głównych dygnitarzy nazistowskich Niemiec. Rosenberg nie należał ani do rządu, ani do kręgu najbliższych współpracowników Hitlera. Jego nazwisko kojarzyło mu się tylko mgliście z twarzą okrągłą jak księżyc w pełni, którą pewnie zobaczył w jakiejś gazecie. Jeśli chodzi o stopień doktorski, to naziści mieli nieznośną skłonność do obdarzania nim niemal każdego, kto skończył byle jakie studia uniwersyteckie.

– Nie, Herr Reichsführer – odpowiedział.

– Alfred Rosenberg należy do śmietanki myślicieli Rzeszy. Jego poglądy na ewolucję ras są bardzo przekonujące. Führer zresztą słucha go zawsze z wielkim zainteresowaniem.

Tristan wiedział z doświadczenia, że trzeba się mocno mieć na baczności, kiedy Himmler zaczyna kogoś bardzo wychwalać. Komplementy zawsze poprzedzały strzał bez ostrzeżenia.

– Niestety Rosenberg jest tylko teoretykiem, nie człowiekiem czynu. A odkąd Niemcy są w stanie wojny, jego użyteczność znacząco spadła.

Bez cienia wątpliwości odsunięcie na ubocze rzonego Rosenberga nadzwyczajnie cieszyło Reichsführera.

– Ale Führer nigdy nie opuszcza przyjaciół, wie o tym każdy. Powierzył więc Rosenbergowi przejmowanie w całej Europie bibliotek i archiwów dwóch najgroźniejszych wrogów Rzeszy: Żydów i masonów.

Tristan nawet nie mrugnął.

– Tak się jednak składa, że od bibliotek i manuskryptów Rosenberg szybko przeszedł do gromadzenia obrazów, rzeźb i wszelkich dzieł sztuki, jeśli tylko należą do wrogów narodowego socjalizmu.

– I jak przypuszczam, pojęcie wrogów Rzeszy stało się bardzo elastyczne...

Patrzący przez okrągłe okulary Himmler uśmiechnął się lekko.

– I to tak bardzo, że Rosenberg zaczął sobie uzurpować nasze prerogatywy. A przecież już i tak trzeba było bez przerwy walczyć z Goeringiem, który rabuje, co tylko znajdzie w najmniejszym choćby muzeum. – Reichsführer ściągnął wargi z niesmakiem na znak, co sądzi o silnie zaakcentowanym zbieractwie dowódcy Luftwaffe. – Krótko mówiąc, postanowiłem zakończyć to niedopuszczalne rozszerzenie działań: wkrótce przydzielę doktorowi Rosenbergowi nowe zadania,

obawiam się jednak, że nie będzie chciał zrezygnować z grabieży. I pomyśleć tylko, że w tym zasmakował!

Jak inni zasmakowali we krwi, pomyślał Marcas.

– W związku z tym dołączy pan do ekipy Rosenberga jako obserwator z ramienia Ahnenerbe. Będzie pan raportował mnie osobiście plany jego ludzi. Chcę wiedzieć, gdzie zamierzają działać i dlaczego. Chcę też szczegółowych spisów dzieł, które postanowią zagrabić. Ja zdecyduję, które nam się należą z mocy prawa.

– Za pozwoleniem, Herr Reichsführer, wątpię, żeby Rosenberg i jego ludzie łatwo się zgodzili na przekazanie panu części swojej zdobyczy.

Himmler znowu wziął do ręki notes.

– W styczniu trzydziestego dziewiątego roku przebywał pan w klasztorze Montserrat w Katalonii, prawda? Zdaje mi się, że to ważne miejsce kultu dotąd nie odzyskało dużej liczby swoich skarbów...

– Czy w takim razie mam rozumieć, że w celu zdobycia tego, czego pan sobie życzy, Herr Reichsführer, mam carte blanche?

– Nie blanche, Marcas, lecz rouge. Czerwoną jak krew.

Londyn

Dzielnica Elephant and Castle

Rosemary Benton zajrzała do piekarnika, by ponapawać zmysły cudem. Cudem, którego wcieleniem była tłusta, soczysta pularda piekąca się od ponad godziny. Już dobre trzy miesiące piekarnik Bentonów nie gościł tak tłuściutkiego drobiu. Ich dwie córki, wysłane do Sussex do babci, podskakiwałyby z radości w obliczu tego cudu.

Skóra ptaka nabierała złotawego odcienia. Rosemary oceniła, że za pół godziny pieczone będzie w sam raz. Zadowolona zdjęła fartuch i udała się do salonu. Z Marconiego 401, najelegantszego w jej pokoleniu radioodbiornika z pudłem pokrytym drewnem orzechowym, prezentu rocznicowego od męża, dobiegał przyjemny, melodyjny głos. Radio zawsze było ustawione na odbiór stacji BBC. Patriotyzm zobowiązuje.

...We'll meet again

Don't know where

Don't know when

But I know we'll meet again, some sunny day...

Podobnie jak miliony Angielek Rosemary uwielbiała młodą piosenkarkę Verę Lynn, narzeczoną sił zbrojnych, jak ją nazywali żołnierze frontowi. Pogłośniła dźwięk i zapaliła papierosa, przybierając pozę przed lustrem w salonie. Uważała, że nie jest tak ładna jak Vera Lynn, lecz w lustrze widziała odbicie kobiety wciąż jeszcze powabnej.

...Keep smiling through

Just like you always do...

Przeraźliwy dźwięk dzwonka dobiegł od drzwi wejściowych, zakłócając drugą zwrotkę piosenki. Rosemary zerknęła na zegar na ścianie. Było piętnaście po szóstej, jej mąż wracał dopiero o siódmej, i tak zresztą nigdy nie dzwonił.

Wyrzała przez okno wychodzące na ulicę. Przed drzwiami stało dwoje młodych ludzi w mundurach Armii Zbawienia. Rosemary zgasła papierosa, pomachała rękami, by rozgonić dym, i poszła do drzwi.

– Słucham państwa?

– Dzień dobry. Zbieramy dary dla sierot wojennych.

Żołnierz Armii Zbawienia, urodziwy chłopak, blondyn o cienkich kręconych włosach i równie jasnych jak one brwiach, miał twarz anioła. Młoda kobieta u jego boku wyglądała na starszą od niego, ciut poniżej trzydziestki. Miała bladą cerę, włosy obcięte na chłopczycę, sportową sylwetkę, rysy świadczące o rzutkości i policzki upstrzone nielicznymi piegami.

– Przykro mi... ale męża... nie ma. A ja nie mam pieniędzy – skłamała Rosemary.

– Nic nie szkodzi, dzisiaj nikt nie chce dawać. To nie jest nasz szczęśliwy dzień po prostu.

– W sąsiedztwie nie ma wielu mieszkańców, tutaj tylko nasz dom jest zamieszkały – wyjaśniła pani domu. – Połowa dzielnicy została zburzona przez bombardowanie w zeszłym roku.

– W każdym razie diablo przyjemnie u pani pachnie – powiedział mężczyzna, po czym zwrócił się do swej towarzyszki: – No nic, chodźmy, niedaleko jest pub. Chce mi się pić, a jutro wracam na front.

Rosemary poczuła zalewającą ją falę poczucia winy.

– Jedzie pan walczyć?

– Tak, psze pani. Do Kairu, Drugi Batalion Gwardyjski. Ale przed wyjazdem chciałem jeszcze ostatni raz pomóc Armii Zbawienia.

– Niezwykłe! – wykrzyknęła Rosemary. – No tak... Proszę wejść, mogę państwa poczęstować piwem albo herbatą, zawsze mam zaparzoną.

– Ciepła herbata, mniem... – szepnęła dziewczyna.

– Kufel piwa! Marzenie! – zawtórował jej blond anioł. – A czy przy okazji mógłbym skorzystać z toalety?

– Oczywiście.

Wpuściła ich do środka i wskazała chłopakowi drzwi w głębi korytarza, dziewczynę zaś usadziła przy stole w salonie. W kilka minut przyniosła piwo i cukierkoworóżową herbaciarkę pełną wrzątku. Ochotniczka z Armii Zbawienia rozglądała się tymczasem po salonie przeładowanym ozdobami, zatrzymała wzrok na dużym portrecie Churchilla z cygarem w zębach.

– Ma pani dobry gust. Taki czysty, bardzo brytyjski. Ale jeśli wolno mi zauważyć, portret premiera trochę tu razi. Nie pasuje do reszty.

Rosemary nalała herbaty do filiżanki.

– Ma pani słuszność... jakże pani na imię?

– Suzan. A pani?

– Rosemary. Zdjęcie Winstona w salonie to pomysł mojego męża. Premiera raczej bym powiesiła w kuchni... W każdym razie wieszczę wolontariatu. Jak pomyślę o tych biednych dzieciakach, które straciły rodziców...

– Nie, tu chodzi o niemieckie sieroty wojenne – wyjaśniła dziewczyna, siorbiąc herbatę. – Przepyszna. Królewskie Siły Powietrzne wcale się nie patyczkują, kiedy zrzucają bomby na Berlin czy Hamburg.

Rosemary zachichotała.

– Zabawne. Ma pani takie poczucie humoru jak mój mąż.

– Poczucie humoru? No niezupełnie – rzekła Suzan poważnie. – Musi pani wiedzieć, że tymi sierotami zajmuje się Hitlerjugend, które robi naprawdę dobrą robotę. Ale mimo wszystko potrzebne są pieniądze. Trudno jednak liczyć na wrażliwość moich ziomków w tej smutnej sprawie.

– Nie rozumiem. Pani... jest Angielką, tak?

– Stuprocentową! Wychowałam się na zielonych łąkach Yorkshire. Przed wojną udzielałam się w dużym ruchu nacjonalistycznym. Może pani słyszała o Czarnych Koszulach sir Oswalda Mosleya? Nie było większych patriotów niż my!

Rosemary zmarszczyła delikatnie zarysowane brwi.

– Mosley... Nie rozumiem się na polityce, ale jak pamiętam, on był blisko z nazistami. Czy nie siedzi teraz w więzieniu?

– Tak, to naprawdę wstyd. Diana, jego przemiła żona, też siedzi. Sir Oswald kocha tak samo Anglię jak Niemcy, był rozdarty, kiedy wybuchła ta wojna wywołana przez przeklętych Żydów. To jakby kazano mu wybierać między ojcem a matką. W końcu stanął po stronie ojczyzny, ale było za późno. Oskarżono go bez dowodów. To robota Churchilla i masonów. No, ale teraz liczy się tylko pomoc dla dzieci...

Rozległ się odgłos wody spuszczonej z rezerwuaru. Rosemary wytarła ręce w ścierkę w zielone kropki. Nie podobało się jej to, co usłyszała. Jak można wygłaszać takie absurdy!

– Ale jest przecież wojna, nie możecie zbierać pieniędzy dla wroga.

– Czy dla pani dziecko to wróg tylko dlatego, że jest Niemcem? Nie ma pani serca.

Rozdrażniła Rosemary.

– Proszę pani, nie wiem, czemu Armia Zbawienia zbiera fundusze dla Niemców, wcale mi się to jednak nie podoba. Proszę dopić herbatę i odejść razem z przyjacielem. On przynajmniej wypełni swój obowiązek.

Młody człowiek po wyjściu z toalety stanął oparty o kredens przy drzwiach.

– Rozczaruję panią, ale tak nie będzie. Nie pasuje mi walczyć za waszego króla...

– Za waszego króla?

– Przykro mi, nie jestem poddanym Jego Wysokości – odparł anioł w mundurze. – Trochę nakłamałem. Może by zmienić stację na inną? – Nie czekając na odpowiedź właścicielki, nachylił się nad radiem i zaczął obracać pokrętłem częstotliwości. – BBC to nudy na pudy... Jest coś lepszego. – Głos Very Lynn rozmył się w szumach

i trzaskach, w urywkach muzyki klasycznej i jazzu, w końcu nosowy głos wypełnił pokój. – Ach! Najlepsza stacja na świecie. Radio Berlin! Mamy szczęście, akurat trwa audycja po angielsku!

...Drodzy angielscy przyjaciele, gdybyście mogli spędzić kilka dni urlopu tutaj, w wielkich Niemczech. Ach, kochani... jakie to szczęście mieszkać w Berlinie. Ulice są czyste, ludzie jedzą do syta. Przestępcy i pasożyty społeczne przebywają na reedukacji w obozach, w których esesmani stosują wobec nich stanowcze metody i odpowiednie podejście wychowawcze. Führer zwierzył mi się niedawno, jak bardzo mu ciąży ta absurdalna wojna między naszymi dwoma państwami. On kocha Anglię, kraj narodu aryjskiego, zakażonego jednak wirusem demokracji. Führer wie, że wielu z was sympatyzuje z ideałami narodowosocjalistycznymi, ale pozostajecie wierni swojemu królowi. Nigdy nie chciał...

Rosemary z purpurową twarzą zerwała się na nogi.

– Proszę z powrotem nastawić radio na BBC i natychmiast opuścić mój dom. Tutaj nikt nigdy nie będzie słuchał tego faszystowskiego zdrajcy lorda Haw-Haw5!

– Niechże się pani uspokoi, próbujemy tylko otworzyć pani oczy, ale jak widać, propaganda Churchilla i jego kliki zatruła pani umysł. Führer jest...

– Nie chcę tego słuchać. Hitler to potwór. Proszę wyjść!

Blond anioł ze smutkiem pokręcił głową.

– Dość prymitywne rozumowanie... Dobrzy alianci z jednej strony i źli naziści z drugiej. Niemcy, moja ojczyzna, nigdy nie dążyły do wojny. Chcemy tylko dobra ludzkości.

– Wyrażaj się precyzyjnie, Conradzie – wtrąciła się kobieta. – Chciałeś pewnie powiedzieć: aryjskiej ludzkości?

Rozzłoszczona Rosemary wycelowała palec w drzwi.

– Macie wyjść albo wzywam policję.

– Dajmy temu spokój – powiedziała dziewczyna. – Conradzie, bądź tak dobry i nastaw z powrotem na BBC, żeby pani Benton się uspokoiła.

Rosemary zbladła. Dłonie jej drżały.

– Jak to...? Wiecie, jak się... nazywam?

Intruzi wymienili porozumiewawcze spojrzenia, po czym dziewczyna wyjęła z kieszeni browninga i wycelowała w gospodynię. Było coś groteskowego w broni w rękach ochotniczki Armii Zbawienia. Jakby baletnica wymachiwała piłą mechaniczną.

– Wiemy, bośmy cię wybrali, Rosemary.

– Jeżeli chcecie pieniędzy, to...

– Nie jesteśmy złodziejami. Pójdiesz z nami na krótki spacer?

– Ani myślę...

W pokoju rozbrzmiały ciepłe, tęskne dźwięki klarnetu.

– Glenn Miller, Moonlight Serenade... Założę się, że Rosemary przepada za tym kawałkiem.

Zaskoczona Suzan spojrzała na kolegę.

– To jazz, Conradzie! Co za pomysł, przecież to murzyńska muzyka. A ty...

Nie zdołała dokończyć zdania, Rosemary bowiem walnęła herbaciarką w rękę trzymającą pistolet. Dziewczyna strzeliła, lecz niecelnie – pocisk utkwiał w głowie Churchilla. Rosemary odepchnęła blondyna i chciała wybiec za drzwi, lecz zdążył złapać ją za kostkę. Poleciała w przód całym ciężarem ciała, przewracając po drodze znakomitą imitację wazy z epoki Ming otrzymaną w prezencie ślubnym. Trafiła czołem w krawędź muru. Potworny ból przeszył jej głowę, kiedy padała na ziemię.

Obróciwszy się na wznak, przez czerwoną mgłę spowijającą jej wzrok ujrzała urodziwą twarz anioła nad sobą. Głaskał ją po policzku.

– Rosemary, Rosemary... Nie ułatwiasz nam zadania.

– Pomocy! Ratunku...! – krzyknęła, nie wiedziała jednak, czy wołanie wyszło jej z ust.

Poczuła na czole dotyk szorstkiego materiału.

– A niech to...! Paskudnie się skaleczyłaś – szepnęła Suzan. – Niedobrze, bardzo niedobrze. Mam nadzieję, że zostanie kawałek nienaruszonej skóry. Mamy ci wyciąć piękny znak.

– Nie przejmuj się – pocieszył ją kolega. – Można tak przerobić ranę, żeby się stała częścią swastyki.

Rosemary nic nie pojmowała z ich rozmowy. Ból ciągle promieniował jej na całą głowę.

– Litości... błagam...

Dziewczyna popatrzyła na zegarek.

– Czas leci. Trzeba się zbierać. Uduś ją i idziemy do furgonetki.

Dwie ostatnie rzeczy, które towarzyszyły Rosemary, kiedy umierała, to końcowe radosne takty Moonlight Serenade i zapach. Smakowity zapach kurczaka upieczonego w sam raz.

Frankfurt
Lipiec 1942

W drodze z lotniska we Frankfurcie Tristan zdumiewał się przedsięwziętymi wyjątkowymi środkami bezpieczeństwa. Konwój Reichsführera zdawał się jechać przez wyludnione miasto, w którym spotykano jedynie zapory i patrole SS. Jadąc w samochodzie z bliskimi współpracownikami Himmlera, Marcas wypytał o to i owo kapitana sztabowego w dopasowanym mundurze, który wyglądał, jakby dopiero co wyszedł spod ręki krawca.

- Gdzie wszyscy mieszkańcy?
- Ze względów bezpieczeństwa poproszono ich, żeby zostali w domu.
- Nie wiedziałem, że Reichsführer może tak opróżnić ulice w całym mieście.

Kapitan nastroszył wąsik krótko przystrzyżony nad wargą.

- Chodzą plotki.

Tristan nachylił się do szyby, jakby rozmowa przestała go interesować – był to najlepszy sposób na uzyskanie informacji.

- Podobno Führer jest we Frankfurcie.

– I nie wychodzi na spotkania z narodem? – zdumiał się Francuz, wspominając przedwojenne propagandowe zdjęcia, na których widać było Hitlera jadącego przez rozradowane miasta.

- To prywatna wizyta.

Tristan inaczej to widział. Odkąd nazistowskie wojska wycofały się spod Moskwy, popularność Führera mocno podupadła, tak że nie ryzykowano przejazdów przez miasto, jeśli wcześniej nie spędzono publiczności. Ponieważ Francuz milczał, kapitan podjął poufny tonem:

– Führer przyjechał z wizytą do instytutu Rosenberga. Wie pan, doktor Rosenberg jest jednym z najstarszych współpracowników Führera, oficjalnym ideologiem partii. Szkoda, że ilekroć powierzano mu jakieś zadanie, zawsze wszystko spaliło na panewce.

Marcas jakby słyszał Himmlera.

– Wydaje mi się raczej, że Führer czyni mu ogromny zaszczyt, odwiedzając tę jego... ten... jakże to było? A tak, instytut.

Kapitan wzruszył ramionami jak człowiek, który wie, co w trawie piszczy.

– Pudło! To po prostu pogrzeb pierwsza klasa. Führer dokona inauguracji przyszłego grobowca Rosenberga. On już nie należy do najbliższego kręgu współpracowników.

– Jak Rudolf Hess?

Na te słowa kapitan podskoczył jak oparzony.

– Niech pan nie wymawia tego nazwiska. To zdrajca, wariat!

Tristan nie pociągnął tego wątku. Dawni towarzysze walki Hitlera znikali. Hess siedział w londyńskim więzieniu, sądził bowiem, że zdoła wynegocjować pokój z Anglią, Rosenberg został zamknięty w złotej klatce prowincjonalnego instytutu... Zostali już tylko Goering, Goebbels i Himmler. Który będzie następny?

– Zna pan dobrze biografię doktora Rosenberga?

– Nawet bardzo dobrze. Sporządziłem jego notkę biograficzną na osobistą prośbę Reichsführera.

Francuz potrafił rozpoznać próżność, kiedy się na nią natykał. Aby wywieść się więcej, nigdy w takiej sytuacji nie należało skąpić podziwu.

– Czy mógłbym zatem skorzystać z pańskiej rozległej wiedzy? Jestem pewien, że całe życie Rosenberga zna pan od podszewki.

– Znam je lepiej niż on sam. – Kapitan zaczerpnął powietrza jak śpiewaczka przed rozpoczęciem arii i podjął: – Przede wszystkim Rosenberg to Bałt. Wie pan, kim jest Bałt? Otóż to Rosjanin, który twierdzi, że jest Niemcem, kiedy Niemcy mają przewagę, i Niemiec, który podaje się za Rosjanina, gdy Rosja jest górą.

– Czyli taka chorągiewka na dachu, która się obraca, jak wiatr zawieje?

– Właśnie. Do tysiąc dziewięćset dziewiętnastego roku wiatr wieje na wschód, bo młody Rosenberg studiuje architekturę w Moskwie. Jak sam twierdzi, rewolucja siedemnastego roku zmusiła go do ucieczki z Rosji, a jednak wychodzi na to, że ponad rok mu zeszło, zanim opuścił ojczyznę komunizmu. Nie wspominając już o tym, że miał wątpliwe kontakty.

– Z bolszewikami?

– Żeby tylko! Z grupami nawiedzonych, którzy uważają, że komunizm to prawdziwe królestwo Chrystusa zapowiedziane w Apokalipsie. Chyba pan wie, ilu w otoczeniu cara przed jego upadkiem było proroków i różnych mesjaszów.

– Grupy wpływów? – zdziwił się Marcas.

– Dziś trudno powiedzieć, bo Stalin wszystkich zlikwidował. Ale Rosenberg zachował z tego czasu podejrzaną fascynację teoriami ezoterycznymi. Zresztą kiedy odnalazł się w Monachium, był już członkiem Stowarzyszenia Thule.

Marcas tego nie skomentował – wiedział, że Stowarzyszenie Thule, w którym bywali Hess i Hitler, było niewątpliwie tajnym inkubatorem partii narodowosocjalistycznej.

– Zresztą jego przynależność do Thule bardzo zainteresowała Reichsführera... W każdym razie w Monachium Rosenberg, bazując na swojej znajomości rewolucji rosyjskiej, pokazał się jako jeden ze specjalistów od komunizmu, produkował jedną za drugą książki na ten temat i wygłaszał wykłady.

– Na pewno nie był sam – zauważył Tristan. – W tamtych czasach antykomunizm był w Niemczech sportem narodowym.

Kapitan znów przygładził wąsik gestem umyślnie wytwornym.

– Tak, ale on to co innego: o pochodzeniu czerwonej zarazy ma własną teorię, która zachwyci Adolfa Hitlera.

Francuz się zorientował, że konwój Reichsführera, minąwszy centrum miasta, jechał teraz wśród parków z wysokimi drzewami, ponad które tu i ówdzie wystawały błyszczące dachy okazałych posiadłości. Kapitan przysunął się do niego i podjął ciszej:

– Widzi pan, dla doktora Rosenberga komunizm nie jest zwykłą teorią zrodzoną w napalonej głowie Marksa czy Engelsa. Jego zdaniem komunizm to narkotyk, podstępny i śmiertelnie groźny, cierpliwie opracowany i wytworzony przez konkretną grupę społeczną.

W przeszłości Tristan słyszał o różnych poglądach na temat narodzin bolszewizmu, z tym jednak zetknął się po raz pierwszy.

– Narkotyk?

– To nie jest fenomen, który wyklął się spontanicznie z napięć społecznych, osławionej walki klas, czy z przyczyn ekonomicznych, takich jak wyzysk proletariatu. Otóż według Rosenberga komunizm to ostatnia trucizna wymyślona przez Żydów, węże w łonie ludzkości, żeby zniszczyć cywilizację zachodnią.

Francuz mimowolnie musiał okazać niejakie zdziwienie. Kapitan postanowił sprawę wyłożyć jaśniej:

– Krótko mówiąc, zdaniem Rosenberga komunizm to wytwór żydowski, wymyślony przez Żydów, opracowany przez Żydów i zrealizowany przez Żydów.

Tristan oniemiał.

– Ale najciekawsze są konsekwencje tej teorii Rosenberga.

Samochód otwierający konwój zatrzymał się właśnie przed szeroką rzeźbioną bramą, przed którą esesmani w galowych mundurach prezentowali broń.

– To oznacza – ciągnął kapitan – że na nic się nie zda walka z komunizmem, militarne pokonanie go, powieszenie Stalina na szczycie kremlowskiej wieży. To

wszystko nic nie pomoże, jeżeli na świecie zostanie choćby jeden żywy Żyd. Rozumie pan?

Tristan z ulgą wysiadł z samochodu. Przez tego esesmana i jego piekielne wywody o mała nie stracił zimnej krwi, a chwila była absolutnie nieodpowiednia, aby się zdradzić. Himmler zmierzał do masywnej bramy, jego świta za nim. Francuz podążył ich śladem. Na końcu podjazdu widać było front arystokratycznego dworu. Kapitan z wymuskany wąsikiem gdzieś znikł. Z pewnością przesunął się bliżej szefa, aby być na widoku. W każdym razie przedstawiony przez niego portret Rosenberga był wysoce budujący. Okazywało się tymczasem, że człowiek o twarzy jak księżyc w pełni jest znacznie groźniejszy, niż Marcas sądził. A jego niezdrowy wpływ szczególnie przerażający.

Reichsführer przystanął. Po parku echem rozniosło się strzelanie obcasami, gdy wszyscy wyprężyli się na baczność. Przed drzwiami wyszedł Adolf Hitler. U jego boku pojawił się również Alfred Rosenberg w ciemnym garniturze, który mocno kontrastował z jego bladą twarzą. Jej rysy, miejscami twarde, a gdzie indziej obwisłe, oraz ciemne cienie pod oczami sprawiały, że przypominał rzymskiego cesarza z okresu schyłkowego, zarazem okrutnego i tajemniczego.

Mechanicznym gestem Führer odpowiedział na pozdrowienie licznych ramion. Mimo upału został w czapce nasuniętej na czoło i zasłaniającej mu twarz, tak że widać było jedynie wąsik, który wydawał się bardziej szpakowaty niż zwykle. Tristan się zastanowił, czy to na pewno on. Po całych Niemczech krążyły pogłoski – powiadano mianowicie, że od paru miesięcy na publicznych wystąpieniach zastępuje go sobowtór, że w ogóle jest ich kilku, gotowych w każdej chwili zająć jego miejsce. Szeptano nawet, że każdy dygnitarz Rzeszy ma własnego sobowtóra Hitlera mogącego się pokazać w roli Führera, gdyby prawdziwy nagle stał się niezdolny sprawować władzę. Tristan wyobrażał sobie, jak Goebbels uczy swojego wywrzaskiwać przemowy, a Goering swojemu każe maszerować krokiem defiladowym. Istna menażeria.

– Mein Führer – zabrał głos Rosenberg – proszę pozwolić, że teraz, kiedy jesteśmy w komplecie, oprowadzę panów po instytucie.

Pierwsza sala, zwieńczona szklaną kopułą, była przestronną rotundą o ścianach pokrytych w całości książkami. W równych odstępach od siebie przed stołami stali urzędnicy, każdy z notesem w ręce. Tristan odnosił wrażenie, że przebywa w hotelowym foyer w obliczu całej zmiany boyów i odźwiernych gotowych spełnić każde życzenie klienta.

– Tutaj – wyjaśnił Rosenberg – znajduje się wszystko, co ludzkość wyprodukowała na temat kwestii żydowskiej. Filozofowie, teologowie, lekarze, etnologowie,

antropolodzy, naukowcy i myśliciele, wszyscy pracowali nad judaizmem albo nad narodem żydowskim. To księgozbiór unikatowy w światowej skali.

Hitler milczał. Wyraźnie przedstawienie Rosenberga nie robiło na nim wrażenia.

– Czy któryś z panów ma pytania? Herr Reichsführer, niewątpliwie jest pan gotów zacząć.

Himmler się spiał. Nie cierpiał, kiedy ktoś do czegoś go zmuszał. Zwłaszcza w obecności Führera.

– Mój drogi – zwrócił się do Rosenberga – bezsprzecznie pańska biblioteka jest wyjątkowa, ale w Ahnenerbe mam najlepszych specjalistów i zawsze wolę zdawać się raczej na ludzi niż na książki. Mogę przynajmniej być pewien ich lojalności. Zwłaszcza że jak przypuszczam, wielu autorów zgromadzonych przez pana ksiązek to Żydzi... No właśnie, ilu ich jest?

Rosenberg, już przecież bardzo blady, zdołał zblednąć jeszcze bardziej, aż stał się wręcz przezroczysty.

– Jeśli chce się dobrze poznać wroga, trzeba...

– ...zgromadzić tony Tor oczywiście, nie wspominając o masonskich archiwach, które pościągał pan z całej Europy. Żydzi i wolnomularze, dwa wirusy cywilizacji europejskiej... Gdybym nie nosił esesmańskiego munduru, chyba bym się bał, że zostanę zarażony...

Gruchnął śmiech, nagradzając poczucie humoru Reichsführera. W starciu z Rosenbergiem zdobywał punkt za punktem.

– Chcę zobaczyć obrazy. – Chrapliwy głos Hitlera przywołał wszystkich do porządku.

– Tak jest, mein Führer.

Rosenberg ruszył czym prędzej. Tristan zauważył, że nie nosi skarpetek. Była w nim jakaś zadziwiająca niedbałość. Coś takiego Francuz widział już u kilku dygnitarzy nazistowskich. Mundur dowódcy wydawał się na nich za duży – wielu pozostało awanturnikami. Takiej słabości nie dało się dopatrzeć u Reichsführera noszącego jak szyty na miarę każdy ubiór, w który go włączano. Były hodowca drobiu, o włos od plajty, zanim spotkał Hitlera, rozkwitł niczym ciemna toksyczna róża na cuchnącym nawozie narodowego socjalizmu.

– W tej sali – ogłosił Rosenberg – znajdują się najpiękniejsze eksponaty, które wzięliśmy z kolekcji żydowskich. Tu wyjątkowy Rubens...

Hitler beznamiętnie przytknął nos do płótna, po czym przeszedł do dwóch małych obrazów, które widocznie zwróciły jego uwagę. Brodą wskazał je pytająco Rosenbergowi.

– To szkice Géricaulta do Traktwy Meduzy.

Każdy starał się przysunąć bliżej, by zobaczyć, co tak zafascynowało Führera. Kiedy Tristan także się dopchał, widok go odrzucił. Na szarym tle spoczywały odcięte kończyny o ponacinanej skórze, spod której wyłaniały się zsiniałe już mięśnie i płątanina zwisających nerwów.

– Aby jak najbardziej realnie oddać trupy Meduzy, Géricault malował fragmenty ludzkich szczątków w salach anatomii. Podobno prosił nawet preparatorów, żeby niektóre mu odkładali, ponieważ chciał przestudiować odmiany kolorów na różnych etapach procesu rozkładu.

Ostatnie zdanie Rosenberg wygłosił, ostentacyjnie wpatrując się w Reichsführera. Wiedziano, że Himmlerowi słabo się robi na widok krwi. Gdyby stracił przytomność, szef instytutu dokonałby zemsty, tymczasem jednak Hitler nieoczekiwanie zmienił zdanie.

– Rosenberg, musi pan zdwoić wysiłki! Zapowiadam, że zamierzam zbudować w Linzu, moim rodzinnym mieście, największe na świecie muzeum, które będzie powszechnie uznawanym dobitnym dowodem na niemiecki geniusz.

Posypały się oklaski. Führer ewidentnie niczego nie stracił ze swojej siły przekonywania ani wizjonerskiego geniuszu: zawsze był obdarzony wrodzoną zaskakującą umiejętnością wyniesienia każdej sytuacji do rangi powszechnika.

– Mogę przysiąc, mein Führer, że od Atlantyku po Ural całe konwoje będą zwoziły obrazy i rzeźby, aby to muzeum, które tak genialnie pan wymyślił, zasłużyło na miano ósmego cudu świata.

Obecni z entuzjazmem ryknęli Heil Hitler ile sił w płucach. Rosenberg promieniał dumą. Hitler z przekonaniem uścisnął mu dłoń.

– Mój drogi, nie wątpię, że raz jeszcze okaże się pan człowiekiem, jakiego potrzebują Niemcy, by zrealizować ten wielki projekt.

Zanim gruchnęła nowa salwa braw, Hitler uniósł rękę.

– Proszę kontynuować beze mnie. Muszę pomówić z Reichsführerem.

Londyn

Broadway Street

Kwatera główna SIS

Lipiec 1942

– Kompletna klapa!

Generał major sir Stewart Menzies, ze wzrokiem utkwionym w podłogę, chodził tam i z powrotem po swoim gabinecie pod przenikliwym spojrzeniem admirała Nelsona, który na wieczność utknął na obrazie przeładowanym złoceniami. Nowy szef Secret Intelligence Service, czyli MI6, okazywał wyraźną irytację.

– Czytałem ten dziadowski raport kapitana Fleminga z wywiadu admiralicji. Operacja wenecka była istną katastrofą.

Siedzący w fotelu chesterfield Malorley obserwował żołądkującego się Menziesa bez słowa, pykając tylko z fajki w regularnych odstępach. Został zaproszony, a raczej wezwany przez dyrektora kontrwywiadu, by „podsumować” zeszłoroczną operację. Ot, sposób na zaznaczenie swojego terytorium.

Malorley przyszedł do siedziby MI6, banalnego budynku przy Broadway Street ukrytego za Saint James Parkiem, doskonale wiedząc, że rozmowa będzie burzliwa. Za wszelką cenę jednak musiał utrzymać dobre stosunki z MI6. Taki dostał rozkaz od swoich przełożonych w SOE. Obie te służby nie po raz pierwszy się wadziły i nawet sam Churchill interweniował, żeby zakończyły te wewnętrzne wojenki.

Operację wenecką przeprowadzały razem trzy tajne służby: wywiad marynarki wojennej, który dowodził operacjami na Morzu Śródziemnym; MI6, które kierowało działaniami zewnętrznymi i dało zielone światło na wyeliminowanie Hitlera i Mussoliniego; oraz SOE, które swoim celem niespecjalnie się chwaliło. Dyrektor każdej z tych służb otrzymał raport Fleminga.

– Nie tylko wasza próba zamachu kompletnie spaliła na panewce – podjął Menzies – ale w dodatku nasza siatka w Wenecji została narażona na niebezpieczeństwo. No i zupełnie straciliśmy kontakt z waszym agentem zero zero siedem!

– Wolę mówić: z Marcasem – rzekł na to Malorley. – To człowiek, nie numer. I z tego, co wiem, pierwotnym celem mojej operacji wcale nie było wyeliminowanie obu

dyktatorów. Dodano go, kiedy zdecydowałem, że należy wysłać ekipę do miasta dożów.

– A tak, wiem, tajemniczy „obiekt o znaczeniu strategicznym”, o którym Fleming wspomina i który chcieliście za wszelką cenę wyszarpnąć Hitlerowi. Może mi pan powiedzieć o tym coś więcej?

– Ta informacja otrzymała klauzulę „poufne – premier”. Nic nie mogę powiedzieć.

– Jak o niczym, co się dzieje w tym waszym cholernym wydziale S. Opowiadano mi o całym cyrku w Stonehenge z tamtymi czubkami. Nie wierzyłem w to, co słyszałem. Nie dość, że SOE to przystań wariatów, to jeszcze pan ze swoim wydziałem bije wszelkie rekordy.

– To się nazywa operacja intoksykacji.

Malorley siedział w fotelu, przyglądając się generałowi majorowi Menziesowi. Rozumiał jego sceptycyzm. Tłumaczenie mu, że służba Malorleya została powołana w celu odzyskania magicznych swastyk mających jakoby uratować wolny świat, byłoby jak przekonywanie sutenera o dobrodziejstwach czystości cielesnej. Komandor miał nadzieję, że spotkanie nie potrwa zbyt długo.

– Czy coś jeszcze? Chyba mnie pan tu nie zaprosił, żeby się przede mną wyżalać...

Menzies usiadł obok człowieka z SOE. Przybrał pojednawczy ton.

– Jedziemy wszyscy na tym samym wózku. Zagram z panem w otwarte karty. Mam gdzieś wasze poszukiwanie „obiektów strategicznych”. Mnie interesuje wasz osławiony agent. Ten Marcas.

– No nareszcie.

– Mało mamy agentów, którzy przeniknęli do niemieckich służb, w odróżnieniu od Rosjan, którym pozostały dobre siatki na miejscu, dawni sympatycy komunizmu. A pan kontroluje jedyne go człowieka, którego Anglia kiedykolwiek miała w bliskim otoczeniu Heinricha Himmlera, po Hitlerze najpotężniejszego człowieka w Niemczech. Ma pan jakieś wieści o nim?

– Zupełnie nic od jego wyjazdu z Wenecji. Nie wiem, czy został zdemaskowany czy nie. Mówię szczerze.

– Niech pan się przestanie wygłupiać, komandorze. Słowo „szczerść” jest równie użyteczne w odniesieniu do tajnego agenta jak para rękawiczek do człowieka bezrękiego. Nasz zawód polega na okłamywaniu. Okłamywaniu wrogów, rodzin, a nawet kolegów.

Malorley podniósł się wolno. Już pora zakończyć tę rozmowę.

– Nie mam nic do dodania.

– Mógłbym interweniować u pańskich przełożonych.

– Proszę bardzo. SOE nie ma obowiązku tłumaczyć się szacownemu MI6. Odpowiadamy tylko przed premierem.

Menzies obrzucił rozmówcę przeciągłym spojrzeniem.

– A gdybym miał dla was informacje o żywotnym znaczeniu? Byłby pan bardziej skłonny podzielić się swoim agentem?

– Mianowicie?

Menzies wziął z biurka czerwoną kartonową teczkę i podetknął otwartą Malorleyowi pod nos.

– To dotyczy pana osobiście, komandorze. To plan pozbawienia pana życia.

Malorley przebiegł wzrokiem dokument z logo GCHQ6, po czym zwrócił go Menziesowi, starając się ukryć zaniepokojenie.

– Jest pan pewien, że to autentyczne informacje?

– O tak... Jak pan wie, nasza antena w Bletchley Park przechwytuje i dekoduje wiadomości przesyłane przez wrogów. Pańskie nazwisko pojawiło się w odpowiedzi na depezę wysłaną z sekretariatu Himmlera do szefa RSHA7, Ernsta Kaltenbrunera, następcy tego rzeźnika Heydricha, którego załatwili w Pradze w maju tego roku. Wygląda na to, że Reichsführer prosi o dodatkowe informacje na pański temat.

– Nic tu nie wskazuje, że dybią na mnie.

– Pewnie pan zauważył, że został pan zidentyfikowany jako szef wydziału S, który zajmuje się poszukiwaniami archeologicznymi w ramach SOE.

– Sam Himmler... Nadmiar zaszczytu. Dziękuję, że mnie pan ostrzegł.

– Jeszcze nie skończyłem. Ta depeza może również oznaczać, że aresztowali i torturowali pańskiego agenta. Dlatego pada w niej pańskie nazwisko.

Malorley popadł w zamyślenie.

– Gdyby tak było, Marcasa wygadałby wszystko i Himmler nie musiałby żądać informacji od podwładnego. Mimo wszystko przedsięwzięmę środki ostrożności.

– Może i tak... Może i tak... Wyobraźmy sobie jednak, że przydarzy się panu nieszczęśliwy wypadek, którego nikomu nie życzę... Do kogo mam się wtedy zwrócić, żeby nawiązać kontakt z pańskim agentem?

– No owszem, coś w tym jest. Ale proszę się nie martwić, mój przełożony w SOE wie wszystko o działaniach Marcasa. Przekażę mu, jaką okazał pan troskę.

– To miłe z pana strony. Przyjemnego dnia, komandorze.

Kiedy Malorley wyszedł z budynku z białego kamienia, zastał Laure siedzącą na ławce. Zdążyła się przebrać. Kurtkę mundurową zmieniła na bardziej twarzowy prochowiec.

– Dzień dobry, komandorze. Odebrałeś ładunek gaśnic? – spytała z przebiegłą minką.

– Proszę?

Dziewczyna wskazała siedzibę MI6.

– Tablica przy wejściu mówi: Spółka Minimax Gaśnice...

– Brytyjskie poczucie humoru. Powiedzmy, że próbowałem ugasić ogień z naszymi przyjaciółmi z MI6. Ale nie mam pewności, czy mi się udało.

– Masz dziwną minę.

Malorley stał w miejscu zapatrzony w ołowiane niebo. Laure nigdy jeszcze nie widziała go tak stropionego.

– Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha. Może ducha nowych zwłok zostawionych przez Moirę O'Connor?

– Stanowczo nie przepuścisz żadnej okazji.

– Walka na wojnie, tak. Zabijanie tych gnojów nazistów, tak. Ale współudział w zabijaniu niewinnych ludzi? Na to się nie zgadzam. Nie wiem, jak możesz jeszcze spać.

– Źle sypiam, ale to od dawna. Mam dla ciebie dobrą wiadomość. Przed spotkaniem poprosiłem o rozmowę sir Bentleya Purchase'a, naczelnego koronera w Londynie. Chcę, żeby zbadał znalezione ostatnio zwłoki i wypowiedział się na temat ewentualnych podobieństw z ofiarą Moiry z Tower Hamlets.

– Nie wierzę ci.

– Zła odpowiedź. Za karę pójdziesz ze mną.

– Dlatego masz taką sponiewieraną minę?

Malorley pokręcił głową.

– Nie... Szef MI6 ostrzegł mnie, że Niemcy wiedzą o moim istnieniu i najprawdopodobniej o naszym wydziale. Wzięli mnie na celownik. A na samym szczycie tym, który trzyma strzelbę, jest Himmler we własnej osobie.

Laure pobladła.

– Zdemaskowali Tristana!

– Nie sądzę. Czym innym się martwię. Zdałem sobie sprawę, że zgrzeszyłem pychą. Bo wierzyłem, że jestem nieśmiertelny. Gdyby coś mi się stało, nikt by nie wiedział, jakim sposobem się wplątałem w poszukiwanie tej książki, Thule Borealis Kulten, i swastyk. – Zmierzył Laure baczny spojrzeniem, po czym zaczerpnął głęboko tchu.

– Czy zaufałaś mi, gdybym ci zaproponował, żebyś poszła do mnie? Pewnych tajemnic nie można zatrzymywać dla siebie w nieskończoność.

– Hm... To zależy... Nie chcesz mi chyba pokazywać erotycznych rycin czy czegoś w tym rodzaju?

– Nie, możesz być spokojna. Wyrosłem z tego.

– Pierwsze kłamstwo dzisiaj. Faceci nigdy nie wyrastają z takich rzeczy.

Malorley zgromił ją wzrokiem.

– Żartowałam – zapewniła Laure, podnosząc rękę. – Ufam ci. Tylko że...

– Tak?

– Podpisałeś mi przepustkę od dzisiejszego wieczoru. Pierwszą od trzech miesięcy.

– Jestem dla ciebie za dobry.

Laure z trudem maskowała mocno umiarkowany entuzjazm wobec zaproszenia przełożonego.

– Chciałabym odpocząć, umówiłam się z przyjaciółmi. Nie wychodziłam od wieków.

– Nie chcesz się dowiedzieć, co naprawdę mnie wiąże z Tristanem?

Pół godziny później siedzieli w salonie w mieszkaniu Malorleya położonym na drugim piętrze kamienicy z czerwonej cegły w Kensington. Laure się nie spodziewała, że wpuści ją do swojej gawry. Z każdego kąta wyzierała tam samotność. Męska samotność. Nie było żadnego śladu kobiecej ręki – minimalistyczny, funkcjonalny wystrój, odbicie życia wyzutego z fantazji. W pokoju na ścianie wisiał tylko jeden obraz przedstawiający piramidę Cheopsa, stały mysioszara kanapa, stolik i sekretera. Jedynym rozpasanym elementem była biblioteka wypchana książkami przewracanymi na różne strony. Malorley wrócił z kuchni z otwartą butelką wina i dwoma kieliszkami.

Laure aż gwizdnęła.

– Saint-Émilion, rocznik trzydziesty trzeci. Nie wiedziałam o twojej namiętności do świętej flachy.

Komandor wygiął usta w bladym uśmiechu.

– Jak wino, to tylko francuskie, jak zdrowy rozsądek, to tylko angielski.

Podszedł do obrazu i odsunął go, odkrywając niewielki sejf. Obrócił trzy pokrętła i stalowe drzwiczki otwarły się z lekkim kliknięciem. Malorley wyjął zieloną kartonową teczkę przewiązaną sznurkiem, a z niej plik kartek, które podał Francuzce.

– Spotkanie w biurze tego pajaca z MI6 będzie miało przynajmniej jeden pozytywny efekt. Jeśli zniknę, ktoś będzie znał prawdziwą historię Thule Borealis. A tego nie ma w żadnych aktach w SOE. Chciałbym, żebyś to przeczytała. To fragmenty dziennika pewnego przyjaciela. Francuza, bardzo mi drogiego człowieka, którego straciłem dawno temu.

– Kto to był?

– Ojciec Tristana. Paul Marcas.

Laure nie dała po sobie poznać zdziwienia.

– Znałeś jego ojca? Naprawdę jesteś pełen niespodzianek.

– To było ponad dwadzieścia lat temu. W czasie pierwszej wojny światowej.

Laure usadowiła się wygodnie na kanapie i popijając wino z kieliszka, zaczęła czytać pierwszą stronę zapisaną krągłym starannym pismem.

Dziennik porucznika Paula Marcasa

Chemin des Dames, maj 1917

Po dziesięciu dniach przerwy wracam do pisania tego dziennika. Długo się wahałem, czy powierzyć papierowi wydarzenia, o których opowiem. Ze strachu, żeby dziennik nie wpadł w ręce moich przełożonych. Mógłbym zostać oskarżony o korszachty z wrogiem, podobnie jak mój przyjaciel Anglik, porucznik Malorley. Jak nic czekałby i mnie, i jego pluton egzekucyjny. I na nic by się nie zdały wszystkie odznaczenia, których się dochrapałem na Chemin des Dames i pod Verdun. Bratanie się ze Szwabami jest karane śmiercią.

Jednakże to, co przeżyłem, jest tak zadziwiające, że chciałbym zostawić tego ślad, jeśli Bóg miłosiernie pozwoli mi przeżyć tę jatkę pod gołym niebem. Wszystko się zaczęło dziewięć dni temu. Moja kompania właśnie zaatakowała miasteczko R. w departamencie Aisne. Nasze działania stanowiły część planu powstałego w sztabie, zakładającego obejście linii wroga od południa, by zaatakować linię Hindenburga. Mieszkańcy R. dawno się wynieśli z miasteczka, które zapisało się w historii jedynie tym, że było ostrzeliwane przez Anglików, Francuzów i Niemców w zależności od tego, jakie akurat zajmowali pozycje.

Wszędzie wokół były same ruiny. Po ciężkich starciach, zakończonych walką wręcz na bagnety, odbiliśmy miasteczko z rąk wroga. Dotąd mam przed oczami stosy trupów tych biedaków, jestem od tego chory. Zwłoki leżały wszędzie na ulicach. Zwłaszcza młodych ludzi. Straszne – umarli w obronie dziury zabitej deskami, w której nigdy wcześniej nie postawili nogi i która była celem wyznaczonym gdzieś na górze przez generała siedzącego sobie w ciepełku.

Tego dnia byłem z porucznikiem Malorleyem, oficerem łącznikowym z 8. Regimentu Fizyliarów Horse Guards, który nas wspierał od dwóch miesięcy. Poznaliśmy się w Nancy w czasie francusko-angielskiego posiedzenia masonów w miejscowej świątyni. Tyle że musiałem ukrywać naszą przynależność do loży wolnomularskiej, bo w pewnych kręgach wojskowych źle jest widziana praca od południa do północy...

Dzień był ciepły i jasny. Wydawało się, że wróg zniknął jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Musieliśmy przegrupować swoje kompanie, po czym wreszcie mogliśmy zażyć chwili wytchnienia. Malorley na spotkaniu zjawił się mocno podekscytowany. Otóż jeden z jego sierżantów odkrył zameczek opuszczony przez mieszkańców. Mój przyjaciel był przekonany, że jest w nim piwniczka dobrze zaopatrzona w wina, i chciał tam podskoczyć. Jak wielu Anglików, uznawał tylko

dwóch świętych, Saint-Émiliona i Saint-Estèphe'a, oraz jednego papieża, tego z Châteauneuf⁸. Rozbawił mnie i zgodziłem się mu towarzyszyć, przedtem jednak wydałem rozkazy dotyczące rozbicia obozu.

Laure przerwała lekturę, by zerknąć na przełożonego. Z trudem potrafiła sobie wyobrazić, żeby Malorley, zawsze poważny, tak laźł w paszczę lwa. Uśmiechnęła się i wróciła do czytania.

Potrzebowaliśmy dobrego kwadransa, aby dojść do zamku w R. Prowadząca do niego dziurawa droga nosiła jeszcze ślady ostatnich walk. Nie było trupów, a jedynie na pół spalony wrak niemieckiej ciężarówki, która utknęła w koleinie. Wokół unosił się gęsty, cierpki smród zwęglonej opony. Zamek w R. pokazał się naszym oczom, kiedyśmy wyszli z za fantomatycznego lasku. Był ciemną, prostopadłościenną bryłą zaopatrzoną z boku w wieżę. W miarę jak zbliżaliśmy się do niego, ogarniało mnie coraz silniejsze dziwne uczucie. A dokładniej mówiąc, niepokój. Może się to wydać niestosowne po okropnościach, które przeżyłem podczas działań wojennych. Teraz, kiedy piszę te słowa, składam to na karb zmęczenia walkami, odnosiłem jednak wrażenie, że nad tym miejscem wisi czyjaś obecność.

Wroga obecność.

Frankfurt

Instytut Rosenberga

Lipiec 1942

Wprowadzono Führera do dyskretnej sali, której jeszcze nie urządzono. Pod ścianą ustawiono tyłem dziesiątki obrazów czekających na powieszenie. Himmler podniósł jeden i pokazał Hitlerowi.

– Cézanne z ostatniego okresu – ogłosił Führer urywanym głosem. – Picasso bardzo się nim inspirował. Wzięła się z tego cała estetyka kubizmu.

Himmlera wciąż zaskakiwał nadspodziewanie wysoki poziom wiedzy wodza w dziedzinie historii malarstwa.

– Proszę powiedzieć Rosenbergowi, że w moim muzeum nie życzę sobie żadnych tych nowoczesnych obrazów. Niech je da Goeringowi, który lubi wszystko, co zgniłe.

Himmler na potwierdzenie wolno kiwnął głową, w pełni świadom, że na międzynarodowym rynku dzieł sztuki płótna od Renoira po Moneta warte były fortunę. Kolekcjonerzy, szczególnie Amerykanie, gotowi byli się zrujnować, byle nabyć chociaż jedno. Kiedy ostrożnie odstawiał obraz na miejsce, w głowie zaczęła mu kielkować pewna myśl: a gdyby zgromadził wszystkie zarekwirowane obrazy impresjonistów i wymienił je w Szwajcarii na walutę obcą? Zrobiłby się całkiem pokaźny skarbczyk łupów wojennych, szybko i dyskretnie.

Hitler, któremu przyniesiono filiżankę herbaty, którą mieszał mechanicznie, zdawał się coraz bardziej nachmurzony.

– Ile dzieł sztuki Rosenberg już nazbierał w całej Europie?

Reichsführer wyjął notes.

– Według raportów moich służb, prawie dwadzieścia tysięcy eksponatów. Tylko w marcu zeszłego roku trzeba było zarekwirować dwadzieścia osiem wagonów, żeby przewieźć do nas to wszystko, co zajął we Francji.

– Kolekcje prywatne?

– Tak, w większości należące do Żydów, którzy uciekli z kraju. Rosenberg sprzątnął je sprzed nosa francuskim instytucjom państwowym. A właśnie, powinien pan wiedzieć, że marszałek Goering też co nieco z tego uszczknął. I oczywiście zabrał najpiękniejsze sztuki.

Hitlerowi zadrżał wąsik.

– Herman lepiej by się zajął Luftwaffe. Trzy miesiące temu Anglikom udało się przeprowadzić masowe bombardowanie fabryk, które pracowały dla nas na przedmieściach Paryża. Nie powstrzymał ich ani jeden samolot niemiecki. Goeringowi wychodzi tylko polowanie z nagonką, stoszenie piórek i rabowanie wszystkiego, co się znajdzie w zasięgu jego ręki. Nieudacznik. Jak Rosenberg!

Ilekcio Hitler unosił się gniewem na kogoś z dygnitarzy reżimu, Himmler stosował tę samą taktykę. Zawsze odgrywał rolę adwokata diabła, co tylko podsycalo złość Führera.

– Rosenberg to jeden z najstarszych pańskich towarzyszy drogi. Kiedy w dwudziestym trzecim roku, po nieudanym puczu monachijskim, został pan aresztowany, jemu powierzył pan kierownictwo partii narodowosocjalistycznej. Pamięta pan?

– Popełniłem jeden z największych błędów, nigdy nie powinienem był niczego powierzać temu Niemcowi z przypadku. Rosenberg jest Bałtem, a tym ludziom nie można ufać. Niech pan o tym zawsze pamięta.

– Ma pan słuszość, mein Führer, ale Rosenberg zna różne tajemnice i...

Po zamglonym spojrzeniu Hitlera szef SS się zorientował, że posunął się za daleko.

– Jakie tajemnice?

Führer podejrzewał, że to aluzja do jego niespokojnych lat: do czasów, kiedy wraz z Rosenbergiem bywał w Stowarzyszeniu Thule. Ten epizod zniknął z jego oficjalnej biografii. Zresztą większość członków organizacji znalazła schronienie na obczyźnie lub skończyła w grobie.

– Chodzi mi o to, mein Führer, że trzeba się postarać, by nie powtórzył się przypadek Hessa.

Na dźwięk tego nazwiska gniew Hitlera rozwiął się w mgnieniu oka. Polityk wziął w nim góre. Pojmanie Hessa przez Anglików było upokorzeniem w skali międzynarodowej. W żadnym razie nie mógł dopuścić do kolejnej tego rodzaju dezercji z szeregów partii narodowosocjalistycznej.

– Co pan proponuje?

– Umieszczę przy nim zaufanego człowieka. Dzięki temu będziemy na bieżąco informowani o wszystkim, co robi Rosenberg.

– Znakomity pomysł, Heinrichu. Jak zwykle.

Hitler wstał. Rozmowa dobiegła końca.

W instytucie oficjele powoli się rozchodzili. Tristan został w rotundzie. Zdjął z półek kilka zakurzonych tomów i oglądał ich oryginalne pieczęcie. Z ekslibrisów wynikało, że większość książek pochodziła z kolekcji w Niemczech, Francji i Belgii.

Widocznie Rosenberg zawziął się szczególnie na dwa ostatnie kraje. Musiano ograbić wiele prywatnych bibliotek, by zgromadzić taki księgozbiór poświęcony żydowskiej kulturze i religii. Tristana zastanawiało, jak zabierały się do tego ekipy Rosenberga. Czy miały siatkę informatorów na miejscu, czy też wykorzystywały dane różnych niemieckich służb wywiadowczych? Niebawem się tego dowie, przedtem jednak musiał zweryfikować pewne przeczucie. Zwrócił się do jednego z urzędników. Niewysokiego bruneta, któremu grzywka uparcie opadała na oko.

– Czy mają państwo katalog księgozbiorów, z których stworzono bibliotekę instytutu?

– Oczywiście, są spisane według krajów pochodzenia. Czy jakiś kraj szczególnie pana interesuje?

– Niemcy przed czterdziestym rokiem.

– Za ten okres mamy trzy osobne katalogi: bibliotek instytucji i obediencji wolnomularskich oraz synagog, kolekcji prywatnych i księgarń.

Na dźwięk ostatniego słowa Tristan ściągnął usta.

– Może mi pan wyjąć katalog księgarń?

Po chwili bibliotekarz postawił przed Francuzem długą skrzynkę z jasnego drewna, zręcznie podniósł jej wieko. Wyraźnie chciał dowieść swej gorliwości. Ile mógł mieć lat? Nie więcej jak trzydzieści. W zasadzie powinien z karabinem w rękach być gdzieś w okolicach Kijowa, ścigając rosyjskich partyzantów. Uświadomiwszy to sobie, Tristan lepiej rozumiał jego oddanie.

– Fiszki są ułożone miastami. Które chce pan zobaczyć?

– Berlin.

Człowiek z opadającą grzywką wyjął cztery fiszki. Dziwnie mało jak na stolicę Rzeszy. Inna rzecz, że od przejęcia władzy przez Hitlera zawód księgarza – pominąwszy ludzi, którzy sprzedawali Mein Kampf kilogramami – stał się szczególnie ryzykowny.

– Są tu daty rekwirowania książek?

– Oczywiście. Wszystko jest wyliczone, opatrzone datą...

– Ma pan tu fiszkę z trzydziestego ósmego roku?

Ten właśnie rok wymieniła Erika w rozmowie.

– Są nawet dwie. I tak... mamy księgarza przy Potsdam Strasse, niejakiego Randolfa Wolkera. Specjalizował się w żydowskiej kabale. Prawdopodobnie porzucił księgarnię razem z całym towarem.

– Przewrotny człowiek.

– Dalej jest specjalista od cennych ksiąg, inkunabułów, rękopisów...

– Był Żydem?

– Skąd pan wie? – zdziwił się bibliotekarz.

– Zgadłem.

– Tak, nazywał się Otto Neumann.

Rozległ się tupot pospiesznych kroków. Obrócili się obaj. Do rotundy wszedł Himmler ze swoją eskortą. Bibliotekarz z grzywką odruchowo wyprężył się na baczność.

– Macie tu kopie tych fiszek? – zapytał Marcas, kiedy rzeka czarnych mundurów wlewała się do sali.

– Nie, a po co?

– Bo te ja zabieram.

– Ależ nie mogę. Profesor Rosenberg by się wściekł i...

Tristan podszedł do niego bliżej.

– Coś mi mówi, że profesor Rosenberg nie będzie długo dyrektorem tego instytutu, a ten człowiek za mną, cały ubrany na czarno, w twarzowych okrągłych okularach, szybko zostanie szefem was wszystkich.

Wystraszony bibliotekarz wpatrywał się w Heinricha Himmlera.

– Nie chciałby pan chyba zrobić Reichsführerowi wbrew...

– Proszę, oto fiszka.

– Dziękuję. I oczywiście ta rozmowa zostaje między nami. Wie pan, że Reichsführer uwielbia grzywki takie jak pańska? Jestem pewien, że chętnie by ją widział powiewającą na froncie wschodnim. To jak będzie?

– Nie powiem słowa. Nikomu.

Tristan wsunął fiszkę do kieszeni marynarki. On również nie powie Himmlerowi, że odnalazł ślad Thule Borealis.

Londyn
Kensington
Lipiec 1942

W mieszkaniu Malorleya unosiła się słodka woń aromatyzowanego tytoniu. Oparty o regał komandor zapalił fajkę i obserwował Laure. Wygodnie usadowiona w fotelu Francuzka zachłannie czytała dziennik wojenny Paula Marcasa, ojca Tristana. Czuła się, jakby wraz z fotelem znalazła się w wehikule czasu jak w słynnej powieści H.G. Wellsa. Była razem z dwoma młodymi porucznikami, kiedy odkryli tajemniczy zamek.

Zamek, który wyłonił się znikąd, emanował czymś fantomatycznym. Niepokojącym. Malorley nie wyglądał na zbyt tym przejętego. Myśl o tym, że dobierze się do dobrego trunku, tak go podniecała, że mógłby ruszyć do walki z całym batalionem Niemców, byle zaspokoić namiętność. Ukryłem zaniepokojenie, a kiedy dotarliśmy pod wejście, zauważyłem dziwny herb wyryty w kamieniu na nadprożu. Był to gruby krzyż o ramionach wygiętych w połowie pod kątem prostym. Znałem ten osobliwy symbol, lecz nie mogłem sobie przypomnieć, skąd się wywodzi.

Malorley przyszedł mi z pomocą. Była to swastyka, widział niejedną taką podczas pobytu w Indiach, w Madrasie i w Delhi. Według niego był to symbol życia. Talizman sprzedawany na bazarach. Tyle że krzyż, który miałem przed oczami, nie wieszczył niczego dobrego. Przeciwnie, miał w sobie coś niezdrowego, jakby niewysłowioną wrogość.

Drzwi zamku były otwarte. W sieni unosił się smród dymu, wspomnienie niedawnej bytności Niemców. Poszedłem zbadać piętra, Alexander natomiast zajął się podziemiami. W pokojach nic nie zostało, nie było żadnych mebli, obrazów, obić ściennych ani przedmiotów dekoracyjnych. Zamek splądrowano od dołu po strych. Kiedy wracałem na dół po schodach prowadzących do głównej sieni, zawołałem Malorleya, żeby się zorientować, gdzie przebywa. W końcu odpowiedział, prosząc, abym dołączył do niego w piwnicach. Pomyślałem, że widocznie znalazł swój przedmiot pożądania. Zszedłem po stopniach. W chwili gdy wchodziłem do piwnicy, straciłem przytomność. Kiedy się ocknąłem...

Laure przerwała lekturę. Ostatnia kartka kończyła się tym właśnie zdaniem.

W salonie Malorleya zegar cicho wybił godzinę. Była jedenasta.

– I to wszystko? Kończy się na wejściu do zamkowej piwnicy?

– Następny kawałek dziennika mocno ucierpiał od błota w okopach. Brakującą część ja ci opowiem. Byłem tam... Jak napisał Paul, pierwszy zszedłem do piwnicy. Faktycznie znalazłem tam spory zapas szlachetnych win i... człowieka. Mierzył do mnie z lugera.

– Niemiec?

– Tak, oficer, który ukrył się w piwnicy. Okłamałem go, powiedziałem, że mój pluton stacjonuje przed zamkiem i że nie ma szans wydostać się stamtąd. Później usłyszał głos Paula i kazał mi go ściągnąć do podziemi, grożąc, że strzeli do mnie. Znaleźliśmy się we trzech w patowym położeniu. Niemiec był przekonany, że jego żołnierze przypuszczą kolejny atak, aby odbić miasteczko. Że to tylko kwestia czasu. Zwróciłem mu uwagę, że nasi ludzie się zaniepokoją, jeśli nie wrócimy, i przyjdą nas szukać. Tę sytuację uratowała papierośnica. I wywróciła nasze losy do góry nogami.

Malorley przerwał na chwilę, by napełnić kieliszek Laure.

– Papierośnica miała wewnątrz grawerunek. Cyrkiel i węgielnicę, a także nazwę łoży masonskiej, do której należał Paul. Łańcuch Jedności w Paryżu. Częstując się papierosem, Niemiec po raz pierwszy się do nas uśmiechnął. On także należał do wtajemniczonych. Był członkiem łoży Trzy Korony w Heidelbergu. W świetle pochodni zrobionej z drewnianej szczapy i starych szmat wymieniliśmy braterskie pozdrowienie. Od tej chwili... jak by to powiedzieć... temperatura w piwnicy zdecydowanie się podniosła.

Laure przejechała dłonią po włosach, jakby je przyglądała.

– A więc prawdą jest to, co mówią przeciwnicy masonów... Że braterskie więzy są silniejsze niż przywiązanie do ojczyzny. Nawet w czas wojny. To trochę jak z komunistami.

– Co ty gadasz, nieszczęsna? Gdyby Paul cię usłyszał, ukrzyżowałby cię na miejscu. On by oddał życie za Francję! Nigdy nie powiedziałem, że układaliśmy się z wrogiem. To kwestie o wiele subtelniejsze. Powiedzmy, że kiedy na polu walki bierzemy jeńca i okazuje się, że jest wolnomularzem, braterstwo obliguje nas do zachowania minimum kurtuazji. Słowem, ten Niemiec zaprezentował się cywilizowanie. Porucznik Otto Neumann był w cywilu profesorem historii porównawczej na uniwersytecie w Heidelbergu. Zapytaliśmy go, czemu się błąka po piwnicach tego zamku. Wyjaśnił, że jego oddział od miesiąca miał za zadanie przygotować tu magazyn amunicji. I że dokonał niebywałego odkrycia archeologicznego. Ponieważ miasteczko odbili Francuzi, on tu wrócił po kryjomu, by wydobyć pewien cenny przedmiot. – Malorley wyjął z kartonowej teczki cztery kolejne kartki i podał je Francuzce. – A to ciąg dalszy...

Niemiecki oficer rozluźnił się trochę i wtedy nad naszymi głowami grzmotnęła potężna eksplozja. W piwnicy posypały się kamienie. Jakby runął cały zamek nad nami. Ewidentnie Niemcy przypuszczali kontrofensywę. Brat Neumann dał nam znak, żebyśmy poszli za nim do dalszego pomieszczenia piwnicznego, do którego wejście zasłaniała drewniana plansza. Wybuchy grzmiały jeden po drugim, wszystkie mury drżały, odnosiłem wrażenie, że zginiemy przysypani w tej dziurze.

Po jakimś czasie, który wydał mi się strasznie długi, dotarliśmy do szczególnej sali. Będę ją pamiętał do końca życia. Przypominała świątynię z nawami i ławkami z każdej strony. Na ścianach wyrzeźbiono ślepe okna w kształcie ostrołuków, osadzono w nich witraże zdobione taką samą swastyką jak nad wejściem do zamku.

W głębi świątyni wznosił się kamienny ołtarz. W świetle pochodni zrozumiałem, że tutaj nie czci się Chrystusa. W miejsce krzyża umieszczono pionowo prostopadłościenny głaz ozdobiony swastyką. Albo jak powiedział Neumann, hakenkreuzem. Niemiec nam wyjaśnił, że odkrył to miejsce przypadkiem podczas drążenia kanałów. Jego zdaniem zamek postawiono w średniowieczu w miejscu dawnego sanktuarium. Prawdopodobnie zrobili to heretycy, nigdzie bowiem nie widać było żadnych symboli chrześcijańskich.

Podszedłem do ołtarza i ujrzałem ułożoną na nim księgę, bardzo starą, o popękanej oprawie. Coś w rodzaju grymuaru.

Na okładce widniał tytuł: Thule Borealis.

Neumannowi oczy błyszczały podnieceniem. Ja z niewiadomego powodu odczuwałem jakąś instynktowną odrazę. Stało się wtedy coś, czego nie potrafię wyjaśnić. Otóż temperatura nagle spadła o kilka stopni. Ciemności wokół nas gęstniały, nawet ogień pochodni zdawał się kurczyć jakby pod wpływem niewidzialnej lodowatej dłoni. Zapytałem Malorleya i Neumanna, czy oni również odczuwają tę złowrobną obecność, lecz obaj zaprzeczyli. Mój angielski przyjaciel powiedział, że to prawdopodobnie skutek zmęczenia.

Neumann zaczął przeglądać Thule Borealis. Spisany po łacinie manuskrypt opowiadał historię starego proroctwa, wedle którego od niepamiętnych czasów czczono cztery święte relikwie, cztery hakenkreuze. Artefakty istniały na długo przed przyjściem Chrystusa na świat, na długo przed cesarzami rzymskimi. Miały moc odmienniania losu ludzi. Neumann nie miał całkowitej pewności, bo odszyfrowanie tekstu nie było łatwe, ale wynikało z niego, że ktoś – nie wiadomo kto – postanowił rozproszyć je po świecie, aby nie wpadły w niepowołane ręce. Nie pamiętam zbyt dokładnie, ale była tam mowa o templariuszach, władcach dysponujących mocami nadnaturalnymi, o tajemnych bractwach.

W miarę jak Neumann mówił, wzbierało w nas poczucie absurdalności sytuacji. Na górze, na ziemi zrytej metalem i nasiąkniętej krwią, ludzie się zabijali, a my, oficerowie, którzy za sprawą przypadku albo przeznaczenia zboczyli z wytyczonej drogi, słuchaliśmy jak dzieci opowieści wrogiego żołnierza, który godzinę wcześniej podziurawiłby nas jak sito. I wtedy po krótkiej przerwie znowu huknęły działa. Zamkowe mury ponownie zaczęły drżeć. Kamień spadł na Neumanna, który zaczął krwawić obficie, mnie jednak rana wydała się powierzchowna. Musieliśmy go wynieść na zewnątrz. Wpadłem wówczas na pomysł, aby zawrzeć pakt. Pakt przypieczętowany wolnomularskim słowem. Ktokolwiek wygra na ziemi, przyrzekliśmy sobie wspierać się nawzajem i jeśli któryś trafi do niewoli, upewnić się, że nic mu nie grozi. Niemiec się zgodził, bo też nie bardzo był w stanie negocjować. Wlekąc go z Malorleyem, ruszyliśmy z powrotem do wyjścia ze świątyni. I całe szczęście, bo parę chwil później jej sklepienie się zawaliło, wzbijając tuman pyłu.

Neumann zabrał Thule Borealis.

Laure przerwała lekturę.

– Pakt z Niemcem w środku wojny... Jakoś trudno mi to przełknąć. Nie zamierzaliście go oszukać?

– Nie, słowo wolnomularza jest jak stal toledańska. Przynajmniej dla braci, którzy taką przysięgę traktują poważnie...

Wróciła do czytania.

Kiedy wyszliśmy z zamku, wznowiono ostrzał. Wokół nas były same gruzy i ruiny. Zewsząd dobiegały odgłosy wybuchów i świst pocisków, zagłuszając wszelkie inne dźwięki. Trwała makabryczna symfonia. Zapyłone powietrze było cierpkie, paliło w gardła, piekło w oczy. Z trudem podążaliśmy we trzech w kierunku miasteczka R., gdzie zostawiliśmy swoich ludzi. Droga znikła, zamiast niej były teraz dymiące leje. Jakby niebo i ziemia się uwzięły, aby uniemożliwić nam opuszczenie tego przeklętego miejsca. Albo odebrać nam manuskrypt...

Padły strzały, po czym przed nami wychynęły jakieś postacie. To żołnierze niemieccy rozbiegali się na wszystkie strony. Jeden z uciekinierów stanął przed nami i wycelował z karabinu.

Porucznik Neumann dobył pistolet, z którego wymierzył w nas. Kazał żołnierzowi opuścić broń, bo jesteśmy jego jeńcami. Chłopak był młody, miał może ze dwadzieścia lat, mundur wisiał na nim jak na kołku. Wyjaśnił, że jest łącznikiem i przenosi rozkazy między jednostkami. Trzy kompanie niemieckie odzyskały miasteczko R., lecz Francuzi kontratakowali i odepchnęli wrogie linie. „Jak się nazywacie, kapralu?” – zagadnął Neumann. Żołnierz wysławiał się bełkotliwie, wymówił imię, Adolf, i nazwisko, które brzmiało jak Hidger, Higler czy jakoś tak. O dziwo, kiedy piszę te

słowa, wciąż mi stoi przed oczami przerażona twarz tego biedaczyny. Pewnie już nie żyje.

Laure podniosła głowę znad dziennika, w oczach miała strach.

– Nie do wiary, to był...

– Tak. Młody Adolf Hitler – potwierdził Malorley bezbarwnym głosem.

W tej samej chwili

Londyn

Oparty o wiekowy mur z czarnej cegły konstabl Brian MacMurray wyjął ostrożnie z opakowania dużą kostkę czekolady i z rozkoszą włożył ją do ust. Młody policjant lubił rozpuszczać ją na języku wolno, bardzo wolno, aby wydobyć cały jej smak. Pierwsza chwila wytchnienia od początku patrolu. Już cztery godziny krążył po ulicach Shoreditch. Zerknął na zegarek kieszonkowy w ozdobnej srebrnej kopercie, prezent od Mary MacMurray, swojej matki, która przed rokiem zginęła w bombardowaniu.

Niedługo północ. Koniec służby. Jeszcze kwadrans i będzie mógł wrócić na posterunek. I położyć się spać.

Policjant właśnie miał przejść przez skrzyżowanie Montclare Street z Old Nichol Street, gdy z prawej strony, z odległości około dziesięciu metrów, dobiegł go trzask. Jakby łamiącej się spróchniałej deski. Odwrócił głowę w tamtą stronę, lecz niczego nie zauważył. Tylko ciemność. Prawdopodobnie był to jakiś bezdomny kot lub szczury.

Wciąż jeszcze czując na języku smak czekolady, zawahał się przed wejściem w cuchnącą uliczkę, zastawioną kubłami na śmiecie wypełnionymi po sam wierzch. Jakby samo wdychanie tych smrodów miało mu zepsuć doznania smakowe.

Westchnął i postanowił iść dalej w kierunku Tamizy, przy odrobinie szczęścia może nawet skończy obchód nieco wcześniej, jeśli przetnie Dudley's. W chwili gdy już miał przejść na drugą stronę jezdni, za nim znów rozległ się dziwny dźwięk, tym razem rozbijanego szkła. Obejrzał się i odniósł wrażenie, że dobiega go zduszone pokrzykiwanie.

Żadne tam piski szczurów.

Konstabl wyjął pałkę i latarkę.

– Jest tam kto?

Był coraz bliżej kubłów na śmiecie, nagle nastąpił na coś miękkiego. Poświecił latarką.

Na ziemi, ułożony na boku, spoczywał jakiś człowiek w szarobeżowym płaszczu.

– Jeszcze jeden pijak – mruknął policjant. Od początku wojny roiło się od nich na ulicach. – Hej, panie! Obudź się pan! – krzyknął.

Odwrócił leżącego.

Szeroko otwartymi oczami, mocno podkrążonymi na fioletowo, wpatrywała się w niego kobieta. Z kącika ust zwisał jej język. Nad opuchniętą twarzą miała koronę z zaplecionych blond włosów. W świetle latarki krwawa swastyka na czole przecinała bladą skórę.

Konstabl pohamował obrzydzenie i uniósł połę płaszcza, odsłaniając nagie ciało. Nagie i poznaczone strumykami zakrzepłej krwi.

– Szlag by to...

MacMurrayowi serce nagle skoczyło w piersi. Jakby ktoś go walnął młotkiem. Chciał dobyć gwizdek, ale ręce go nie słuchały. Nie po raz pierwszy miał do czynienia ze zwłokami, nieraz przecież brał udział w poszukiwaniu ciał w gruzach zbombardowanych budynków, to jednak było co innego. Tutaj był... prawdziwy trup. Inaczej nie potrafił tego nazwać.

Zza pleców dobiegł do niego zgrzyt metalu. Ledwie zdążył się odwrócić i odskoczyć w bok, by nie trafił go kosz, który wylądował na ciele dziewczyny. Konstabl poczuł przeszywający ból na wysokości żeber – zrozumiał, że otrzymał kopniaka, po którym zwałił się na zwłoki.

Nad nim rozbrzmiały złorzeczenia.

MacMurray z trudem się podniósł i ujrzał dwie postacie oddalające się biegiem. Na rogu uciekinierzy skręcili i zniknęli z jego pola widzenia. Policjant czym prędzej wyjął gwizdek i dmuchnął, jakby chciał w niego wtłoczyć całe powietrze z płuc.

Zachował się regulaminowo. Zaalarmował kolegów, zanim rzucił się w pościg za złoczyńcą. O ile da radę pobiec, bo w tych emocjach serce mu skakało w piersi, a krew zastygała w żyłach. Mimo wszystko spróbował, kiedy jednak dotarł do końca uliczki, sapiąc jak miech, po uciekinierach nie pozostał nawet ślad. Zgiął się wpół, by zaczerpnąć powietrza, i znowu zadał w gwizdek. Nad nim na piętrze ktoś otworzył okiennicę, zza której wychynęła głowa najeżona wałkami.

– A co tu znowu za hałasy?

– Policja. Wszystko w porządku – wysapał konstabl.

– Damn! Gdyby wszystko było w porządku, nie budziłby pan władza całej dzielnicy gwizdkiem.

Wrócił do zwłok. U wejścia w uliczkę rozległ się tupot. Podniósł wzrok i ujrzał biegnącego jednego z kolegów.

– To ty, MacMurray? Wszystko gra?

Młody policjant rozpoznał chrapliwy głos kolegi, który miał patrol w tym samym sektorze, sierżanta Richarda Nolane’a. Twardego, nieprzekupnego Szkota, który w celach wychowawczych nie szczędził pałki miejscowym łobuziakom.

– U mnie tak, ale nie u tej biedaczki. Potworność.

Nolane nachylił się nad okaleczoną kobietą.

– Na portfel mojej babki, to ani chybi dzieło nazistowskiego mordercy. Masz pecha, chłopie, gdybyś go złapał, dostałbyś awans na sierżanta i porządną premię na dodatek.

– Nigdy nie miałem szczęścia... W każdym razie ten czub nie działa sam. Widziałem dwóch, jak uciekali – wyjaśnił MacMurray, wodząc latarką wokół trupa.

Strumień światła omiatał skraj kubłów na śmiecie.

– To dobra wiadomość, chłopie – skomentował sierżant, przetrząsając kieszenie płaszcza – ale coś mi się zdaje, że koledzy ze Scotland Yardu będą musieli wszcząć poszukiwania, żeby ustalić tożsamość ofiary. Nie ma jak jej zidentyfikować.

MacMurray zatrzymał latarkę na przedmiocie, który się pojawił w snopie światła. Na torebce z beżowej skóry. Zajrzał do środka i znalazł kartkę na żywność z fotografią, z której spoglądała na niego kobieta leżąca tuż obok. Blondynka na zdjęciu uśmiechała się figlarnie, jakby powstrzymywała parsknięcie przed obiektywem.

– Nie tym razem – powiedział. – Mamy tu niejaką... Rosemary Benton.

CZĘŚĆ DRUGA

Patrz! To głębokie tajemnice; albowiem mam również przyjaciół, którzy są pustelnikami. Nie sądz, że ich znajdziesz gdzieś w lesie albo w górach; oni są w łóżach zasłanych purpurą, pieścżą ich wspaniałe dzikie kobiety o mocnych członkach, z ogniem i światłem w oczach, o bujnych płomienistych włosach.

Aleister Crowley, Księga prawa

Jeden jedyny demon potężniejszy jest od legionu aniołów, jeżeli człowiek go słucha.

Thule Borealis Kulten

Berlin

Ahnenerbe

Lipiec 1942

Park otaczający siedzibę Ahnenerbe wyglądał jak miejsce kolonii letnich z dala od wojny, która toczyła całe Niemcy. Młodzi badacze niebędący na misji korzystali z przerwy obiadowej i pod pogodnym niebem urządzali sobie pikniki. Ich śpiewy i śmiechy docierały aż do okien frontowych budynków administracyjnych. Na piętrze, tuż nad wejściem, Wolfram Sievers, dyrektor Ahnenerbe, patrzył z zazdrością na beztroską młodzież. Stojąc przy oknie z widokiem na park, gorzko żałował szczęśliwych czasów, kiedy każdą chwilę poświęcał swojej pasji: prehistorii. Żałował tym bardziej, że należał do nielicznych badaczy samouków, którym udało się wspiąć wysoko i osiągnąć renomę na poziomie uniwersyteckim. Był to doprawdy wyczyn, nawet jeżeli dojście nazistów do władzy mocno w tym pomogło. Otóż ledwie Hitler w 1933 roku objął urząd kanclerski, nowa władza raz-dwa oczyściła uniwersytet ze swoich potencjalnych przeciwników. Zbyt lękliwych badaczy posłano na emeryturę, wielu postępowców skazano na bezrobocie, bez ceregieli pozbyto się nielicznych Żydów, którzy jeszcze wykładali. Dzięki tej czystce zwolniło się sporo posad, a naziści niespecjalnie zwracali uwagę na dyplomy, rekrutując nowych pracowników uczelni, byle tylko były to osoby oddane reżimowi. I tym sposobem wielu intelektualistów uwiedzionych mirażem pomyślnie rozwijającej się kariery, nie zastanawiając się długo, podpisało pakt z diabłem. Sievers ostatecznie znalazł się w kierownictwie Ahnenerbe. Jednakże ta prestiżowa posada zaczynała przeobrażać się w koszmar.

Odszedł od okna i na powrót usiadł za biurkiem. Błat, zazwyczaj zarzucony czasopismami i książkami, był prawie pusty – leżały na nim jedynie dwa listy podpisane przez Reichsführera. Pierwszy powoływał go ze skutkiem natychmiastowym na stanowisko dyrektora Wojskowego Instytutu Badań Naukowych, świeżo stworzonej przybudówki Ahnenerbe. Sievers miał kłopot ze zrozumieniem, jaki naprawdę jest cel i sposób działania nowej jednostki. Doskonale natomiast pojął, co jego nominacja oznacza: Erika von Essling wróci na swój stołek. W drugim liście Reichsführera, o wiele precyzyjniejszym, widniało polecenie niezwłocznego

stworzenia grupy badawczej, która jednoznacznie i nieodwołalnie zdefiniuje cechy morfologiczne i anatomiczne rasy semickiej.

Sievers pokręcił głową. Na Boga, on był prehistorykiem, nie specjalistą od kwestii rasowych! Dlaczego wymagano od niego osiągnięć w dziedzinach, na których zupełnie się nie znał? A jeszcze te historie z Żydami... Nieładnie mu to pachniało. Rozpowiadano różne rzeczy, swoje trzy grosze dorzucali też żołnierze wracający z frontu. Masowo zabijano tam Żydów, z którymi nie wiedziano, co począć. Na wszystkich terytoriach okupowanych esesmani eliminowali całe społeczności. I oto teraz jemu zlecano przytłaczające zadanie: określenie, kto jest Żydem, a kto nie. Oszaleć można. Chociaż zasadniczo może i miał rozwiązanie problemu...

– Panie dyrektorze, przyszedł umówiony gość.

Kiedy Bruno Beger wkroczył do środka, Sievers, który nie znał wszystkich swoich naukowców, pomyślał, że chyba ktoś się pomylił z przydziałem na stanowisko. Zbudowany jak szwedzki drwal, z brodą iście wikińską i oczami jasnymi jak zorza polarna, Beger zajmował poczesne miejsce na afiszach rekrutacyjnych SS. Jakim cudem Aryjczyk tak doskonały znalazł się w Ahnenerbe, zamiast grać w propagandowych filmach Goebbelsa?

– A więc to pan uczestniczył w osławionej wyprawie do Tybetu w trzydziestym dziewiątym roku?

– Tak, panie dyrektorze, i właśnie tam dopracowałem metodę badawczą, która mogłaby nam pomóc.

Dyrektor Ahnenerbe zaczynał nabierać otuchy. Ten Beger z aparycją młodego boga Rzeszy być może udzieli mu wsparcia w tym pasztecie z Himmlerem.

– A jaka jest pańska specjalność?

– Studiuję kształt czaszek. Wymierzyłem czaszki kilkuset Tybetańczyków. Dokładnie trzystu sześćdziesięciu siedmiu. I mogę potwierdzić, że można określić poziom niższości danej rasy na podstawie wymiarów czaszki.

– To pewne? – zdumiał się Sievers.

– Absolutnie. Wszyscy Tybetańczycy, którzy należeli do klasy podległej, mieli mniejszy rozmiar czaszki. Dlatego moglibyśmy bez problemu zastosować tę metodę do Żydów.

Dyrektor Ahnenerbe już otwierał usta, by zadać kolejne pytanie, gdy drzwi nagle się otworzyły i stanęła w nich osoba, której naprawdę nie życzył sobie oglądać.

– Frau von Essling... – wybełkotał Sievers. – Wróciła pani?

– Reichsführer poprosił, żebym natychmiast stawiała się ponownie w pracy i pokierowała nowymi kierunkami działań w Ahnenerbe. – Zwróciła się do Begera, który zastygł: – Przerwałam panom. O czym pan mówił?

Sievers spróbował na powrót przejąć inicjatywę:

– Wyznaczono nam pilną misję: mamy jak najszybciej ustalić cechy charakterystyczne, które bez ryzyka omyłki pozwolą identyfikować Żydów.

Nie okazując ani cienia zaskoczenia, Erika zagadnęła antropologa:

– I co pan proponuje?

Mimo okazałych gabarytów Beger zupełnie stracił rezon.

– No więc... mie... mierzenie... czaszek.

Erika omal nie parsknęła śmiechem, tak głupi wydał się jej ten pomysł.

– I gdzie niby będzie pan mierzył czaszki? W obozach? Pojedzie pan do Dachau z przyborami, ustawi więźniów w szeregu i zacznie zdejmować miarę z głów?

– Znaczący... jeszcze nie pracowałem na... żywych próbkach – próbował się tłumaczyć Beger.

– Proszę?

– Zamierzałem najpierw zgromadzić kolekcję czaszek...

– Kolekcję? – zawołała von Essling.

Sievers podjął ostatnią próbę zapobieżenia katastrofie:

– Doktor Beger dzielił się ze mną zwykłą hipotezą badawczą. W żadnym razie Ahnenerbe, które reprezentuję...

– Już pan nie reprezentuje – ucięła Erika. – Zdaje się, że dostał pan nowy przydział? Od zaraz. A pan... – Odwróciła się do Begera, który zamienił się w słup soli.

– Proszę natychmiast opuścić mój gabinet.

Kiedy drzwi trzasnęły, Erika poczuła, że zabrakło jej tchu. Odwykła od stosunków służbowych opartych na sile. Usiadła zwrócona twarzą do okna i zapatrzyła się w krajobraz. Na tej wysokości widać było jedynie czubki drzew i błękitne niebo, ani kawałek obrazków ze świata, w którym żywi usiłowali gromadzić czaszki martwych. Na samą myśl o tym robiło się jej niedobrze. W jednej chwili wyobraziła sobie głowę odcinaną od kadłuba, ściąganą skórę i zrywaną tkanę mięśniową... Czując mdłości, zamknęła oczy i instynktownie podniosła rękę do skroni, do miejsca, gdzie w Wenecji trafił ją pocisk. Nagle wszystko wróciło: gorąc od pocisku, ciepło krwi tryskającej na policzek, krzyki przerażenia dookoła, uginające się pod nią nogi... Znienacka odzyskała pamięć... Erika osuwała się na ziemię i zanim padła... rozejrzała się, szukając pomocy... Zobaczyła biegnących ludzi, usłyszała krzyki, szukała wzrokiem Tristana.

Nie było go tam.

Londyn
Kensington

Zaskoczona Laure przerwała lekturę. Bardziej niż rewelacje odnoszące się do odkrycia księgi Thule Borealis i starożytnej legendy o czterech świętych swastykach zaszokowała ją tożsamość młodego niemieckiego kaprała, z którym zetknęli się Paul Marcas, Malorley i Neumann.

Malorley ściągnął cienkie wargi. Wzrokiem błędził gdzieś poza ścianami mieszkania. Jakby i on cofnął się w czasie i znowu się znalazł na obrzeżach zniszczonego francuskiego miasteczka. Zaciśniętą pięścią o pobielających kłykciach postukiwał w półkę biblioteczki.

– Ano tak, ten łajdak Adolf Hitler... Miałem go w zasięgu strzału z pistoletu. Gdybym wtedy do niego strzelił, nie byłoby Führera ani drugiej wojny światowej. Jedna kulka między oczy, a narodowy socjalizm pozostałby kanapową partyjką fanatycznych krzykaczy... Kto jednak mógł przypuszczać, że ten wystraszony nic nieznaczący żołnierzyna stanie się potworem, który dzisiaj rządzi Europą?

– Niewiarygodny zbieg okoliczności – szepnęła Laure, wracając do lektury.

Wtedy Neumann zdecydował, że wróci na linie niemieckie. Ledwie ten mały kapral odszedł, objęliśmy się na pożegnanie, obiecując sobie spotkanie po wojnie, ktokolwiek ją wygra. Neumann zabrał Thule Borealis odkrytą w podziemnej świątyni. Nie przyznałem się przed nikim, że z ulgą patrzyłem za nim, kiedy odchodził z tym złowróżbnym manuskrytem.

Tu dziennik znowu się urywał – dalej było jeszcze kilka osobnych kartek. Pismo na nich wyglądało inaczej, litery były niepołączone, niedokładnie skreślone, jakby piszącemu mocno drżała ręka.

– Dokleiliśmy tutaj to, co zostało z dziennika Paula – odezwał się Malorley łamiącym się głosem. – Dwa miesiące później został zagazowany w okopie nad Sommą. Odwiedzałem go w szpitalu, kiedy tylko mogłem, ale to był już wrak człowieka.

10 czerwca

Lekarze nie zostawili mi ani krzty nadziei. Kreślę te słowa, zanim trafię do nieba albo wiecznego Wschodu. Nigdy nie potrafiłem dobrze wybierać. Zostawiam najukochańszą żonę Émilie i syna. Dziesięcioletniego syna. Tristana.

16 czerwca

Nie doczekam końca tej przeklętej wojny, widzę jednak, Bogu dzięki, że Niemcy mają duże kłopoty. Mój przyjaciel porucznik Malorley obiecał, że będzie czuwał nad moją rodziną. Liczę, że w spokoju ducha odejdę, by przekroczyć ostatni okop. Mam dziwne sny. Sny, które budzą we mnie przerażenie.

18 czerwca

Sen tej nocy. Widzę tego młodego niemieckiego kaprała o szalonym spojrzeniu, którego spotkałem w miasteczku R. Dosiada smoka pędzącego w pióropuszcach płomieni. Wszędzie są tysiące takich jak on. Armia Apokalipsy... Widzę stosy, całe góry czaszek. Czaszek, które krzyczą. Są wszędzie. Boże mój, tracę rozum.

21 czerwca

Koszmar. Zamek z tej księgi... Z Thule... Widziałem swastyki, które obracały się w ciemności... Boję się... boję... Odnaleźć Neumanna... Zniszczyć swastyki... zanim nas zabiją...

Zachowane kartki kończyły się tymi chaotycznymi słowami. Laure oddała dziennik Malorleyowi.

– Paul umarł w dniu przesilenia letniego. Dla wolnomularza to okrutna ironia losu... Dla nas to uroczystość świętojańska. Kiedy słońce stoi najwyżej i świeci najmocniej, kiedy zaczyna się jego droga ku przesileniu zimowemu, ku jego odrodzeniu...

Laure podniosła wzrok na Malorleya.

– Czyli byłeś najbliższym przyjacielem ojca Tristana. Teraz lepiej rozumiem... Po wojnie stałeś się jego aniołem stróżem.

– Niezupełnie, niestety. Dalej sprawy potoczyły się nie całkiem tak, jak przewidywaliśmy. Po pogrzebie Paula skontaktowałem się z wdową po nim. Émilie Marcas... Wspaniała kobieta, o wielkiej sile charakteru, ale swoje poczucie moralności w pełni podporządkowywała interesowi osobistemu. W czasie wojny była w związku z wpływowym politykiem... Kiedy zjawiłem się w jej domu w Vésinet, przyjęła mnie grzecznie. Zwróciłem jej nieliczne rzeczy osobiste Paula. Ewidentnie jednak nie byłem tam mile widziany.

– Jaki był wtedy Tristan?

– Z wyglądu dość nonszalancki, raczej nieśmiały, ale przypuszczam, że mój mundur zrobił na nim wrażenie. Zasypał mnie pytaniami o swojego ojca. To było nasze pierwsze spotkanie.

– A jak to się stało, że zwerbowałeś go jako agenta?

– Nie mam ochoty o tym mówić. Przynajmniej nie teraz. Skup się na historii Thule Borealis, to najważniejsze.

– Okej, ale nie dam się tak łatwo spławić. Po tym, co mi dziś opowiedziałeś, Tristan intryguje mnie jeszcze bardziej. A więc Thule...

– W pierwszych latach po wojnie miałem inne priorytety niż szukanie śladów niemieckiego oficera rozmiłowanego w ezoteryce i zakurzonej starej księgi. Naturę mam raczej pragmatyczną. Lata mijały, historia o magicznych swastykach wyleciała mi z głowy, schowała się w pamięci gdzieś między Alicją w Krainie Czarów a baśniami braci Grimm. Wstąpiłem do wywiadu wojskowego i dość długo krążyłem po Bliskim Wschodzie, Syrii i Egipcie. Dopiero we wrześniu tysiąc dziewięćset trzydziestego roku Thule Borealis znów pojawiła się w moim życiu. Wtedy... – Naraz salon pogrążył się w ciemnościach, rozjaśniało go jedynie światło ulicznych latarni. – Nie ruszaj się, Laure!

Głos Malorleya był napięty, oschły. Francuzce się wydało, że słyszy w nim strach, a to było czymś nowym w wypadku tego pewnego siebie człowieka. Komandor powolutku podszedł do sekretarzyka i wyjął z niego małokalibrowego browninga, odbezpieczył go. Stał przy oknie, uchylił zasłony i uważnie zbadał ulicę w dole. Światło na powrót zapłonęło jak za dotknięciem czarodziejской różdżki.

– Znów wysadziło korki – mruknął, odkładając pistolet na stół.

– Wszystko z tobą w porządku, komandorze?

Malorley wzruszył ramionami.

– Trochę jestem przepracowany, i tyle... Opowiem ci do końca. Wysłano mnie do Zagłębia Ruhry, miałem zdać raport z wyborów do Reichstagu. W Foreign Office chcieli dokładniejszych informacji na temat poglądów społeczeństwa. Niemcy stały się beczką prochu, po krachu w dwudziestym dziewiątym roku na ulicach wylądowały miliony bezrobotnych, marka niemiecka nie była nic warta, bochenek chleba kosztował milion, wciąż żywe były resentymy wobec sprzymierzonych. Zwłaszcza wobec Francuzów. Skrajnie prawicowe partie nacjonalistyczne miały używanie. Szczególnie Narodowosocjalistyczna Niemiecka Partia Robotników, która szybko rosła w siłę. Jakież było moje zaskoczenie, kiedy na wiecu w Kolonii zobaczyłem jej przywódcę.

– Małego kaprała, na którego się natknąłeś na zamku w R.

– Nie mogłem w to uwierzyć. Cherlawy żołnierz wyrósł na egzaltowanego, władczego wodza. A symbol partii...! Swastyka identyczna jak te, które widzieliśmy na zamku. Hakenkreuz. Wtedy pomyślałem, że warto by odszukać Neumanna. Przypomniałem sobie, że przecież wykładał na uniwersytecie w Heidelbergu. Odnalezienie go nie wydawało mi się trudne. Pojechałem do tego uroczego miasta i w sekretariacie wydziału dostałem jego adres.

– No i jakże po dwunastu latach przebiegło spotkanie z wyrafinowanym rycerskim Niemcem?

Malorley nie wychwyił ironii w słowach Francuzki.

– Zapukałem do drzwi jego domu położonego w parku uniwersyteckim. Otworzył, ale nie od razu mnie rozpoznał. Poczęstowałem go morlandem z papierościcy Paula ozdobionej symbolami masońskimi. Neumann oniemiał. Padliśmy sobie w ramiona, zaprosił mnie na kolację ze swoją rodziną. Otto został profesorem w katedrze historii porównawczej, jego artykuły i książki na temat schyłkowego okresu średniowiecza były wysoko notowane. Spędziłem u niego przemiłe chwile. I pomyśleć, że mogliśmy się nawzajem pozabijać tylko dlatego, że służyliśmy pod różnymi sztandarami.

– Jakie to wzruszające...! I pewnie on też był zachwycony zbawcą Wielkiej Rzeszy.

– Niezupełnie. Otto był pół-Żydem, mischling, jak to mówiono w Niemczech. W dodatku wolnomularzem. Każdy nazista patrzyłby na niego ze zgrozą. Dla niego Goethe, Novalis, Rilke zaliczali się do prawdziwych heroldów oświeconych Niemiec. Szczerze wierzył, że Hitler to tylko anomalia w polityce niemieckiej. Przejściowa anomalia.

– Wiadomo przynajmniej, że ten twój przyjaciel nie był wróżbitą. Udaje ci się wzbudzić we mnie sympatię do Niemca. Winszuję.

– Aż tyle nie oczekiwałem. Po kolacji rozmowa zesłała na Thule Borealis. Pokazałem mu kartki z dziennika Paula. Do końca życia będę pamiętał jego minę, kiedy skończył czytać. Strach. Zobaczyłem strach w oczach tego tak statecznego człowieka. On też przypomniał sobie spotkanie w Hitlerem podczas Wielkiej Wojny. Spytałem, czy udało mu się odcyfrować do samego końca Thule Borealis. Spoważniał i powiedział: „Ta księga otwiera drzwi raju albo piekła. Problem w tym, że raj dla jednych jest piekłem dla drugich”. Zaprosił mnie do swojego gabinetu, wyjął manuskrypt z regału, z półki poświęconej geografii i naukom przyrodniczym. „Który złodziej chciałby ukraść książkę geograficzną?” Okładka różniła się od tej, którą zapamiętałem, bo skóra miała kolor soczyście czerwony. Jakiś introligator dał jej drugie życie.

Światło w salonie znowu zamrugało. Na ulicy także. Laure zauważyła, że opowiadając, Malorley cały czas trzyma broń w dłoni.

– Neumann mi wyjaśnił, co odczytał z księgi i potwierdził w innych źródłach. W skrócie: Thule Borealis ujawniała, że kiedyś istniała bardzo stara cywilizacja, starsza od egipskiej i sumeryjskiej. Cywilizacja, którą tysiące lat temu pochłonął kataklizm, ale jej ślady pozostały na całym świecie, w tym osławione swastyki. Kapłani albo inżynierowie tej cywilizacji zapanowali rzekomo nad jakąś siłą, niewiarygodną energią. Energią zawartą w tych artefaktach. O mocy równej mocy tysiąca słońc. Czarnych słońc, które mogą zwęglić ludzkość.

– Jak radioaktywność pani Curie?

– Tak i nie. Zdaniem Ottona interpretacja tekstu mogła również objąć energię duchową, siłę zdolną oddziaływać na psychikę ludzką. Księga zawierała wskazówki pozwalające zlokalizować cztery relikwie, które należało zgromadzić w jednym miejscu, żeby uzyskać fantastyczną potęgę. Kiedy zapytałem, czy zamierza je odnaleźć czy też tylko sporządzić notatkę dla swojej uczelni, mocno się zasępił. Czasy już wtedy były bardzo niepewne. Bał się konfrontacji skrajnych nacjonalistów i komunistów. Republika Weimarska się chwiała, toteż Otto nie chciał ujawnić, że ta księga istnieje. Zwróciłem mu uwagę, że żadna siła polityczna nie potraktuje tej legendy poważnie. I wtedy Neumann jasno mi uświadomił prawdziwą naturę narodowego socjalizmu.

– Nagle twój profesorek przejrzał na oczy.

– Dla niego ten ruch kompletnie się różnił od innych partii, niektórzy z jego przywódców głosili mistycyzm, wizję świata opartą na skrajnie rasowych germańskich wierzeniach. Tamtego wieczoru u Ottona z zaskoczeniem odkryłem inne oblicze niemieckiego ducha. Mroczne oblicze. Irracjonalne. Niszczycielskie. Neumann opowiedział mi o tajnym stowarzyszeniu ezoterycznym noszącym nazwę Thule, taką samą jak manuskrypt. Thule uczestniczyło w powstaniu partii narodowosocjalistycznej i postawiło na Hitlera, widząc w nim nowego mesjasza. Doktryna stowarzyszenia nie pozostawiała cienia wątpliwości, że jej członkowie wiedzą o istnieniu Thule Borealis.

– Co było potem?

– Otto kazał mi przysiąc, że nie puszcę pary z ust na temat książki, nawet jeżeli tylko w połowie przekonała mnie jego opowieść. Zawsze lubiłem bajki, ale tylko mniej więcej do dwunastego roku życia... Już ci mówiłem, jestem człowiekiem racjonalnym. Przy pożegnaniu zaprosiłem go do siebie do Anglii, jeśli kiedyś znajdzie czas. Przyjął zaproszenie i poprosił o drobną przysługę. Otóż gdyby w Niemczech nastąpił naprawdę mroczny czas, chciał, żebym przechował księgę u siebie. Dla bezpieczeństwa.

– Zamierzałeś spełnić jego prośbę w trzydziestym ósmym roku, kiedy postanowiłeś się z nim zobaczyć w noc kryształową.

– Tak. Po dojściu nazistów do władzy Otto stracił posadę wykładowcy i z całą rodziną przeniósł się do Berlina. Został antykwariuszem, specjalistą od rzadkich ksiąg, ale wiedział, że jego życie jest zagrożone. Esesmani byli na tropie manuskryptu. Udało mi się wywieźć z Niemiec jego żonę i córkę, ale po niego przyszedłem za późno. O kilka godzin. Pułkownik Weistort zamordował mojego przyjaciela i zabrał Thule Borealis.

Zadzwoił telefon. Malorley podniósł słuchawkę, zamienił kilka słów z rozmówcą, po czym ją odłożył. Podał Francuzce płaszcz.

- Musimy iść. Weź swoje rzeczy.
- Nie powiedziałaś, co było dalej... Nie doszedłeś do Tristana.
- Później. Już i tak dużo ci powiedziałem. Czekają na nas. W królestwie zmarłych.

Paryż

Lipiec 1942

Doktor Rosenberg najwyraźniej lubił dyskrecję w odniesieniu do spraw, które uważał za ważne. Oficjalne biura jego grabieżczego instytutu ERR – Einsatzstab Reichsleiter Rosenberg – mieściły się w dzielnicy Opéra, niemniej nazistowski dygnitarz załatwił sobie również nierzucającą się w oczy komórkę na lewym brzegu Sekwany.

Marcas dłuższą chwilę błędził uliczkami przy Panteonie, zanim w końcu znalazł właściwy adres: wejście na podwórze dokładnie ukryte za rzędem drzew. Dalej chrzęszcząca pod nogami żwirowa ścieżka prowadziła do dawnej oranżerii powiększonej o pięterko. Bez wątpienia tylko tyle pozostało z pałacu, który zniknął w czasie rewolucji. Ścieżka, wijąca się między kępami drzewek lauowych, wiodła do podestu, na którym mężczyzna w ciemnym garniturze palił papierosa. Tristan rozpoznał Alfreda Rosenberga. Nawet pod rozmigotanym paryskim niebem jego blada, niespokojna twarz wyglądała na niezdrową.

– Witam, Herr Marcas. Jednak znalazł pan naszą kryjówkę? Ale co tu się dziwić, przecież pan studiował w Paryżu, toteż Dzielnica Łacińska nie ma przed panem żadnych tajemnic.

Marcas się przywitał, odnotowując, że towarzysz drogi Hitlera zdążył zasięgnąć szczegółowych informacji na jego temat.

– Piękne miejsce.

– Dziękuję.

Rosenberg gestem zaprosił go do środka. Weszli przez jedno z przeszklonych drzwi, które wychodziły na ogród. W osiemnastym wieku takie szerokie otwory drzwiowe zapewniały zimą światło i ciepło rosnącym w oranżerii roślinom egzotycznym. Ale ten świat dawno zniknął.

– A więc przyjechał pan, by nas wspomóc? Może powinienem posłać Himmlerowi jakieś dzieło sztuki w podziękowaniu za pańskie przybycie, jak pan sądzi? – podjął Rosenberg. – Pewnie zna pan jego upodobania. Woli malarstwo czy rzeźbę? Raczej włoski renesans czy hiszpański złoty wiek?

– Nie potrafię odpowiedzieć, nie jestem na tyle blisko z Reichsführerem. Proszę mu tylko nie posyłać martwej natury.

Twarz przyszłego ministra przeciął szeroki uśmiech w kształcie półksiężyca.

– Ach, ten subtelny humor francuski! Ale proszę powiedzieć, czy faktycznie jest pan tak biegły w dziedzinie sztuki, jak mówią? Chciałbym pana wypróbować. – Dłonią wskazał obraz oparty o ścianę.

Tristan rozpoznał pracę Corota. Z murku barwy ochry dziecko patrzyło na wiejski krajobraz ujęty w ramy wysokich cyprysów. Czerwona kopuła kościoła wyłaniała się z płątaniny dachów, które odbijały złote refleksy okrutnego letniego słońca.

– Jean-Baptiste Corot. Okres włoski. To na pewno widok Florencji z ogrodów Boboli.

– Cóż, zaczynam rozumieć, dlaczego Reichsführer pana zatrudnia – przyznał Rosenberg.

– A ja zaczynam rozumieć, dlaczego przysłał mnie do pana.

– Tym razem nie zrozumiałem żartu, Herr Marcas.

– Oryginał tego obrazu znajduje się w Stanach Zjednoczonych, a ponieważ wątpię, żeby robił pan sprawunki w nowojorskim Metropolitan Museum, zgaduję, że to kopia.

Przyszły minister ze złości tupnął w białą marmurową posadzkę.

– Moi ludzie odkupili obraz od francuskiego pasera. A on go miał od żydowskiej rodziny, która uciekła z Paryża.

– Na pańskim miejscu zmieniałbym dostawcę. Corot bije rekordy w liczbie falsyfikatów sprzedanych na światowym rynku dzieł sztuki. Szacuje się, że ponad połowa prac sygnowanych jego nazwiskiem nie wyszła z jego atelier.

Rosenberg wpatrywał się w obraz z miną taką, jakby się przebudził z koszmaru. Co by było, gdyby odkryto oszustwo podczas wieszania płótna w przyszłym muzeum Hitlera? Nie śmiał nawet sobie tego wyobrazić. Ten Francuz właśnie uratował go przed katastrofą.

– Mówią też, że jest pan znakomitym detektywem. Podobno w Hiszpanii dokonał pan cudów.

– Wszystko zależy od tego, co mam znaleźć.

– Chciałbym, żeby mi pan odszukał dyskretnego kolekcjonera, który zniknął, zanim przeszukaliśmy jego dom przy rue de Varenne, gdzie zresztą niczego nie udało się nam znaleźć.

Tristan o mało się nie uśmiechnął. W czasie wojny w Hiszpanii spotkał prawdziwych speców od poszukiwań. Ludzi zdolnych wywęszyć zapasy żywności w ogołoconym gospodarstwie, odnaleźć kryjówkę z kosztownościami w pałacu splądrowanym przez hordy pijanych żołdaków. Patrzył wtedy, uczestniczył w działaniach i dużo się nauczył.

– Boście źle szukali.

– A co, pan może lepiej szuka? – ironicznie zagadnął Rosenberg.

– To zależy przede wszystkim od pewnych czynników ludzkich. Czy pański kolekcjoner ma rodzinę, na przykład dzieci?

– Tak, syna, który ukrywa się w Paryżu, ale jeszcze nie wpadliśmy na jego trop.

Tristan zerknął na ogród. Wyłaniające się spomiędzy drzew niebo błękitniało coraz bardziej. Marcjas czuł, że musi się przejść po Paryżu. Ponad trzy lata nie oddychał powietrzem stolicy.

– Są zatem szanse, że uda się trafić na jakiś ślad.

– Nie rozumiem – wyznał Rosenberg, który zapalił właśnie kolejnego papierosa.

– Proszę sobie wyobrazić, że jest pan aktywnie poszukiwanym kolekcjonerem. Jeśli pan coś ukrył, instynktownie pan wie, że małe są szanse, by to odzyskać. Ale ma pan syna. Dlatego rozgrywa pan swoją ostatnią kartę, kartę przyszłości: zostawia pan synowi znak. Taki, który tylko on zrozumie.

– Ale gdzie? W mieszkaniu?

– Tak, bo syn po powrocie właśnie tam pójdzie najpierw. On też będzie szukał przekonany, że ojciec przed zniknięciem musiał mu zostawić jakąś wskazówkę.

Rosenberg zaciągnął się głęboko papierosem. Logika zawsze go fascynowała, nawet jeżeli używał jej jak opętany w swoich paranoicznych atakach przeciwko Żydom. Tyle że argumentacja, nawet najbardziej przekonująca, nie wystarczała: musiał mieć co do tego czyste sumienie.

– Zaraz pójdziemy do tego mieszkania. Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę pana w działaniu. Ale najpierw muszę wydać rozkazy.

Ruszył w stronę kręconych schodów prowadzących na piętro. Tristan został sam w oranżerii. Chociaż przestawanie z Rosenbergiem nie bardzo mu się uśmiechało, czuł się bezpieczniej, pracując z nim, niż w siedzibie Ahnenerbe w Berlinie. Jeśli Erika odzyska pamięć i esesmani zaczną przejawiać nadmierną ciekawość, Marcjas tutaj, w Paryżu, będzie miał szansę uciec.

– Herr Marcjas, samochód czeka.

Tristan nie zdążył pogłębić refleksji na temat swojej przyszłości. Wraz z Rosenbergiem przeszli przez park i wsiedli do auta, które natychmiast ruszyło. Tristan z zaskoczeniem stwierdził, że uśmiecha się na myśl o własnej brawurze. A jeżeli niczego nie znajdzie? Zdecydowanie lepiej by było, gdyby ten kolekcjoner, o którym tak mało wiedział, poczuł instynkt ojcowski, zanim zniknął jak kamfora.

Rue de Varenne

Jeszcze nigdy Tristan nie widział tak pustego Paryża. Na skrzyżowaniu rue Soufflot z bulwarem Saint-Michel, gdzie na ogół było hałaśliwie i panował duży ruch, teraz pojawiały się dyskretnie pojedyncze szare auta, zmierzając w nieznanym kierunku.

Marcas opuścił szybę, kiedy wjeżdżali na rue de Vaugirard, i uderzyła go cisza: słychać było ptasi świergot dochodzący z Ogrodu Luksemburskiego, chodniki jednak świeciły pustką. Nieliczni przechodnie przemykali pod ścianami budynków, jakby się bali własnego cienia. Francuz nie posiadał się ze zdziwienia – jego miasto, jego stolica okupowana, upokorzona, odmieniona. Na placu Saint-Sulpice podchmieleni żołnierze robili sobie zdjęcia przed fontanną. Paryż przestał istnieć zalany szarą falą, która zniszczyła wszystko. Na skrzyżowaniu z rue du Four Tristan zauważył tablice postawione tam na żądanie okupanta: gotyckim pismem informowały, że dotychczasowe miasto światła stało się miastem cienia – tego, który nazizm rzucał na całą Europę.

– Już prawie jesteśmy – oznajmił Rosenberg. – Uprzedziłem moich ludzi, żeby byli na miejscu.

– Jak pan zwerbował swoją ekipę? – zapytał Marcas. – To archiwiści, naukowcy?

Człowiek o twarzy jak księżyc w pełni wybuchnął głośnym śmiechem. Tristan zauważył, że zęby ma malutkie, ledwie wystające z dziąseł.

– To raczej nie są intelektualiści, co to, to nie! Sam pan zaraz zobaczy.

Kamienica, w której znajdowało się mieszkanie poszukiwanego kolekcjonera, stała na wprost Muzeum Rodina. Wchodziło się do niej przez dziedziniec wewnętrzny, który najlepszy czas miał już za sobą. Podobnie zresztą jak schody o wydeptanych stopniach. Cały budynek przypominał obecną Francję – upadłą i zdeptaną. Nawet słomianka pod drzwiami, w którą wytarło się tyle niemieckich podeszew, zdawała się kompletnie zużyta. Tristan odnosił wrażenie, że całe miasto przywdziało szarozielony kolor mundurów okupanta. Na podeście stał człowiek, którego Marcas od razu zidentyfikował jako francuskiego kolaboranta.

– Przedstawiam panu Marcela Pilorges’a, powszechnie zwanego Maczugą – oznajmił Rosenberg.

Tristan zaraz zrozumiał, skąd się wzięło przezwisko: uścisk dłoni Pilorges’a omal nie zmiażdżył mu ręki.

– Nasz przyjaciel Marcel był kiedyś bokserem. Ma zatem umiejętności bardzo przydatne w rozmowach z właścicielami dzieł sztuki. Sam pan wie, jacy są kolekcjonerzy: zawsze trochę skryci.

– I przypuszczam, że w towarzystwie Marcela nagle chętnie zaczynają mówić o Rubensie albo Modiglianin?

– Niczego nie da się przed panem ukryć... Ale proszę się skupić na mieszkaniu.

Minąwszy krótki korytarz, znaleźli się w przestronnym salonie, którego wysokie okna wychodziły na rue de Varenne. Tristana od razu uderzył pewien szczegół: brak gdziekolwiek choćby kawałka ściany w żywszym kolorze. A przecież jeśli obrazy wiszą

latami, po ich zdjęciu na ścianie pozostają kwadraty bądź prostokąty w oryginalnej barwie, która nie wyblakła pod wpływem światła. Tu najwyraźniej żadnego płótna nie zawieszono na murze. Marcjas ruszył w stronę kominka. Na marmurowym gzymsie również nie było ani śladu po cokolikach, jakby nigdy nie stał na nim żaden posążek. Marcjas zrozumiał, że ktoś go tu wodzi za nos.

– Skoro nie szukamy obrazów ani rzeźb, to może mi pan powie, co mam znaleźć?

Księżyc w Pełni skierował na niego zdumiony wzrok.

– Skąd pan wie?

– Sam pan powiedział, że jestem znakomitym detektywem. Ale jeśli mam kontynuować, musi pan odpowiedzieć na moje pytania. U kogo jesteśmy?

– No faktycznie nie u kolekcjonera. – Rosenberg gestem zaprosił Tristana, by usiadł na kanapie. Nadeszła godzina zwierzeń. – Właściciel mieszkania nazywa się Wasilij Gurdzijew. Do zeszłego tygodnia uczył rosyjskiego w liceum żeńskim przy rue Oudinot. Acz przyznać trzeba, że nie miał dużo uczennic...

Teraz to Tristan nic z tego nie rozumiał. Czemu ludzie Rosenberga interesowali się tak nieznaczącym człowiekiem?

– Zadenuncjowała go konsjerżka, bo nie pojmowała, jak prosty nauczyciel może sobie pozwolić na takie mieszkanie przy rue de Varenne. A ponieważ przyszło jej do głowy, że to pewnie Żyd...

– Jakżeby inaczej!

– Tyle że władze francuskie miały już pełne ręce roboty z prawdziwymi Żydami, nikt więc nie przejął się Żydem przyszywanym. Krótko mówiąc, jego akta w końcu dotarły do nas i podobnie jak konsjerżka zadaliśmy sobie właściwe pytanie: skąd pochodzą pieniądze, które pozwoliły temu prostaczkiowi zafundować sobie mieszkanie w jednej z najpiękniejszych dzielnic stolicy? – Rosenberg podał Tristanowi zdjęcie. Widniał na nim mężczyzna w słomkowym kapeluszu i białych butach pomagający chuderlawemu dziecku w marynarskim ubranku wsiąść na rower.

– Tę fotografię zrobiono latem tysiąc dziewięćset czternastego roku. Dorosły to Wasilij Gurdzijew.

– A dziecko? – nie pohamował ciekawości Tristan.

– Przedstawiam panu Aleksego Romanowa, dziedzica korony Rosji.

Londyn

Kostnica w East Ham

Lipiec 1942

Pierwsze zwłoki leżały na metalowym stole przykryte w trzech czwartych plandeką, spod której wystawała perłowa twarz Rosemary Benton, kontrastująca z czernią plastiku. Jakby odmłodziła o dziesięć lat, nawet cienie pod oczami zbieleły. Na stole obok spoczywała inna naga kobieta, starsza brunetka około sześćdziesiątki, całkowicie odsłonięta. Oprócz tego, że dwa trupy razem znajdowały się na drugim poziomie pod ziemią kostnicy w East Ham, łączyło je coś jeszcze. Swastyka wycięta na czole.

Laure i Malorley w stosownej odległości obserwowali naczelnego koronera pochylonego nad Rosemary Benton. W regularnych odstępach czasu lekarz się prostował i wertował plik kartek, które w końcu położył na brzuchu ofiary. Wydawał się zakłopotany.

– Podsumujmy, komandorze. Jak pan prosił, przeprowadziłem badanie porównawcze tych dwóch ciał, a także młodej osoby znalezionej pół roku temu na cmentarzu w Tower. Tyle że jeśli o nią chodzi, ograniczyłem się do przeczytania raportu mojego szacownego kolegi. – Sir Bentley Purchase zdjął okulary w cienkiej oprawce i hałaśliwie wydmuchał nos. – Żeby złapać katar w kostnicy... Czy to się godzi takiemu profesjonalistcie jak ja?

Koroner był człowiekiem pięćdziesięcioletnim, korpulentnym, o twarzy, którą można by uznać za jowialną, gdyby nie zbyt jasne oczy.

– I jakie są pańskie wnioski? – zagadnął Malorley. – Czy tych trzech morderstw mógł dokonać jeden sprawca?

Sir Bentley zrobił zakłopotaną minę.

– Tak, potwierdzam w stu procentach, jeśli chodzi o te dwa ciała tutaj. Co do tamtego wcześniejszego nie mogę się wypowiedzieć z całą pewnością. Raport kolegi jest zbyt zwięzły, a zwłoki zmarłej już dawno temu spopielono.

– Jakie można przyjąć prawdopodobieństwo?

– Rysunek na czole jest taki sam, to pewne. Zaświadcza o tym załączone do raportu zdjęcie ciała znalezionego na cmentarzu w Tower. Ale każdy by mógł w ten sposób

pociąć te kobiety. Zwłaszcza że fotografie zamieszczono wtedy w prasie. Między nami mówiąc, wyrżnięcie nożem swastyki na czole nie jest takie trudne jak wypatroszenie prostytutki na modłę pocziwego Kuby Rozpruwacza. Ha, ha, ha...

Dumny z siebie patolog wybuchnął gromkim śmiechem. Odpowiedziało mu lodowate milczenie rozmówców. Koroner zakaszał i spoważniał.

– No tak... Odpowiadając na pańskie pytanie: podobieństwo oceniłbym na poziomie trzydziestu procent ze względu na kształt nacięć, które jednak wydają mi się różne. Moim zdaniem to nie ten sam sprawca. Tak też powiedziałem inspektorom ze Scotland Yardu, którzy wczoraj konsultowali się ze mną. – Przeszedł do umywalki, odkręcił wodę i namydlił ręce dużą kostką brązowego mydła. – Przykro mi, że nie mogę bardziej pomóc. Odprowadzę państwa.

Laure podziękowała opatrznosci, że wysłuchała jej modlitw. Jeszcze minuta w kostnicy, a wylądowałyby w łazience, rzygając jak kot. Zwłaszcza smród był nie do zniesienia, odór zepsutego mięsa i cierpka woń środków dezynfekujących. Wyszli z sali sekcyjnej i wsiedli do windy, która zawiozła ich na parter.

– Odnoszę wrażenie, że pani, młoda damo, jakoś nie gustuje w mojej gościnności – rzekł koroner ze śmiechem.

– Czy ktoś w ogóle może gustować?

– Aaa, państwo i tak mieli szczęście. Gdybyście przyszli w apogeum inwazji, zobaczylibyście trupa na trupie. Mężczyzn, kobiety, dzieci... Wszędzie sterty ciał. Gorzej niż w dzień finałów rugby w Twickenham! Rekwirovano nawet chłodnie w rzeźniach, a kostnice były tylko strefą przerzutową. Teraz się uspokoiło... – Odprowadził ich do samego wyjścia, gdzie pożegnał się przyjaźnie. – Proszę przekazać pozdrowienia panu premierowi, jeśli go państwo spotkają. Kiedyś dobrze go znałem. Należeliśmy do tego samego klubu amatorów cygar.

– Nie omieszkać – skłamał Malorley. Odczekał, aż mikrej postury patolog się oddali, po czym zwrócił się do podwładnej: – Sir Bentley nie wierzy, żeby sprawcą była ta sama osoba. Uspokoilaś się?

Zaczął siąpić drobny deszczyk. Laure podniosła głowę ku ołowianemu niebu i pozwoliła, by woda spływała jej po twarzy, jakby chciała się oczyścić. Polubiła deszcz, odkąd zamieszkała w Londynie.

– Nie do końca. Bo a nuż chciałeś zakończyć moje marudzenie i poprosiłeś go, żeby odegrał tę scenkę.

– Zupełnie ci odbija.

– A czyja to wina? Na szkoleniu w SOE nauczyli mnie, że nikomu nie wolno ufać.

Malorley wzruszył ramionami.

– Ależ z ciebie uparciuch... W każdym razie sumienie mamy czyste. Crowley musi wpaść do Moiry O'Connor, żeby jej przekazać filmy z operacji Witchfall. Skorzysta z okazji i do znudzenia będzie ją wypytywał o morderstwa.

– Naprawdę sądzisz, że Moira cokolwiek mu wyjawia?

– Nasz przyjaciel mag potrafi być czasem bardzo przekonujący. Chciałbym zresztą, żebyś ze mną pojechała, to sama się upewnisz, że wyszedł z tego żywy.

Laure pokręciła głową.

– Nie bardzo mi pasuje... O dziewiątej jestem umówiona ze znajomymi. Przepustka... Nie możesz zabrać kogoś innego?

– On niewielu osobom ufa. A ciebie lubi... To zajmie najwyżej parę godzin. Mówił mi, że ma być na wernisażu w galerii przy Leicester Square, a potem zmyka do Hellfire'u.

– I co?

– Odbębni z nim obowiązki towarzyskie, potem idźcie do klubu, ale ty za nic nie wchodź do środka. Na rogu ulicy, która wychodzi prosto na Hellfire'a, jest kabina telefoniczna. Zadzwoń do mnie, kiedy zobaczysz, że Crowley wyszedł. Później będziesz miała jeszcze dość czasu na spotkanie ze znajomymi.

– Będę mogła wziąć taksówkę na rachunek?

– Nie.

– Aleś ty wredny, naprawdę...

Dzielnica Battersea

Z potężnych kominów Battersea Power Station bez końca wydobywał się ciemny toksyczny dym. W niektóre dni jego kłęby były tak nasyczone szkodliwymi zawiesinami, że w sporym promieniu zasłaniały słońce nad budynkami. Mieszkańcy dzielnicy przeklinali tych, którzy postanowili w tej części południowego brzegu Tamizy wybudować to przemysłowe monstrum.

Siedzący za kierownicą furgonetki dowożącej warzywa, zaparkowanej o kilka kwartałów od betonowego potwora, Conrad nie krył podziwu.

– Największa elektrownia węglowa na świecie... Wspaniała konstrukcja – powiedział do kobiety, która siedziała obok.

– O nie, moim zdaniem to okropne szkaradzieństwo. Kupa gliny i żelastwa, która zatruwa powietrze. Nigdy mnie nie przekonasz, że to coś dobrego.

– I w tym właśnie się różnimy. Ja jestem jak Führer: wierzę, że Aryjczyk musi przekraczać własne ograniczenia. W architekturze, nauce, sztuce, ale i w wojnie. Nadczłowiek, człowiek Zachodu, realizuje się w technologii z wyższej półki. A ty jesteś raczej jak Heinrich Himmler. On owszem, ceni postęp, w głębi ducha jednak

chciałby, żeby Aryjczycy na powrót stali się rolnikami i hodowcami. I odnowili związek z ziemią przodków i z cyklami pór roku z dala od zanieczyszczonych miast.

Kobieta przeczesła sobie włosy, zerkając w lusterko wsteczne.

– Mądry gość. Powinnam była przyjść na świat w Niemczech, a nie w tym kraju obciążonym wstecznictwem i korupcją. Ja...

Urwała. Zauważyła właśnie około czterdziestoletniego człowieka, który zmierzał w ich kierunku. Szedł pustą ulicą w kaszkiecie na głowie, z papierosem zwisającym w kąciку ust. Na ramieniu niósł coś w rodzaju skórzanej torby myśliwskiej.

– Co sądzisz o tym kandydacie, Conradzie?

Niemiec się pochylił, by lepiej się przyjrzeć człowiekowi na chodniku.

– Nie bardzo mi się widzi wyeliminowanie go. Wygląda jak Aryjczyk pełną gębą. Poza tym to robotnik, a ja bardzo szanuję proletariuszy. Wolałbym się zająć jakimś bankierem albo kupcem.

– Angielscy robotnicy to kretyni – odparła sucho Suzan. – Sir Oswald Mosley próbował ich werbować do Czarnych Koszul, ale ci debile masowo wybierali laburzystów! Poza tym jeśli marzy ci się bankier, wybrałeś złe miejsce. Oni pracują w City, na drugim brzegu Tamizy.

– Ten twój Mosley to błazen, nigdy nie miał charyzmy Führera czy Mussoliniego.

– Dość tego. To nie pora na polityczne przepychanki. Potrzebujemy na dziś wieczór nowego ciała i dość już zmarnowaliśmy czasu w tej zapadłej dziurze. Zajmij pozycję jak należy.

Suzan otworzyła drzwi i rozejrzała się wokół. Wszędzie było pusto. Zaczęła machać rękami na mężczyznę idącego chodnikiem.

– Pomocy! Ratunku!

Przechodzień przyspieszył kroku i zaraz znalazł się przy niej.

– Co się dzieje? – zapytał, spozierając na dekolt dziewczyny.

– Nie wiem! Chodzi o mojego przyjaciela. Prowadził i nagle zwał się na kierownicę. Nie wiem, co robić.

Conrad leżał na dwóch siedzeniach i jęczał boleśnie, jakby przejechał po nim czołg. Robotnik stanął na stopniu i zerknął do środka.

– Nie jestem lekarzem, ale wygląda nieszczególnie. Trzeba by go zawieźć do szpitala, mogę... – Zwał się bez czucia.

Stojąca za nim Suzan trzymała pałkę w ręce. Conrad się poderwał, ze schowka na rękawiczki wyjął strzykawkę i czym prędzej wbił igłę w szyję ofiary.

W niecałe dwie minuty przepchnęli ciało robotnika za siedzenia. Furgonetka ruszyła z wizgiem opon.

– Szkoda... Biedak miał wygląd jak się patrzy – mruknął Conrad. – Podłużna czaszka, szare oczy... Naprawdę szkoda.

– E tam, cuchnął gorzałką! Niewykluczone, że komuch. – Suzan umościła się w fotelu i oparła nogi o deskę rozdzielczą. Westchnęła przeciągle. – Conrad, jak długo ma trwać to zadanie? Nie jestem pewna, czy chcę to ciągnąć. Zaangażowałam się z przyczyn ideologicznych. W ostateczności zabijanie wrogów Rzeszy jeszcze bym zrozumiała, ale zwykłych ludzi... Nie ma powodu do chwały.

– To wojna, Suzan, ty jesteś bojowniczką, a nasze ofiary to żołnierze wroga polegli na froncie.

– Wiem, już to mówiłeś... Ale przedwczoraj przy tej Rosemary Benton aż mnie serce zakłuło. Była przyzwoitą Angielką. Przypominała mi ciotkę. Ty masz słabość do proletariuszy, a ja do matek rodziny.

– Nie wolno ci się ugiąć, nasze zadanie jest ważniejsze od wszelkich rozważań moralnych – powiedział Conrad. – Ale już niedługo to potrwa, kochanie. Niedługo.

Oparła mu głowę na barku i pogłaskała go po przedramieniu.

– Nie zapomnij o swojej obietnicy... Niemcy! Dom z pięknym ogrodem w Monachium, pies. Nie mogę się doczekać, kiedy urodzę ci śliczne dzieci, będę ci gotować pyszności, gdy przyjedziesz na przepustkę.

– Będziesz wzorową matką i żoną, mein lieblich. Zabiorę cię do raju, obiecuję.

Paryż

Rue de Varenne

Tristan trzymał zdjęcie w dłoniach. Ciemnowłose dziecko, które próbowało wsiąść na rowerek, musiało mieć około dziesięciu lat, ale oprócz wątego wyglądu uderzało w nim mocno wystraszone spojrzenie. Stojący obok niego dorosły troskliwie podtrzymywał chłopca, jakby się bał, że dziecko się przewróci.

– Wasilij Gurdżijew był preceptorem carewicza Aleksego, syna ostatniego cara Wszechrusi.

– Jak się znalazł we Francji?

– Kiedy komuniści przejmowali władzę, zatrzymali cara Mikołaja wraz z całą rodziną i skazali na areszt domowy. Wszystkich dobrze pilnowała sowiecka tajna policja.

Marcas palcem wskazał chłopca.

– Aleksy był chory na hemofilię. Nawet drobna ranka, niewielkie krwawienie mogły się okazać dla niego fatalne w skutkach. Szacowano, że nie dożyje dwudziestu lat. Dlatego komuniści zezwolili jego preceptorowi, żeby z nim został. Gurdżijew pewnie planował utrzymać go przy życiu, by mieć kartę przetargową, jeśli sprawy źle się potoczą.

Wpatrzył się w dziecko o wzroku mrocznym jak bezdenna studnia. Chłopiec, już przez chorobę skazany na przedwczesną śmierć, stał się także ofiarą ludzkiego gniewu. To, że przyszedł na świat jako dziedzic korony, przyspieszyło tylko chwilę, gdy pogrążył się w nieszczęściu.

– Co się z nim stało?

– W nocy siedemnastego lipca tysiąc dziewięćset osiemnastego roku wydano rozkaz zamordowania całej rodziny carskiej. Komuniści z Leninem na czele bardzo się bali, żeby cara i jego bliskich nie uwolnili zwolennicy. Aleksy miał zostać zabity razem ze wszystkimi osobami ze swojego otoczenia.

– Zważywszy na stan jego zdrowia, śmierć musiała nastąpić bardzo szybko. Przynajmniej nie cierpiał – zauważył Tristan.

Rosenberg pokręcił głową.

– Przeciwnie, przeżył pierwszą salwę. Jeden z rozstrzeliwujących wpakował w niego cały magazynek, ale chłopak nie od razu umarł. Trzeba go było dobić dwoma strzałami w głowę.

– A jego preceptor?

– Nie było go wśród jedenastu ofiar.

Dla Tristana wyjaśnienie było oczywiste i zaczął rozumieć, co interesuje nazistów w tym dramacie, który się dokonał ponad ćwierć wieku wcześniej.

– Znaczy to, że uciekł przedtem. Bolszewicy nigdy by nie uwolnili świadka masakry, której się dopuścili.

Księżyc w Pełni dyskretnie przytaknął, po czym podjął:

– Na tej podstawie można rozważyć dwie możliwości. Albo Gurdzijew wyczuł, że sytuacja zrobi się krytyczna, i uciekł, by ratować własną skórę. Zwolennicy cara byli przecież w odległości raptem kilku kilometrów, mógł do nich dołączyć...

– ...albo uciekł na rozkaz cara i coś ze sobą zabrał. I to jest pańska hipoteza – stwierdził Marcjas. – Właśnie dlatego chce pan, żebym go odnalazł.

Do mieszkania chwilę wcześniej wkroczył Marcel. Podszedł do ściany między kominkiem a oknem i zaczął ją ostukiwać, lecz dźwięki, stłumione i bez pogłosu, wszędzie brzmiały jednakowo. W tej części muru nie było żadnej skrytki.

– Marcel to były legionista. Służył w Afryce Północnej. Zaawansowane poszukiwania to dla niego chleb powszedni, mocno się więc zeźlił, że niczego nie znalazł. Odbiera to jako osobistą zniewagę.

Tristan o mało nie wzruszył ramionami. Tylko nazista mógł mówić w ten sposób. Oni wszyscy mieli w sobie taką żądzę wyższości, że nie potrafili się pogodzić z najdrobniejszą choćby porażką.

– Właściwe pytanie brzmi: czego pan szuka?

Rosenberg nie odpowiedział. Marcjas się zastanowił, czy aby nie poszukuje kompromitujących dokumentów, które mogą zaszkodzić Sowietom. Przystąpiwszy do wojny, Stany Zjednoczone miały zwiększyć pomoc dla ZSRR, a ujawnienie jakiegoś skandalu mogło wpłynąć na dostawy broni i sprzętu. Z całą pewnością zaś można było liczyć, że Goebbels rozpęta kampanię medialną, która odbije się echem na arenie międzynarodowej.

A jeżeli Himmler, lepiej poinformowany, niż twierdził, próbuje zdobyć pierwszy te dokumenty i dlatego wysłał Marcasa, aby je odszukał? Ponieważ Rosenberg nadal milczał, Tristan postanowił przystąpić do ofensywy.

– Czegokolwiek pan szuka, Gurdzijew część już spieniżył. Inaczej jak wytłumaczyć, że stać go było na takie mieszkanie?

Przyszły minister strzelił palcami. Zaraz pojawił się Marcel ze skórzaną teczką z odcisniętym na niej znakiem orła ze swastyką. Księżyc w Pełni ją otworzył.

– Zdobyliśmy to. – Na oczach oniemiałego Tristana położył na stole chusteczkę. – Proszę ją rozwinąć.

Spomiędzy fałdek tkaniny wyłoniła się różowa perła oprawiona w złoto. Wielkość perły, jak i jej blask były wyjątkowe. Rosenberg podał Francuzowi lupę.

– Proszę obejrzeć obrączkę wewnątrz.

Marcas natychmiast rozpoznał cyrylicę.

– To pierścion zaręczynowy, który car Rosji podarował przyszłej małżonce. Był talizmanem carycy. Znaleźliśmy go w ofercie jubilera przy placu Vendôme. Po rozmowie z Marcelem jubiler bez problemu podał nazwisko Wasilija. I w ten sposób dotarliśmy tutaj.

– Jest pan więc przekonany, że Gurdzijew uciekł z Rosji, zabierając kosztowności carskiej rodziny?

Rosenberg na powrót zawiązał cenną perłę w chusteczkę.

– Skoro caryca zgodziła się rozstać z pierścieniem zaręczynowym, znaczy to, że ten Wasilij musiał wywieźć wszystkie kosztowności Romanowów. To kolosalna fortuna... A Rzesza potrzebuje dewiz. – Księżyc w Pełni się przybliżył i ściszył głos. – Dla mnie to jedyna okazja, żeby wrócić do łask Führera.

Chyba że ja znajdę je przed tobą, pomyślał z przekonaniem Tristan. Jakby odgadując jego myśli, Rosenberg przestrzegł:

– A gdyby przyszła panu do głowy samobójcza myśl, żeby mnie przechytrzyć na korzyść swojego szefa, byłego hodowcy drobiu, Marcel z wielką przyjemnością zademonstruje panu swoje talenty...

– Jeśli ma takie zdolności w pięściach jak w głowie... – ironicznie rzucił Tristan.

– Już mnie nie bawi pańskie poczucie humoru, Herr Marcas. Jest pan tutaj, żeby wypatrzeć jakąś wskazówkę, proszę ją więc znaleźć.

Tristan wstał.

– Wie pan, gdzie jest pokój syna?

– W głębi drugiego korytarza.

Otworzywszy drzwi, Marcas ocenił rozmiary zniszczeń. Biurko wybebeszono, szuflady porozbijano, łóżko wywrócono, a materac przecięto nożem wzdłuż i wszerz.

– Technika Marcela, tak?

– Niech pan dowiedzie, że pańska jest lepsza! – odpalił Rosenberg.

– Większość dzieci ma w swoim pokoju jakąś skrytkę, w której trzymają najpiękniejsze kulki, żołnierzyki... Skrytkę, o której rodzice oczywiście wiedzą, ale

udają, że nie mają o niej pojęcia. Jeżeli Wasilij zostawił wiadomość dla syna, na pewno tam ją ukrył.

Marcel wzruszył ramionami.

– Wszystko przeszukałem, każdy mebel.

– Znaczy to, że kryjówka nadal jest w pokoju. Nietknięta.

– Opukałem ściany, nic tam nie ma!

– Dziecko nie chowa swoich sekretów pod tynkiem czy tapetą. Skrytka musi być zawsze pod ręką. W każdej chwili łatwo dostępna.

Tristan opadł na czworaki.

– Co pan robi? – zapytał Rosenberg.

– Zniżam się do poziomu wzroku dziecka.

Marcel zdążył wcześniej zdemontować obudowę kominka. Marcas sprawdził łączenia cegieł paleniska. Któraś mogła dać się wyjąć. Zaprawę łatwo było uzupełnić pastą do zębów przyciemnioną popiołem. Na próżno jednak próbował je kolejno poruszyć – żadna ani drgnęła.

– Czyli zostają dwa wyjścia: drewniane obicia wzdłuż ścian albo klepki parkietowe.

– Zajmę się obiciami – oświadczył Marcel, wyjmując nóż, by oderwać deski od muru.

Marcas zrzucił buty i bosy badał parkiet. Wszystkie płytki były tej samej wielkości. Nie widział między nimi żadnej różnicy. Posuwając się naprzód, bacznie oglądał szpary między klepkami. Gdyby któraś dała się wyjmować, w szparach wokół niej byłoby mniej kurzu. Marcel tymczasem odrywał kolejno ozdobne deski pod inkwizytorskim spojrzeniem Rosenberga.

– Tylko tracimy tutaj czas, Herr Marcas, w tym pokoju nic nie ma. Podobnie jak w całym mieszkaniu. Pudło.

– Gdzie stało łóżko?

Marcel wykonał niezbyt pewny gest. Tristan podszedł do wskazanego miejsca i dostrzegł ślady po nogach łóżka. To była jego ostatnia szansa. Ukląkł i metodycznie zbadał parkiet. Były legionista kończył właśnie odrywać ostatnią deskę. Wbijany z rozmachem nóż nadział się na występ muru, odbił się i wylądował blisko Tristana. Marcas usunął się przed nim gwałtownie, waląc łokciem w miejsce łączenia kilku klepek, które zapadły się w chmurze pyłu. Rosenberg runął w jego stronę.

– A niech mnie, Marcas! Znalazł pan!

Marcel wsunął dłoń do dziury i wyjął jakiś przedmiot zawinięty w poczerńiałą szmatę.

– Kurwa, ciężkie toto jak wszyscy diabli!

Ze szmaty na podłogę wyleciał kamień. Tristan go odwrócił. Był to typowy kamień łamany z takich, jakie służą do stawiania murów. Na najszerszym boku widniał napis wygrawerowany na czarno:



▲ G ▲ G ▲ G 1777

Rosenberg się nachylił.

– Jeśli dobrze pojmuję tok pańskiego rozumowania, dotąd słusznego, ta inskrypcja powinna nas doprowadzić do Gurdżijewa?

– Jeżeli dla jego syna coś oznacza, to i nam przekaże jakąś treść – zapewnił Marcjas.

Marcel wziął kamień i zawiązał na powrót w szmatę, po czym otworzył okno, aby uprzedzić szofera, że ma uruchomić silnik samochodu.

– Na razie, Herr Marcjas. Jutro zajmie się pan kamieniem, żeby do nas przemówił – zapowiedział Rosenberg.

– Nie ma mowy. Będę musiał przeprowadzić stosowne poszukiwania, potrzebuję zatem więcej czasu. Chyba że woli pan, abym zawiadomił Reichsführera, on jest bardzo łasy na wszelkie tajemnice, szyfry...

– Dostyc. Wracamy do oranżerii. Marcel, zostajesz tutaj, póki nie przyślę ekipy, która cię zmieni. Trzeba pilnować tego mieszkania, bo Wasilij albo jego syn mogą się tu zjawić.

Tristan wziął kamień od byłego legionisty. Faktycznie był cięższy, niż przypuszczał. Ten, kto go wybrał i wyjął z jakiegoś muru, musiał mieć ważny powód. W drzwiach Rosenberg obrócił się gwałtownie. Jego oczy, zazwyczaj bez wyrazu, ożywały z wolna niczym węzowe ślepia.

– A panu, Marcjas, daję dwadzieścia cztery godziny. Przedtem jednak udowodni mi pan swoją lojalność. Pamięta pan Corota?

– Fałszywego Corota.

– Właśnie. Zanim przyjechaliśmy tutaj, kazałem swoim ludziom sprowadzić pasera, który mi sprzedał ten obraz. Czeka na pana.

- Czemu na mnie?
- Bo pan zmusi go do przyznania się, że wcisnął mi kopię.

Londyn

Leicester Square

Cerber w smokingu tkwił przed wejściem do galerii 12. Laure podała swoje nazwisko, jak polecił jej Crowley przez telefon. Strażnik otworzył przed nią drzwi, obdarzając ją wesołym uśmiechem. Ewidentnie jej skromna letnia sukienka w białe groszki, lekko wydekoltowana, robiła wrażenie na mężczyznach. Zadowolona Laure odwzajemniła uśmiech. Nie włożyła sukienki specjalnie na ten wernisaż, na którym nie spędzi wiele czasu, lecz ze względu na wieczorne spotkanie zorganizowane przez koleżankę.

Zerknęła na zegarek. Miała dość czasu, aby odebrać maga i odstawić go do Hellfire'u. A później kierunek: centrum miasta. Zacznie się jej przepustka. Potrzebowała odrobiny rozrywki. Niepokojące rewelacje Malorleya na temat odkrycia Thule Borealis z ojcem Tristana i późniejsza wizyta w kostnicy mocno podkopały jej morale.

W galerii było gęsto od ludzi. W tej ciżbie Laure na próżno rozglądała się za Crowleyem. W galerii odbywały się dwie wystawy równocześnie: jedna nosiła tytuł Brytyjska sztuka patriotyczna, a druga Tarot i ezoteryka. Zderzenie kultur, pomyślała Laure, torując sobie drogę przez tłum. Nie trzeba było przeprowadzać śledztwa, by znaleźć Crowleya. Francuzka przeszła przez dużą salę o ścianach polakierowanych na szkarłatno, obwieszonych serią płócien niedużego formatu, prostokątnych, wielkości albumu. Karty do tarota. Pośrodku ściany frontowej widniało graffiti złożone z czarnych liter:

THOT

Goście skupiali się w ciasnych grupkach. Zauważyła Crowleya, który brylował wśród dystyngowanych z wyglądu pań w pewnym wieku. Pochwycił jej spojrzenie i dał znak, by poczekała. W odpowiedzi Laure wyciągnęła rękę z rozstawionymi pięcioma palcami, dając mu do zrozumienia, że ma pięć minut, po czym zaczęła oglądać wystawione prace.

Potrafiła nazwać poszczególne karty tarota: Świat, Diabeł, Papieżycy, Rydwan, Głupiec... Przed wojną znajoma ojca podarowała jej talię kart tarota marsylskiego, którą przez jakiś czas się zabawiała, a potem schowała ją w szufladzie, gdzie leżała

zapomniana. Karty, na które teraz patrzyła, dość wyraźnie odbiegały od oryginalnych, niemniej oglądała je bez przykrości.

Podeszła do płótna przedstawiającego kobietę w omdlewającej pozie, o długich włosach, które falowały między dwoma naczyniami. Tłem był glob kosmiczny w centrum z obracającą się gwiazdą na szczycie. U stóp kobiety leżał stos kryształów.

– Gwiazda... Nie mogła pani lepiej trafić. Jedna z najpomyślniejszych kart.

Człowiek, który to powiedział, stanął obok niej i również oglądał kartę. Miał około sześćdziesiątki, krótkie kasztanowe włosy, nos prosty jak grecki posąg, usta o delikatnym rysunku.

– Przykro mi, nie wierzę we wróżby – odparła Laure – ale uważam, że to praca godna uwagi.

– Nie miałem na myśli przepowiedni, tylko symbolikę. W tarocie tradycyjnym Gwiazda symbolizuje nadzieję, poszukiwanie absolutu, którym może być szczęście albo najwyższe poznanie. Czyli to, do czego powinna dążyć każda istota ludzka godna tego miana. – Urwał i odwrócił się do Laure. Z przodu jego twarz nie była tak chłodna, jak sobie wyobrażała. – Ależ zaniedbałem dobre maniery, nie przedstawiłem się. Jestem lord Basil Corduran, panno...?

– Laure. Po prostu Laure.

– Cóż, droga Laure, pozwoli pani, że objaśnię do reszty znaczenie tego dzieła?

– Z przyjemnością posłucham.

Corduran wskazał palcem górną część karty tarota.

– Proszę zauważyć, że mamy tu rozrzucone trzy heptagramy, czyli gwiazdy siedmioramienne. Wiccańskie czarownice nazywają tę odmianę gwiazdą wróżki albo elfów. Czuwa nad czarami. Znajdujemy ją również w niektórych manuskryptach alchemicznych, gdzie czubek każdego ramienia odpowiada jednej z siedmiu planet astrologicznych. Kabaliści powiedzą, że u nich to septagram, który przedstawia dni tygodnia i siedmiu aniołów stróżów tronu Bożego. Ta karta, Gwiazda, zestraja bezgraniczną moc energii kosmicznej z ciałem młodej kobiety, które nią promieniuje. Mogłaby być pani kartą ochronną.

– Zamówię u artysty kopię karty, żeby mieć talizman.

– A to już proszę zrobić na własną odpowiedzialność – odpowiedział, ironicznie wykrzywiając usta.

– Dlaczego?

– Otóż diabeł tkwi w szczegółach... Zwłaszcza w tej niebezpiecznej zabawie. Widzi pani, lady Frieda Harris należy do ezoterycznego bractwa OTO, Ordo Templis Orientis. Założycielem OTO jest ten zboczeniec Crowley, który z nią pracował. Dla jego wyznawców siedmioramienna gwiazda to znak Babalon, wielkiej szkarłatnej bogini.

Świętej prostytutki, która symbolizuje niedającą się kontrolować potęgę żeńskiej seksualności. Ta naga niebieskowłosa kobieta, którą widzi pani na karcie, jest opętana przez Babalon. Choć z pozoru anielska, ta karta wzywa do rozwiązłości.

– Nie ma w tym nic ezoterycznego...

– Wręcz przeciwnie. Ezoteryka to coś, co jest wewnątrz, ukryte przed oczami zdecydowanej większości. Kto jest wtajemniczony, ten inaczej patrzy na świat i... – Corduran przerwał, widząc nadchodzącego Crowleya. Jego twarz naraz stwardniała. Skłonił się przed Laure. – Zostawiam panią, bo chyba raczej nie odpowiada mi towarzystwo pani... przyjaciela.

– Nie przypuszczałam, że Aleister ma taką złą opinię.

– To człowiek zepsuty do szpiku kości, moja droga. Wynaturza wszystko, czego się dotknie, jest wcieleniem całej ludzkiej podłości.

Crowley doszedł do nich i uściskał Laure.

– Widzę, że poznała się pani z właścicielem galerii. Powiedział pani o swoich poglądach rasowych w dziedzinie malarstwa?

– Uważaj pan, Crowley... – burknął Corduran.

– Jasne... jasne... Widzi pani, Laure, nasz przyjaciel zawsze miał mocno sprecyzowane poglądy na temat sztuki. Przed wojną odmawiał wystawiania artystów pierwszoplanowych, takich jak Picasso, Cézanne, Dalí czy Mondrian. Pod pretekstem, że to... jak to pan wtedy mawiał...? a tak, sztuka zdegenerowana. Że posłużę się wyrażeniem używanym wówczas przez Hitlera i jego wesołych towarzyszy. W charakterze anegdoty powiem tylko, że ci malarze odnieśli niesamowity sukces w Leicester Gallery położonej zaraz naprzeciwko. Ku nieopisanej wściekłości naszego drogiego Cordurana, któremu przeszła koło nosa taka piękna sprzedaż.

Właściciel galerii zbladł. Laure dyplomatycznie odkaszlnęła.

– Idziemy, Aleister? – I zwróciwszy się do Cordurana, dodała: – Dziękuję za miłą rozmowę. Będę pamiętała, że Gwiazda to moja karta ochronna. Oczywiście pominąwszy jej... cielesną interpretację.

Właściciel galerii skłonił się przed Francuzką, a Crowleyowi pokazał plecy. Patrzył na Laure, która trzymała maga pod rękę, kiedy wychodzili.

– Nie ma czasu na skandale – szepnęła do Aleistera. – Niech pan się pospieszy.

– A byłyby powody... Przed wojną Corduran i ta jego banda antysemitycznych kumpli spod znaku Mosleya rozplądali się w zachwytach nad Hitlerem. Corduran wykazał się sprytem i w porę zmienił barwy, tuż przed wypowiedzeniem wojny. Ale na próżno zorganizował ten wernisaż sztuki patriotycznej...

Dwoje agentów SOE pomykało naprzód, jakby ich sam diabeł ścigał.

– Ci dranie należą do ludzi, którzy pojawiają się wszędzie, choć w czasie wojny endemicznie. We Francji też takich mamy. Niech pan odbierze z szatni torbę z filmami i zmykamy do pańskiego dawnego domu schadzek. Jestem umówiona na wieczór, kiedy już odstawię pana, gdzie trzeba, i nie chcę się spóźnić.

– Mmm... Z koleżankami w swoim wieku? Mogę iść z panią?

– Nawet w marzeniach nie.

– No trudno – jęknął mag. – W takim razie będzie musiało wystarczyć mi towarzystwo rozpustników w Hellfirze...

Paryż

Dzielnica Panteon

Lipiec 1942

Po powrocie do oranżerii Tristan udał się w kierunku schodów prowadzących do piwnicy. Stopnie w środkowej części były wydeptane. Stając na piaszczystym podłożu, zrozumiał, że oto cofnął się w czasie. Długie kamienne sklepienie podziemnej sali powstało w średniowieczu. Piwnicę starannie zbudowano – nie było czuć wilgoci ani przeciągów – niewątpliwie na jakieś rzadkie towary bogatego kupca. Pośrodku całość wspierał szeroki filar. Marcas nachylił się do jego cokołu ozdobionego w rogach żółwimi skorupami wyrzeźbionymi w kamieniu. Była to jedna z niespodzianek stolicy: ledwie człowiek zszedł pod ziemię, odkrywał prawdziwy średniowieczny Paryż, miasto pod miastem, rozległe i praktycznie nieznane. Bolesny wrzask w głębi pomieszczenia wyrwał go nagle z fascynacji. Tristan się wyprostował i dojrzał przywiązanego do haka nagiego człowieka, którego właśnie bez ceregieli przesłuchiowano. Na stole obok ustawiono dwa świeczniki po obu stronach miednicy. Jeden z oprawców mył sobie w niej ręce. Woda już była czerwona od krwi. Nie odwracając się, zwrócił się do Tristana:

– Popieściliśmy go porządnie, ale niewiele powiedział. On nic nie wie. To zwykły łachudra, który myślał, że uda mu się nachapać za plecami szefa.

Jego pomagier dodał:

– W końcu wydusiliśmy nazwisko gościa, od którego kupił obraz, ale ten gnojek zniknął z obiegu. To już zostało sprawdzone. W tej chwili pewnie liczy forsy gdzieś za linią demarkacyjną.

Mówiąc, wkładał ostrożnie koszulę, uważając, by nie pobrudzić mankietów.

– Jak się nazywa człowiek, którego przesłuchaliście? – zapytał go Tristan.

– Bertrand Tustal. Nienotowany, sprawdziliśmy w prefekturze. Zwykły konsjerż. Gołodupiec, któremu się zdawało, że jest królem kanciarzy, i chciał się zabawić na podwórku wielkich.

Marcas nie odpowiedział. Domyślił się, że ma do czynienia z dwoma gliniarzami, którzy dorabiają na boku, pracując dla Niemców. Z pomagierami dyskretnymi, skutecznymi i bezdusznymi.

– No, to my się zbieramy. Zostawiamy ci gnojka. Możesz go sam wykończyć.

Usłyszawszy ich kroki na schodach, gdy szli na górę, Tristan odetchnął. Nienawidził takich kolaborantów, którzy za parę srebrników sprzedawali swoje usługi okupantowi. Zostawiali za sobą odór zdrady cuchnący bardziej niż dół kloaczny pełen ekskrementów. Podszedł do pasera, który choć porządnie poobijany, zachował przytomność. Patrzył szeroko rozwartym jednym zdrowym okiem. Marcas się nachylił, aby go obejrzeć.

– Rozbity łuk brwiowy, prawy policzek w kawałkach, zuchwa do niczego się nie nadaje... Możesz jeszcze mówić?

– Tak – wybełkotał Tustal, plując krwią.

Tristan wyjął papierosa, którego wetknął mu między wargi i zapalił.

– Jak się nazywa ten, co ci wcisnął ten kicz?

– Samuel... Müller... Już im mówiłem.

– Miał jeszcze inne obrazy?

– Całą furę... Wisiały wszędzie na ścianach, ale nie chciał ich sprzedać.

– No jasne! – Tristan zaśmiał się szyderczo. – I to cię nie zdziwiło?

Zrozumiał właśnie, jak to się stało, że konsjerż dał się tak naciągnąć.

– Nie, a czemu?

– No to ci wytłumaczę, co się stało. Twój kolekcjoner wcisnął ci fałszywkę i za pieniądze, które mu zapłaciłeś, dyskretnie przeniósł gdzieś całą kolekcję, a potem sam zniknął. Dałeś się wpuścić w maliny. Bo na dokładkę opchnąłeś fałszywkę kumpłowi Hitlera, który nie lubi, jak go robią w konia.

– Już po mnie!

– Skąd znasz tego kolekcjonera?

– Mieszka na pierwszym piętrze kamienicy... Jestem tam konsjerżem... Dobrze go znam. Kiedyś wieczorem przyszedł do mnie i powiedział, że jest Żydem i musi szybko wyjechać. Że będę mógł sprzedać płótno Niemcom. Że oni wszystko kupują. Że to złoty interes, a ja akurat dostałem nieduży spadek...

Zirytowany Tristan wszedł mu w słowo:

– I pomyślałeś sobie, że łatwo możesz zarobić. No tak, rozumiem. A powiedz, jesteś pewien, że ten twój Müller to Żyd?

– Właśnie trochę mnie to zdziwiło, bo co niedzielę idą z żoną do kościoła protestanckiego przy rue de l'Oratoire, a potem jadą na wieś.

– Wiesz gdzie?

– Ojciec pani Müller ma gospodarstwo w Réveillon w Le Perche. A co?

Teraz Marcas zapalił papierosa. Jego stosunek do wyrobów tytoniowych był niejednoznaczny. Mógł nie palić tygodniami, ale kiedy musiał wyteńczyć szare komórki,

potrzebował usłyszeć suchy dźwięk kamienia zapalniczki i zaraz potem miłe dla ucha trzeszczenie papierosa. Tustal tymczasem mówił bez chwili przerwy, jakby nie mógł przestać. Strach zaczynał władać jego głosem, który zrobił się urywany i ledwie słyszalny. Tristan nie słuchał jego słowotoku, usiłując wymyślić jakiś plan. Sytuacja była raczej sprzyjająca, ponieważ oprócz nazwiska sprzedawcy, który przepadł jak kamień w wodę, gliniarze kolaboranci niczego więcej z niego nie wyciągnęli. On natomiast złapał trop, który być może go doprowadzi do niesłychanie bogatej kolekcji malarstwa. Taka informacja niewątpliwie ucieszy Rosenberga. A Müller, który wolał poświęcić życie bliźniego, sądził, że jest bezpieczny u teścia. No cóż, może go spotkać niemiła niespodzianka.

Tustal, wciąż przymocowany do haka, z zakrwawionymi ustami, zaczął się wydzierać:

– Zdechnę jak pies! Szwaby mnie rozwalą! No powiedzże pan coś!

Tristan się nie odezwał. Zastanawiał się właśnie, jak by mu uratować życie, nie narażając swojego.

– Dostanę kulkę w łeb, nie? W tej piwnicy? Ty to zrobisz? No gadaj!

Marcas uznał, że podsuwając od razu trop Rosenbergowi, ma szansę utrzymać tego durnia przy życiu, przynajmniej dopóki Niemcy nie odnajdą obrazów. Później...

– Nie wszystko powiedziałem... mam informacje... wiem o partyzantach, wrogach Niemców. Mogę podać nazwiska, adresy...

Tristana zatkało.

– Kretynie – przerwał mu – myślisz, że uratujesz własną skórę, denuncjując niewinnych ludzi...

– Nie są niewinni... Mówiłem o kościele przy rue de l'Oratoire... Pastor... ukrywa Żydów.

– Takich jak twój przyjaciel Müller, co to mają teścia hodowcę bydła w Normandii?

– Nie, prawdziwych Żydów, ale z fałszywymi nazwiskami... dzieci... Śpiewają w chórze kościelnym... Ludzie nic nie kapują... ale jak pogrzebać głębiej...

Marcas z trudem się powstrzymał, aby mu nie przyłożyć. Nagle zapragnął do szaleństwa dokończyć robotę francuskich policjantów.

– Ty śmieciu, sprzedałbyś własną matkę, gdybyś mógł!

– ...nie tylko dzieci... jest nawet Anglik... lotnik... Moja kobieta tam sprząta, słyszała go... Pastor ani chybi ukrywa go na strychu... Jego samolot musiał się rozbić w czasie bombardowania Billancourt... Pewnie wyskoczył ze spadochronem...

Donosiciel nie dokończył zdania, Tristan bowiem zatkał mu usta dłonią.

– Ilekroć się odzywasz, posyłasz kogoś na śmierć. A teraz posłuchaj uważnie. Fryce wiedzą o siatce z rue de l'Oratoire. Już dawno została zinfiltrowana. Dlatego się

zastanów: jeżeli powiesz o niej szkopom, sądzisz, że grzecznie cię wypuszczą, ryzykując, że zaczniesz paplać, tak jak lubisz?

Marcas zabrał rękę z ust tego człowieka. Zaraz się dowie, czy jego blef zadziałał.

– Słowa nie pisnę, przysięgam!

– Dobra, tyle że najpierw musisz mnie przekonać.

– Co pan chce wiedzieć?

– Nazwisko pastora.

– Maury. Étienne Maury. To co, powie pan Niemcom, żeby mnie puścili?

Tristan się schylił i wziął do ręki jeden ze świeczników. Był z litego srebra. Na pewno go zrabowały oprychy Rosenberga, najważniejsze jednak, że był wystarczająco ciężki.

– Raczej nie.

– Ale wszystko powiedziałem!

– Właśnie. Raz zdradziłeś, czyli możesz zdradzić ponownie. Nie mogę ryzykować.

– Niech mnie pan nie zabija...

Tristan podniósł do góry świecznik.

– O, interesują pana srebra, Herr Marcas? – rozbrzmiał pod sklepieniem wysoki głos Rosenberga. Zaskoczony Francuz odstawił świecznik. – Ależ proszę go sobie oglądać. To wyjątkowy przedmiot. Z litego srebra. Wspaniały przykład sztuki renesansowej. Zdaniem naszych specjalistów powstał gdzieś w północnych Włoszech. Przyjechał tutaj pewnie w bagażach Medyceuszy w czasach, gdy ich córki poślubiały królów Francji.

Tristan odetchnął głęboko. Nie miał ochoty słuchać niekończących się wywodów Księżyca w Pełni.

– O historii pogadamy później. Ma pan ekipę, która może zaraz wyruszyć?

Rosenberg się zawahał.

– Tak, a gdzie miałyby jechać? – odrzekł wreszcie.

– Do Dolnej Normandii, do Réveillon, osady w szczerym polu. Niech wypytają miejscowych żandarmów, na pewno zwrócili uwagę na paryżan, niejakich Müllerów, którzy zamieszkali w jednym z gospodarstw. To małżeństwo przyjechało mocno wyładowaną ciężarówką.

Zaintrygowany Rosenberg aż się wzdrygnął.

– A co było w ciężarówce?

– Kilkadziesiąt obrazów. Tym razem autentycznych.

Księżyc w Pełni odwrócił się do schodów.

– Marcel!

Kolaborant zjawił się w mgnieniu oka.

– Weź kilku ludzi – rozkazał Rosenberg – i ruszajcie do Réveillon. To w Normandii. Masz znaleźć tam Żydów, niejakich Müllerów, przesłuchać ich porządnie i...

– Nie są Żydami.

– Nieważne. I masz mi przywieźć ich kolekcję. Obrazy. Ale najpierw zajmij się tym gnojkiem, który próbował mnie oszukać... – Palcem wskazał więźnia, który zaczął wrzeszczeć:

– Wiem różne rzeczy, powiem...

Nie zdążył nic powiedzieć. Świecznik, który Tristan wciąż trzymał w ręce, spadł na jego kark. Rozległ się suchy trzask łamanych kości. Zdumiony Rosenberg wyjąkał:

– Nigdy... bym nie sądził... że jest pan zdolny...

– To dopiero początek niespodzianek.

Urażony Rosenberg zaraz wziął się w garść.

– Dałem panu dwadzieścia cztery godziny na rozszyfrowanie inskrypcji znalezionej u Gurdziejewa. Radzę się pospieszyć, zostało panu już tylko dwadzieścia godzin.

Londyn
East End

– Kupujcie „Guardiana”! Winston Churchill zagrożony! Kupujcie „Guardiana”! Złożone wotum nieufności wobec premiera!

Crowley, który trzęsąc tłustym brzuchem, szedł obok Laure, ominął gazeciarza stojącego przed kwiaciarnią. Byli w drodze od dobrego kwadransa, do Hellfire’u mieli już niedaleko.

– Nie znoszę prasy i dziennikarzy – wymamrotał Aleister – a zwłaszcza bulwarówek. Bogiem informacji jest Moloch, który co dzień rzyga żółcią do ludzkich umysłów.

– Nie podzielam pańskiego punktu widzenia. Kto jest poinformowany, jest wolny.

– Bzdura! Informacja to nowy awatar podległości człowieka. Tak samo jak moralność, autorytet, religia. Wojna też...

Laure się uśmiechnęła. W aktach maga w SOE wyczytała, że zaproponował „Timesowi” kurs magii praktycznej, potem serię artykułów poglądowych z rysunkami erotycznymi, mających stymulować seksualność par. Redaktor naczelny gazety odprawił go krótko i zgłosił sprawę władzom.

– Parlament chce głowy premiera! – wydzierał się chłopak w kaszkiecie koloru khaki, wymachując gazetą niczym Mojżesz tablicami Praw.

– A ja myślałam, że Churchill jest popularnym politykiem – skomentowała Laure. – Anglia nigdy nie przestanie mnie zaskakiwać.

– Wśród ludu tak. Reszta to tylko nikczemna kuchnia parlamentarna. Niektórzy pewnie łypią pożądliwie na stołek starego lwa. – Crowley z pogardą obserwował nabywców przepychających się koło gazeciarza. Przystanął nagle na chodniku. – Niech pani uważnie patrzy, co będzie się działo, i oceni siłę mojej magii. Wezwę demona Brothela, pana zbiegów okoliczności.

Ku zdziwieniu dziewczyny mag zamknął oczy, postawił torbę na ziemi i wzniosł ręce do nieba.

– Hag meriah belgo andamateh koltar. Brothel! – Równocześnie wymachiwał rękami jak automat, rysując w powietrzu nieznaną symbol. – Znak, tylko znak – szeptał. – Coś musi się stać...

Nic się nie stało, jedynie gazeciarz się wydarł:

– Swastykowy morderca znowu uderzył! Kolejne zwłoki znalezione w Shoreditch. Kupujcie „Guardiana”! Londyn sterroryzowany!

Crowley wybuchnął dźwięcznym śmiechem i nachylił się do Laure.

– Znak!

– Tak? A jaki?

– Tytuły, które wykrzyczał chłopak... A my idziemy do Moiry. Magia jest najsilniejsza. Silniejsza nawet od życia. – I łapiąc za rękę nielicznych gapiów, powtarzał: – Czytajcie moją Księgę prawa, zamiast się ogłupiać tymi szmatławcami.

Laure nie wiedziała, gdzie podziąć oczy.

– Niechże pan skończy z tym cyrkiem! – nakazała.

Crowleyowe wyczyny nie uszły uwagi dwóch żołnierzy wojsk lądowych, którzy do nich podeszli.

– A co ty tu odstawiasz, kolego?

– Wezwałem Brothela, piątego paladyna na dworze Lucyfera. Demona niższej rangi, zapewniam. Szukałem znaku. I otrzymałem go. Ale przypuszczam, że nic a nic nie rozumiecie z tego, co mówię. Magia może wszystko. Wszystko!

Już miał iść dalej, lecz żołnierz przytrzymał go za rękaw płaszcza i wymienił z kolegą porozumiewawcze spojrzenia.

– Naprawdę, panie magiku? To może byś też załatwił nam wygranie wojny?

Crowley uniósł jedną brew. Żołnierz był lekko podchmielony. Mag uwolnił rękę.

– Jasne. Już to prawie załatwiłem. Trzeba jeszcze tylko odnaleźć ostatnią świętą swastykę, której szukamy z kolegami z SOE, i będziecie mogli wrócić do domu. To kwestia paru tygodni.

– SOE, bez jaj! Jakie to miłe z pańskiej strony, panie...?

– Nie mogę podać swojego nazwiska, pracuję dla tajnych służb. Mówcie na mnie po prostu Wielki Mag.

Drugi żołnierz, nie kryjąc rozweselenia, klepnął kolegę w ramię.

– Pat, czas goni. Powiedz do widzenia swojemu kumplowi Wielkiemu Wariatowi.

Crowley znów uniósł jedną brew. Nie zamierzał pozwolić, aby tak go obrażano. Podeszedł do tego człowieka i wpatrzył się w jego oczy.

– Spójrz na mnie!

Podoficer nadal śmiał się nerwowo.

– Spójrz na mnie! – powtórzył Crowley, wpatrując się w niego hipnotycznym wzrokiem. – Boli cię głowa, nie? Bardzo boli?

– Eee... nie...

– No, no... Nie czujesz obecności Pazuzu Etiopczyka, ulubieńca Szatana. Szydzi w twojej głowie. Ale ja doskonale go widzę. Draży tunel, by odnaleźć twoją duszę. I pożreć ją.

Żołnierz okręcił się wokół własnej osi i potrząsnął głową. Oparł się o kolegę.

– Coś mnie... boli... – Chwycił się naraz oburącz za skronie. – Do cholery! Zabierzcie to! Parzy!

Jego kolega złapał Crowleya za kołnierz.

– Coś pan mu zrobił?

– Nie lubię sceptyków. Wyrządzili magom dużo szkody.

Żołnierz zwijał się z bólu.

– Każ mu przestać... To... straszne...

– Wystarczy już, Crowley – wtrąciła się Laure.

Żołnierz ją odepchnął i podetknął zwiniętą pięść pod puciołowatą twarz Aleistera.

– Zdefasonuję ci facjatę, jak nie przestaniesz się wygłupiać. Własny ojciec cię nie pozna – straszyl, chwyciwszy go znów za kołnierz.

– Chłopcze drogi, mój parszywy ojciec nie żyje od lat, czyści teraz sracze Belzebuba i jego piekielnego dworu. Ale skoro nalegasz... Nie chcę pozbawić Jego Królewskiej Mości ani jednego wojaka.

Żołnierz go puścił. Aleister poprawił płaszcz i ujął oburącz głowę wrzeszczącego z bólu człowieka.

– Pazuzu wyjdzie z nędznej masy szarych komórek, które ci służą jako mózg, i pójdzie dupczyć twoją matkę w piekle. A teraz, jeśli panowie pozwolą, udam się na ważne spotkanie z pewną czarownicą. Bardzo złą czarownicą...

Zostawił żołnierzy na chodniku i pociągnął Laure za sobą.

– Prawdziwy z pana wariat – powiedziała dziewczyna. – O mało nie naraził pan misji.

– Musiałem im dać porządną nauczkę. Nie straciłem wprawy w hipnozie.

Pięć minut później stanęli na początku McGoohan Street.

– Hellfire jest dalej, pod numerem szóstym – rzekł Crowley. – Co ma pani robić, kiedy ja będę w środku?

– Mam się kręcić po okolicy i upewnić się, że wyjdzie pan cały i zdrowy. Niech pan tam nie marudzi za długo.

– A tak, osławiony wieczór z przyjaciółmi. Gdyby mnie pani zaprosiła, może poczułbym się zmotywowany, żeby się nie ociągać.

– O tym proszę zapomnieć. No, niech pan idzie, bo czas ucieka.

Patrzyła za nim, gdy zmierzał w stronę klubu, potem skierowała się ku budce telefonicznej po drugiej stronie ulicy.

Z zewnątrz Hellfire Club nie wyglądał zachęcająco. Kamienica w stylu klasycznym prezentowała się szacownie: przy wejściu dwie białe kolumny, okna wykuszowe, drzwi polakierowane na czarno. Dostatni dom jakich wiele w całym mieście. Crowley przed laty, kiedy zakładał klub, umyślnie go wybrał. Chciał się wtopić w masę zwyczajnych ludzi.

Aleister zadzwonił do drzwi i uśmiechnął się do zamocowanej na ścianie prostokątnej miedzianej tabliczki z napisem: „Pain and Sisters Insurance”. Ubezpieczenia Boleść i Siostry.

Moira zachowała w nazwie grę słów odnoszącą się do bólu, natomiast „partnerów” zastąpiły „siostry”, kiedy Crowley sprzedał jej interes. Feministyczne zadęcie zobowiązuje.

Otworzyła się klapka judasza i w otworze pojawiło się dwoje zmrużonych inkwizytorskich oczu. Przez kilka sekund patrzyły, często mrugając. W końcu drzwi się wolno otworzyły, wypuszczając falę słodkawego zapachu kadzidła. Za nimi stała młoda kobieta ubrana w czerwono-czarną tunikę. Trzymała drzwi tylko uchylone.

– Pan Crowley! Zawsze miło pana u nas gościć. Jest pan umówiony z szefową?

Rozpoznał Lei Min, Chinkę, którą spotkał, zanim wpadł w zasadzkę zastawioną przez Moirę.

– Nie, ale zapewniam, że mnie przyjmie. Mam dla niej prezent. Widowiskowy film z czarownicami i magami.

Paryż
Biblioteka Narodowa
Rue de Richelieu

Wokół Tristana książki piętrzyły się niczym zapora oddzielająca go od reszty świata. Jakby magazynierzy z jakąś złośliwą przyjemnością chcieli go zarzucić starymi woluminami na temat, którego nigdy nie uważał za aż tak rozległy: epigrafika.

Najwyraźniej kamienie były pierwszymi stronicami ludzkości. Od najdawniejszych czasów ludzie na każdym napotkanym głazie ryli dla potomności zarówno imiona bogów, jak i własne inicjały. A specjaliści w zakresie epigrafiki z rozkoszą nad nimi przesiadywali, kopiując każdą najmniejszą nawet inskrypcję, i oddawali się później z najwyższą przyjemnością próbom zinterpretowania napisów.

Marcas podniósł oczy na szklaną kopułę, która oświetlała czytelną. Między metalowymi elementami konstrukcji można się było domyślać błękitu nieba obojętnego na to, co go zaprzętało. Od wielu godzin dreptał w miejscu z zerowym praktycznie skutkiem, zagubiony w plątaninie hipotez i w meandrach niezliczonych znaczeń. Oparta o stertę książek stała przed nim fotografia kamienia, który znaleźli na rue de Varenne. Niemieccy technicy dobrze się spisali i dostarczyli mu czarno-białe zdjęcie, na którym wyszły wszelkie odcienie tej strony kamienia, na której znajdował się napis. Widać było nawet ślady odprysków na obrzeżach. Marcas wydedukował z tego, że kamień wydobyto dłutem najpewniej z jakiejś ściany. Niewątpliwie dokonał tego Gurdzijew, aby zostawić znak synowi.

Tristan zastanawiał się zarazem, jak Rosjanin zdołał niepostrzeżenie wyjąć z muru kamień tej wagi. Miał natomiast pewność, że zarówno ojciec, jak i syn wiedzieli, co znaczy inskrypcja. Musiała się odnosić do jakiegoś miejsca, w którym byli kiedyś razem. Może chodziło o powszechnie dostępną budowlę historyczną? Tyle że Marcas nie potrafił sobie wyobrazić, jak Gurdzijew wydłubuje kamień z Pałacu Inwalidów czy w Wersalu. Przecież rosyjski imigrant bez wątplenia nie chciał zwrócić na siebie uwagi władz.

Marcas wziął do ręki zdjęcie. Ta inskrypcja go prześladowała:

^C^G^1777

Przeglądając pierwsze książki, myślał zrazu, że to inskrypcja nagrobna. C i G mogły być inicjałami zmarłego, a liczba 1777 rokiem jego śmierci. Co do miejsca, do którego inskrypcja odsyłała w tym konkretnym przypadku, to musiało być nim miejsce pochówku. Tyle że w okresie oświecenia nigdy nie grzebano zmarłych za murem. Ta interpretacja zatem odpadła. W trakcie dalszej lektury przyszło mu do głowy, że może tu chodzić o sygnaturę budowniczego na jakiejś budowli. Ale i tym razem nie miał szczęścia: ten zwyczaj pojawił się dopiero w dziewiętnastym wieku. Szach i mat.

– I co, znalazł pan? – zagadnął bibliotekarz, który przyniósł mu te wszystkie książki.

Wyraźnie się nudził, czytelnia bowiem była prawie pusta. Okupowany Paryż szukał żywności, nie kultury.

– Raczej nie. Sprawdzam kolejno swoje hipotezy i walą się jedna po drugiej.

Bibliotekarz wziął do ręki fotografię.

– Pozwoli pan? – Obracał ją pod wszystkimi kątami. – A pomyślał pan, że to ex voto?

– Ex co? – powtórzył Tristan, któremu to wyrażenie nie wiadomo czemu przywiodło na myśl zapach kadzidła.

– Ex voto. Dar wotywny. Tabliczka z wygrawerowanym napisem składana w kościele w podziękowaniu Bogu za cud. Na przykład za wyjście cało z jakiegoś zdarzenia.

Umysł Tristana nagle zaczął pracować na najwyższych obrotach. Jeżeli kamień wydobyto z muru kościelnego, to data pozwalała wykluczyć wszystkie świątynie postawione po roku tysiąc siedemset siedemdziesiątym siódmym, co znacznie ograniczało obszar poszukiwań. Wyciągnął rękę do stosu książek. Znajdował się wśród nich tom traktujący o inskrypcjach znalezionych w paryskich kościołach. Od tego mógł zacząć.

– Tyle że – podjął bibliotekarz – na tabliczce wotywniej zawsze jest tekst podziękowania, a tu nie ma nic. Po namyśle przyznam, że wątpię, aby to było ex voto. Przykro mi.

Marcas poczuł, że wali się cała jego piękna konstrukcja intelektualna. Obrzucił zawiedzionym wzrokiem bibliotekarza, który tak szybko zniweczył jego nadzieje.

– A niech to...! Zgasił mi pan światełko w tunelu.

– Może powinien pan skonsultować się ze specjalistą?

– Zna pan jakiegoś?

– Jakąś. Mamy tu specjalistkę od epigrafiki. Teraz pracuje nad transkrypcją starożytnych inskrypcji. Lubi pracować w spokoju, więc znajdzie ją pan w Gabinetie Medali. Nazywa się Juliette Lalande. Łatwo ją pan pozna, nosi się na chłopczycę.

Co oznacza, przetłumaczył sobie Marcjas, że ma krótkie włosy i może nawet – skandal nad skandale – chodzi w spodniach. Nazwa „chłopczyca” wzięła się od mody z lat dwudziestych, kiedy kobiety nosiły krótkie, prosto obcięte włosy, idąc za amerykańską aktorką Louise Brooks, która pierwsza odważyła się na taką fryzurkę. Aczkolwiek w rzeczywistości odbyło się to bardziej przyziemnie: moda na krótkie fryzury zrodziła się w czasie Wielkiej Wojny w fabrykach zbrojeniowych, w których dziesiątki tysięcy robotnic szybko zdały sobie sprawę, że długie włosy i produkcja pocisków to niedobre zestawienie.

– Gdzie jest ten Gabinet Medali?

Bibliotekarz gestem kazał mu wstać.

– Mamy tu istny labirynt. Zaprowadzę pana.

Gabinet Medali wyglądał zgoła jak kościół. O ile w czytelnicy cisza obowiązywała wszystkich, o tyle tutaj stanowiła element wyposażenia. Pomiędzy ogromnymi, sięgającymi sufitu gablotami na eksponaty nie rozlegał się żaden dźwięk, nie było śladu życia. Nawet nie skrzypiał parkiet ciągnący się jak okiem sięgnąć. Tristan szedł wzdłuż szeregu witryn. W jednej dostrzegł nienormalnie duży medal. Nachylił się, by przeczytać widniejącą na nim inskrypcję: Ludovico Magno... Ludwik XIV! Powinien był się domyślić, że jedynie Król Słońce bił takie kiczki ku własnej chwale.

– Kogoś pan szuka? – usłyszał.

Zaskoczony Marcjas się obejrzał. Stała przed nim młoda kobieta z włosami podtrzymywanymi opaską, w leżącym jak ulał dopasowanym perłowoszarzym kostiumie. Jeżeli to ma być chłopczyca...

– Tak, szukam. Juliette Lalande.

– W jakim celu?

W jej głosie nie było cienia nieufności, jedynie samo zaskoczenie. Pewno nieczęsto jej przeszkadzano. Za nią Tristan zauważył biurko, na którym piętrzyły się dokumenty.

– Chciałem ją o coś zapytać. O inskrypcję, której nie mogę zrozumieć – wyjaśnił, podając jej zdjęcie.

– Gdzie pan to znalazł?

– W paryskim mieszkaniu. Mam je zinwentaryzować w związku ze sprzedażą wyposażenia w drodze licytacji.

Marcjas przezornie przygotował sobie zawczasu stosowne wytłumaczenie. W tych czasach opuszczonych mieszkań nie brakowało. A sprzedaż skonfiskowanych sprzętów i przedmiotów stanowiła jedno ze źródeł dochodów okupanta.

– I naprawdę zamierza pan sprzedać ten kamień?

Tristan nie stracił rezonu.

– Był pod szklanym kloszem. Przypuszczamy, że dla właściciela miał niejaką wartość.

– Nie ma żadnej wartości.

– Bo pani wie, skąd pochodzi?

Oszczędnym gestem Juliette dała mu znak, aby usiadł.

– Tak. Z podziemi Paryża.

Zafascynowany Tristan patrzył na plan stolicy, który Juliette ściągnęła z Działu Map biblioteki. Były na nim wykreślone ulice, kwartały budynków, posągi, nie rozumiał jednak, co znaczą kolorowe plamy, często rozchodzące się w różnych kierunkach i rozciągające się na większości dzielnic. Wskazał jedną palcem.

– A co to jest?

– Aby zrozumieć, trzeba się cofnąć w czasie. Dokładnie do siedemnastego grudnia tysiąc siedemset siedemdziesiątego czwartego roku. Tego dnia ludzie mieszkający przy rue de l'Enfer w dzielnicy Saint-Jacques przeżyli chwile grozy, jakiej nigdy nie doświadczyli. W kilka sekund ich ulica się zapadła na odcinku ponad trzystu metrów, odsłaniając krater, którego dna nie widzieli nawet najodważniejsi. Podwaliny stolicy objawiły się paryżanom w całej okazałości.

– Skoro mieszkali przy ulicy Piekielnej – ironicznie zauważył Tristan – pewnie sądzili, że diabeł maczał w tym palce.

– Przed wszystkim przypomnieli sobie zapomnianą prawdę: że miasto wybudowano na jednej wielkiej dziurze po kamieniołomach eksploatowanych już od czasów rzymskich. Z wydobytych z nich kamieni postawiono każdy najmniejszy nawet budynek w Paryżu.

– Chce pani powiedzieć, że żyjemy na gruncie dziurawym jak ser szwajcarski?

– Nie dość, że dziurawym, to jeszcze wyjedzonym od środka do samej otoczki. Proszę spojrzeć na plan: każda plama oznacza dawny kamieniołom, a pomiędzy nimi są łączące je tysiące pasaży, szerszych albo węższych. Istne gniazdo termitów.

– I wszystkie dzielnice miasta stoją na takich dziurach?

– Nie, większa część wyrobisk leży na lewym brzegu Sekwany, ale zdarzają się też na Montmartrze czy w Belleville. Czasem mają kilkadziesiąt metrów głębokości.

Zaintrygowany Marcas wskazał ciąg korytarzy, które rozpościerały się pod dzielnicą Montparnasse.

– Nawet tu?

– Tak, ale mieszkańcy mogą spać spokojnie. Teraz już nie ma ryzyka zawalenia.

– Nie nadążam...

– Kiedy władze zdały sobie sprawę, jak podziurawiony jest grunt pod Paryżem, zaczęto szukać sposobów, żeby zapobiec nieszczęściu. Najprościej było wypełnić

podziemne jamy.

– Hm, jakoś nie widzę, czym można by wypełnić w całości podziemne dziury.

Juliette założyła nogę na nogę i się uśmiechnęła. Tristan zauważył, że jej oczy mają ten sam odcień co kostium.

– Materiałem od wieków zawsze dostępnym, tanim i w zasięgu ręki: zmarłymi.

– Żartuje pani?

– Skądże! W roku tysiąc siedemset osiemdziesiątym piątym podjęto decyzję o opróżnieniu wszystkich paryskich miejsc pochówku. I tym sposobem ponad trzysta cmentarzy, w większości jeszcze średniowiecznych, oczyszczono, a szkielety zgromadzono w dawnych kamieniołomach.

– Katakumby – mruknął Tristan.

– Zgadza się. I tak do podziemi Paryża przeniesiono szczątki kilku milionów ludzi. Chodzimy po największym na świecie cmentarzysku.

Marcas instynktownie spojrzał na podłogę.

– Spokojnie, Biblioteka Narodowa nie stoi na dawnych kamieniołomach. Nie ma ryzyka, że razem z nią wpadniemy w podziemne czeluście.

– Nie bardzo jednak rozumiem, jaki to ma związek z moją inskrypcją na kamieniu.

Juliette wygładziła spódnicę, obciążając ją poniżej kolan.

– Łatwo sobie wyobrazić, że z powodu liczby i wielkości jam nie da się ich wypełnić samymi tylko szczątkami ludzkimi. Władze postanowiły więc powołać specjalną służbę, Biuro do spraw Kamieniołomów, którego zadaniem było nadzorować i chronić paryskie podziemia. Miało to miejsce w tysiąc siedemset siedemdziesiątym siódmym roku. Nie przypomina to panu czegoś?

Tristan wziął do ręki fotografię. Data się zgadzała.

– Na pierwszego szefa biura mianowano architekta znanego ze skuteczności, niejakiego Charles'a Guillaumota. Proszę spojrzeć na inicjały wyryte na kamieniu...

^C^G^1777

Marcas nie posiadał się ze zdumienia. Od tylu godzin walczył z zagadką, a ta kobieta, którą dopiero co poznał, rozwiązała ją w kilka chwil niczym dziecięcą szaradę. Postanowił ją sprowokować.

– I cały ten Charles Guillaumot spacerował po paryskich podziemiach, ryjąc swoje inicjały na murach?

– On nie, ale jego robotnicy, kiedy zabezpieczyli jakiś korytarz czy kamieniołom, ryli napis na kamieniu na dowód, że wykonali tu swoją robotę. Podobnie robili murarze w średniowieczu, którzy oznaczali każdy przycięty kamień.

– Czyli ten kamień odsyła do konkretnego miejsca?

Juliette zsunęła opaskę podtrzymującą włosy, które rozsypały się jej na ramionach.

– Niestety, nie. Ponieważ Guillaumot objął urząd w kwietniu tysiąc siedemset siedemdziesiątego siódmego roku, oznacza to tylko, że kamień został położony między wiosną a zimą tego roku. Trzeba by więc znaleźć informację, gdzie jego robotnicy pracowali w tym okresie.

– Wie pani może, czy Biuro do spraw Kamieniołomów prowadziło jakiś rejestr prac podziemnych?

Juliette uśmiechnęła się jak dziecko, które zna odpowiedź na pytanie.

– Rejestr wszystkich prac nie tylko istnieje, ale nawet mamy tu jego kopię. Wystarczy poprosić, żeby ją panu przyniesiono do czytelnika.

Podnosząc się z miejsca, Marcas zadał ostatnie pytanie:

– Rozszyfrowała pani wszystko oprócz jednego szczegółu: dlaczego inicjały i datę przedzielają te daszki?

– Ach, to... – odparła Juliette, na powrót zakładając opaskę na włosy. – To symbol informujący o wtajemniczeniu. Guillaumot był wolnomularzem, a dokładnie członkiem paryskiej loży Dziewięciu Sióstr.

– Skąd pani wie to wszystko?

– Nie mówiłam panu? – z rozbawieniem spytała Juliette. – Moim przodkiem był astronom Lalande, w swoich czasach znana postać. Był też Czcigodnym tej loży.

Londyn

McGoohan Street

Lei Min się skłoniła i wprowadziła maga do salonu o ścianach pokrytych czerwonym aksamitem.

– Zmienił się wystrój, odkąd byłem tu ostatnio – zauważył Crowley, marszcząc brwi. – Gdzie się podział mój obraz z amazonkami lesbijkami o naoliwionych ciałach walczącymi nago?

Z góry schodów dobiegł głos:

– Jest u handlarza starzyzną w Kensington. Był tak wulgarny, że brakuje słów.

Crowley podniósł wzrok. Moira z wystudiowaną powolnością schodziła po stopniach. Ubrana była w czarne spodnie i prosty żakiet. Ogniście rude włosy podkreślały bladość jej cery. Szefowa klubu Hellfire miała na ustach uśmiech równie uwodzicielski, jak okrutny. Mogłaby pozować do prerafaelickiego obrazu pędzla Dantego Gabriela Rossettiego. Crowley wspomniał ją jako młodą Irlandkę poznaną przed laty. Wtedy była uległa. Kobieta idąca mu na spotkanie nie miała nic wspólnego z jego byłą uczennicą. Przerosła mistrza. W pełni zasługiwała na przydomek Szkarłatna Czarodziejka.

– Już nie nosimy sukien? Cóż za upadek... – prychnął mag. – Jak przebiegła operacja Witchfall na wyspie Man?

– Dobrze. Skorzystałam nawet z okazji i po kryjomu rzuciłam zaklęcie na paru swoich wrogów, w tym na tego cholernego premiera. Aleisterze, nie przypominam sobie, żebyś cię wezwała na zdanie comiesięcznego raportu, a mam teraz spotkanie. Czego chcesz?

– Moiro, cóż za godne ubolewania maniery... A ja w dowód przyjaźni przyniosłem ci prezent – oznajmił i rzucił na podłogę brunatną skórzaną torbę.

– Co w niej jest? Noworodek na ofiarę? A może głowa szefa SOE?

– Kopie filmów nakręconych właśnie podczas operacji Witchfall. Pomyślałem, że ci się spodobają.

Twarz Szkarłatnej Czarodziejki wyraźnie się rozluźniła.

– Cudownie. Powiem tylko, że mój kontakt z Abwehry nie chciał uwierzyć, kiedy mu opowiadałam o ceremonii. Dajesz mi dowód, którym go przekonam. Nie podoba mi się

wcale, że muszę ci podziękować, ale co tam... Strzelisz sobie kielicha w barze? A może skorzystasz z darmowej sesji kar cielesnych? Mam nową treserkę, bardzo kreatywną. To Finka, której sprawia przyjemność karanie panów w pewnym wieku.

– Nie, dziękuję. Mogłabyś mnie natomiast oświecić w pewnej sprawie – rzekł Crowley. – Na londyńskich ulicach znaleziono trzecie zwłoki identyczne jak tamten trup z Tower Hamlets. Naznaczone taką samą pieprzoną swastyką jak dziewczyna, którą jakoby ja zamordowałem.

– Nie rozumiem...

– Nie traktuj mnie jak kretyna, Moiro! Mam prawo wiedzieć.

Podeszła do niego.

– Crowley, a od kiedy to mam się przed tobą tłumaczyć? Co cię obchodzi ci martwi? I kto ci powiedział, że za ostatniego trupa ja odpowiadam? W tym mieście roi się od czubków, morderców i zbrojeńców, którzy zdolni są skopiować moje przedstawienie.

– No właśnie bardzo mnie to obchodzi. Za nic nie chcę, żeby znowu na mnie spadła odpowiedzialność za kolejne zbrodnie.

Moira roześmiała się w głos i niemal do niego przywarła.

– Jak każdy facet wszystko sprowadzasz do swojego „ja”.

– Odpowiedz, Moiro! Dłużej nie mogę... w ten sposób. Przy każdym nowym zabójstwie zawsze mi się zdaje, że gliny do mnie zapukają. W SOE widzą, że szcram pod siebie ze strachu. Do diabła, na nic ci się nie przydam, jeśli przestanę być dla nich wiarygodny. Czy nie dowiodłem swojego oddania, przynosząc ci te filmy, chociaż wcale nie musiałem?

Przez dłuższą chwilę taksowała go wzrokiem, w końcu powiedziała sucho:

– Chodź.

Crowley podreptał za obiema kobietami jak zwierzątko do towarzystwa. Szli korytarzem, w którym były pokoiki przypominające cele.

– A tu nadal jest pokój związanych? – zagadnął mag, który chciał złapać oddech. – Mogę zerknąć?

– Jeśli sprawi ci to przyjemność...

Wsunął głowę za drzwi. W całym pokoju rozrzucony byli przywiązani mężczyźni. Jeden na krzyżu Świętego Andrzeja, drugi na czymś w rodzaju konia gimnastycznego z łękami, trzeci na podłodze, czwarty zwisał za ręce z łańcucha zamocowanego w suficie. Amazonka w czarno-czerwonej aksamitnej sukni i wiktoriańskim gorsecie krążyła między klientami, rozdzielając mocne klapsy i zniewagi.

– O tej porze już są klienci?

– Na karę cielesną każda pora jest dobra – mruknęła Moira, oddalając się korytarzem.

Przy drzwiach prowadzących do barku natknęli się na parę, która nimi wychodziła. On, bardzo jasny blondyn, ubrany był od stóp do głów w czarną skórę, ona miała na sobie prostą, surową suknię. Obrzucili Crowleya przeciągłym spojrzeniem, wymienili szybkie porozumiewawcze uśmiechy z Moirą, po czym bez słowa zniknęli w jednej z alków.

– Piękna para. Klienci czy pracownicy?

– Bardzo ciekawy. I to, i to. Przyłączają się i sprawia im to przyjemność. Zdaje się, że mają spuścić lanie jakiemuś lordowi.

Z korytarza przeszli do części niedostępnej dla klientów. Minąwszy wybrukowane podwórko, stanęli przed drzwiami, których strzegł szeroki w barach człowiek odziany jak osiemnastowieczny sługa. Jego prostacka twarz niezbyt pasowała do upudrowanej peruki.

Lokaj otworzył drzwi, za którymi znajdowały się kręcone schody prowadzące w dół.

Crowley poczuł w nozdrzach silną woń wilgotnych kamieni. W miarę schodzenia usiane plamami rdzy żelazne stopnie stawały się coraz bardziej chwiejne. Mag z niepokojem się zastanawiał, czy wytrzymają jego ciężar. Dotarli wreszcie przed szafę chłodniczą. Lei Min otworzyła jej drzwi. Powiew lodowatego powietrza uderzył Crowleya w twarz.

Chłodnię spowijał mrok. Na haku wisiał w niej słuszny połec mięsa.

– Nie rozumiem... – wyszeptał Crowley.

– Obejrzyj sobie dobrze – powiedziała na to Moira.

– Ani myślę wejść do środka. Żebyś mnie zamknęła?

– Z wiekiem robisz się strachliwy. Gdybym chciała pozbyć się ciebie, już dawno bym to zrobiła.

Wcisnęła włącznik światła. Aleister zaniemówił.

W chłodni wisiał nie połec mięsa, lecz istota ludzka. Człowiek w uprząży zawieszony na haku. Mag podszedł do ciała. Na czole biedaka widniała wycięta swastyka.

– Czy to ci wystarczy za odpowiedź, mój drogi? – spytała Moira, dając głową znak swojej asystentce.

– Ale... dlaczego?

– Jeśli chcesz się dowiedzieć więcej, musisz się sfotografować obok niego.

Crowley pokręcił głową.

– Nie ma mowy. Żebyś mnie znowu trzymała w garści?

– Nie, to tylko zabezpieczenie, na wypadek gdyby nasza cię ochota, by wyznać wszystko policji. Robimy zdjęcie i odpowiadam na wszystkie twoje pytania. Albo

odprowadzam cię do wyjścia i nigdy się nie dowiesz, dlaczego postanowiłam sterroryzować poczciwy Londyn...

W odległości około stu metrów od Hellfire'u Laure czekała w budce telefonicznej. Wzrokiem błędziła po okolicznych ruinach. Wszędzie wokół czerwonej kabiny widziała tylko gruz i leje, pozostałości po bombardowaniach. Wyglądało to tak, jakby ocalała budka telefoniczna uosabiała angielski opór przed najeźdźcą. Francuzka zapaliła papierosa, rozglądając się po zwałach rozdartego betonu. Poczerniałe stalowe belki sterczały z gruntu niczym odnóża gigantycznej modliszki przysypanej ziemią.

Przygnębiający widok, podobnie jak jej zadanie.

Nie pisała się na odgrywanie detektywa. Od pół roku, od powrotu z Wenecji, z całych sił tłumiała niecierpliwość.

Spojrzała na zegarek i zaklęła. Spóźni się na spotkanie przez to, że musi sterczeć na tym gruzowisku. Takim jak jej życie prywatne. Inne dziewczyny w jej wieku miały prawdziwe życie, chłopaka, koleżanki, z którymi mogły pogadać, wyzalić się, gdy dopadła je chandra. Ona niczego takiego nie miała. Albo prawie niczego. I nie wolno jej było nawet zwierzyć się współlokatorce. Obowiązywały ją zasady bezpieczeństwa SOE.

Laure mogła się natrzęsać z Malorleya w jego mieszkaniu starego kawalera. Tyle że z nią było tak samo. Przez te cholerne artefakty. A gdzie jej wolna wola? Czuła się jak słaby, delikatny liść porwany gwałtownie niegdysiejszym wichrem.

W tej chwili zadzwonił telefon. Laure z twarzą zaczerwienioną z gniewu błyskawicznie podniosła słuchawkę.

– Ciągłe jest w środku? – zapytał Malorley beznamiętnie.

– Już dobre pół godziny. Dotrzymał słowa. To co, mogę już iść?

– W żadnym razie, czekaj, aż wyjdzie. Nigdy nic nie wiadomo. Ta Moira O'Connor może być nieprzewidywalna.

Laure zacisnęła dłoń na słuchawce.

– Crowley jest wystarczająco dorosły, żeby się obronić. A ty mógłbyś przysłać tu jakiegoś zmiennika. Mam dość zabawy w glinę... I jestem zmęczona.

– Czekaj tam, aż on wyjdzie. Przypominam, że wykonujesz zadanie.

– Nie! – Naraz jakby wszystkie frustracje wypłynęły z niej na wierzch. Nerwowo stuknęła w szybę palcem. – Nie, nie i jeszcze raz nie!

– Udam, że niczego nie usłyszałem.

– Bardzo dobrze usłyszałeś! Mam tego po dziurki w nosie, rozumiesz? Mam dosyć jakichś czarodziejskich ceremoniałów w szczerym polu, zboczonych magów, trupów w kostnicy... Że nie wspomnę o tej historii z magicznymi swastykami. I nie muszę dokonywać żadnej zemsty ani dotrzymywać przysięgi.

– Ale, Laure...

– Nie ma żadnego „ale”. Ty chromolisz wszystko. Nie masz rodziny ani przyjaciół. Ani żony. I chcesz, żebym się stała taka jak ty!

Po drugiej stronie linii na długą chwilę zapadła cisza. W końcu Malorley się odezwał:

– W porządku, przyślę ci zmiennika. Czekaj na niego.

– I chcę, żeby samochód mnie zawiózł tam, gdzie się umówiłam.

Paryż

Boulevard de Port-Royal

Tristan siedział w kawiarnianym ogródku naprzeciwko wejścia do szpitala Cochin. Od godziny popijał piwo, obserwując przechodniów. O tej porze nie było ich wielu i nikt się nie zatrzymał w pobliżu, co go uspokajało.

Po wyjściu z Biblioteki Narodowej kluczył po mieście, sprawdzając, czy nie jest śledzony. Obok przejechał samochód, zwolnił, przyspieszył. Tristan powiódł za nim wzrokiem. Kierowcy towarzyszył nastolatek. Raczej wątpliwe, żeby był na żołdzie Rosenberga. Przed oczami stanęła mu twarz Alfreda Ponurego, jak go nazwał. Od pierwszego ich spotkania Marcjas się zastanawiał, jaka jest prawdziwa natura oficjalnego ideologa III Rzeszy. Czy faktycznie usiłuje odzyskać szacunek szefa, odnajdując kosztowności ostatniego cara Rosji, czy też dąży do jakiegoś ukrytego celu? Tristan nie lubił, gdy zbyt wiele pytań cisnęło mu się do głowy. W gruncie rzeczy były jedynie objawem głębiej ukrytego strachu. W ciągu ostatnich trzech lat, gdy na pozór pracował dla Niemców, już kilkakrotnie o mało nie wpadł i za każdym razem był bliżej dekonspiracji. Odnosił niemiłe wrażenie, że jego pula szczęścia nieuchronnie się wyczerpuje. Prawda zaś była całkiem inna, o czym doskonale wiedział. Nosila imię Erika. Od Montségur do Berlina wychodził cało ze wszystkich tarapatów tylko dlatego, że był pewien – choć bez realnych podstaw – że gdyby zagrożenie zrobiło się zbyt duże, miłość Eriki by go uratowała. A grożące mu dzisiaj niebezpieczeństwo także miało imię. To samo: Erika.

Aby nie poddać się napięciu, Tristan otworzył przesyłkę otrzymaną z Berlina. Kopertę zapieczętowano sznurkiem i woskiem, co dużo mówiło o zaufaniu służb Himmlera do ludzi Rosenberga. Marcjas w mig się zorientował, że dostał raport z badania Thule Borealis, które zasugerował Reichsführerowi. Wybrano dwóch badaczy – lingwistę i specjalistę od starodruków – aby szczegółowo przeanalizowali manuskrypt. Marcjas czym prędzej zaczął czytać ich sprawozdanie. O ile lingwista nie znalazł żadnego elementu semantycznego, który by wskazywał, że tekst ma ciąg dalszy, o tyle ekspert od starodruków stwierdził, że z końca woluminu wyrwano jedną kartę. Co wyraźnie uwidoczniła powiększona znacznie fotografia.

A zatem ktoś wykradł ostatnią kartę, pomyślał Tristan, ktoś, kto przestudiował księgę, zdołał zrozumieć znaczenie końcówki tekstu i jego ogromną wagę. Ktoś, kto teraz mógł odszukać ostatnią swastykę, zanim on zdąży to zrobić.

Marcas wstał, aby wyrzucić kopertę do studzienki odpływowej. Idąc do niej, minął wejście do szpitala Cochin: ogromną bramę z cegły i kamienia, zbudowaną tuż przed rewolucją i pomyślaną bardziej jako wjazd dla karoc niż dla chorych. Wszystko sprowadza się do fasady i pozorów, bardzo francuskiej wady, pomyślał Tristan, wspominając Linię Maginota, pas betonowych umocnień najeżony fortami i działami, mający rzekomo ochronić Francję przed wszelkim najazdem, a tymczasem wystarczyło, że Hitler obszedł ją przez Ardeny, a już miał otwartą drogę prosto na Paryż... Marcas zwolnił kroku. Najwyraźniej nikt nie przeprowadzał dokładnej kontroli odwiedzających. Cóż, cała Francja: monumentalne bramy, których nie ma kto pilnować.

Wyrzuciwszy podartą kopertę, usadowił się na ławce. Zamierzał jeszcze chwilę poczekać, zanim wejdzie do szpitala. Nie chciało mu się wierzyć, że Rosenberg nie kazał go śledzić, toteż w każdej chwili spodziewał się ujrzeć przysadzistą postać Marcela wyłaniającą się zza rogu. Dla pewności znowu obrzucił wzrokiem okolice, oglądając zaparkowane samochody, kawiarniany ogródek – wszystko wydawało się normalne. Pomacał kieszeń marynarki, w której trzymał zdjęcie głazu z inskrypcją. W końcu kamień odsłonił wszystkie swoje tajemnice.

Dzięki Juliette.

Młoda pracownica biblioteki zdołała rozszyfrować dwie litery inskrypcji jako inicjały Charles'a Guillaumota, architekta odpowiedzialnego za paryskie podziemne kamieniołomy, a ciąg czterech cyfr jako rok tysiąc siedemset siedemdziesiąty siódmy. I tym sposobem wyjaśniło się znaczenie wiadomości zostawionej przez Gurdzijewa: wskazywała miejsce w jednym z dawnych kamieniołomów rozciągających się pod Paryżem, miejsce, gdzie prowadzono prace zabezpieczające w roku Pańskim tysiąc siedemset siedemdziesiątym siódmym.

I wtedy decydującym elementem okazała się kopia rejestrów Biura do spraw Kamieniołomów – mocno wyschnięte karty, których nikt nie przeglądał od wieków. Wiosną tysiąc siedemset siedemdziesiątego siódmego roku, kiedy Guillaumot objął urząd, jego robotnicy – murarze pracujący pod ziemią – zbadali i wzmocnili pierwszy kompleks jam i korytarzy położony pod dzielnicą Les Capucins.

Natknąwszy się na tę nazwę, Juliette ściągnęła następny plan miasta, dokładniejszy, na którym w kolejnych dzielnicach nałożono na zarysy ulic i budynków podziemną sieć korytarzy. Dawne kamieniołomy oznaczono kolorem ochry, a dochodzące do nich tunele czerwoną linią. Plan ten w roku tysiąc osiemset pięćdziesiątym piątym

sporządził niejaki Eugène Foucy. I na stronie dziesiątej ukazały im się pod szpitalem Cochin kamieniołomy Les Capucins.

W opisie stało, że to sieć korytarzy długa na ponad kilometr, której cechą szczególną jest to, że nie łączy się z innymi podziemnymi kamieniołomami. Niewątpliwie dlatego Guillaumot wybrał właśnie to miejsce na początek. Gdyby robotnikom, których zamierzał zaangażować, coś nie wyszło, zawalenie się gruntu tutaj nie pociągnęłoby za sobą dalszych szkód w okolicy.



„Sieć eksperymentalna”, powiedziała Juliette. I w niej Gurdzijew postanowił się schronić przed obławą Rosenberga. Jak się o sieci dowiedział, pozostawało tajemnicą, w Paryżu jednak działało kilka grup katafilów, ludzi, których pasją było eksplorowanie tajnych podziemi miasta. Jedni szukali tam ciszy i samotności, inni przeciwnie, organizowali przyjęcia uchodzące za skandaliczne. Gurdzijew mógł należeć do jednych albo do drugich. No chyba że był członkiem jakiegoś kręgu wtajemniczonych, którzy schodzili pod ziemię, by tam odprawiać swoje sekretne ceremonie. Ludzie

plotkowali o praktykach ezoterycznych, magicznych rytuałach czy szatańskich kultach...

Tristan wstał i skierował się ku szpitalnej bramie, przez którą przeszedł bez problemu. Teraz martwił się tylko znalezieniem wejścia do podziemnej sieci korytarzy. W miarę jak szpital Cochin się rozrastał, wchłaniając kolejne stare budynki lub wznosząc nowe, wejście do dawnych kamieniołomów wciąż się przesuwalo. Gdzie znajdowało się teraz?

Na schematycznym rysunku Biura do spraw Kamieniołomów było na dziedzińcu przed pawilonem Ollier przylegającym do rue du Faubourg-Saint-Jacques, lecz dokładnego miejsca nie oznaczono. Czy mieściło się we frontowej części budynku, czy też wewnątrz? A może było zwyczajnie nakryte żeliwną płytą jak wejście do kanałów odpływowych?

Tymczasem adnotacja na jednym z najnowszych planów podsuwała pewien trop. Otóż niedługo przed wybuchem wojny kompleks korytarzy w dzielnicy Les Capucins zarekwirovano, przeznaczając go na schron przeciwlotniczy. Położone na głębokości ponad osiemnastu metrów dawne paryskie kamieniołomy były odporne na wszelkie bombardowania, nawet najintensywniejsze, i mogły pomieścić kilkaset osób. Stąd Tristan wywnioskował, że wojsko musiało tam zainstalować schody i zamknąć je opancerzonymi drzwiami.

Pozostawało mu tylko je odnaleźć.

Szpital wydawał się miastem w mieście. Składał się z licznych budynków pochodzących z różnych epok. Niektóre, z charakterystycznymi zdobieniami ścian frontowych, powstały jeszcze przed rewolucją, w innych, nowszych, mieściły się laboratoria albo sale dla pacjentów. Tristan posuwał się naprzód zgodnie z tym, jak powiększał się szpital, który ostatecznie przejął niemal całą paryską dzielnicę. Przechodził opustoszałymi dziedzińcami, korytarzami śmierdzącymi amoniakiem, czasami mijał kogoś w białym kitlu albo w żałobnej sukni. Życie i śmierć były tu wszechobecne, nierozłączne. Usunął się na bok, by przepuścić idących z noszami, i uzmysłowił sobie naraz, że nie widział tu ani jednego niemieckiego munduru. Ogarnęła go niespodziana radość. Nie mógł już patrzeć na te szarozielone barwy. Przeszedł przez przeszklone drzwi i wyłonił się na dziedzińcu wybrukowanym powykrzywianymi płytami. Pamiętał plan i jeśli był on dokładny, wejście do kamieniołomu powinno znajdować się właśnie tutaj.

Dziedziniec był pusty. Tristan kolejno obejrzał fasady. Drzwi, wszystkie drewniane, zdawały się prowadzić do biur administracji albo do gabinetów. Żadne nie były opancerzone.

Plan nie odzwierciedlał zatem rzeczywistości.

– Myślałam, że jest pan bystrzejszy.

Tristan się odwrócił, stając twarzą w twarz z Juliette. Zmieniła szpilki na sandały, na głowie miała słomkowy kapelusz z powiewającą niebiesko-białą wstążką.

– Co pani tu robi? – zaniepokoił się nagle Marcas. – Śledziła mnie pani?

– Nie musiałam. Byłam pewna, że pana tu spotkam. Wie pan co? Jak na człowieka, który ma tylko zinwentaryzować wyposażenie mieszkania, zachowuje się pan diablo profesjonalnie. Tak się pan przejmuje wszystkim, co ma być wystawione na aukcji?

Tristan zrozumiał, że jego przykrywka właśnie się rozsypała. Z doświadczenia wiedział, że nic nie da dodawanie kolejnego kłamstwa do poprzednich.

– Pani Juliette, nie mogę powiedzieć, dlaczego naprawdę muszę się koniecznie dostać do tego kamieniołomu. Tyle że to może się okazać niebezpieczne i...

– ...i radzi mi pan zrobić w tył zwrot. Za późno. Spodobała mi się praca z panem. Trudno mi będzie z niej zrezygnować. Ja też chcę się dowiedzieć, co kryje ta inskrypcja na kamieniu. No i sam pan doskonale wie, że gdyby nie ja, w ogóle by tu pana nie było...

Tristan próbował przemówić jej do rozsądku:

– To, co muszę zrobić, może się źle skończyć. Proszę mi wierzyć, lepiej niech pani odejdzie. Są takie części świata, które bezpieczniej jest znać tylko z planu.

Młoda bibliotekarka zdjęła kapelusz i spojrzała Marcasowi w oczy.

– Mam pomysł. Może zawrzemy układ? Pan mnie zabierze ze sobą, a ja...

– Nie ma mowy!

– ...a ja pokażę panu, gdzie jest wejście do sieci Les Capucins.

Tristan nie posiadał się ze zdumienia. Dziewczyna, którą miał za niezdolną, by wyjść z biblioteki i zostawić sterty starych książek, właśnie go szantażowała.

– A kto mi zaręczy, że faktycznie pani wie, gdzie jest wejście?

– Jak pokazało doświadczenie, z naszych dwóch umysłów mój niewątpliwie szybciej je zlokalizuje.

– Jest pani niesamowita!

– Cieszę się, że ma pan tego świadomość.

Marcas zrozumiał, że nie pozostawia mu wyboru. A w sumie, uznał, dziewczyna może mu pomóc.

– Zgoda, ale pod jednym warunkiem. Kiedy poproszę, żeby pani dalej za mną nie szła, zawróci pani natychmiast.

– W takim razie będę musiała jak Tomcio Paluszek siać kamyki, żeby odnaleźć drogę powrotną.

– To w pani interesie, jeśli pani nie chce, żeby ją pożarły potwory, od których na pewno roi się w podziemiach. A teraz proszę pokazać, gdzie jest to wejście.

Juliette wyciągnęła rękę w stronę najnowszego budynku, który przylegał do muru otaczającego kompleks szpitalny. Było to coś w rodzaju szopy o zakurzonych oknach.

– Idzie pan?

Marcas ruszył za nią. Minęli dziedziniec, weszli do budynku, w którym piętrzyły się sterty niepotrzebnych rzeczy. Pośród łóżek o popękanych sprężynach i szafek na leki pozbawionych szuflad tronował poczerniały żeliwny zabytkowy kocioł.

– Tam.

W lewym kącie przy ścianie przylegającej do rue du Faubourg-Saint-Jacques widniał czarny prostokąt przypominający gródź na okręcie podwodnym. Juliette podeszła i odsunęła żelazną sztabę, która stanowiła zewnętrzne zamknięcie. Rozległ się suchy szcęk. Drzwi z wolna się uchyliły i z ciemności wionęło zimnym powietrzem. Z płóciennej torby Juliette wyjęła dwie świece.

– Widzę, że wszystko pani przewidziała – skomentował to Tristan, podając jej zapalniczkę.

Juliette się uśmiechnęła, po czym zapaliła jedną świecę. Żółty płomyk oświetlił jej twarz. Przypominała teraz starożytną kapłankę gotową celebrować jakieś nieznane misterium. Tristan rozwarł szerzej stalowe drzwi – powoli, aby nie zaskrzypiały. Juliette ze świecą w ręce podeszła bliżej, oświetlając początek schodów, które ginęły w ciemności. Odwróciła się i składając ukłon, rzekła:

– Witamy w piekle!

Londyn

Hellfire Club

Trup kołysał się z lewa na prawo. Słyszać było jedynie poskrzypywanie haka rzeźniczego w miejscu, w którym został osadzony. Ręce martwego człowieka zwisały z elegancją uschniętych wierzbowych gałęzi zimą. Moira palcem pchnęła zwłoki, jakby miała do czynienia z zabawką. Życzliwym wzrokiem patrzyła na powieszzonego.

– Tom mógł zakończyć życie w bombardowaniu, zdechnąć z zimna albo od choroby. Mógł mieć tak anonimową śmierć, jak anonimowe było jego życie. A tu proszę, za dzień czy dwa zapisze się w historii. Miliony Anglików poznają jego nazwisko, nędzne życie, chwalebna śmierć. Tom Hackney, majster w Battersea Power Station, ojciec dwojga dzieci.

– Umyślnie go wybrałaś?

– Nie ja szukam ofiary, inni robią to za mnie. Ale tym razem chciałam mężczyznę. Samca. Zauważyłaś, że ofiarami napaści albo okrutnej śmierci są zawsze kobiety? Kuba Rozpruwacz w damskiej wersji, o, to jest coś! Dobrze by było, gdyby strach zmienił stronę i płeć. No i jaka jest twoja decyzja?

Aleister pragnął jednego: opuścić to piekło, wynurzyć się na powierzchnię i na zawsze zapomnieć Szkarłatną Czarodziejkę. Byłoby to jednak przyznaniem się do porażki.

– Zgoda...

– Och, doprawdy... – ucieszyła się Moira. – Chodź więc uścisnąć Toma.

Chinka podeszła do trupa i wycelowała w niego obiektyw aparatu fotograficznego.

– Ustaw się koło tego poczciwego Anglika z miną jak najbardziej arogancką, perwersyjną. Będzie to moje osobiste zabezpieczenie, na wypadek gdyby zachciało ci się chlapać jęzorem. No, postaraj się bardziej. Uśmiechnij się i przytul do niego! Obdarz go odrobiną czułości.

Crowley objął w pasie martwego człowieka. Strzeliła lampa błyskowa.

– Tu jest lodownia – wydukał z żalosnym grymasem. – Wykończę się na zapalenie płuc... No, masz, coś chciała. A teraz słucham. Po co te morderstwa?

– Już ci mówiłam. To nie ja. Dostarczają mi trupy, ja służę tylko jako zwrotnica. Później zostawia się je w mieście, żeby zostały znalezione.

– Kto to robi?

Na schodach rozległo się stukanie podkutych butów, któremu towarzyszyło szuranie.

– O wilku mowa – mruknęła Moira.

Ze schodów zeszło dwoje ludzi. Ciągnęli za ręce zwłoki mężczyzny w spodniach spuszczonej do kostek. Kiedy dotarli przed chłodnię, ich twarze otoczyło połyskliwe halo. Aleister rozpoznał parę młodych ludzi, na których natknął się w barze. Chłopak, pewnie około dwudziestoletni, twarz miał niemal anielską.

– Aleisterze, przedstawiam ci moich pomocników w zakończeniu żywotów. Conrad i Suzan, dwoje pasjonatów tej dziedziny.

– Co to za jeden? – zapytała dziewczyna. – Nie wygląda na czystego rasowo.

– Aleister Crowley, były właściciel lokalu, w przeszłości mag i okazjonalnie satyr. Aktualnie jeden z moich pracowników. Nie zwracajcie na niego uwagi, róbcie, co do was należy.

Młodzi przeszli przed nią i złożyli nieboszczyka na podłodze. Jego sflaczałe białe ciało spoczęło na zimnym metalu.

– Jego też zabijecie?

– Ależ nie, to jeden z klientów klubu, ktoś ważny. Pułkownik, który pracuje w Centrum Koordynacji Operacji Specjalnych. Jest tylko naćpany.

Chłopak objął wiszącego trupa i zdjął go z haka, po czym ułożył obok nieprzytomnego wojskowego. Lei Min zmieniła kasetę z kliszą w aparacie.

– Ach tak... – rzekł Crowley.

Szkarłatna Czarodziejka uśmiechnęła się przebiegle.

– Zaczynasz rozumieć? Nasi niemieccy przyjaciele zobaczyli, że zachowujesz się jak grzeczny chłopczyk, odkąd ci załatwiłam spotkanie z nieżywą dziewczyną z cmentarza w Tower Hamlets. Zapytali, czy nie mogłabym zrobić tego samego z moimi klientami, najlepiej z ludźmi wpływowymi, których mogłabym szantażować. Tyle że za każdym razem potrzebny mi świeży trup.

– I zgodziłaś się...

– Owszem, ale zastrzegłam, że nie biorę na siebie zabójstw. Ja dostarczam delikwentów, a moi przyjaciele zajmują się akcesoriami.

– Jesteś obrzydliwa.

– Tylko bez umoralniania. Zwłaszcza ty nie masz do tego prawa.

Lampa błyskowa trzaskała w chłodni raz po raz. Para młodych podeszła do Moiry.

– A ilu zamierzasz tak wpuścić w maliny? – zapytał mag.

– Ważna jest nie tyle liczba, ile strategiczna pozycja moich klientów. Mam już w kieszeni generała brygady i wpływowego członka Izby Gmin. Cenne nabytki.

Conrad zapalił papierosa i w milczeniu obserwował Crowleya niczym zwierzę w ogrodzie zoologicznym. Podeszła do niego Suzan, objęła go w pasie.

– Nie podoba mi się ten gość – oświadczyła. – Jest brzydki.

– Z rasowego punktu widzenia to interesujący przypadek – zauważył jej towarzysz.

– W grupie podludzi oczywiście.

Aleister zmierzył ich wzrokiem.

– Moira, skąd żeś wzięła tak uroczych narodowosocjalistycznych zakochanych?

– Niedawno mi ich przysłano. To mieszana para. On jest Niemcem, ona Angielką. Pobrali się w Monachium w trzydziestym dziewiątym, tuż przed wybuchem wojny. Piękna miłosna historia. Poznali się w czasie igrzysk olimpijskich w Berlinie. Suzan jest rozmówana w Führerze.

Crowley popatrzył na nich ze wzdrganiem w oczach.

– Jak się doczekacie własnego miotu, dajcie mi jedno z młodych. Potrzebuję zdegenerowanego dziecka, żeby je złożyć w ofierze Szatanowi.

– Cuchniesz zdradą na kilometr, grubasie – odparła Suzan. Po czym zwróciła się do szefowej klubu Hellfire: – Jesteś tego świadoma, Moiro?

– Jasne, inaczej nie pracowałyby dla nas. Cóż, widzę, że nie ma między wami chemii. Możesz już iść, Aleisterze.

– I naprawdę mnie nie powalisz i nie zawieszisz w spiżarni?

– Też coś...! Bardziej mi się przydasz żywy niż martwy. Lei Min cię odprowadzi.

– Czy prośba o zamówienie taksówki byłaby z mojej strony przesadą?

– Załatw to z portierem. A teraz spadaj, zanim się rozmyślę.

Crowley cofnął się o kilka kroków, potem czym prędzej ruszył po schodach na górę. Suzan poczekała, aż zniknął, i z niezadowolaniem w głosie spytała Moirę:

– Co robimy z tym pułkownikiem?

– Zanieście go do pokoju fiołkowego. Pośni jeszcze dobre trzy godziny, a kiedy się obudzi, pokażemy mu piękne artystyczne zdjęcia.

Niemiec zdusił niedopałek na zwłokach majstra.

– Zgadzasz się z Suzan. Za grosz nie wierzę temu spałemu wieprzowi. Jesteś pewna, że przyszedł tu sam?

– To znaczy?

– W mojej szkole szpiegowskiej Abwehry w Berlinie uczą nas żelaznej zasady, którą należy stosować wobec swoich informatorów: nigdy im nie ufać i zawsze ich śledzić. Żeby sprawdzić, czy nie grają na dwie strony.

Moira zamknęła drzwi chłodni.

– Aleister za bardzo się boi, żeby mnie zdradzić.

– Ja tam wolę się upewnić.

Młody Niemiec, nie czekając na odpowiedź szefowej Hellfire'u, puścił się biegiem po schodach.

Paryż

Szpital Cochin

W przeciwieństwie do tego, co Tristan sobie wyobrażał, w paryskich podziemiach chłód wcale nie królował niepodzielnie. Spostrzegł to, kiedy schody po raz pierwszy skręciły w prawo. W drżącym blasku świeczek pojawił się wtedy termometr wskazujący trzysta stopni.

– Temperatura idealna do przechowywania wina – oznajmiła Juliette. – W ubiegłym wieku zresztą wielu hurtowników trzymało beczki w kamieniołomach.

Idąc w dół dłuższym niż poprzedni ciągiem schodów, dotarli do kolejnego podestu. Tu ściany otynkowano, a na przybitej do nich drewnianej tablicy wisiały na gwoździach maski gazowe.

– Chyba nikt nigdy ich nie używał – zauważył Tristan. – To miejsce wygląda na opuszczone.

– Podobno ruch oporu wykorzystuje te korytarze, żeby niepostrzeżenie się przemieszczać. A ponieważ Gestapo ściga partyzantów, nikt już nie odważa się schodzić w podziemia. I pomyśleć tylko, że jeszcze niedawno kamieniołomy były w ogóle niezbadane.

– Czy ostatnio wydobywano kamień w tym rejonie?

Juliette pokręciła głową.

– Nie, wydobyć wstrzymano już w czasach Ludwika Czternastego. Obserwatorium i opactwo Val-de-Grâce to ostatnie budowle w Paryżu wzniesione z materiałów wydobytych z tych kamieniołomów. Później za to hodowano tu pieczarki i warzono piwo.

Schody się skończyły przy wylocie dwóch tuneli. Jeden prowadził prosto, drugi był do niego prostopadły. Juliette wyjęła i rozłożyła mapę.

– To najnowsza, jaką udało mi się znaleźć. Korytarz na prawo prowadzi prosto do schronu przeciwlotniczego.

Tristan nie wyobrażał sobie, by Gurdżijew wybrał miejsce, które w razie byle nalotu mogło się wypełnić ludźmi, niemniej chciał mieć czyste sumienie.

– Pamięta pani, co mi obiecała...? No, to proszę tu zaczekać.

– A jeśli coś się zacznie dziać?

– Natychmiast wróci pani na powierzchnię... i równie szybko o mnie zapomni. Dla własnego dobra.

Między otynkowanymi ścianami Marcas podszedł do drzwi podobnych do tych, które zamykały wejście na powierzchni. Były uchylone. Na wprost miał dwa korytarze, które na planie łączyły się kawałek dalej. Będzie musiał obydwaj przemierzyć. Osłonił dłonią płomień świeczki, by ograniczyć jej jasność, i ruszył naprzód. Szedł po ubitej ziemi, która tłumiła odgłos kroków. Zdaniem Juliette w tej części dawnych kamieniołomów nie było żadnej komory, wnęki ani bocznego tunelu, czyli żadnej kryjówki, ale może właśnie dlatego Gurdzijew wybrał ten rejon, przyjąwszy, że nikt niczego nie będzie tu szukał.

Co dziesięć metrów Tristan przystawał, by wsłuchać się w ciemności, lecz słyszał jedynie bicie własnego serca. Czuł się coraz bardziej przytłoczony. Sklepienie było niskie, tunel się zwężał. Dotarł w końcu do przejścia na wspornikach, które wiodło do innego korytarza. Według planu na jego końcu stare kręcone schody prowadziły na powierzchnię. Będzie musiał tam zajrzeć. Rosjanin mógł się ulokować na ostatnich stopniach niczym ptak na żerdce.

A nie, to nie będzie konieczne, pomyślał, potknąwszy się na kamieniach.

Korytarz w głębi cały się zawalił. Były tam tylko tony gruzu. Prawdopodobnie wojsko postanowiło odciąć tamto wejście, zasypując tunel. Marcasowi pozostało tylko zawrócić.

– Widzę, że pańskie zamiary spaliły na panewce.

Niewątpliwie przez stałe obcowanie z książkami Juliette posługiwała się czasami dość przestarzałym językiem. Co jako dodatek do niewyczerpanej wiedzy dodawało jej uroku.

– Miejmy nadzieję, że w innej części kamieniołomu znajdę to, czego szukam.

– Proponuję swoje usługi jako przewodnik!

Weszła do niewielkiej komory, w której ku zaskoczeniu Tristana w jednym rogu znajdowała się przepięknie obrobiona studnia. W jej głąb aż do lustra niebieskawej wody prowadziły białe stopnie.

– To wywiera wpływ na Sekwanę – ironicznie zauważyła bibliotekarka. – Na tej głębokości mamy do czynienia z lustrem wód podziemnych. Kiedy robotnicy Guillaumota przystępowali do zabezpieczenia dawnego kamieniołomu, w pierwszej kolejności drążyli studnię, żeby mieć czym rozrobić zaprawę i postawić ściany wspornikowe.

Marcas nie oparł się pokusie – zanurzył dłoń. Woda, chłodniejsza niż otaczające ich powietrze, wydawała się krystalicznie czysta. Gurdzijewowi nie groziłaby śmierć

z pragnienia. Jeżeli zabrał dość produktów żywnościowych, mógł tu wytrzymać długie tygodnie.

– Dokąd teraz? – zapytał Tristan, wskazując węższy korytarz, który ginął w ciemnościach.

– Taaak... pójdziemy rue des Capucins aż do rue des Bourguignons – wyjaśniła Juliette, a widząc zaskoczenie Marcasa, dodała: – Żeby się nie pogubić w podziemiach, Guillaumot postanowił zbudować sieć korytarzy komunikacyjnych, które będą tożsame z ulicami na powierzchni.

– Czyli wszystko pod ziemią odpowiada temu, co jest na ziemi.

– Właśnie. Na przykład tutaj dotarliśmy do skrzyżowania rue des Capucins przy dawnym szpitalu chorób wenerycznych, jak wskazuje tabliczka. Nie muszę panu tłumaczyć, co leczono w tym szacownym przybytku, który później przyłączono do szpitala Cochin – dodała z filuternym uśmiechem.



Ruszyła przodem, oświetlając świeczką ściany. Tristan zauważył, że po bokach co rusz otwierają się ślepe nisze. W jednej z nich spoczywały ułożone na ziemi czaszki pociemniałe z powodu upływu czasu.

– Wie pan, że zwłoki większości zgilotynowanych rewolucjonistów wrzucano do katakumb? A żeby nie stały się przedmiotem kultu, zawsze oddzielano głowę od korpusu. Być może patrzy pan teraz na szczątki Dantona albo Robespierre’a.

Marcas nie odpowiedział. Zauważył właśnie na końcu tunelu długi mur z idealnie dopasowanych kamieni zdający się definitywnie zamykać drogę. Juliette znowu objaśniła mu plan podziemi:

– To mur wzmacniający postawiony zgodnie z rysunkiem fundamentów opactwa Val-de-Grâce. Teraz musimy skręcić w prawo, żeby zbadać ostatnią część tuneli w tym

rejonie: płataninę korytarzy położonych po obu stronach rue de la Santé. Istny labirynt. Gdybym miała się ukrywać, zaszyłabym się właśnie tutaj.

– Dlaczego? Uważa pani, że kogoś szukam?

Juliette przysunęła świeczkę do swojej twarzy, oświetlając jasnoszare oczy.

– Cóż, paryskie podziemia zawsze były ostatnią szansą dla uciekinierów wszelkiej maści. Ukrywał się tu Marat, a dużo później komunardzi. Kiedy ktoś chce umknąć przed władzami, schodzi do królestwa ciemności.

Tristan już miał odpowiedzieć, gdy naraz gdzieś za nimi rozległ się jakiś hałas. Dochodził z korytarza, którym przyszli.

– W kamieniołomach mieszkają szczury?

– Nie ma ani jednego, bo w odróżnieniu od kanałów ściekowych, tu nie znajdzie się nic do jedzenia. Najpewniej osypały się jakieś kamienie. No bo kto miałby tu przyjść?

– Zawsze ma pani odpowiedź na wszystko? – zagadnął Marcas, by zmienić temat rozmowy.

– Przy panu zdaje się, że tak.

Chwilę wcześniej skręcili w prawo. Tristan na darmo nastawiał ucha – niczego już nie słyszał. Dyskretnie sięgnął za plecy, by namacać kolbę lugera, którego zabrał ze sobą. Być może będzie musiał go użyć. Nie dla siebie, lecz w celu obrony Juliette.

– A teraz mamy do wyboru dwa...

Juliette nie dokończyła. Korytarz, którym szli, nagle się skończył. Drogę tarasowała im wielka sterta gruzu.

Sklepienie kamieniołomu się zawaliło, tworząc stożek pogruchotanych skał, który uniemożliwiał dostęp do ostatniej części sieci tuneli w tym rejonie.

– Mam nadzieję, że ten, kogo pan szuka, nie jest po drugiej stronie, bo według planu nie ma stąd innego wyjścia.

Tristan podszedł do zawaliska, po czym upewniając się co do stabilności poszczególnych kamieni, zaczął się wspinać na stertę.

– Co pan robi? – wystraszyła się Juliette. – To niebezpieczne, może się posypać w każdej chwili!

– Zaryzykuję.

Londyn

Biuro wydziału S

– Jak to, Laure nie jest z wami? – wykrzyknął Malorley.

– Stoję w budce telefonicznej na rogu ulicy, przy której mieści się Hellfire – odpowiedziała agentka SOE. – Wszędzie jej szukałam. Wsiąkła.

– Macie znaleźć numer jej współlokatorki, Laure miała się z nią spotkać w restauracji. Może poszła, nie czekając na was. I dzwońcie, jak tylko czegoś się dowiecie!

Malorley odłożył słuchawkę na widełki i zerwał się na nogi. Ogarnął go dojmujący niepokój. Coś tu nie grało, przecież Laure sama się domagała, aby Malorley przysłał agenta, który ją odbierze.

Siedzący w fotelu Crowley wodził za nim oczami, gdy komandor chodził wzdłuż i wszerz pokoju.

– Ona naprawdę bardzo chciała iść na to spotkanie, a przecież ją pan zna: wcielenie niecierpliwości.

– Może, wcale jednak mi się to nie podoba. Zwłaszcza odkąd mi pan powiedział, co kombinuje Moira O'Connor i jej ekipa zabójców.

– Myśli pan, że ją uprowadzili? A jak niby mieliby nas powiązać? Nie podeszliśmy do siebie, ona tylko dała mi znak ręką. Z daleka.

– Właśnie to mnie martwi. Proszę sobie wyobrazić, że któryś ze zbirów Moiry szedł za panem po wyjściu z klubu.

– W takim razie trzeba tam posłać policję na przeszukanie. SOE ma swoje sposoby, żeby uzyskać wsparcie Scotland Yardu.

– Korci mnie mocno, ale jeśli uruchomię akcję, będzie to oznaczało koniec naszych gier z Moirą O'Connor. Będzie spalona w siatce niemieckich szpiegów. Stracę cenny atut, bardzo cenny. Przy okazji na nic się nie przyda operacja Witchfall, bo Moira nie przekaze nagrań do Berlina. – Malorley przysiadł na brzegu biurka. Na telefonie mrugało czerwone światełko połączeń wewnętrznych, lecz komandor nie odebrał. – Zły jestem na siebie. Laure nie chciała z panem iść, zmusiłem ją. Wiedziała, że Moira odpowiada za kolejne morderstwa, a ja jej nie posłuchałem!

– Trzeba czekać na wieści. To kwestia paru godzin.

– Wiem aż za dobrze... Tymczasem pan spisze wszystko, co powiedziała Moira. Jeśli zaczną szantażować wojskowych i polityków, koniecznie będzie trzeba ich zidentyfikować. To kwestia bezpieczeństwa narodowego. Muszę uprzedzić MI5 i gabinet premiera. Niech pan też... – Ktoś zapukał do drzwi. Malorley krzyknął: – Nie teraz!

Zza drzwi dobiegł skwaszony głos jego sekretarki:

– Komandorze, próbowałam się do pana dodzwonić. To naprawdę ważne.

– Do licha, trudno, poczeka!

Drzwi się otworzyły. Młoda kobieta zdecydowanym krokiem podeszła do szefa, który patrzył na nią rozzłoszczony.

– Katie, ogłuchła pani? Powiedziałem, że...

Sekretarka stanęła przed nim z wyzywającą miną.

– Gdybym nie dostarczyła panu tej wiadomości, do końca życia byłby pan na mnie zły.

Malorley niemal wyrwał jej kartkę z ręki.

– W dobrze pojętym pani interesie mam nadzieję, że... – Urwał zahipnotyzowany tym, co czytał.

– Co się dzieje? – zapytał Crowley, który sposobił się do wyjścia.

Malorley po kilku kolejnych sekundach odłożył kartkę na biurko.

– MI6 podesłało mi fragment podsłuchu wysokiego oficera SS we Francji. Himmler każe mieć oko na Reichsleiterra Rosenberga, który wpadł na krótko do Paryża.

– Ach, drogi Alfred! Dobrze go znałem przed wojną. On też bardzo interesuje się ezoteryką. Członek Stowarzyszenia Thule.

– I przy okazji szef nazistowskiego gangu złodziei obrazów i milionów dzieł sztuki.

– A czemu tak pan się nim przejmuje?

– Nie nim... Himmler wspomina o jednym ze swoich agentów, który jest z Rosenbergiem. O jakimś... Tristanie.

– A więc on żyje! Ten młodzian naprawdę cieszy się opieką bogów! To ci dopiero dobra wieść...

– Tak pan uważa? Cóż, dowiaduję się o jego zmartwychwstaniu w dniu zniknięcia Laure. Okrucieństwo losu nigdy nie przestanie mnie zadziwiać... Dobranoc.

Paryż

Szpital Cochin

Dotarłszy niemal do sklepienia, Tristan starannie zbadał szczyt rumowiska. W przeciwieństwie do podstawy kopca, po którym się wspiął, na wierzchołku kamienie wydawały się mocniej osadzone. Zdjął jeden, potem drugi i poczuł powiew świeżego powietrza. Intuicja go nie zawiodła. Gurdżijew liczył, że gruzowisko zniechęci potencjalny pościg. On także wspiął się na sam szczyt, odgruzował sobie przejście, po czym starannie je zasłonił. Tristan odwrócił się do Juliette.

– Sprawdzę tę resztkę kamieniołomu. Nie zejdzie mi długo.

Nie czekając na odpowiedź, przeczołgał się przez dziurę. Po drugiej stronie stożek był dużo mniej spadzisty. Tristan zauważył przygotowane wśród kamieni miejsca podparcia dla rąk i nóg. Szybko dotarł do poziomu ziemi. Teraz musiał zadbać, by nie wystraszyć Rosjanina. Gdyby przypadkiem Gurdżijew był uzbrojony, mógłby zareagować gwałtownie.

Tristan postąpił naprzód trzy kroki. Według planu było tu ledwie kilkadziesiąt metrów korytarzy. A pod ziemią głos niósł się daleko.

– Gurdżijew, wiem, że się ukrywasz w tej galerii. Znalazłem kamień z inskrypcją ukryty pod podłogą pod łóżkiem twojego syna. Inicjały i data doprowadziły mnie do ciebie.

Bez odzewu.

– Wiem, kim jesteś. Człowiekiem z bliskiego otoczenia carskiej rodziny zbiegłym do Francji. I wiem, dlaczego niektórzy cię szukają!

Odpowiedziała mu cisza.

– Słuchaj, podejdę dziesięć metrów i odłożę broń. Potem się odwrócę i tyle samo się cofnę.

Marcas postąpił naprzód, położył pistolet na ziemi, zrobił w tył zwrot i odliczył dziesięć kroków.

– Stać.

Gurdżijew nie wyzbył się rosyjskiego akcentu. Tristan podniósł ręce do góry.

– Masz inną broń?

– Nie.

Marcas usłyszał szcęk odbezpieczanego lugera i odgłos pocisku wsuwanego do lufy.

– Odwróć się.

Przed nim stał uciekinier z latarnią w ręce. Rzadkie siwe włosy, rozczochrana broda – nic a nic nie przypominał eleganckiego preceptora, który pomagał carewiczowi wsiąść na rower.

– Nazywam się Marcas.

Rosjanin patrzył na niego z osłupiałą miną.

– Rosenberg pana przysyła?

Zaskoczony Tristan się zawahał, po czym odpowiedział:

– Skąd pan wie?

– Od lat mnie szuka. Jakby całą tę swoją nazistowską karierę robił tylko po to, aby mnie dopaść.

– Nie rozumiem. Od kiedy go pan zna?

– Od tysiąc dziewięćset siedemnastego. Poznaliśmy się w Moskwie.

Tristan przypomniał sobie, co mu powiedział kapitan w samochodzie, którym jechali do Frankfurtu. Rosenberg zaczął w stolicy Rosji studia architektoniczne, akurat gdy wybuchła rewolucja.

– Poznał go pan na uniwersytecie?

Rosjanin zaśmiał się szyderczo.

– Rosenberg wolał bywać w węższych kręgach, przestawać z bardziej wpływowymi grupami. Już wtedy kochał władzę. – Gurdzijew wymierzył lugera w Marcasa. – A teraz gadaj pan, czego ode mnie chcesz.

– Księżyc w Pełni... o, przepraszam, Rosenberg wie, że przechowuje pan carskie kosztowności. Chce je dostać.

– I pan mu uwierzył?

– Sprzedał pan klejnot należący do rodziny carskiej.

Gurdzijew ani drgnął. Tristan skorzystał z jego milczenia.

– Ma pan moją broń, może pan więc uciec. Ale skoro ja pana znalazłem...

– Grozi mi pan?

– Nie. Mam propozycję. Pańskie życie i wolność w zamian za carskie kosztowności. Kiedy Rosenberg je dostanie, niczego nie będzie musiał się pan bać.

Rosjaninowi oczy zapłonęły.

– Nie rozumie pan. Rosenberg ma gdzieś kosztowności...

Przerwał mu krzyk:

– Tristan, uwaga, on ma broń!

Głos Juliette.

Ze szczytu kamiennego kopca coś wielkiego stoczyło się na ziemię. Marcel. Marcas zrobił krok, lecz Marcel, dając dowód niezwykłej zwinności, wycelował w niego z broni, którą zaraz zwrócił w stronę Rosjanina.

– A ty, Rusku, odłóż spluwę! Inaczej podziurawię cię jak sito.

– Daj mu klejnoty! – ryknął Tristan. – Pozabija nas!

Gurdziejew sięgnął wolną dłonią za pazuchę i cisnął sakiewkę. Wypadł z niej pierścień, który potoczył się po ziemi. Zafascynowany Marcel runął, aby go podnieść.

I w tej chwili luger plunął śmiercią.

Zakrwawionym kolaborantem rzuciło o mur, Marcel zdążył jednak nacisnąć spust.

Trafił Rosjanina. Marcas dopadł Marcela, wyrwał mu rewolwer, po czym przyklęknął obok Gurdziejewa.

– Nad nami jest szpital. Wyniosę pana na powierzchnię.

– Nie trzeba...

Tristan rozerwał mu marynarkę. Kula trafiła w pachwinę i uszkodziła tętnicę, z której krew tryskała między palcami Rosjanina.

– Rosenberg... w Moskwie... zadawał się... z grupami okultystycznymi... Oni... mieli się za wybranych... Czcili święty znak... wirującą gwiazdę...

– Nic nie mów, oszczędzaj siły!

– Car wysłał ją za granicę... i dlatego wszystko... się zawaliło... Gdyby swastyka została na Kremlu... komuniści nigdy nie przejęliby władzy...

Marcas zastygł.

– Mówisz o świętej swastyce?

– Tak... Mówiono, że jest w Rosji... legenda... nigdy w to nie wierzyłem... ale Rosenberg tak... Potem wybuchła rewolucja... i car ujawnił... jej istnienie... bo chciał ją umieścić... w bezpiecznym miejscu.

Tristan zaklął. Księżyc w Pełni zaćmił mu umysł, zmanipulował go. Wypuścił na poszukiwanie. A teraz przez cholernego Niemca miał na sumieniu dwóch ludzi.

– Ta swastyka... gdzie ona jest? – wykrztusił.

– Ukryta... w Anglii.

No, to tak jakby szukać igły w stogu siana, pomyślał Francuz. Gurdziejew się zakrztusił. Z ust pociekła mu strużka krwi. Ścisnął dłoń Marcasa.

– W Londynie... znajdź Jamesa Hadlera.

Kiedy Tristan wrócił na drugą stronę rumowiska, Juliette czekała, mnąc nerwowo rondo słomkowego kapelusza.

– Słyszałam strzały.

– Więcej ich pani nie usłyszysz.

Marcas odczuwał przemożną potrzebę uporządkowania myśli, przedtem jednak pilnie musiał zadbać o bezpieczeństwo bibliotekarki.

– Potrafi pani sama wrócić na powierzchnię? – zapytał.

– Tak, ale nie zostawię pana tutaj.

– Zostawi pani. – Wskazał rumowisko. – Za tymi kamieniami są dwa trupy, w tym kolaboranta. Naprawdę chce pani mieć do czynienia z tymi ludźmi?

Juliette przestała gnieść kapelusz. Tristan pogładził ją po policzku. Teraz ich drogi musiały się rozejść. Nie miał wyboru.

– Bardzo mi pani pomogła. Gdyby nie pani, już bym nie żył.

– Skoro uratowałam panu życie, czy mogę jeszcze coś dla pana zrobić?

– Tak. Proszę iść do świątyni przy rue de l'Oratoire.

Juliette na moment oniemiała ze zdziwienia.

– Mam się za pana pomodlić?

– Może pani. Ale po raz drugi uratuje pani moją skórę.

– Niby jak?

– Zobaczy się pani z pastorem. Proszę mu powiedzieć, że ma pani do przekazania wiadomość do Anglii. Będzie się wypierał, że nie ma takich kontaktów, ale niech pani na to nie zważa. Proszę mu też powiedzieć, że wie pani o spadochroniarzu. To go zaskoczy wystarczająco, żeby pani wysłuchał.

– A jak brzmi ta wiadomość?

– Tylko jedno jedyne zdanie. Dla komandora Malorleya. „Artefakt jest w Londynie”.

– I tyle?

– To naprawdę dużo, proszę mi wierzyć.

Juliette nałożyła kapelusz na głowę.

– Więcej pana nie zobaczę?

Marcas milczał. Zrozumiała.

– Szkoda... Zaczynałam się przyzwyczajać do naszych przygód... i do pana.

Ja też – omal nie szepnął Tristan.

Odeszła bez słowa. Odprowadzał ją wzrokiem, dopóki widział blask świeczki. Później Juliette nagle skrzyła w bok i zniknęła.

Tym razem Marcas był zupełnie sam.

CZĘŚĆ TRZECIA

Dziś po raz kolejny budzi się mit, mit krwi [...] krew nordycka reprezentuje owo Misterium, które pokonało i zastąpiło dawne sakramenty.

Alfred Rosenberg, Mit XX wieku

To głupstwa. A głupstwa pozostają głupstwami. Jeśli na kartce papieru zrobić kleks z atramentu, nikt nawet za pięćdziesiąt lat nie pomyśli, że to Rembrandt. Rosenberg to człowiek niebezpieczny i głupi i im szybciej się go pan pozbędzie, tym lepiej.

W związku z teoriami Rosenberga, Ernst Hanfstaengl, szef obsługi prasy zagranicznej w Kancelarii Rzeszy do 1937 r.

Cmentarzyska czasów są zapełnione zjawami ludów, które uważały się za wieczne.

Thule Borealis Kulten

Polska

Wilczy Szaniec

Pociąg, który jechał przez lasy w kierunku rosyjskiej granicy, poruszał się ze zgaszonymi światłami. Zasadniczo ten odległy rejon Polski pozostawał poza zasięgiem lotnictwa angielskiego, ale zwiększono środki bezpieczeństwa związane z ochroną Reichsführera. Obecnie na każdą podróż przygotowywano różne godziny odjazdu i różne trasy, po czym w ostatniej chwili wybierano jedną. Od śmierci Heydricha, zamordowanego w Pradze przez grupę wyszkoloną w Anglii, szef SS jakby się wzbogacił o dar wszechobecności. W Gestapo powołano specjalną sekcję, która zajmowała się rozpowszechnianiem pogłosek o jego pobycie w rozmaitych częściach kraju. Zapowiadano nawet fałszywe wizyty, odwoływane z nienacka, aby zwieść obce służby wywiadowcze. Reichsführer stał się po Hitlerze najlepiej chronionym człowiekiem w Niemczech.

Himmler kończył czytać raport przesłany przez Marcasa. A więc natrafił na ślad ostatniej swastyki. Co więcej, zneutralizował ambitne dążenia Rosenberga. Teraz jeden jedyny Himmler mógł zawładnąć ostatnią relikwią.

Zawładnąć i posłużyć się nią.

Reichsführer uniósł zasłonkę i wyjrzał przez szybę. Chociaż wieczór już zapadł, widać było jeszcze szczyty drzew odcinające się na tle zachmurzonego nieba. Prawda jest w lasach, pomyślał, tylko tam można być naprawdę w kontakcie z siłami natury, które gdy pokonamy i przezwyciężymy własny strach, z każdego czynią nadczołwieka. Dlatego właśnie Germanie zawsze żyli w puszczy i nie godzili się na stawianie miast jak Grecy. Kiedy pojawia się cywilizacja, znika energia życiowa.

Reichsführer wziął do ręki notes. Przyszła mu do głowy myśl, którą chciał od razu zanotować. Do szkolenia esesmanów należy koniecznie włączyć obowiązkowy pobyt w lesie bez wody, broni i jedzenia. Nowa elita, która zdominuje Europę, musi odnaleźć swe najgłębsze korzenie, by stać się niczym potężne płodne drzewo sięgające gałęziami aż do nieba.

– Herr Reichsführer... – W uchylonych drzwiach zjawił się oficer. Pociąg zwalniał. – Dojechaliśmy do Wilczego Szańca.

Pierwsza strefa bezpieczeństwa

Bunkier Hitlera

Decyzję o budowie Wolfsschanze, Wilczego Szańca, na północno-wschodnim skraju Polski podjęto jesienią 1940 roku, aby dysponować operacyjną kwaterą główną w związku z planowanym najazdem na ZSRR. W środku lasu zdającego się rozciągać bez końca niemieccy inżynierowie stworzyli betonowe miasto z podziemiami, stacją kolejową, lotniskiem, a nawet z chatami z okrągłaków krytymi dachami, na których rosła trawa. O ile większość nazistowskich dygnitarzy nienawidziła tego miejsca uważanego za brzydkie i przygnębiające, o tyle Hitler czuł się dobrze w Wilczym Szańcu i spędzał w nim większość czasu, gdy nie przebywał w Kancelarii Rzeszy w Berlinie lub w swojej rezydencji w Berghof zwanej Górą. Nie przeszkadzały mu szare ściany ani ciągłe przebywanie w pomieszczeniach oświetlonych elektrycznością. Przeciwnie, im intensywniejsze stawały się działania wojenne, tym bardziej lubił tutejszą prostotę życia, którą narzucał swojemu otoczeniu. Mieszkał w samym centrum strefy pierwszej, najlepiej chronionej w całym kompleksie, mieszczącej cały jego sztab. Łącznie z Goeringiem, który usiłował złagodzić spartańskie warunki swej kwatery, nakrywając podłogi perskimi dywanami, a ściany obwieszając starymi obrazami. Prawdę powiedziawszy, dowódca Luftwaffe nie cierpiał zarówno swojego betonowego bunkra, jak i sali konferencyjnej, w której czekał na niego Hitler.

– Mein Führer – wykrzyknął Goering, wchodząc – jak pan może spędzać lato w tej polskiej głuszy, gdzie roi się od komarów? Proszę pozwolić, że zawiozę pana do Berlina. Tydzień w stolicy Rzeszy, a będzie pan jak odrodzony!

Hitler spojrzał na niego jak na ośmioletniego chłopca.

– Coś mi się zdaje, Hermannie, że nie jest pan świadom jednego: prowadzę tutaj bezpardonową walkę z siłami zła. Z Rosjanami, Anglikami, Amerykanami...

– Nooo, zmiażdżyliśmy przecież Polskę, znokautowaliśmy Francję, rozprawiliśmy się z Bałkanami, rzuciliśmy Anglię na kolana, więc niestraszna jest nam garstka Słowian wspieranych przez paru napalonych jankesów.

Na poparcie swojego rozumowania Goering walnął się w pierś, aż podskoczyły mu rzędy odznaczeń na nieskazitelnie białej kurtce munduru, jaki tylko on nosił w całej armii niemieckiej.

– A pewnie, ma pan słuszość, odnieśliśmy wiekopomne zwycięstwa – wyszeptał z ironią w głosie Goebbels. – Ale wtedy mogliśmy liczyć na lotnictwo godne tego miana.

Zirytowany Goering się odwrócił. Karzeł też tu był!

– Drogi Josephie, jak miło pana widzieć! Przyjechał pan bez Magdy? Kiedyż wreszcie będzie nam dane rozkoszować się jej widokiem w jakimś cudownym

propagandowym filmie pana pomysłu? Nią, taką piękną, taką jasnowłosą, taką aryjską! Inna rzecz, że pan woli dawać główne role drugorzędnym czeskim aktorkom...

Goebbels zerwał się na nogi. Kiedy narodowy socjalizm kroczył ku władzy, on podbił Berlin pięścią i gromkimi przemowami, ale nie po to, aby teraz go znieważał ten spasiony ogr, za jakiego miał Goeringa.

– Skoro już zeszliśmy na tematykę małżeńską, jakże się miewa Emmy, pańska uroczą drugą żoną? Mam nadzieję, że wytrwa w związku trochę dłużej niż pierwsza. Jakże się nazywała ta nieszczęśnica, która nie wytrzymała pańskiego stylu życia?

Goering nie zdzierzył i wrzasnął:

– Zabraniam!

Hitler zachowywał stoicki spokój. Im bardziej jego najbliżsi współpracownicy darli koty między sobą, tym mniejszy opór stawiali jemu. Dlatego teraz tylko przerwał im stanowczym głosem:

– Panowie, nie po to ściągnąłem was do Wilczego Szańca, żebyście rozprawiali o swoich małżeństwach, lecz o sytuacji militarnej. Za chwilę dołączy do nas Himmler.

– Ech, ten poczciwy Heinrich! – prychnął Goering. – O czymże powiadomi nas tym razem? Że odnalazł młot Thora?

– Albo Świętego Graala – zawtórował mu Goebbels. – Ostatnio twierdził, że znalazł go w klasztorze w jakimś zapadłym kącie Katalonii.

Kiedy przychodziło do obśmiania Himmlera, Grubas i Karzeł zawsze tworzyli wspólny front.

– A może zaproponuje kolejną ekspedycję do Tybetu, żeby nauczyć się lewitacji? – zasugerował Hermann.

– Albo na Wyspy Kanaryjskie, by wejść w telepatyczny kontakt z ostatnimi, którzy przeżyli zagładę Atlantydy – dodał Joseph.

Rozległo się ciche pukanie do sali konferencyjnej. Hitler skinął na strażnika, by otworzył opancerzone drzwi. Wszedł Himmler, trzasnął obcasami. Widząc rozweselone miny Goeringa i Goebbelsa, zdziwił się, że nie wyskoczyła mu krostka na końcu języka.

– Dzień dobry, Heinrichu – przywitał go Hitler. – Proszę usiąść. Panowie, przedstawię sytuację na froncie wschodnim. – Führer wziął okulary, podszedł do ściany i rozchylił dwa skrzydła panelu. Ukazała się mapa ZSRR przedzielona na pół czarną linią. – Dotąd nasze wojska obsadziły linię frontu, która ciągnie się od Leningradu do Sewastopola i od Zatoki Fińskiej do Morza Czarnego.

Goering spoglądał na linię, która biegła na odcinku tysięcy kilometrów i angażowała w walkę cztery miliony ludzi. Jej słabość była widoczna jak na dłoni. Za

długa do obrony, zbyt oddalona dla zaopatrzenia. Strategiczna herezja i logistyczny koszmar.

Hitler wziął do lewej ręki linijkę i wskazał południowo-wschodnią część mapy.

– Pod koniec czerwca ruszyliśmy z nową ofensywą w kierunku Kaukazu. Wojska rosyjskie ustąpiły nam pola. Teraz od Wołgi dzieli nas jakieś sto kilometrów. Za kilka tygodni dotrzemy do bram Turcji.

Goebbels jak zahipnotyzowany wpatrywał się w mapę. Nie fascynował go triumfalny marsz oddziałów Rzeszy, lecz nieskończony bezmiar przestrzeni pozostałej do podbicia. Odnosił wrażenie, że rzeka wojsk niemieckich przeobraża się w niezliczone strumyki, które w końcu znikną wchłonięte i przetrawione przez rosyjską ziemię.

– Ta ofensywa ma dwa cele – podjął Hitler. – Po pierwsze, wystraszyć Sowietów i zmusić ich, by odślonili czoło frontu, czyli rejon Moskwy, gdzie skoncentrowali swoje doborowe jednostki. Po drugie, umożliwić nam dotarcie do kaukaskich pól naftowych, żebyśmy zyskali pewne źródło zaopatrzenia naszych pojazdów w paliwo.

– Stalin może spakować pizamę i szczoteczkę do zębów, bo niedługo posmakuje uroków mieszkania w niemieckiej celi! – zawołał Goebbels.

Jeden Himmler się nie odzywał. Słuchał, jak Grubas i Karzeł bez opamiętania kadzą Führerowi. On nie był nadskakującym dworakiem.

– Heinrichu, a jakie jest pańskie zdanie? – zagadnął go Hitler.

– Od roku toczymy wojnę od Atlantyku po Ural, od Skandynawii po Afrykę. Walczymy z Anglią i z jeszcze dwoma największymi światowymi mocarstwami, z USA i ZSRR, które mają wręcz nieograniczone rezerwy ludzkie, zasobów naturalnych i środków produkcji.

– Mój drogi, staje się pan coraz większym pesymistą – próbował go obśmiać Goebbels. – Nigdy nie nieśliśmy palmy zwycięstwa tak wysoko, nasze flagi powiewają od Kijowa po Trypolis.

– To prawda, Heinrichu – przytaknął Goering. – Wszystko pan widzi w czarnych barwach.

Himmler odwrócił się do Führera, którego twarz robiła się coraz bardziej nieprzenikniona. Chociaż od kilku miesięcy byle sprzeciw doprowadzał go do białej gorączki, to jednak pokładał niezachwianą ufność w Himmlerze.

– A ja widzę wyraźnie, że o ile nasi żołnierze dają dowody bezspornej odwagi, o ile całe Niemcy się zmobilizowały w wysiłku wojennym, o tyle logistyka już za tym nie nadąza. Nie jesteśmy w stanie produkować samolotów lepszych niż angielskie czy amerykańskie, nasze okręty podwodne toną jeden po drugim, bo mają przestarzałą technologię, a niedługo to samo będzie z naszymi pojazdami pancernymi. Jesteśmy

tygrysem o łapach z bibuły. Jeszcze jeden atak na nową ofiarę i padniemy jak dłudzy. Definitywnie. – Szef SS położył na stole ciężki plik dokumentów. – Oto wszystkie opracowania i statystyki, mein Führer. Prawdziwe, a nie te, które się poprawia, zanim pan je dostanie. Wszystkie prowadzą do takiego samego wniosku. Jeśli nie stanie się jakiś cud, wytrzymamy nie dłużej niż trzy lata. A i to za cenę miliona poległych.

– I cóż pan proponuje, żeby się wydostać z tego piekła? – zainteresował się Goebbels.

– Właśnie cud.

W sali konferencyjnej w bunkrze słychać było jedynie przenikliwe buczenie systemu klimatyzacyjnego.

– Nie wierzę, to na pewno żarty – rzucił Goebbels pod adresem Himmlera. – Naprawdę chce pan uratować Niemcy za pomocą jakiejś relikwii, swastyki z pradawnych czasów, o której napisano w starym manuskrypcie?

Hitler nic nie mówił. Pod stołem zwinął w pięść prawą dłoń.

– A w dodatku chce pan jej szukać w Londynie, w samym sercu Anglii, naszego największego wroga? – podchwycił Goering.

– W trzydziestym dziewiątym roku odnaleźliśmy pierwszą swastykę w Tybecie. W czterdziestym pierwszym drugą na południu Francji. Obydwie są pilnie strzeżone na zamku Wewelsburg. Straciliśmy natomiast trzecią w Wenecji i... o dziwo... od tej pory nasza sytuacja militarna nie ulega zmianie.

– Tego już za wiele! – wybuchnął szef Luftwaffe. – Pan całkiem oszalał!

Goebbels tym razem się nie odzywał. Zastanawiał się. Co prawda chętnie się natrząsał z ezoterycznych bająn szefa SS, lecz wiedział zarazem, jaką pozycję Himmler zbudował sobie w niedługim czasie samą tylko siłą woli i wiarą w swoje poglądy. A jeśli tym razem Reichsführer dopadł czegoś, co go przerasta?

– Heinrichu, dotąd prowadził pan poszukiwania samotnie. I niewątpliwie słusznie, myślę bowiem, że nikt by panu nie uwierzył. Proszę więc powiedzieć, czemu dzisiaj nam pan o tym mówi?

– Bo potrzebuję współpracy wszystkich. SS nie jest w stanie przerzucić agenta do Anglii, dostarczyć mu przykrywki i siatki pomocników. Odpowiednimi środkami dysponuje tylko jedna służba Rzeszy: Abwehra.

Na dźwięk tego słowa wszystkim zastygły twarze. Abwehra była wywiadem wojskowym. I Himmler, Goebbels oraz Goering wystrzegali się jej jak zarazy: tej jednej służby narodowi socjaliści nigdy nie zdołali zinfiltrować. Powierzenie Abwehrze zadania tej wagi oznaczało podjęcie ryzyka o nieprzewidywalnych skutkach.

Wzrok wszystkich spoczął na Führerze. Tylko on mógł zdecydować. Wpatrzony w mapę zdawał się wahać, w końcu oświadczył:

– Podbiliśmy Niemcy w imię swastyki. Teraz dzięki niej podbijemy cały świat. –
Palcem lewej dłoni wskazał Himmlera. – Rozkazuję panu odzyskać swastykę, która jest ukryta w Anglii. Za wszelką cenę.

Gdzieś w Londynie

Laure otworzyła oczy. Wokół panowała ciemność i cisza. Mrugnęła kilkakrotnie. Na próżno. Odnosiła wrażenie, że jej prawy policzek spoczywa na jakiejś gładkiej lodowatej powierzchni, poza tym nic nie czuła. Reszta jej ciała jakby nie istniała, jakby całe jej jestestwo ograniczało się do policzka, dwojga ślepych oczu i świadomości spowitej mgłą. Jak się znalazła w tej nicości?

Powoli jej umysł na nowo zaczynał funkcjonować.

Budka telefoniczna. Obrazy napływały i wolno wiły się w jej mózgu niczym robak wysuwający się z dziury.

Telefon od Malorleya. Samochód, który miał ją odebrać. Widziała, jak Crowley wychodził, dał jej znak.

I nagle... Młody blondyn o szmaragdowych oczach. I promiennym uśmiechu. Spytała go, czy jest od Malorleya. Przytaknął. I... strzykawka. Ból w lewej ręce.

Facet ją wprowadził.

Dała się złapać! Jak początkujący agent.

W dole karku przepłynęła jej fala paniki. Laure jednak nadal była skulona. Jak w najgorszych chwilach szkolenia, kiedy ją ogłuszono, a później związano, by poddać przesłuchaniu na niby.

Skupiła się na oddechu, jak nauczyli ją instruktorzy. Choć nie pomagało to w ucieczce, kanalizowało strach.

Teraz musiała odzyskać władzę w ciele. Porywacz najwyraźniej wstrzyknął jej jakiś środek obezwładniający.

Powoli, bardzo powoli do jej nozdrzy dotarła dziwna słodkawa woń. Mieszanina zapachów zamkniętego pomieszczenia, mokrego psa i zjełczałego masła. Ta zupełnie nieprawdopodobna kombinacja stawała się jednak coraz bardziej natarczywa i nieprzyjemna, w miarę jak Laure robiła kolejne wdechy. Co ciekawe, wyziewy te nie były jej obce, ale nie potrafiła ich zidentyfikować.

Próbowała się ucześcić punktów pozytywnych. Technika numer cztery, której agenci SOE się uczyli, na wypadek gdyby wpadli w ręce wroga.

Porywacz zostawił ją przy życiu. To już było coś. Po drugie, agent Malorleya, który miał po nią przyjechać, zasygnalizuje, że zniknęła. Zostanie podniesiony alarm.

O dziwo, opanowało ją równocześnie inne uczucie, niepasujące do sytuacji. Gniew. Porywacz zepsuł jej wieczorne spotkanie towarzyskie. W tych okolicznościach było to śmieszne, lecz trawiła ją całkowicie realna złość.

Metaliczne szczęknięcie wyrwało ją z zamyślenia. Przez ziemię przebiegły wibracje. Stukot podeszew. Pojawiło się świetlne halo. W odległości kilku centymetrów od niej albo kilku metrów. Wzrok ją zawodził. Nagle pod policzkiem poczuła coś twardego, przesyconego wonią starej, zniszczonej skóry i uryny, jakby ktoś próbował jej unieść głowę.

– Witaj. Cieszę się, że oprzytomniałaś. Naprawdę. Boisz się?

Męski głos był młody i łagodny. Prawie czuły, jakby człowiek ten wyznawał jej miłość.

– Bałbym się na twoim miejscu. Leżeć w ciemności w jakimś niesamowitym miejscu, zdana na łaskę nieznanego...

Laure usiłowała odpowiedzieć, lecz z jej ust nie dobył się żaden dźwięk. Ledwie mogła poruszyć wargami, sztywnymi i bezużytecznymi jak w połowie wypalone zapałki.

– Nie możesz mówić – podjął głos w ciemności. – Środek, który ci wstrzyknąłem, paraliżuje mięśnie, ale u niektórych znieczula też struny głosowe. Pewnie za dużo dostałaś, wybacz.

Czubek buta się cofnął i głowa Laure opadła na ziemię. Mężczyzna przykucnął obok. Owionął ją zapach jego taniej wody kolońskiej, czuła, że dwa palce przyłożył w kąciku jej ust i zsunął na brodę, po czym zatrzymał w miejscu, gdzie zaczynała się szyja, która wydawała się jej jak z drewna.

– Szczypię cię w tej chwili z całych sił, ale na pewno nic nie czujesz. Mógłbym ci wbić kawał drutu w oko i wepchnąć aż do mózgu, a ty odebrałabyś to jak łaskotanie. W moim kraju ci, którzy używają tej substancji, mówią na nią węzowa pieszczota.

Poczuła dłoń, która uniosła jej podbródek i zaraz go puściła, tak że głowa bezwładnie opadła jej na ziemię. Raz, drugi, trzeci... Za każdym razem policzkiem uderzała w kamień, lecz nie czuła żadnego bólu. Porywacz bawił się jej głową niczym piłką odbijaną o podłogę.

– Śmieszne, mógłbym ci rozharatać prawy policzek, okaleczyć cię do końca życia, a ty nic byś nie poczuła.

Głowa Laure raz jeszcze stuknęła o ziemię, po czym mężczyzna się wyprostował.

– Musimy poczekać, aż środek znieczulający przestanie działać i odzyskasz mowę. Szkoda, to taka strata czasu.

Jego kroki się oddaliły, cichnąc. Ruchoma postać odcinała się w rozproszonym świetle.

– Może chciałabyś lepiej widzieć otoczenie? Zaniedbuję się we wszystkich obowiązkach.

Gdzieś wysoko nad Laure rozległ się zgrzyt. Wszystko wokół zalało białe oślepiające światło. Francuzka zamknęła oczy, aby im oszczędzić dojmującego bólu.

– Poznaj się z kumplem z celi. Ale ostrzegam, nie jest salonowcem.

Laure odczekała kilka sekund, zanim rozchyliła powieki. Potrzebowała kilku mrugnięć, by źrenice przywykły do ostrego światła.

Nieruchomym wzrokiem wpatrywał się w nią jakiś człowiek. Z szeroko otwartymi oczami. Leżał na ziemi jak Laure, z twarzą oddaloną o kilka centymetrów od niej. Niewiele brakowało, a mogłaby go pocałować. Wargi miał sine, białą skórę opuchniętą. Na jego czole widniał osobliwy rysunek. Swastyka.

Laure w jednej sekundzie rozpoznała zapach, który wdychała. Ten sam, który poczuła kiedyś w kostnicy.

Zrobiło się jej niedobrze.

Znów dobiegł do niej głos porywacza, który był za daleko, aby go widziała.

– Ja jestem Conrad. Wrócę za kilka godzin z moją żoną Suzan. Na pewno dobrze się dogadacie.

Paryż

Dzielnica Panteon

Tristan był w gabinecie Rosenberga. Bliski współpracownik Führera oglądał kosztowności, które Marcjas przyniósł z wyprawy w podziemia sieci Les Capucins. Jako człowiek skrupulatny oddzielił pierścionki od naszyjników, a teraz oglądał diadem, który błyszczał w świetle.

– Niestety, trzeba je będzie zniszczyć. Wyjąć kamienie z opraw i przetopić kruszec. Te klejnoty są zbyt znane, żeby je sprzedać takie, jakie są.

Marcjas nie odpowiedział, pomyślał jednak, że to z pewnością najlepszy sposób, aby sobie przysposobić osobisty skarbczyk łatwy do przewiezienia nawet za granicę. Postukał palcem w blat, aż zadrzała para kolczyków, po czym zabrał głos:

– Poprosiłem pańskich ludzi, żeby zabezpieczyli perymetr szpitala Cochin i zeszli w podziemia. Oficjalnie w poszukiwaniu partyzantów, nieoficjalnie, żeby zabrać zwłoki Marcela i Gurdżijewa.

– Szkoda Marcela. Nie miał sobie równych, kiedy trzeba było zmusić do gadania opornych kolekcjonerów – powiedział Rosenberg. I to była cała mowa pogrzebowa poświęcona osiłkowi, który kolaborował z wrogiem. – Złoży pan raport Reichsführerowi?

Raport już poszedł, lecz Tristan nie uznał za stosowne poinformować o tym Rosenberga.

– Jak zwykle.

– Byłbym wdzięczny, gdyby nie wspominał pan o odkryciu kosztowności carskiej rodziny. Sam zamierzam podarować ten skarb Führerowi.

Marcjas skłonił głowę. Już wiedział, że Hitler nigdy nie zobaczy ani jednego z tych klejnotów. Himmler natomiast będzie odtąd miał śmiertelną broń wycelowaną prosto w skroń Rosenberga.

– Doskonale rozumiem. Niewątpliwie skorzysta pan z najbliższego pobytu w Berlinie, żeby przekazać Führerowi skarb, jeszcze zanim obejmie pan urząd ministra terytoriów wschodnich?

– Zgadza się. A jeśli chodzi o pana... – Rosenberg podał mu depezę. – Ma pan za godzinę spotkanie w hotelu Lutetia. Rozkaz przyszedł wprost z kwatery głównej

Reichsführera.

Tristan wstał. Chciał jak najszybciej uwolnić się od niezdrowej obecności skorumpowanego Rosenberga.

– Jeszcze słówko – zatrzymał go Księżyc w Pełni. – A ten Gurdzijew... coś panu powiedział?

Marcas był już przy drzwiach.

– Nie zdążył.

Hotel Lutetia

Boulevard Raspail

Mimo późnej pory w hotelowym foyer roіło się od nazistowskich uniformów. Wysocy stopniem oficerowie Wehrmachtu tręcali się z lotnikami z Luftwaffe, przepychali między wojskowymi z Kriegsmarine w galowych mundurach. Można by pomyśleć, że cały sztab armii niemieckiej umówił się na spotkanie w tym luksusowym hotelu. Brakowało tylko przedstawicieli SS. Władcy wojny nie zadawali się z żołnierzami regularnej armii. Za to ich szpiedzy musieli być wszędzie.

Przecisnąwszy się jeszcze między pułkownikiem z monoklem w oku i generałem w butach do jazdy konnej, Francuz dotarł wreszcie do recepcji.

– Nazywam się Tristan Marcas, mam tu spotkanie.

Recepcjonista obrzucił go wzrokiem pełnym dezaprobaty, po czym zajrzał do rejestru. Bez wątpienia brał go za kolaboranta.

– Pokój sześćdziesiąt sześć, drugie piętro. Schody są po pańskiej prawej.

Tristan ponownie przedarł się przez tłum mundurów i wreszcie dotarł do schodów. Bez pośpiechu pokonywał stopnie. Odnosił wprawdzie wrażenie, że ma w ręku wszystkie karty atutowe, skoro zdołał okpić Rosenberga i uprzedzić Malorleya, zastanawiał się jednak, jak potoczą się dalsze wydarzenia. Z doświadczenia nie ufał tym, którzy go zatrudniali. Szpieg, a już zwłaszcza podwójny agent, zawsze jest pierwszym pionkiem poświęcanym w wojnie cieni. Z tego właśnie powodu Tristan praktykował selektywne zatrzymywanie dla siebie informacji. I dlatego nie przekazał dalej nazwiska kontaktu – Jamesa Hadlera – które wyjawiał mu Gurdzijew. Był to jego as w rękawie. As, dzięki któremu być może zachowa życie.

Po schodach szła grupka oficerów w towarzystwie zbyt mocno umalowanej kobiety. Tristan musiał przywrzeć do balustrady, aby ich przepuścić. To niewielkie przeciwieństwo upokorzenie ukłuło go w serce. Odkąd wrócił do Paryża, cierpiał jak na torturach z powodu obecności wszędobylskiego wroga. O jednym tylko marzył: by uciec z okupowanej, zbrukanej stolicy.

Drzwi pokoju sześćdziesiąt sześć były uchylone. Tristan zapukał, po czym wszedł do apartamentu. Na stole z różowego marmuru stały resztki śniadania. Marcas zauważył,

że nakrycie jest tylko jedno. Poszedł dalej, w stronę sypialni. Łóżko nie było rozesłane. Otwarta była tylko jedna walizka. Pochylił się nad nią...

– Oglądasz moje desusy?

Erika w peniuarze wyszła z łazienki. Bosonoga, z mokrymi włosami, wcale nie przypominała wychudłej, niespokojnej kobiety, którą widział ledwie kilka dni wcześniej. Nieoczekiwanie Marcjas poczuł przypływ pożądania.

– Odwróć się, muszę się ubrać.

Tristan posłusznie wykonał polecenie. Stał przed pochodzącym zapewne z ubiegłego wieku kominkiem, którego kamienny okap w całości pokrywała wyrzeźbiona scena biblijna. Przypowieść o siewcy. Wolałby się znaleźć przed lustrem.

– Przyjechałam dziś rano, prosto z Berlina. Mam poprowadzić poszukiwania we Francji. Wiesz, że zadania Ahnenerbe się zmieniły?

– Tak przypuszczałem.

– Dla Reichsführera absolutnym priorytetem jest identyfikacja Żydów.

– To raczej obsesja, nie?

Erika pominęła milczeniem tę uwagę.

– Niektórzy badacze z Ahnenerbe widzą w tym zadaniu okazję do rozwoju własnej kariery. Pamiętasz Brunona Begera?

– To ten promienny blond wielkolud, który był w Tybecie?

– Właśnie. Ale dowiedziałam się ostatnio, że w Lhasie prowadził badania antropologiczne, których wyniki chce zastosować w odniesieniu do Żydów. Potrzebuje królików doświadczalnych. Chce mierzyć czaszki. Po samej kości.

Tristana zemdliło. O mało nie odwrócił się do niej.

– Chyba nie będziesz mu pomagała?

– Nie, zyskam na czasie, jeśli powierzę mu zadanie tutaj, we Francji. Badania wstępne. Bo widzisz, nie on wpadł na pomysł mierzenia czaszek, by zdefiniować kryteria rasowe. Pierwszy był twój rodak. Francuz.

Tym razem Marcjas się odwrócił. Erika kończyła zapinać bluzkę, która opadała luźno na szarą spódnicę.

– Żartujesz?

– Skądże! Słyszałaś o jakimś Georges’u Vacherze de Lapouge? To błyskotliwy wykładowca akademicki i bojownik, który działał w zeszłym wieku. Radykalny ateista, absolutny antyklerykał, socjalista do szpiku kości. Był przekonany, że ludzkie szczęście przechodzi rygorystyczną selekcję darwinowską. I chcąc określić, kto jest godzien stworzenia przyszłej rasy ludzkiej, pasjonował się namiętnie pomiarami czaszek...

– Nie mów, że uzyskał jakieś konkretne wyniki.

– Ba, żeby tylko! Odkrył prawo jego zdaniem powszechne: jest różnica między rozmiarem czaszki intelektualistów a reszty ludzi. Mogę ci nawet podać, jakiego rzędu to różnica: siedem centymetrów na długości i cztery na szerokości.

Zdumiony Marcas podniósł rękę do własnej głowy, jakby sprawdzał jej wielkość.

– Co więcej, ta różnica jest dziedziczna. Według Vachera de Lapouge objawia się już u rocznych dzieci robotników i intelektualistów. – Erika włożyła czarny żakiet o perłowych guzikach. – Zaproponuję więc Begerowi, żeby zapoznał się z wywodami Lapouge’a, podjął jego badania i zweryfikował wyniki. To powinno go zająć na tyle długo, że nie zacznie swoich praktyk na żywych królikach doświadczalnych.

– Zmieniłaś się – zauważył Tristan.

– Nie, ja nie. Zmienił się świat, który nas otacza. Stał się bardzo niebezpieczny. Można mieć nawet kochanka, który próbuje cię zabić.

– Chyba nie zaczniesz znowu...! – obruszył się Tristan.

Erika przejrzała się w lustrze, jasny warkocz przerzuciła z przodu przez prawe ramię.

– Pamiętam wszystko. Absolutnie wszystko. I teraz nie masz wyboru: albo doniosę na ciebie Himmlerowi, albo będziesz pracował dla mnie.

Tristan zerknął na drzwi wyjściowe, jakby chciał uciec.

– Byłeś na plaży na Lido. I to ty strzeliłeś. Nie próbuj teraz kłamać. I nie sądz, że mój upadek z okna na drugim piętrze załatwi twój problem. Jak się pewnie domyślasz, podjęłam stosowne środki ostrożności.

– Czego chcesz?

Erika nachyliła się do Tristana i musnęła jego wargi.

– Szybko się dowiesz, kochany. A na razie masz spotkanie w hotelowym saloniku.

– Jak to? Z kim? – wyjąkał Tristan ogłuszony.

– Z Reinhardem Gehlenem. Zobaczysz, to uroczy człowiek.

Hotel Lutetia dysponował salonikami, które przed wojną dawały schronienie kochankom z lewego brzegu Sekwany, a obecnie strzegły tajnych rozmów niemieckich dygnitarzy. Minąwszy drzwi, Tristan z zaskoczeniem ujrzał człowieka w niedopasowanym, wymiętym garniturze, który zdradzał, że to wojskowy ubrany po cywilnemu. Wojskowy, który jednak wcale nie wyglądał na wojskowego: podkrążone oczy, wyłysiała głowa, chuderława budowa.

– Reinhard Gehlen z Abwehry.

Marcas się nie przedstawił. Rozmówca z pewnością znał jego biografię z wszelkimi szczegółami.

– Reichsführer nas poprosił, żebyśmy przerzucili pana do Anglii. A to znaczy, że musimy dostarczyć panu niepodważalną przykrywkę i skontaktować pana z naszą

siatką w Wielkiej Brytanii.

Tristan powściągnął uśmiech zadowolenia. Wreszcie od Eriki będzie go dzielił stosowny dystans.

– Dodam, że nic nie wiemy o pańskiej misji. Naszym zadaniem jest tylko zorganizowanie panu wszystkiego.

– Co oznacza, że moje życie będzie w waszych rękach.

– A moje w rękach Reichsführera, jeżeli panu się nie powiedzie.

Skoro poszukiwanie ostatniej swastyki stało się dla Rzeszy priorytetem, presja Himmlera faktycznie musiała być duża.

– Wspomniał pan o przykrywce...

– W każdym wroгим kraju dysponujemy kilkoma uśpionymi przykrywkami, które przygotowujemy, szacujemy, utrzymujemy w gotowości czasem przez kilka lat. Pan oczywiście skorzysta z najlepszej.

Marcas rozparł się w fotelu.

– Proszę mi opowiedzieć o moim nowym życiu.

– W maju zeszłego roku Alvin Peperbrock zmarł w Londynie. Anglik bez historii i co najważniejsze, bez potomków. W dzielnicy Bloomsbury miał dwupiętrową kamieniczkę, w której mieszkał sam.

– Jak udało wam się go znaleźć?

– Peperbrock był amatorem sztuki. Szczególnie płócien niemieckich ekspresjonistów. Obrazy kupował zwykle u holenderskiego właściciela galerii, który uciekł z kraju przed inwazją niemiecką.

– Marszand dla was pracuje?

– Marszand, który zostawił matkę w Rotterdamie. Starszą panią chorą na cukrzycę i potrzebującą insuliny. I właśnie on zwrócił nam uwagę na swojego klienta.

Tristan wolał tego nie komentować. Gehlen mówił dalej:

– Po śmierci Peperbrocka jego prawnik zaczął szukać spadkobierców. Odnalazł ich w Kanadzie. Alvin miał siostrę, Clare, która osiadła w Ottawie i miała syna Adama.

– Jedyńaka, jak przypuszczam?

– Szybko pan łapie. W marcu czterdziestego roku Clara i jej mąż zginęli w wypadku samochodowym niedaleko Sherbrooke. To w prowincji Quebec.

– Czyli po śmierci wuja Adam był jego jedynym spadkobiercą?

– Właśnie. Adam ma dwadzieścia sześć lat, ciemne włosy jak pan i podobny wzrost. A przede wszystkim podobnie jak jego ojciec jest frankofońskim Kanadyjczykiem i dużo lepiej mówi po francusku niż po angielsku. Od maja jest szczęśliwym właścicielem kamieniczki w Bloomsbury.

– A gdzie teraz jest ten Adam?

– Na statku w drodze do Londynu. A mówiąc ściśle, ktoś, kto nosi imię i nazwisko Adama, ma jego dokumenty, całą korespondencję z prawnikiem i wszelkie konieczne zaświadczenia i pieczęcie celne.

– Co z prawdziwym Adamem?

– Nie żyje. Spoczywa w pięknym parku pod Ottawą. Pokój jego duszy.

Londyn

Pałac Buckingham

Churchill nigdy nie był w pałacu Buckingham w środku nocy. Bywał tam jedynie na oficjalnych kolacjach, które rzadko się kończyły po godzinie dwudziestej trzeciej. Nigdy nie słyszał w pałacu zegara wybijającego północ.

Obszedłby się bez tego nieoczekiwanego spotkania z królem – czy raczej wezwania do monarchy. Godzinę wcześniej w Izbie Gmin musiał stawić czoło wotum nieufności. Sojusz deputowanych domagał się jego dymisji⁹ z powodu katastrofalnych porażek poniesionych w Afryce Północnej w wojnie z Niemcami. Jego, najpopularniejszego premiera w historii Zjednoczonego Królestwa! Przypuszczono na niego atak polityczny w najgorszej chwili, gdy przygotowywał się akurat do wyjazdu do Moskwy, aby przypieczętować historyczny sojusz ze Stalinem.

„Kłopoty są jak bombardowania Luftwaffe – spadają zawsze stadami”. Gdzieś przeczytał tę sentencję. Z pewnością była autorstwa jakiegoś wielkiego myśliciela.

Przechadzali się z królem jedną z alejek rozległego przypałacowego parku. Churchill rozkoszowałby się tą wizytą, gdyby nie padał na nos ze zmęczenia.

– Nie dał się pan przeciwnikom w Izbie Gmin? – zapytał król łagodnym głosem.

– Zazdroszczę Hitlerowi, Mussoliniemu i Stalinowi. Dyktator ma o tyle dobrze, że nikt nie pozwoli sobie go skrytykować, nawet koloru jego skarpetek. Bo groziłoby mu rozstrzelanie... Ale to nic, w sumie to dla mnie korzystne. Dzięki wotum nieufności przynajmniej moi wrogowie wyjdą z nor. Nie chwaląc się, niezły ze mnie karabin, wystrzelałem ich jednego po drugim.

– Zręczny z pana polityk, Winstonie. I odważny. Niekiedy odnoszę wrażenie, że stał się pan prawdziwym władcą tego królestwa. I że ja pracuję w pańskim cieniu.

– Wasza Królewska Mość! Wraz z całą rodziną królewską jest pan uosobieniem jedności kraju i jego dominiów. Nawet nie śmiem sobie wyobrazić, co by było, gdyby Edward Ósmy nie abdykował i gdybyśmy się stali sojusznikami Hitlera w jego dziele niszczenia ludzkości¹⁰. No tak... Przygotowałem Waszej Królewskiej Mości streszczenie rozmów ze Stalinem. Wujek Joe¹¹ chce, żebyśmy otworzyli drugi front na Zachodzie, bo wtedy Hitler wycofa część swoich wojsk z frontu wschodniego. Zarówno sztab, jak i ja, a także Amerykanie stanowczo się temu sprzeciwiamy. Chciałbym...

Król pokręcił głową.

– O tym porozmawiamy później, w kwestii negocjacji z rosyjskim niedźwiedziem w pełni panu ufam. Teraz proszę mi raczej powiedzieć, jak tam poszukiwania czwartej swastyki.

Winston obdarzył monarchę zaskoczonym spojrzeniem i oburącz przetarł twarz.

– Najjaśniejszy Panie, z całym szacunkiem, uważam jednak, że są w tej chwili inne priorytety, a ja mam mało czasu. Posiedzenie Izby Gmin było wyczerpujące, chciałbym jak najszybciej udać się na spoczynek.

– Rozumiem, Winstonie, rozumiem... Ale widzi pan, mam poważne powody, by wierzyć, że odnalezienie ostatniej relikwii jest równie istotne dla wyniku tej wojny.

– Jakież to powody, Wasza Królewska Mość?

– Niestety, nie mogę teraz powiedzieć, może kiedyś przyjdzie na to czas.

– Wasza Wysokość mi nie ufa.

– Ależ nie, powiedzmy jednak, że pewne tajemnice powinny zostać zachowane. Otwierają drzwi mrocznych królestw, w których rozum szwankuje. A ja nie chcę, aby panu coś się stało.

Churchillowi twarz pobrała – ze zmęczenia albo z gniewu, tego jeszcze sam nie wiedział.

– Z całym szacunkiem, Najjaśniejszy Panie, ale mam powyżej uszu tych śmiesznych tajemnic. Prowadzę wojnę, w której na szali jest milion istnień naszych współobywateli, zarządzam imperium, który które rozciąga się na pięciu kontynentach. Niedługo mam się spotkać z drugim po Hitlerze największym potworem w historii, a Wasza Królewska Mość mówi mi o jakichś zabobonach? O magicznych breloczkach? Panu może się powieść to, do czego nie zdołali doprowadzić deputowani swoim wotum nieufności. Jeszcze dzisiaj złożę dymisję. Proszę sobie znaleźć innego premiera, któremu Wasza Królewska Mość będzie ufał. Życzę dobrej nocy.

Jerzy VI pobrał. Nigdy nie widział swojego premiera w takim stanie. Wszelkie frustracje, cały gniew wybuchły niczym dziesięciotonowa bomba.

– Proszę zaczekać, Winstonie. Nie może pan teraz zaniechać walki.

– Podejmą ją inni ludzie, równie kompetentni jak ja.

– Pańska dymisja oznaczałaby katastrofę dla wolnego świata. Po zwycięstwie, które dziś pan odniósł w parlamencie, nikt by jej nie zrozumiał. I nie chcę, żeby to się stało przeze mnie.

Churchill się nie odzywał. Zapadła między nimi długa cisza. Dla jednych wahanie jest bronią, dla innych oznacza śmierć. Należało to przeciąć. Natychmiast. Jerzy VI położył dłoń na ramieniu Churchilla.

– Proszę przysiąc na wszystko, co jest dla pana najdroższe, że nikomu pan nie powie tego, co zaraz wyznam. Ani żonie, ani dzieciom.

– Przysięgam.

– Nie wspomni pan o tym, nawet jeśli kiedyś spisz swoje pamiętniki?

– Mam tylko jedno słowo.

– W takim razie proszę za mną.

Dziesięć minut później obaj znajdowali się w prywatnej bibliotece króla. Churchill siedział w wygodnym fotelu, paląc cygaro grube jak kiełbaska. Władca tymczasem zręcznie obracał pokrętła sejfów wmurowanego w ścianę nad niedużym sekretarzykiem.

– Gdybym był złodziejem, Najjaśniejszy Panie, dobrałbym się bez problemu do tego sejfów. Wydaje mi się dość skromny.

– E tam, Winstonie, u nas złodzieje są monarchistami. – Król wyjął z sejfów szarą kopertę, otworzył ją i wydobył z niej pożółkły list, który podał Churchillowi. – Proszę na to zerknąć – powiedział, celując w tekst lupą z rączką z kości słoniowej. – Mamy tu datę dziewiętnasty lutego tysiąc dziewięćset osiemnastego roku.

Winston nachylił się nad kartką, unosząc inkwizytorsko brew.

– Hm... Herb przedstawia dwugłowego czerwonego orła z tarczą i mieczem. To herb Romanowów. List podpisał Mikołaj, a adresowany jest do jego drogiego kuzyna... Nie trzeba być Sherlockiem Holmesem, by odgadnąć, że to list, który ostatni car Wszechrusi napisał do króla Jerzego Piątego, ojca Waszej Królewskiej Mości.

– Prawie rok wcześniej car abdykował i wraz z rodziną był przetrzymywany w Tobolsku na Syberii. Proszę przeczytać.

Zaintrygowany Churchill szybko przebiegł wzrokiem list.

– Hm... Mikołaj błaga swojego kuzyna, by udzielił mu azylu, obawia się bowiem o życie swoje i swojej rodziny. O tym już wiem – rzekł premier, odkładając list na stolik. – Dramat. Ojciec Najjaśniejszego Pana powinien być wyrazić zgodę. Car mógł przecież z Londynu kierować ruchem oporu.

– Jak ten pański de Gaulle kieruje stąd partyzantką we Francji?

– I owszem, aczkolwiek cholerny generał widzi się raczej jako król niż prezydent.

– Mój ojciec wiedział, że Mikołaj był zbyt niepopularny w swoim kraju. Takie rozwiązanie opóźniłoby tylko o kilka lat upadek jego zwolenników. Bał się również, żeby w odwecie komuniści nie propagowali swojej rewolucji u nas, na Wyspach. Odmówił. Ale był zrozpaczony, kiedy się dowiedział w lipcu tego samego roku, że całą carską rodzinę zmasakrowano w Jekaterynburgu. Tragedia Romanowów dręczyła go do samej śmierci.

– Wasza Królewska Mość, ten list jest poruszającym świadectwem historycznym, ale nie bardzo widzę jego związek z legendą o relikwiach.

– Za szybko pan przeczytał. Proszę odwrócić kartkę.

Churchill ponownie wziął dokument do ręki i zajrzał na jego drugą stronę. Widniał tam tekst napisany dużo drobniejszym pismem. Ku swemu wielkiemu zaskoczeniu Churchill na końcu wiadomości ujrzał narysowaną swastykę.

– A Najjaśniejszy Pan jest pewny, że to, na co patrzę, faktycznie napisał car? Jakoś nie chce mi się w to wierzyć.

Londyn

Pałac Buckingham

– Tak, tak, wzrok pana nie myli. Mikołaj Drugi jako kontrybucję proponuje część złota należącego do rosyjskiego rządu, trzy tony, które pozostały w rękach wiernego władcy garnizonu we Władywostoku, a przede wszystkim ofiarowuje świętą relikwię, która może zmienić bieg historii.

– Przypuszczam, że naszego ówczesnego władcę bardziej interesowało złoto niż relikwia.

– Nic bardziej mylnego. Mój ojciec wiedział o artefakcie, i to od kilku lat. – Jerzy VI wstał i otworzył witrynę z cennego drewna, w której były przechowywane różnego rodzaju przedmioty. Sztylety o rękojeści inkrustowanej migoczącymi klejnotami, misternie cyzelowane złote kielichy, srebrne krzyże, maski japońskie i afrykańskie... – To takie moje osobiste muzeum – powiedział władca, wyjmując z witryny duże złote jajo, które przecinały niebieskie paski emalii. – Nie będę pana obrażał pytaniem, czy pan wie, co to jest.

Delikatnie postawił eksponat przed Winstonem, który nałożył okulary i z podziwem go obejrzał.

– Jajko Fabergégo12... Wspaniałe... Nigdy nie miałem żadnego w rękach.

– Mikołaj podarował je mojemu ojcu w tysiąc dziewięćset trzynastym roku. Właśnie podczas jednego z ich spotkań w tym pałacu Mikołaj kiedyś po kolacji wspomniał o relikwii. Obaj przeszli z sali jadalnej do pokoju, w którym teraz jesteśmy. Ukryłem się wtedy za parawanem i podsłuchiłem ich rozmowę.

– Książęta są jak wszystkie dzieci...

– Wskazując jajko Fabergégo, Mikołaj powiedział, że ten przedmiot jest niczym w porównaniu z niezwykłym talizmanem, który od trzystu lat jest w posiadaniu jego dynastii. Wyjaśnił, że to relikwia cenniejsza niż cała jego kolekcja złotych jajek, potężniejsza niż najpotężniejszy brytyjski pancernik pełniący służbę na morzach. Jego zdaniem ten talizman był wręcz źródłem mocy Romanowów. I miał jakoby chronić Rosję i jej sojuszników.

– Czy mówimy o jednej z czterech swastyk?

– Tak. Pamiętam gromki śmiech mojego ojca. On miał umysł ścisły, był bardzo pragmatyczny. Trochę taki jak pan.

– Przyjmuję to jako komplement – rzekł Churchill, wydmuchując w stronę sufitu kłęb szarego dymu.

Jerzy VI ostrożnie odstawił jajko do witryny, po czym ciągnął opowieść:

– Mikołaj, który nie dał się zbić z pantałyku, opowiedział mu wtedy, jak wyglądały osobliwe załążki jego rodu. Otóż początek siedemnastego wieku był w Rosji strasznym czasem, w całym kraju panowały bieda, głód i chaos. Polacy, Estończycy i ludy wschodnie dokonywali morderczych najazdów na kraj. Nie było wówczas cara, cesarstwem jako tako zarządzało zgromadzenie szlachciców i duchownych. Potrzebowali jakiejś symbolicznej postaci, która zdołałaby tchnąć w ludzi nadzieję i zjednoczyć państwo.

– Historia powtarza się niezmordowanie. W trudnych czasach ludzie zawsze domagają się zbawcy jak noworodek matczynej piersi. Czy będzie nim król, Führer, czy ojczulek narodu.

– Albo premier... – Władca się uśmiechnął. – No i znalazł się taki człowiek. Chłopak, który żył wraz z matką zamknięty w klasztorze w Kostromie nad Wołgą. Był szlachcicem spokrewnionym z dawną dynastią panującą. Pretendentów do tronu było wtedy więcej, ale palec Boży wskazał tego młodego człowieka. Nazywał się Michał Romanow i koronowano go na cara w tysiąc sześćset trzynastym roku. Był pierwszy z dynastii.

– Najjaśniejszy Panie, bez urazy, ale znam trochę historię Rosji.

– Zbyt pan niecierpliw, Winstonie. Wyjawię panu coś, o czym nie pisze się w podręcznikach historii. Mikołaj wyznał mojemu ojcu, że u Romanowów jest sekretna tradycja przekazywana z pokolenia na pokolenie. Zanim Michał został carem, jako chłopak uczestniczył wraz z mnichami w różnych pracach porządkowych w klasztorze. Igumen, czyli przeor klasztoru, przydzielił go do pracy w krypcie przy przenoszeniu szczątków dawno zmarłych, które bruździły w przebudowie. Po otwarciu jednego z grobów Michał odkrył tajne przejście, które prowadziło do dużo starszej komory, pochodzącej prawdopodobnie jeszcze z czasów pogańskich.

Winston odłożył cygaro i potarł twarz. Z całych sił liczył, że król jak najszybciej skończy swoją opowieść. Odrobinę za głośno zawołał:

– Jak życiem wzięte z książki Ridera Haggarda!

– W rzeczy samej... W komorze Michał ujrzał na ołtarzu dziwny krzyż, który teraz nazywamy swastyką. Poszedł z tym do igumena, który zezwolił Michałowi zatrzymać znalezisko. Tego samego dnia trzysta kilometrów dalej na zachód, w Moskwie, zgromadzenie bojarów wybrało młodzieńca na cara.

– Zbieg okoliczności. Życie jest usiane zbiegami okoliczności.

– Jeszcze nie skończyłem opowieści... Później Michał faworyzował monaster. On i jego następcy uczynili z niego jeden z największych ośrodków duchowych w Rosji. Michał umieścił swastykę w monasterze i nakazał swoim następcom, żeby nigdy jej stamtąd nie zabierali. Dopóki relikwia będzie bezpieczna, dopóty dynastia Romanowów utrzyma władzę w Rosji. Miał być przeklęty ten, kto złamie tę zasadę. Wszyscy carowie przestrzegali nakazu. Wszyscy z wyjątkiem jednego...

– Mikołaja, ostatniego z dynastii, tak?

– Zgadza się. Rosja nie była militarnie przygotowana do Wielkiej Wojny. W całym kraju co rusz wybuchały zamieszki wywoływane przez rewolucjonistów. Mikołaj się wystraszył i kazał zabrać relikwię z monastyru. Miesiąc później został zmuszony do abdykacji. Dotknęło go przekleństwo monastyru w Kostromie. Toteż sam pan rozumie, że kiedy mój ojciec otrzymał rozpaczliwy list od Mikołaja, doskonale wiedział, co ma na myśli car w związku z relikwią.

– Rozumiem, że ta historia fascynuje Waszą Wysokość, ale żeby od razu traktować ją poważnie...

– Jak mówiłem, mój ojciec był człowiekiem racjonalnym. Ale nawet pan sobie nie wyobraża, jaki przeżył wstrząs, kiedy czerwoni zamordowali jego kuzyna. Zmienił mu się charakter. Chciał odkupić swoją winę, wydostając z Rosji matkę Mikołaja, zło jednak już się dokonało. W tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym roku ojciec na łożu śmierci kazał nam dać słowo, że za wszelką cenę odnajdziemy relikwię, by przywrócić równowagę na świecie. Zmusił nas, byśmy przysięgli na Biblię! Mój brat Edward uznał to za bredzenie umierającego, ale ja nie. Prześladowuje mnie ta przysięga. Wszcząłem później dyskretne poszukiwania informacji na temat legend związanych z relikwiami władzy. Nie tak dawno się dowiedziałem, że są też inne swastyki. Pamięta pan? Kiedyś jeden z oficerów z SOE wygłosił wykład w Kręgu Gordona¹⁴ na temat mistyczno-perwersyjnej natury nazizmu. Wspomniał też o legendzie swastyk. Zaraz też zostałem o wszystkim powiadomiony.

Winston pokiwał głową.

– Zaczynam rozumieć, czemu Wasza Wysokość tak nalegał, żebym wyraził zgodę na tę operację specjalną we Francji, w Montségur.

– Wstrząsnęło mną, kiedy się dowiedziałem, że są też inne relikwie. A kiedy pański człowiek przywiózł swastykę do Anglii, wolałem ją wyekspediować do naszych amerykańskich przyjaciół. Nie chciałem, by wpadła w ręce nazistów, gdyby zdołali podbić naszą wyspę. Wie pan, gdzie dokładnie się znajduje?

– Z ostatnich wieści wynika – odparł Churchill ze znużeniem na twarzy – że ją badają w laboratorium gdzieś w okolicach Bostonu. Nasi amerykańscy przyjaciele to

skończeni pragmatycy. Jeśli to... coś ma moc, którą mu Wasza Wysokość przypisuje, może się dowiedzą dzięki swojemu postępowi naukowemu, jak się tym posłużyć.

– W to nie wątpię, ale może także wpłynąć na wzrost potęgi USA. Jak swastyka z Tybetu wzmocniła Niemcy. Dlatego bezwzględnie musimy odzyskać ostatni talizman. Żeby po wojnie Zjednoczone Królestwo zachowało swoje miejsce w świecie.

– Nie podzielam wiary Waszej Wysokości. Ale jeśli się okaże, że faktycznie tak jest, dla mnie te relikwie będą przeklęte. Przyniosły na świat tylko nieszczęścia, cierpienie i chaos.

– Relikwia chaosu... – szepnął Jerzy VI.

Rozległo się jedno uderzenie zegara. Król podniósł się nagle.

– Ależ pana przetrzymałem, a na pewno jest pan zmęczony. Nie zatrzymuję dłużej, Winstonie. Choć nie przekonałem pana, że relikwie mają moc, mam nadzieję, że odpowiedziałem na nurtujące pana pytania.

– Dotrzymanie przysięgi złożonej ojcu to dla Waszej Wysokości sprawa honoru. Bóg dobrze wybrał, wskazując na władcę pana, a nie pańskiego brata. Jak tylko komandor Malorley będzie miał coś nowego, natychmiast dam znać.

Władca odprowadził go do samego progu biblioteki, gdzie długo ścisnął mu dłoń. Twarz miał poważną. Churchill skłonił głowę na pożegnanie i zrobił w tył zwrot. Kiedy przechodził przez drzwi, rozległ się głos monarchy:

– Jeszcze coś o przekleństwie Romanowów.

Churchill się odwrócił.

– Skoro zna pan historię Rosji – ciągnął król – na pewno pamięta pan miejsce, gdzie zamordowano Mikołaja i całą jego rodzinę.

– W Jekaterynburgu – odparł premier. – W domu pewnego miejscowego notabla przekształconym w więzienie. Niejakiego Ipatjewa. Wszystkie gazety o tym pisały w tamtym czasie.

Jerzy VI odczekał kilkanaście sekund, po czym rzekł bezbarwnym głosem:

– Właśnie, Ipatjewa. A wiedział pan, że monastyr w Kostromie, gdzie poczęła się dynastia Romanowów, też nazywano... Ipatjewem?

Churchill oniemiał. Władca powoli zamykał drzwi biblioteki.

– Zbiegi okoliczności są często wskazówkami na wielkiej mapie przeznaczenia. Zrozumienie ich to pójście w kierunku, jakiego pragnie Bóg. Za wszelką cenę musi pan odnaleźć ostatnią relikwię. Zanim znajdą ją naziści. Za wszelką cenę! Tu idzie o losy świata.

– A jeśli mi się nie uda? Z SOE nie mam żadnych wieści. Żadnego tropu.

– W takim razie niech Bóg się nad nami zmiłuje.

Paryż

Hotel Lutetia

Tristan został w Lutetii, aby pod kierunkiem Gehlena dopracować swoją przykrywkę. Ulokowany w dyskretnym pokoju na uboczu, z dala od nieustającego tłumu niemieckich oficerów i urzędników, którzy napływali do hotelu, Marcas odnosił wrażenie, że znów jest studentem. Z jedną różnicą: szkolił go nie uczony profesor, lecz mistrz szpiegowski.

W przededniu wyjazdu do Anglii nie mógł zrobić żadnego fałszywego kroku. Po latach w służbie Himmlera miał oto jedną jedyną szansę powrotu do wolnego świata. Nawet jeżeli chwilowo przebywał w zamknięciu z Gehlenem, który na drugie imię miał „podejrzliwość”. Co naprawdę o nim wiedział? A jeśli znalazł się tutaj, aby obnażyć te lata manipulacji i podwójnej gry? Marcas nie zamierzał stać się jego trofeum. Dlatego właśnie przyjął postawę szarej myszki, która zlewa się ze ścianą, tak że nigdy jej nie widać.

Tristan tym bardziej nie ufał Gehlenowi, że ten człowiek – w odróżnieniu od większości niemieckich oficerów, których znakiem fabrycznym była sztywność i arogancja – zadziwiająco łatwo dostosowywał się do okoliczności. Należał do ludzi, których pozorna empatia wzbudza zaufanie, lecz był jak ten pies, który przed ugryzieniem podaje łapę.

Aby jak najlepiej przygotować Francuza do zadania w Londynie, Gehlen zdecydował się skupić na jednej tylko stronie operacji: na nauczaniu go, jak przetrwać we wrogim środowisku. Ku zaskoczeniu Tristana nie zalecał nieustannej czujności, wypatrywania najdrobniejszego choćby zagrożenia, lecz przeciwnie – jak największą transparentność. Słuchając go, Marcas się zastanawiał, czy Gehlen nie uczy go aby własnej techniki przetrwania. Odkąd na froncie wschodnim sytuacja zaczęła się odwracać, służby wywiadowcze znalazły się na cenzurowanym, naziści bowiem zarzucali im niedoszacowanie zdolności stawiania oporu przez Rosjan. Niektórzy, jak na przykład Goebbels, oskarżali nawet wywiad o zdradę. Wkrótce bez wątpienia zaczną się czystki. Tristan żywił przecucie, że Gehlena one nie dotkną. Był za sprytny, by wypaść z gry wraz z innymi.

Dziwiła natomiast Francuza łatwość, z jaką oficer Abwehry przedstawiał mu niemiecki system szpiegowania w Anglii, dobrze zbudowaną organizację, o której Brytyjczycy najwyraźniej nie mieli pojęcia.

W pewnej chwili Tristan się poderwał, jakby coś go uderzyło w słowach Gehlena. W gruncie rzeczy Gehlen mówił raczej ogródkami, nie informując Marcasa o niczym, co mógłby ewentualnie sprzedać Anglikom. Teraz, kiedy Tristan miał szukać w Londynie ostatniej swastyki, mocno się zastanawiał, jaka będzie postawa Anglików, jeśli zdoła ją znaleźć. Ufał Malorleyowi, lecz jego przełożonym w SOE już nie. Czy nie będzie w ich interesie pogrzebanie tej sprawy, a wraz z nią Marcasa? Dopóki któryś z artefaktów pozostawał nieodnaleziony, potrzebowali Francuza, co jednak będzie później? Chyba że będzie miał coś na wymianę... Owca

Odwrócił się do Gehlena.

– A nie powiedziałyby mi pan czegoś więcej o siatkach w świecie gospodarki i polityki?

Szpieg spojrział na zegarek.

– Z przyjemnością bym to zrobił, ale obiecałem, że szybko będzie pan wolny. Chyba ma pan spotkanie z dyrektorką Ahnenerbe. A nie darowałbym sobie, gdyby przede mnie musiała czekać jedna z ulubienic Reichsführera.

Podążając korytarzem, Tristan się zastanawiał, dlaczego Gehlen użył słowa „ulubienica” w odniesieniu do Eriki. Czy była to aluzja do jej związku z Himmlerem? W Berlinie plotkowano nie tylko o pozamażeńskich przygodach Goebbelsa; opowiadano również, że Himmler utrzymuje szczególne stosunki ze swoją sekretarką Hedwig. Niektórzy nawet szeptali, że w lutym urodziła mu dziecko, o którym nie wiedział... Czyżby Reichsführer przemienił się w uwodziciela? Czy Erika była jedną z jego zdobyczy? W przededniu wyjazdu do Anglii Tristan nie powinien był zawracać sobie głowy takimi pytaniami, nie mógł jednak nie poczuć, jak zagłębia się w nim rozgrzana do czerwoności szpila zazdrości. Przyspieszył kroku.

Apartament archeolożki należał do najbardziej luksusowych w Lutetii. Z salonu, którego okna wychodziły na dwie strony, widać było zarówno dzwonnice kościoła Saint-Germain-des-Prés, jak i fronton domu towarowego Bon Marché. Tristana to dziwiło. Erika, z którą miał do czynienia we Francji i na Krecie, nie zważała na komfort i miała w pogardzie kult luksusu. Najwyraźniej zaszła w niej zmiana. Ogromne łoże, liczne lustra – ten pokój wyglądał jak przygotowany dla modnej aktorki.

Erika wyłoniła się z łazienki w powiewie ciepłego powietrza i ułożyła się na łożu, zapalając papierosa. Wyglądała wspaniale i wiedziała o tym. Chyba zbyt mocno działała na Tristana.

- Jak poszło spotkanie z Gehlenem?
- Nie wiedziałem, że palisz.
- Teraz, kiedy wiem, że moje życie w każdej chwili może się skończyć, nie odmawiam sobie pewnych przyjemności. No, mów o Gehlenie.
- Interesuje cię?
- Abwehra mnie interesuje. Ahnenerbe będzie teraz prowadziło więcej badań naukowych, a ja muszę wiedzieć, jak przebiegają poszukiwania w innych krajach. Zasugerowałam Gehlenowi, żeby w Abwehrze powołać grupę, która zajmie się wyłącznie szpiegostwem naukowym.
- Naprawdę sądzisz, że w innych państwach ludzie tracą czas na mierzenie czaszek, by wiedzieć, kto jest Żydem?
- Erika lubieżnie wydmuchnęła dym papierosowy w górę.
- Na prośbę Himmlera rozpoczynamy też badania medyczne.
- Chcecie się bawić we Frankensteina? – ironicznie spytał Tristan. – Budować swoimi rączkami narodowosocjalistycznego nadczłowieka?
- Powiedz lepiej, jak ci idzie poszukiwanie.
- Wyjeżdżam do Londynu, bo tam prowadzi trop, który odkryłem, i...
- Wiem – przerwała mu. – Relikwia, która należała do carów, opuściła Rosję tuż przed przejściem władzy przez bolszewików. Wywieziono ją do Anglii. Zgadza się?
- Widzę, że dokładnie przeczytałaś raport, który przekazałem Himmlerowi.
- Istotnie. Przypominam ci przy okazji, że wciąż należysz do Ahnenerbe, czyli nadal pozostajesz pod moimi rozkazami.
- Erika rozchyliła poły peniuaru, odsłaniając nogi, jakby chciała zażyć nieco ochłody. Tristan się zastanowił, czy aby amnezja nie zmodyfikowała także jej charakteru.
- Zanim poszedłem na spotkanie z Gehlenem, oskarżyłaś mnie, że usiłowałem cię zabić. Groziłaś, że doniesiesz na mnie Himmlerowi... Co ty wyczyniasz?
- Zdajesz sobie sprawę, że nawet już się nie bronisz? Nie protestujesz, że jesteś niewinny?
- A co twoim zdaniem mam zrobić w obliczu twoich przywidzeń? Jeśli wierzysz w to, co powiedziałaś, leć do Reichsführera i zadenuncjuj mnie!
- Erika zapaliła kolejnego papierosa.
- Wiesz, że na kilka sekund przed śmiercią mózg niesłychanie precyzyjnie rejestruje wszystko, co postrzega wokół?
- Tyle że ty nie umarłaś...
- Tyle że bardzo dobrze pamiętam osoby, które cię otaczały na plaży na Lido, mogłabym je opisać ze szczegółami, można by sporządzić portrety pamięciowe tak

dokładne jak fotografia, a później je porównać z kartotekami szpiegów Jego Najmilszej Wysokości na przykład...

– Majaczysz!

– A gdybym powiedziała o tym Gehlenowi, sądzisz, że puściłby cię do Anglii?

Tristan gwałtownie postąpił krok w jej kierunku.

– Nie radzę! Nie jesteśmy w pustym zamku na Pomorzu. W tym hotelu roi się od Niemców. A jeśli podniosę krzyk, zajmie się tobą Gestapo. Tego chcesz?

– Dosyć!

Chociaż Erika rozgniewała kochanka, przeciągnęła się na łożu niczym kocica w promieniach słońca.

– Sądzisz, że się nie domyśliłam, że jeśli odnajdziesz ostatni artefakt, oddasz go swoim angielskim przyjaciołom? Ale zapominasz o jednym drobnym szczególe. Kiedy dostaną relikwię, staniesz się krępującym świadkiem poszukiwań, do których nie można się przyznać. Zbędnym świadkiem.

Tristan wybuchnął śmiechem, lecz uwaga Eriki idealnie współgrała z jego wątpliwościami. Niemniej niczego nie mógł po sobie pokazać.

– Gdzie twoim zdaniem człowiek ma większą szansę dostać kulkę w łeb: w Anglii Churchilla czy w twojej pięknej ojczyźnie?

– I tu, i tu, jeśli powiem, co wiem.

Francuz podszedł do okna i oparł się łokciami o parapet. Był pewien, że Erika jak zwykle blefuje. Było jednak w jej oskarżycielskiej postawie coś, czego nie potrafił ogarnąć.

– Nawet jeżeli podzielisz się z Gehlenem swoimi wymysłami, nie przeszkodzi mi w wyjeździe. Himmler chce dostać tę relikwię. Za wszelką cenę.

Jeszcze coś mocno go niepokoiło: Erika bez przerwy odwoływała się do oficera Abwehry. Czy już mu o wszystkim powiedziała?

– Co do tego masz słuszną rację. Będę potrzebowała czasu, by przekonać Himmlera. Za to jeśli chodzi o Anglików, będzie dużo łatwiej. Tyle wiem o tobie, kochanie... i mogę im to przekazać bezpośrednio.

– Dzięki swojemu nowemu przyjacielowi z Abwehry? Nie masz żadnego dowodu, bo wszystko zmyślasz.

– A kto powiedział, że powiem prawdę? Masz mnie za żółtodzioba? Nie, wyznam im swoją prawdę: że strzał, który oddałeś w Wenecji, umożliwił ucieczkę angielskiemu oddziałowi... że we dwoje wymyśliliśmy takie rozwiązanie... A najlepszy dowód, to że ja nadal żyję.

Tristan obserwował ją bez słowa. Jakby odgrywała jakąś rolę. Złą rolę. Jego Erika nie mogła tak się zachowywać. Tak cyniczna postawa wyglądała fałszywie, lecz słowa

trafiały w sedno.

Erika dmuchnęła mu w twarz dymem papierosowym.

– A przede wszystkim przysięgnę, że wcale nie wyrzuciłeś artefaktu. Abwehra sprokuruje jakiś tam dowód, a Gehlen upowszechni informację w sprzyjających nam kręgach brytyjskich, które ten dowód uwiarygodnią. Odkąd wjedziesz na angielską ziemię, będzie wisiał nad tobą wyrok. – Rozwiązała pasek peniuaru. – Jak tylko znajdziesz relikwię, radzę wracać do Niemiec. Moje milczenie będzie cię chroniło. Inaczej... – Przyciągnęła go do siebie. – Inaczej dziś po raz ostatni będziesz się kochał z kobietą.

Londyn

Laure przebudziła się ze sztucznego snu w oślepiającym świetle. Zmrużyła oczy i odzyskała świadomość szybciej niż poprzednim razem. Teraz nie znajdowała się w pozycji leżącej, lecz siedziała na krześle przymocowanym do podłoża, z rękami przywiązanymi do podłokietników i stopami na trójnogu nachylonym do przodu. Była uwięziona na fotelu tortur.

Szarpnęła się, próbując się oswobodzić, i w nadgarstkach poczuła dojmujący ból: drutem przywiązano ją w pasie do oparcia, spętano jej ręce i nogi. Znieruchomiała i rozejrzała się wokół. Porywacz przeniósł ją w inne miejsce. Pozbawione okna pomieszczenie przypominało piwnicę o szarych odrapanych ścianach, cuchnącą stęchlizną jak piwnica w zamku, w którym spędziła dzieciństwo. Pod niskim sufitem wisiała oślepiająco jasna żarówka. Francuzka obróciła głowę z lewa na prawo. Tym razem obok nie widziała żadnego trupa. Jedynym wyposażeniem izby był stół naprzeciwko i kilka pustych skrzynek ustawionych w kącie jedna na drugiej.

Nagle poczuła ogromne pragnienie. Zwilżyła wargi językiem, lecz usta i gardło miała wyschnięte na wiór.

Straciła poczucie czasu, który upłynął od jej porwania. Pod wpływem narkotyku mogła spać kilka godzin albo dni. O dziwo, odczuwała mniejszy strach niż po pierwszym przebudzeniu. Zrodziła się zresztą iskierka nadziei: skoro wciąż żyła, znaczyło to, że porywacz czegoś od niej chciał, w przeciwnym razie już by się jej pozbył. Pocieszała się też myślą, że Malorley, powiadomiony przez Crowleya, z pewnością podniósł alarm.

Po drugiej stronie drzwi rozległ się głuchy dźwięk. Laure nastawiła ucha. Szeptanie. Zamek zgrzytnął i gałka u drzwi się obróciła. W instynktownym odruchu Laure się wyprostowała. Aż ją zatkało, gdy stalowy drut wpił się w jej ciało.

Znowu ogarnął ją lęk. Naprawdę do chrzantu było to szkolenie, które miało ją nauczyć panowania nad strachem przed przesłuchaniem.

W drzwiach stanęło dwoje ludzi. Byli młodzi, mniej więcej w jej wieku. Mężczyzna miał drobne rysy twarzy, niemal delikatne. Choć w takim momencie mogło wydawać się to głupie, pomyślała, że wygląda na muzyka, na skrzypka lub pianistę. Przybyła

z nim dziewczyna sprawiała wrażenie bardziej wysportowanej, twarz miała bardziej męską niż jej towarzysz.

Conrad uśmiechał się wesoło, podchodząc do Francuzki.

– I jak się ma nasza tajniaczka? Liczę, że przypadło ci do gustu nowe gniazdko.

– Rozwiążcie mnie!

Angielka przysiadła na brzegu stołu i z niesmakiem patrzyła na Laure.

– Mówiłam ci, Conradzie, że Francuzki są wkurzające jak mało kto.

– Wcale nie. Przed wojną znałem taką jedną milusią z Lyonu. Lubię Francję.

– Tak bardzo, że ją napadłeś – wtrąciła Laure.

Niemiec pominął milczeniem te słowa. Pogłaskał ją po włosach.

– Co robiłaś w tamtej budce telefonicznej?

– Sadziłam groch... A co się robi w budce? Telefonuje się, nie?

Porywacze wymienili szybkie spojrzenia.

– No naprawdę jesteś zbyt miły dla tej dziewczyny – skomentowała Suzan.

Niemiec przybrał niezadowoloną minę.

– Groch... Przykro mi bardzo, ale czasem nie łapię żartu w obcym języku. A Bóg mi świadkiem, uwielbiam się śmiać.

– Jak każdy Niemiec, to powszechnie wiadomo. Dlatego wasz Führer przystroił się w wąsik Charliego Chaplina. Jak prawdziwy komik.

Niemcowi twarz pojaśniała.

– A, to zrozumiałem... Ach, ci Francuzi, taki dowcipny naród. Lubię wasz język i te obrazowe wyrażenia. Zauważyłem za to, że nie grzeszycie czystością.

Laure przełknęła ślinę. Chciał ją sprowokować, stosując prostacką technikę. Ujął jej dłoń i dokładnie oglądał. Palce miał zrogowaciałe. To nie były ręce muzyka.

– Zobaczmy... – powiedział, nachylając się. – Hm... Tak myślałem: brudne. Zdajesz sobie sprawę, że to istne gniazda bakterii? Wiem od jednego z moich nauczycieli, że niższą rasę można rozpoznać po brudzie za paznokciami.

– A ty co? Nazistowski specjalista od manikiuru? – warknęła Laure.

– Bardzo zabawne – odrzekł Conrad bez uśmiechu. – Suzan, kochanie, możesz doprowadzić do porządku naszą przyjaciółkę?

Angielka kiwnęła głową i usiadła obok Laure. Dziwnie pachniała, jakby perfumami o zbyt kwiatowej woni. Otworzyła niedużą skórzaną kosmetyczkę w kolorze różowym i wyjęła z niej posrebrzany pilniczek do paznokci.

Niemiec przycisnął dłoń Laure do poręczy krzesła i odgiął mały palec, podczas gdy jego towarzyszka dmuchała na pilniczek, jakby chciała się pozbyć wymagowanych drobin kurzu. Laure poczuła, że serce zaczyna jej bić szybciej.

– Siedź spokojnie, przed wojną naprawdę była manikiurzystką.

Delikatnie ująwszy mały palec, Angielka zaczęła opiłowywać paznokiec. Laure wstrzymała oddech, nie śmiąc nic powiedzieć, jak zahipnotyzowana patrzyła na precyzyjne ruchy porywaczki. Suzan zadowolona znowu dmuchnęła, tym razem na paznokiec, i spojrzała w oczy Francuzce.

– Masz piękne dłonie – powiedziała. – Szkoda...

– Eee... Szkoda?

– Szkoda je zniszczyć.

Wpatrując się w nią z łagodnym uśmiechem, Suzan wbiła czubek pilnika pod opiłowany paznokiec. Laure się szarpnęła, wyjąc z bólu. Niemiec przygwoździł ją do krzesła, podczas gdy jego towarzyszka wbijała dalej pilnik. Z okaleczonego palca ciekła krew, kapiąc na podłogę.

– Litości! Nic nie zrobiłam! – wrzasnęła Laure.

– Nie wątpię – zapewnił Conrad. – Ja chcę tylko wiedzieć, co robiłaś przed Hellfire'em. To nie jest odpowiednie miejsce dla uroczej Francuzeczki.

Suzan wysunęła pilnik i wbiła go pod paznokiec środkowego palca Laure, która krzyczała jak opętana. Conrad dał jej znak. W połowie paznokcia pilnik się zatrzymał.

– Wśród moich ulubionych zwrotów francuskich jeden szczególnie mi się podoba. Mieć coś w małym palcu. – Nachylił się nad okaleczonym małym palcem Laure i patrzył na niego z bliska. Pokiwał głową. – No właśnie... Ten mały palec daje mi pewność, że coś przede mną ukrywasz, mademoiselle. A paluszki rzadko mnie zawodzą. No, słuchamy. Czemuś nas szpiegowała? Co powiedziałaś grubemu Crowleyowi na ulicy?

Umysł Laure nie funkcjonował jak należy. Wiedziała, że nie wytrzyma długo na torturach. Instruktorzy z SOE ją przestrzegali, że można odsunąć w czasie chwilę, kiedy się pęknie, lecz to zaledwie kwestia godzin, a dla niektórych nawet minut. Odporność na ból zależała od wielu parametrów, odwaga zaś, choćby największa, nijak nie oddziaływała na unerwienie poszczególnych części ciała. Bywało, że wyjątkowo dzielni agenci rozsypywali się w rękach gestapowców, inni natomiast, niewyróżniający się męstwem, wytrzymywali do końca.

– W budce... dzwoniłam do kolegi... który...

Pilnik znów się wbił, wchodząc jeszcze głębiej pod paznokiec.

– Skoro tak, trzeba będzie też wyczyścić kciuk. Wygląda na paskudnie ubrudzony.

Manikiurzystka nie przestawała się uśmiechać, torturując ofiarę.

– Tyle lat grzebałam się w paznokciach klientów, którzy traktowali mnie jak gówno. Ileż razy marzyłam, by wbić im pilnik głęboko w to zepsute ciało!

Laure znów wrzasnęła, jej krzyk odbił się echem od ścian piwnicy. Conrad się schylił i głaszcząc ją po włosach, szepnął jej do ucha:

– Sądzisz, że my, narodowi socjaliści, jesteśmy potworami, sadystami? Nic z tych rzeczy. Musisz wiedzieć, że widok twojego cierpienia wcale mi nie sprawia przyjemności. Nie jestem esesmanem. Mam wykonać zadanie i muszę skorzystać ze wszystkich środków, jakimi dysponuję. Powiedz, a darujemy ci życie.

Suzan potrząsnęła głową.

– Tracisz czas. Przecież widzisz, że się zaparła.

Laure drżała na całym ciele, wiedziała, że długo nie wytrzyma. Nie śmiała spojrzeć na swoje okaleczone palce.

– Skorzystamy z innego akcesorium do manikiuru – dodała oprawczyni. Odłożyła na stół zakrwawiony pilnik, po czym z kosmetyczki wyjęła posrebrzane malutkie nożyczki. – W moim fachu trzeba mieć najlepsze przybory. To maleństwo obcięło tysiące paznokci i nadal jest w stu procentach sprawne. Angielska produkcja. – Przesunęła rozwartymi nożyczkami po policzku Laure aż do skraju dolnej powieki. – Znasz Ludzi za mgłą? – zapytała, przyciskając jeden z ostrych końców do przezroczystej skóry ofiary. – To przedwojenny francuski film z Jeanem Gabinem i Michèle Morgan, dwojgiem aktorów o wyjątkowej aryjskiej urodzie. Oglądałaś go?

Laure przełknęła łzy. Na skórze czuła zimny dotyk nożyczek.

– Tak... Tych dwoje Aryjczyków wyjechało do Stanów, żeby nie kolaborować z Niemcami. W przeciwieństwie do ciebie.

– Nieważne... W pewnej chwili Gabin mówi do Michèle: „Wiesz? Masz piękne oczy” i ściska ją w ramionach. Aż mnie dreszcz wtedy przeszedł. No i widzisz, jeżeli wykłuję ci teraz oko, już żaden mężczyzna nie zechce cię pocałować. Jeśli wykłuję ci drugie, resztę życia spędzisz w ciemnościach. – Zakręciła nożyczkami przed twarzą Francuzki. – Mogę ci też odciąć śliczny nosek albo poszerzyć usta...

Laure poczuła, że zaraz serce jej pęknie na kawałki. Strach przenikał każdą komórkę jej ciała.

Nagle drzwi piwnicy szeroko się otwały i wszedł człowiek o wygolonej głowie i masywnej sylwetce. Obrzuciwszy Laure wzrokiem bez wyrazu, położył Conradowi dłoń na ramieniu.

– Jesteście mi potrzebni, to pilne!

– Już prawie zaczęła mówić – mruknął Niemiec z niezadowoleniem.

– To może poczekać. Macie teraz ważniejsze zadanie.

Suzan wyglądała na zawiedzioną, lecz poskładała przybory do kosmetyczki.

– To tylko chwilowa przerwa, niedługo wrócimy do naszej rozmowy.

*Londyn**Dzielnica Bloomsbury*

Hitlerowska propaganda co prawda przedstawiała stolicę Wielkiej Brytanii jako miasto zmiecione z powierzchni ziemi, w którym pośród stosów zgliszczy wygłodzona ludność walczy ze szczurami o żywność, w rzeczywistości jednak Londyn zdołał podnieść się z ruin. Wszędzie widać było żołnierzy w mundurach, spieszących dokądś cywilów, kobiety pracujące – panujący na ulicach ruch mocno kontrastował z okupowanym Paryżem, który Tristan właśnie opuścił. Wolniej niż reszta przechodniów szedł wzdłuż parku wysadzonego drzewami, których korony rzucały cień na chodniki. Chociaż było gorąco, nie zdjął marynarki ani kapelusza, przez co wyglądał dość odświętnie, jak prowincjusz przybyły z wizytą do stolicy.

W parku, którego strzegł dyżurny policjant, młode pary obsiadły trawniki, dzieci bawiły się pod osłoną krzewów. Tristan poczuł ukłucie w sercu. Od tak dawna nie chodził po mieście, w którym ludzie są szczęśliwi, że żyją. Jeździł od zdewastowanej Barcelony przez faszystowski Berlin po okupowany Paryż, tak że w końcu zapomniał, co oznacza życie w demokracji. Jednakże szybkie przejrzenie gazet zaraz mu uświadomiło, z jakimi trudnościami boryka się ostatni bastion wolności w Europie. Pod pozorami spokoju Londyn wrzał, mierząc się z kryzysem politycznym i żądaniami społeczeństwa. Nie wspominając o morderstwach, których ofiary naznaczono wyciętą na ciele swastyką. Jemu to na pewno nie pomoże. Władze wszędzie będą widziały nazistowskich szpiegów. Na rogu Russell Square skręcił w lewo, kierując się ku Bedford Way. Wyblakłe ceglane budynki uniwersyteckie tworzyły zwarty blok, który odcinał się od letnich kolorów parku. Był to jeden z punktów orientacyjnych Tristana, by dotrzeć do Gordon Square, gdzie czekało na niego nowe życie.

W Paryżu pod kierunkiem specjalistów wbił sobie w pamięć topografię Londynu na podstawie przedwojennych zdjęć. Wiedział zatem, że na końcu ulicy powinien skręcić w lewo, później w pierwszą w lewo i dojść do numeru dwudziestego szóstego, gdzie stał dom „wuja”. Jego wejściem w skórę i myśli Adama zajął się Gehlen. Tristan poznał w szczegółach życie młodego obywatela Quebecu, który umarł, aby on mógł wykonać swoje zadanie. Zakończona w wieku dwudziestu sześciu lat jego biografia była cieniutka jak bibułka. Kiedy Tristan przyswoił sobie informacje o etapach jego

edukacji, bliżej nieokreślonych studiach artystycznych, namiętności do pływania kanadyjką i upodobaniach do kanadyjskiej whisky, wraz z Gehlenem uznali, że zbudowali pełnokrwistą postać. Tożsamość zdolną przetrwać przesłuchanie.

Marcas dojrzał Gordon Square, nieduży park o brzegach obsadzonych drzewami. Naprzeciw niego miał mieszkać. Zdjął kapelusz, zrzucił marynarkę i dostrzegł front budynku widzianego na zdjęciach. Była to trzykondygnacyjna kamieniczka o parterze zabezpieczonym kratami. Na każdym piętrze w murze z szarej cegły otwierały się trzy okna, wejście pomalowano na biało.

– Pan Adam? – Przed drzwiami stał człowiek jak żywcem wyjęty z powieści Dickensa: w kraciastej marynarce, o rumianej, pucołowatej twarzy. – Jestem rejent Boswell. Witam w Bloomsbury – rzekł i Tristan skłonił głowę. – Cóż, jak widać, odbył pan diablo długą podróż! Znał pan wuja?

– Nigdy go nie spotkałem – odparł Marcas. – A matka niewiele o nim mówiła.

– Ano tak... Z początku pisywali do siebie, z czasem jednak więzy się rozluźniły... Zgodnie z prawem jest pan jedynym spadkobiercą. A że stary kawaler był oszczędnym człowiekiem, zostawił panu też w banku okrągłą sumkę. Dzięki niej opłaci pan koszty spadkowe i ściągnie... Zamierza pan osiąść w Anglii?

– Być może. Matka niewiele mówiła o bracie, za to o ojczyźnie bez ustanku. Chciałbym odkryć swoje korzenie.

– Chwalebny zamiar – pochwalił notariusz. – Chodźmy, oprowadzę pana.

Kuchnię po lewej pominął, od razu weszli do salonu, którego dwa okna wychodziły na ulicę. Tristan stwierdził, że pomieszczenie jest mało dyskretne. Będzie je musiał zabezpieczyć przed wścibskim wzrokiem przechodniów. Na szczęście po drugiej stronie szerokie przeszklone drzwi prowadziły do ogródka i dawały światło w pokoju.

– Jak pan widzi – objaśniał Boswell, wskazując głęboki skórzany fotel i porcelanowy serwis do herbaty – pański wuj był Anglikiem do szpiku kości. Oczywiście pominąwszy upodobania w dziedzinie malarstwa...

Tristan podniósł wzrok na ścianę naprzeciwko. Była obwieszona obrazami – samych ekspresjonistów w stylu Klimta i Schielego.

– Naprawdę nie pojmuję, co on widział w tych bohomazach...

Marcas nie zwrócił mu uwagi, że za kilka lat ta kolekcja będzie warta ładną fortunę, o tym bowiem Adam nie mógł wiedzieć.

Weszli na piętro, gdzie mieściły się dwa duże pokoje. Tristan wolał nie pytać, w którym umarł wuj. Na samej górze za to czekała go niespodzianka – na całej kondygnacji urządzono bibliotekę. Marcas nie będzie musiał zasłaniać okien w salonie, tu bowiem postanowił tknąć swoją sieć. Wodząc wzrokiem po rzędach książek, jeszcze bardziej się zdumiał.

– Tu są prawie wyłącznie książki o angielskiej arystokracji.

Notariusz wzruszył ramionami.

– Tak, to był drugi konik pańskiego wuja. Kreślił drzewo genealogiczne waszej rodziny i w końcu, lekko naciągając różne odgałęzienia, doszukał się przodka, który był baronetem za pierwszego króla Jerzego. Od tej pory pasjonował się brytyjską szlachtą. Ale te zainteresowania szybko przerodziły się w manię. Pod koniec życia mówił już tylko o tym.

Marcas słuchał uważnie. Będzie musiał dołożyć ten element do swojej fikcyjnej biografii. Tego nauczył go Gehlen: zawsze trzeba mieć w zanadrzu jakąś bogatą w szczegóły opowieść rodzinną. Pozwoli ona zyskać na czasie i skierować pytania na inny temat podczas przesłuchania.

– Odprowadzę pana do wyjścia – zapowiedział Tristan.

– Będzie mi miło. Klucze zostawiłem na stole w salonie. Kiedy się pan rozgości, zapraszam do kancelarii. Mam do podpisu dokumenty.

Mijając kuchnię, Marcas zauważył w kącie przy oknie ciemną drewnianą płytę przykręconą do podłogi.

– Wuj przeprowadzał tu jakieś roboty?

Boswell się uśmiechnął.

– Tak, przebudował zejście do piwnicy. Nie znosił przeciągów i twierdził, że piwnica wyiębia kuchnię, dlatego kazał zabić wejście do niej. Starzy kawalerowie miewają różne dziwactwa...

Tristan pomyślał, że jak najszybciej ją otworzy. Piwnica, zwłaszcza głęboka i cicha, może być bardzo skutecznym sojusznikiem.

Pożegnawszy się z notariuszem, Marcas wszedł na samą górę. Włączył ogrzewanie olejowe, nalał trochę wody do garnka i wygarnął z zaparzacza do herbaty kilka poszarzałych, wyschniętych listków. Następnie obszedł bibliotekę, zdejmując z półek pojedyncze książki, aż zebrał się chwiejny stos, który postawił na stole. Woda zaczęła wrzeć, nalał jej do zaparzacza i otworzył pierwszą książkę.

Teraz musiał odszukać Jamesa Hadlera.

Tristan długo nad nim rozmyślał. Jak bowiem można sobie wyobrazić związek między relikwią będącą w posiadaniu cara i pospolitym angielskim nazwiskiem? Czy tak zwał się człowiek, który zorganizował przewiezienie swastyki do Londynu, czy też jej strażnik? Co go łączyło z carską rodziną? Marcas szybko doszedł do wniosku, że nie może to być anonimowa postać, skoro Hadler utrzymywał stosunki z Mikołajem II. A ostatni car Rosji zawsze pozostawał w komitywie z brytyjską arystokracją: czyż jego małżonka nie była wnuczką królowej Wiktorii? Można było zatem iść o zakład, że James Hadler należał do śmietanki towarzyskiej.

Daremnie jednak Tristan przeglądał specjalistyczne książki swojego „wuja” – nie natrafił w nich na żaden trop. James Hadler nie był ani baronetem, ani członkiem Izby Lordów, ani nawet zwykłym prowincjonalnym szlachetką. Nie było go wśród nazwisk arystokratycznych. Tristan usilnie to roztrząsał. Pozostawał tylko establishment, typowa brytyjska klasa społeczna, do której zaliczano wysokich urzędników państwowych, dyplomatów i czołowych przedsiębiorców. Aby zaś zbadać ją gruntownie, należało sięgnąć do jednej tylko publikacji, biblii światowców, snobów i wszystkich, którzy marzyli, aby do tej klasy wstąpić: do Who’s who.

Od pierwszego wydania w roku tysiąc osiemset czterdziestym ów spis osób z elity towarzyskiej był nieodmiennie bestsellerem wyczekiwany niecierpliwie przez wszystkich, którzy się delectowali czytaniem własnej biografii, albo tych, którzy mieli nadzieję ją tam znaleźć. W bibliotece „wuja” było kilka wydań. Tristan zdecydował się na publikację z roku tysiąc dziewięćset dwudziestego, najbliższą rewolucji rosyjskiej.

Nie musiał długo szukać. James Hadler istniał, a jego biografia okazała się objawieniem. Po studiach w Oksfordzie Hadler wstąpił do Foreign Office, Biura Spraw Zagranicznych, gdzie pracował w kilku służbach, po czym otrzymał posadę w ambasadzie. Najpierw w Madrycie, Rzymie, wreszcie w Wiedniu. Tristan od razu zauważył, że ów dyplomata, nowicjusz przecież, obejmował posady wyłącznie w prestiżowych stolicach i że kolejne przeniesienia coraz bardziej go przybliżały do centrum wydarzeń, które miały zaowocować wybuchem Wielkiej Wojny. Jakże zatem James Hadler miał kompetencje bądź talenty, że zawsze znajdował się tak blisko historycznych wydarzeń? Najbardziej jednak uderzyła Tristana przedostatnia linijka jego biografii: w roku tysiąc dziewięćset siedemnastym Hadler znalazł się na placówce w Moskwie.

Marcas poczuł, że rodzi się w nim taka sama ekscytacja, jakiej doświadczał, gdy odkrywał nieznany obraz. Już wiedział, że znów ruszy na łowy. Wielkim głosem przyzywała go przygoda. Na samym końcu biogramu widniał adres Hadlera: Holland Road 15, Kensington. Tristan zbiegł po schodach, po drodze złapał klucze, odtworzył w pamięci plan Londynu i podążył prosto na wschód.

Znalazłszy się przed domem Hadlera, od razu zrozumiał, że zorganizowana przykrywka na nic mu się nie przyda. Jeżeli Hadler maczał palce w wywiezieniu z Rosji i strzeżeniu swastyki, z pewnością miał się na baczności, a Marcas za nic nie chciał zwrócić na siebie uwagi. Dom ze wspartym na dwóch białych kolumnach zadaszaniem podestu przed wejściem świadczył o zamożności właściciela. W wychodzących na ulicę dwóch oknach zasłony były zaciągnięte. Marcas się zastanowił, czy aby jego mieszkańcy, uciekając ze stolicy przed letnim skwarem, nie wyjechali na lotnisko. Podszedł do niskiej furtki, która zamykała wąski pasaż między tym domem

a sąsiednim. Okraczył ją swobodnie, jakby zgubił klucze, i wsunął się w zaułek. Na jego końcu znajdował się typowy angielski ogródek ocieniony wysokim żywopłotem. Tristan ukrył się w listowiu i przyjrzał od tej strony oknom domu. Tu również zasłony były zaciągnięte. Jedno z okien na parterze znajdowało się na wysokości człowieka, tuż nad glicynią, która wciąż miała podpórkę. Tristan wyjął z ziemi cienką metalową rurkę i wsunął ją między kwaterę okna a framugę. Udało mu się przesunąć wewnętrzną zasuwkę. Ostrożnie pchnął okno, wspiął się na parapet i wszedł do kuchni.

Od razu zrozumiał, że mieszkańców nie ma od jakiegoś już czasu. Na meblach leżała cienka warstwa kurzu. Wszedł do salonu i zaczął oglądać zdjęcia zawieszane na ścianie. Widniał na nich James Hadler w różnych okresach życia. Tristan rozpoznał fotografię z Madrytu zrobioną w parku Retiro, inną ze słynnej wiedeńskiej piwiarni... James Hadler wszędzie wyglądał na człowieka, który jest u siebie. Może właśnie na tym polegał jego ukryty talent: gdziekolwiek się znalazł, wszędzie umiał się wpasować. Nie było natomiast żadnej pamiątki z Rosji. Tristan zdjął dwa zdjęcia i zamienił je miejscami. Jeżeli Hadler ma się na baczności, zauważy to natychmiast po powrocie, co z pewnością wywoła jakąś jego reakcję. A właśnie tego pragnął Marcas: spłoszyć zwierzynę, by łatwiej ją śledzić i przewidywać jej posunięcia.

Pokoje na piętrze niczym się nie wyróżniały – chyba tylko brakiem jakiegokolwiek damskiej odzieży w szafach. Widocznie Hadler nie miał żony. Albo już nie miał. Tristan przeszedł do gabinetu. Szuflady biurka nie były zamknięte. W większości zalegały w nich papiery urzędowe, rachunki i pliki listów starannie ułożonych według korespondentów. Tristan zapamiętał wszystkie nazwiska. Postanowił zaraz po powrocie sprawdzić je w Who's who. W ten sposób zdoła się rozeznać w środowisku, w którym obracał się Hadler.

Z każdego pliku wyjął po kilka listów i zaczął je czytać. Szybko zrozumiał, że niczego się nie dowie: w większości była to banalna korespondencja między krewnymi. W miarę jak przeglądał listy, narastało w nim podejrzenie: a jeżeli Gurdzijew, zanim umarł w katakumbach, starał się wywieść go w pole i podał mu przypadkowe nazwisko, które wygrzebał w pamięci?

Nie zdążył gruntowniej tego przetrwać, na dole bowiem otworzyły się drzwi i rozległy głosy. Tristan wymknął się na korytarz. Mówiła kobieta. Po cichutku zszedł kilka stopni, aby znaleźć się bliżej i lepiej słyszeć. W domu znalazło się wyraźnie kilka osób, lecz rozmowę prowadziła kobieta, którą usłyszał najpierw.

– Jak państwu wspominałam, kuchnia wychodzi na ogródek. Jest bardzo jasna. Odciągnę zasłonki...

– Może pomóc? – zagadnął męski głos.

– Poproszę. Dawno nie były ruszane. W zasadzie od śmierci właściciela.

I w tej chwili Tristan zrozumiał. Warstewka kurzu na meblach, starannie posłane łóżka... James Hadler opuścił to miejsce na zawsze. Jedyne trop Marcasa urwał się na amen. Francuz wrócił do gabinetu, otworzył okno. Za wysoko, by skoczyć. Pozostało mu poczekać, aż przybysze wejdą do pokoiów na górze, przemknąć cichutko po schodach i wyjść przez frontowe drzwi. Na dole kobieta dalej oprowadzała gości.

– Oczywiście salon trzeba będzie odświeżyć...

Marcas dla pewności, że o niczym nie zapomni, po raz ostatni obrzucił wzrokiem gabinet. Przejrzał kilka książek z biblioteczki na temat Rosji, lecz nie znalazł żadnego zapisku na marginesach ani kartki wsuniętej do środka. Resztę księgozbioru stanowiły opracowania ekonomiczne i pisma poświęcone jeździe konnej. Pozostała jeszcze oszklona serwantka. Miała jedynie trzy półki. Na pierwszej stały figurki przedstawiające postacie z Don Kichota, na drugiej kolekcja fajansowych fajek, niewątpliwie przywiezionych z Austrii. Na ostatniej poustawiano matrioszki w krzykliwych barwach. Otworzył je po kolei. Nic.

Coś tu nie grało. Jak człowiek, który skończył Oksford, dyplomata, mógł wyeksponować w swoim gabinecie kolekcję w tak złym guście?

Na schodach rozległ się głos:

– Pokażę teraz pokoje na piętrze.

Marcas czym prędzej obejrzał każdą fajkę. Nic. Nie miał już czasu. Musiał uciekać. Pozostały jeszcze figurki.

– Tu jest pierwszy pokój... Proszę nie zwracać uwagi na tapetę...

Don Kichot, odwieczny poszukiwacz ideału... Kto wie? Tristan przechylił statuetkę. Coś za nią było, przedmiot nie większy od paczki papierosów, cienki kamienny prostopadłościan zwieńczony stożkiem. Marcas bez zastanowienia wsunął go do kieszeni.

– Przejdźmy do drugiego pokoju. Zobaczą państwo, łazienka jest wspaniała!

Skradając się, Francuz zszedł po schodach, dopadł drzwi i znalazł się na ulicy. Pod wpływem jasnego światła słonecznego zmrużył oczy. Najpierw w lewo, potem w prawo i dalej do... Przeglądał w pamięci plan Londynu. Niedługo znajdzie się u siebie.

Z prawdziwą ulgą dotarł do Bloomsbury. Wykonując to zadanie, pozostawał ustawicznie w wielkim napięciu. Znalazł się między młotem a kowadłem: cudem umknął przed denuncjacją Eriki, znalazł się natomiast w zasięgu Malorleya. Prawdę powiedziawszy, obawiał się i jednej, i drugiej strony. Właśnie dlatego powiadomił tylko szefa SOE, że będzie w Londynie, lecz nie podał żadnych szczegółów. Dla

Niemców Tristan mógł w każdej chwili stać się zdrajcą, dla Anglików człowiekiem, który za dużo wie. Do wyboru miał dżumę lub cholerę, ale musiał jakoś przetrwać.

Dotarł do Gordon Square. Już niedaleko była uspokajająca fasada domu numer dwadzieścia sześć. Jeszcze chwila i będzie bezpieczny. Kiedy dochodził do furtki, rozległo się trzaśnięcie drzwi samochodowych.

– Czołem, Francuziku! – usłyszał i stanęła przed nim para młodych ludzi o kpiącym spojrzeniu. – Jesteśmy od Gehlena. Bał się, że o nim zapomnisz.

– Kim państwo są?

Dziewczyna przysunęła się do niego.

– My? Twoimi aniołami stróżami.

Londyn

Kensington

Siedziba wydziału S

Na zakorkowanej ulicy ponad dźwięki klaksonów wzbiło się wycie syreny strażackiej. Malorley, który spędził bezsenną noc w biurze, wychylił się przez okno, by zobaczyć, czy gdzieś w okolicy wybuchł pożar, lecz nigdzie nie widział ognia ani dymu. Od początku wojny ze skrywaną przyjemnością wsłuchiwał się w kakofoniczną symfonię londyńskiego ruchu ulicznego. Czuł się spokojniejszy, że życie płynie dalej z codziennymi większymi i mniejszymi troskami.

Crowley, który przyszedł, by zasięgnąć wieści, obserwował Malorleya wracającego do biurka. Nie był głupi, nie zwiódł go pozorny spokój szefa wydziału S. Minęła już noc, odkąd Laure zniknęła, i żadnych nowin o niej nadal nie było.

– Wiem, że ona żyje – odezwał się Aleister. – Wyłożyłem tarota. Siedemnastka wystąpiła trzy razy w układzie krzyżowym. To Gwiazda, karta przypisana dziewczynie, w połączeniu z Wieżą i Rydwanem: Laure znalazła się w wielkim niebezpieczeństwie.

– Bez żartów... Ale może by pan wykorzystał swoje talenty i zapytał kart, gdzie ona jest?

Malorley mówił lodowatym głosem. Spojrzenie miał nieruchome, wyzute z wszelkich uczuć.

– Widać po panu obstrukcję. To bardzo niezdrowo.

– Cóż za interesująca uwaga, doktorze Crowley. Ale z tego, co wiem, nie mam żadnych problemów gastrycznych.

– Miałem na myśli obstrukcję umysłową. Spycha pan strach gdzieś w głąb siebie, sądząc, że przez to lepiej oceni pan sytuację, tymczasem to błąd. Strach wżera się w świadomość jak robak, który gryzie miąższ pozornie pięknej soczystej brzoskwini.

– Jest pan też psychologiem? – zdenerwował się Malorley.

– Powiedzmy, że w Wiedniu dużo się nauczyłem od profesora Freuda o wypieraniu emocji. On zresztą też czytał moje książki. Podejrzewam nawet, że ukradł moje teorie na temat wagi seksualności. Ale to całkiem inna historia... Chciałem powiedzieć, że psuje pan sobie krew z powodu Laure.

– Jak z powodu każdego agenta, który jest moim podwładnym.

– Nie. Bardzo panu zależy na tej milusiej Francuzeczce.

Tego dla Malorleya było już za wiele. Nie mógł dłużej znieść opasłego maga, człowieka, który wiecznie pouczał i był notorycznym zbrodźcą.

– Ty degeneracie! Zabraniam ci! Jesteś starym satyrem z obsesjami!

Zaatakowany wprost Crowley nie odpowiedział. Potrafił być tchórzem, kiedy należało. Na tym polegała tajemnica jego przetrwania.

– Źle mnie pan zrozumiał. Ona jest dla pana jak córka. Pan w dodatku kazał jej, żeby poszła ze mną do Hellfire’u. Przez to czuje się pan dziesięciokrotnie bardziej winny.

– Mam gdzieś pańskie jarmarczne diagnozy. Zwłaszcza że niczego nie wnoszą.

– Niech pan wyśle ekipę do Hellfire’u. Znam to miejsce jak własną kieszeń. Mogę...

– Nie! Jeśli moi ludzie wylądują u Moiry, posypie się to, cośmy przeciwko niej zmontowali. Niemcy się dowiedzą i Moira będzie spalona. Moi przełożeni by nie zrozumieli, że poświęcam tak misterny plan, by uratować zwykłą agentkę.

– Czyli wydaje pan wyrok na Laure.

Na długą chwilę zapadła cisza.

– Jest może inne wyjście – mruknął w końcu szef wydziału S. – Trzeba tę cholerną czarownicę pod jakimkolwiek pretekstem wywabić z klubu i zmusić do współpracy. Zrobić z niej podwójną agentkę tak, żeby Niemcy się nie połapali.

Crowley pokręcił głową.

– Nigdy się nie zgodzi. Ta wiedźma nienawidzi Anglii. Chociaż już zaprzedała duszę diabłu, będzie wolała zrobić to po raz drugi, niż układać się z panem.

– Jestem zdolny do najgorszego, byle uratować Laure.

Na telefonie stojącym na biurku zamigotało czerwone światełko. Komandor odebrał i przełączył na głośnik. W pomieszczeniu rozległ się wąty głosik sekretarki:

– Panie komandorze, ma pan pilny telefon ze sztabu SOE.

– Znaleźli Laure? Żyje? – wykrzyknął niespokojnie.

– Nie, chodzi o innego pańskiego agenta.

– Proszę przełączyć.

Głośnik skrzypiał przez kilka chwil. Słysząc było zwyczajne trzaski mieszczącej się w Walthamstow centrali telefonicznej, która obsługiwała połączenia między różnymi agencjami wywiadu.

– Komandorze, mówi komendant Draymore z wydziału F. Otrzymaliśmy wiadomość od jednego z pańskich ludzi. Numer operacyjny to zero zero siedem.

Malorley zerwał się na nogi.

– Co? Może pan powtórzyć numer?

– Zero zero siedem. Wiadomość przekazał nasz kontakt w Paryżu. Pański agent zawiadamia, że przyjeżdża do Londynu na dalsze poszukiwania. Bez żadnych szczegółów.

– Nic więcej nie przekazał?

– Nie. Muszę się pożegnać, mam właśnie odprawę.

Malorley się rozłączył. Crowley patrzył na niego z przerażeniem w oczach.

– Tristan Marcas tutaj... w Londynie... Szuka czwartej relikwii... Trzeba go koniecznie znaleźć. Za wszelką cenę.

Kiedy Malorley wydawał rozkazy, Crowley oparł wydatny podbródek na skrzyżowanych palcach.

– Kot... Duży przebiegły kocur, podstępny i okrutny, który szydzi z myszek, zanim je pożre.

– Słucham?

– Zawsze uważałem, że los bawi się ludźmi jak kot myszą. W chwili gdy stracił pan Laure, odzyskał pan Tristana.

Londyn

Szary opasły szczur tkwił nieruchomo. Można by pomyśleć, że nie żyje, gdyby nie łysy ogon, który falował na blacie. Gryzoń bez mrugnięcia wpatrywał się w Laure czarnymi paciorkami oczu. Dziewczyna nigdy nie oglądała szczura z tak bliska. Widziała szczegóły jego sierści o niejednorodnym umaszczeniu, grubą szyję sięgającą aż do tłusciutkich, wilgotnych boków. Ewidentnie ten osobnik, podobnie jak miliony jego pobratymców, od których roiło się w podziemiach Londynu, nie cierpiał na niedożywienie związane z racjonowaniem jedzenia.

Zwierzátko weszło na stół po związanych drutem nogach Laure i zajęło pozycję naprzeciw niej. Jakby mu kazano zmienić oprawców i kontynuować przesłuchanie. Kiedy gryzoń się pojawił w uchylonych drzwiach, Laure instynktownie zeszywniała. Zwierzak przetrząsnął wszystkie kąty pomieszczenia i dopiero wtedy zauważył jej obecność. Potem po kawałeczku przybliżał się do niej. Przez jakiś czas krzyki dziewczyny trzymały go na odległość, w końcu jednak tak się rozzuchwalił, że wspiął się na stół.

Kiedy odraza po jakimś czasie przeszła, Laure przywykła w końcu do stworzonka, które stało się jej towarzyszem niedoli. Miała je na oku i dziękowała opatrności, że oprawcy, wychodząc, zostawili zapalone światło. Tyle że zwisająca pod sufitem żarówka niepokojąco skwierczała, jakby lada chwila miała wyzionąć ducha.

– Nie zrobisz mi krzywdy, co, Tommy? – odezwała się Laure, wpatrując się w gryzonia. – Niezła z nas para, wiesz? Mogłabym cię wytresować i nauczyć różnych sztuczek, żeby ułagodzić tych drani.

Roześmiałyby się na ten pomysł, gdyby nie ręka, która okrutnie jej dokuczała. Czubki trzech palców już jej opuchły, napęczniały ropą i skrzepniętą krwią. Nie śmiała nimi poruszyć, by nie podsycić dojmującego bólu.

Szczur przysunął się do niej na odległość kilku centymetrów i nastawił pyszczek, jakby zrozumiał, co powiedziała.

– Między nami mówiąc, Tommy, nie jestem pewna, czy dłużej wytrzymam...

Nie miała już złudzeń co do tego, co ją czeka, kiedy oprawcy wrócą. Robiło jej się słabo na samą myśl, że Suzan miałyby ją pociąć nożyczkami.

– Wiadomo, jak oboje skończymy.

Kości zostały rzucone, ale nie mogła liczyć na wygraną. Oprawcy nie próbowali zasłaniać twarzy. Nigdy nie wypuszczą jej żywej. A zostawienie jej, by czekała na ciąg dalszy, z pewnością było częścią ich techniki przesłuchań. Laure uważnie przypatrywała się szczurowi, jakby pomagało jej to zapomnieć o bólu.

– Myślisz, że gdzieś tam, w górze, jest Pan Bóg, który mnie nagrodzi za oddanie słusznej sprawie? Odnalezienie tych cholernych magicznych swastyk to nie byle co.

Szczur spuścił łebek. Nie wyglądał na przekonanego.

– Masz rację... Bóg od początku ma nas gdzieś – ciągnęła Laure. – Sądzę nawet, że ukradkiem pomaga Hitlerowi. Może zmienił naród wybrany i uważa nazistów za wspaniałych ludzi razem z ich tysiącletnią Wielką Rzeszą. A raj przeznaczają tylko dla tych kanalii dobrych Aryjczyków. Raj...

Pomyślała o ojcu, który wyznawał wiarę katarską. Może miał słuszość. Wyznawcy tej religii, uważani za heretyków, trwali w przekonaniu, że światem doczesnym rządzi występny bóg, okrutny sadysta, który od tysiącleci z upodobaniem zsyła na swoje owieczki wojny, choroby, głód, gwałty i wiele innych barbarzyńskich tortur, równie strasznych, jak skutecznych. Prawdziwy Bóg natomiast powołuje Doskonałych do lepszego świata, kiedy dobiegnie końca ich cykl życiowy.

Laure jednak nie była katarką, a tym bardziej wyznawczynią Chrystusa. Jej nie czekał ani raj, ani piekło, lecz po prostu zapomnienie w odwiecznej nicości.

– Widzisz, Tommy, nigdy nawet przez myśl mi nie przeszło, że zakończę życie, rozmawiając ze szczurem rynsztokowym. Ani że umrę tutaj. Sama, bez nikogo, kto by mnie opłakał. W wieku dwudziestu pięciu lat.

Po głowie chodziły jej gorzkie myśli. Nigdy nie spotka mężczyzny, który ją pokocha, nigdy nie będzie miała dzieci. Teraz czekały ją już tylko objęcia cierpienia i śmierci. Poczwała, że do oczu napływają jej łzy.

Przejechała językiem po lewym górnym zębie trzonowym. Wypukłość na nim była taka jak zwykle. Najwyżej dwie minuty – tyle czasu trzeba, by odejść ze świata żywych po rozgryzieniu kapsułki z cyjankiem. Tego nauczyli ją instruktorzy w SOE. Osłonka

nie pękała od razu. Ze względów bezpieczeństwa, na wypadek nieumyślnego zgniecenia jej podczas jedzenia. Należało ją kilkakrotnie mocno przygryźć. Bardzo mocno. Cyjanek wtedy wypłynie i dokona dzieła zniszczenia, pozbawi ją życia.

Nagle żarówka strzeliła. W piwnicy zapadła ciemność, jedynie spod drzwi sączył się promień światła.

– Tommy, tylko nie próbuj się na mnie wspinać po ciemku.

Odetchnęła głęboko. Podjęła decyzję.

Kiedy oprawcy wrócą, będzie siedziała prosto i nie spuści wzroku. Niczego się od niej nie dowiedzą. Ofiaruje im wyłącznie własną śmierć.

Londyn

Dzielnica Bloomsbury

Ci dwoje wprosilili się do kryjówki Tristana, który zachodził w głowę, jak Abwehra mogła zatrudnić młodych aroganckich ludzi zachowujących się tak prowokująco. Para angielsko-niemiecka. Naprawdę wszystkiego próbują, by stworzyć świat... aryjski.

– Zdaje się, że musimy ci pomóc w wykonaniu zadania – stwierdziła dziewczyna, której króciutkie włosy całkowicie odsłaniały twarz usianą piegami.

– Jak się nazywacie?

– Ja Suzan, a ten drągal, który przetrząsa ci kuchnię w poszukiwaniu szklanki, to Conrad.

– Co wiecie o moim zadaniu?

Suzan położyła nogi na niskim stoliku.

– Szukasz czegoś, co bardzo interesuje najwyższe czynniki w samym Berlinie. Mamy dopilnować, żebyś nie popełnił głupstwa.

Tristan się zastanawiał, czy nie są pod wpływem narkotyku. Takie pogłoski krążyły w Niemczech. Podawano odpowiednie mieszanki pilotom wylatującym na misje, elitarnym oddziałom frontowym. Nawet Ahnenerbe wspierało niektóre badania: diabelskie zioła stosowane przez średniowieczne czarownice bardzo interesowały wielu naukowców.

– Nie łapię.

– Och, to proste – rzekł Conrad z westchnieniem, siadając. – Ty wykonujesz zadanie, my cię pilnujemy. Gehlen nie wierzy ci za grosz. I słusznie: przecież Francuz to untermensch.

– Podczłowiek – przetłumaczyła Suzan.

– Rozumiem to słowo – odparł Tristan. – Ale jak na was patrzę, myślę, że odnosi się raczej do was.

Conrad zerwał się na równe nogi.

– Nie baw się w sprytniejszego od nas. Jedno słowo, jeden gest, jedna wątpliwość i...

– I umrzesz pierwszy – dokończył Marcas.

– Wystarczy, Conradzie! – przerwała im Suzan. – Zadanie jest najważniejsze. A ty, Francuziku, pamiętaj: nawet jeśli nie będziesz nas widział, wszędzie będziemy z tobą, wierniejsi niż cień.

Skierowali się do wyjścia. Przechodząc obok stołu, na który Tristan wyłożył zawartość swoich kieszeni, Conrad stanął jak wryty.

– Nie dość, że jesteś Francuzem, to jeszcze złodziejem? – I wskazał przedmiot, który Marcas zabrał z domu Hadlera. – Masz Schlüssel der Engel?

– Anielski klucz – przetłumaczyła Suzan. – To takie coś religijne. Możesz wierzyć Conradowi, bo zanim mnie spotkał, chciał iść do seminarium.

– Co to właściwie jest? – zapytał Tristan.

– Klucz do relikwiarza, szklanego grobowca, w którym wystawia się święte relikwie. Czasami kawałki kości, a czasami całe zwłoki – wyjaśnił Conrad. Wskazał jeden bok kamiennego prostopadłościanu usiany niewielkimi wgłębieniami. – Nie są rozmieszczone przypadkowo. Każda wklęsłość pasuje do wypukłości specjalnego zamka. Kiedy wszystkie trafią na swoje miejsce, wystarczy obrócić kamień i grobowiec się otwiera. Gdzieś go znalazł?

– Był z kluczami do domu.

Niemiec wzruszył ramionami. Już myślał o czym innym.

– Musimy iść, Suzan ma do skończenia manikiur.

Już będąc za drzwiami, Suzan się odwróciła i ostrzegła Marcasa:

– Nie zapomnij. Jesteśmy z tobą jak oko Kaina.

O dziwo, Tristana wcale nie martwiło zagrożenie, jakim byli Suzan i Conrad, lecz ich poczucie bezkarności. Zachowywali się jak oszalałe psy, toteż istniało duże ryzyko, że brytyjskie służby już ich wzięły na widelec, aby rozpracować siatkę Abwehry. Jeżeli tak się stało, Tristan alias Adam mógł zostać odkryty wcześniej, niżby sobie życzył. Nie będzie mógł długo zostać w kryjówce przy Gordon Square, musi sobie znaleźć inne schronienie. Wcześniej jednak powinien wyjaśnić tajemnicę tego anielskiego klucza. Czy Hadler mógł ukryć ostatnią swastykę w jakimś relikwiarzu? Marcas pamiętał ze studiów relikwiarze, które wtedy oglądał. Miniaturowe domki bogato zdobione złotem i kamieniami szlachetnymi, od frontu z szybką, przez którą widać było szczątki. W średniowieczu niektóre relikwie przechowywane w kościołach czy klasztorach ściągały pielgrzymów z całej Europy. Mógł to być również relikwiarz takiego typu, o jakim wspominał Conrad: długa szklana trumna z ciałem świętego, któremu oddawały cześć tłumy w ekstazie.

W bibliotece Tristan zdjął z półek trochę książek o sztuce, nie znalazł w nich jednak żadnych relikwiarzy, ani małych, ani dużych, należących do kościołów w Zjednoczonym Królestwie. W pewnej chwili go oświeciło: przecież Anglicy przeszli

na protestantyzm, wyznanie, które odrzucało kult świętych. W efekcie szklane relikwiarze rozbito, a inne przetopiono. Raz jeszcze ścieżka, którą podążał, nagle się urwała.

Prowadził naprawdę niewiarygodne poszukiwania, aż czasami sam już nie wiedział, dla kogo ani dlaczego pracuje. Ani kogo kocha. Erika zbijała go z pantałyku. Jakby były w niej dwie kobiety: jedna przemawiała mu do serca, druga trzymała go krótko, w pełni oddana ojczyźnie i zadaniu. Która z nich była prawdziwą Eriką?

Sądził kiedyś, że przejdzie przez to, grając na uczuciach innych i zapominając o swoich. Poszukiwanie, które wciągnęło go całego, nie dopuszczało rywalki. Czasami odnosił wrażenie, że jest jak niegdysiejsi rycerze, którzy przemierzali królestwo Artura w pościgu za Graalem odległym jak horyzont. Nie miał jednak ich czystości serca. A jego przełożonym brakowało cnotliwości i wysokiej moralności pobożnego króla Artura. Może Malorley był taki, ale z pewnością nie ci, którzy stali nad nim. Co zrobią, jeśli znajdzie ostatnią relikwię? Jak się zachowają: posłużą się Francuzem, by zdobyć swastykę, i definitywnie go spalą w oczach Himmlera, czy też wykorzystają go ponownie, odsyłając do Niemiec? Co jest więcej warte: artefakt potencjalnie mający magiczną moc czy szpieg w otoczeniu dowódców SS?

W każdym przypadku Tristan będzie przegrany. Jeśli odnajdzie dla Anglików ostatnią swastykę, przestanie mieć dla nich jakąkolwiek wartość. Jeżeli wróci do Niemiec, narastające nazistowskie szaleństwo wciągnie w końcu również jego. W gruncie rzeczy istniało tylko jedno rozwiązanie, radykalne: znaleźć swastykę i zniknąć. Wojna nie będzie trwała wiecznie, a kiedy znów nastanie pokój, będzie mógł negocjować dla siebie nowe życie, tym razem anonimowe i szczęśliwe.

Przyniósł do stołu atlas. Dokąd pojedzie? Wyobrażał sobie miasteczko otoczone starymi murami obronnymi, miejscowość, w której czas odmierzają dzwony kościelne, a ludzie kryją się przed słońcem pod arkadami... Wyobrażał sobie życie z Eriką... Z Eriką odmienioną.

Te myśli przywołały mgliste wspomnienia innego miasta. Ale sam już nie wiedział...

Naraz wróciła mu pamięć.

To miasteczko już poznał, tego życia pokosztował. Było to jesienią tysiąc dziewięćset czterdziestego roku, po upadku Barcelony, kiedy uciekł na katalońską wieś, do Castelló d'Empúries. Przywłaszczył sobie tożsamość człowieka zmarłego, Juana Labio, i przeobraził się w strażnika w lokalnym muzeum. Tam właśnie poznał Lucię.

Aż zastygł zdumiony, gdy w jego głowie pojawiło się słowo „muzeum”. Uświadomił sobie, że marzenie było po to, aby go doprowadzić do tego słowa. Kiedy szukał

w książkach relikwiarzy, myślał tylko o dwóch miejscach: o kościele albo klasztorze, tymczasem jeżeli taki przedmiot przetrwał zmienne koleje historii, znajdował się z pewnością w którymś muzeum.

Szczęście się do niego uśmiechnęło – no chyba że takie było zrządzenie losu.

Pierwszym relikwiarzem, na który natrafił, szperając w bibliotece „wuja”, była szklana trumna Tomasza Becketa. Średniowiecznego arcybiskupa zamordowanego w czasie mszy z rozkazu króla Anglii. Rzym uczynił z niego świętego. Relikwiarz znajdował się teraz w Muzeum Wiktorii i Alberta w dzielnicy Kensington. Marcas od razu zauważył, że to niedaleko od domu Hadlera. Jeśli czwartą swastykę ukryto w tej trumnie, jej ostatni strażnik miał ją pod ręką. Tristan odrzucił jednak pokusę, jaką było przyjęcie tego rozwiązania. Nie znał bowiem odpowiedzi na pytanie najważniejsze: jak Hadler zdołał ukryć swastykę w czymś tak cennym, tak chronionym i pilnowanym?

Pozostawał drugi relikwiarz znajdujący się w Muzeum Brytyjskim. Przechowywano w nim jeden z cierni korony Chrystusa, dla której król Ludwik Święty zbudował kościół Sainte-Chapelle w Paryżu. Na przestrzeni wieków władcy Francji ofiarowywali fragmenty korony różnym ważnym osobistościom. Był to dar dyplomatyczny, zwykle mający wzmocnić więzy polityczne. Relikwiarz będący w posiadaniu Muzeum Brytyjskiego powstał w tysiąc trzysta dziewięćdziesiątym roku dla możnowładcy z Królestwa Francji, Jana diuka Berry, jednego z najpotężniejszych ludzi swoich czasów. Następnie przeszedł w ręce Karola V, później trafił do skarbcza cesarza austriackich, po czym w roku tysiąc osiemset sześćdziesiątym zniknął wskutek niewiarygodnego oszustwa: złotnik, który miał go odrestaurować, wykonał po prostu kopię, a oryginał sprzedał... Rothschildom, oni zaś w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku przekazali go Muzeum Brytyjskiemu. Tristanowi aż kręciło się od tego w głowie. Ten relikwiarz liczył kilkaset lat, pożądały go i posiadały najmożniejsze europejskie rody.

Idealna kryjówka dla swastyki. Tyle że nie było tu żadnego związku z Hadlerem. Owszem, przebywał na placówce dyplomatycznej w Wiedniu, gdzie doszło do podmiany kopii na oryginał, tyle że daty nie pasowały. Tym razem Tristana ogarniało już nie zniechęcenie, lecz frustrujące poczucie, że krąży blisko rozwiązania zagadki, które wciąż mu się wymyka. Wrócił do biblioteki i przejrzał rząd książek, wśród których znalazł tom o Muzeum Brytyjskim. Oprócz opracowań naukowych „wuj” zgromadził tam również liczne katalogi wystaw. W jednym z nich, na temat sztuki średniowiecznej, aż dwie strony poświęcono relikwiarzowi Świętego Ciernia. Tristan uważnie je przeczytał i odkrył, że relikwiarz odrestaurowano w tysiąc dziewięćset dziewiętnastym roku. Kosztowna była ta restauracja, gdyż złożyli się na nią liczni

darczyńcy. W podziękowaniu wymieniono hojnych mecenasów w specjalnej nocie. Dotarłszy do litery H, Marcas nie zdołał powstrzymać okrzyku: natrafił na nazwisko Jamesa Hadlera!

Odniósł naraz wrażenie, że odzyskał wzrok. Wszystko się układało jak należy: anielski klucz wskazywał na relikwiarz, który znajdował się w Muzeum Brytyjskim, a jego restauracja pozwoliła mecenasowi Hadlerowi na dyskretny dostęp do zabytku.

Marcas już nie miał cienia wątpliwości. Znalazł wyjście z labiryntu. Teraz zyskał pewność: wiedział, gdzie jest ostatnia swastyka.

Poszukiwanie, które miotło nim po całej ogarniętej wojną Europie, wreszcie dobiegało końca.

Artefakt był niemal w zasięgu ręki.

Pozostało jeszcze jedno do zrobienia: obrabowanie Muzeum Brytyjskiego.

Moskwa
Kreml

Miarowy tupot podkutych butów rozbrzmiewał w pomieszczeniu, które pełniło funkcję antyszambru gabinetu Ojczulka Narodu. Dwaj ordynansi, kapitan Armii Czerwonej i sierżant, zimnym wzrokiem spoglądali na oficera NKWD15, który podążał w ich stronę. W przestronnym wnętrzu niezczędzono marmurów ani złota, lecz Jewgienij Berin od dawna już nie zwracał uwagi na kremlowski przepych. Od lat raz w tygodniu przemierzał tę samą drogę. Z kwatery głównej NKWD na Łubiance do dawnego pałacu carów było raptem dziesięć minut jazdy samochodem lub kilkaset kroków.

Kapitan zastygł w idealnej postawie na baczność i zasalutował Berinowi.

– Dzień dobry, towarzyszu pułkowniku, zaanonsuję was.

Kiedy zniknął za ciężkimi drzwiami z ciemnego dębu, enkawudzista czekał w milczeniu, położywszy raportówkę na brązowej skórzanej kanapie. Wolał na stojąco kontemplować ogromny obraz w agresywnych kolorach zawieszony na ścianie. Nie było go, gdy przyszedł tu ostatnio. Przedstawiał karego wierzchowca, czarnego jak heban, którego dosiadał rycerz ze wzniesionym mieczem otoczonym świetlistą aureolą. U końskich kopyt ludzie w białych pelerynach ozdobionych z boku czarnym krzyżem i poplamionych tryskającą krwią błagali zwycięzcę o litość.

Jewgienij nie potrzebował objaśnień. Każdy Rosjanin znał heroiczne czyny Aleksandra Newskiego, księcia Nowogrodu, który pokonał teutońskich Krzyżaków, gdy najechali Rosję w XIII wieku. Przed wojną Stalin zamówił film o takim tytule, aby uczcić legendarnego bohatera, a siebie otoczyć aurą bojownika o świętą sprawę. Jewgienij podszedł do obrazu i uśmiechnął się lekko na widok oblicza szlachetnego rycerza.

– Nie do wiary – mruknął szyderczo. – Ci wazeliniarze mieli czelność...

Dziki ruski możnowładca był z oblicza zadziwiająco podobny do Stalina. Sztwyne szpakowate włosy miał zaczesane do tyłu, kwadratowe wysokie czoło, zmrużone oczy równie złośliwe, jak okrutne... Podobieństwo było uderzające. Niemniej artysta nie posunął się w swej służalczości aż do tego, by domalować rycerzowi wąsy takie jak obecnego pana na Kremlu, a w tamtych czasach anachroniczne.

Jewgienij zapalił papierosa i rozmyślał o pompatycznym płótnie o grubej fakturze, namalowanym prawdopodobnie przez jednego z propagandowych pacykarzy, od których roilo się wokół dygnitarzy z politbiura. Osobistość numer trzy w NKWD wiedziała doskonale, że obecny pan i władca zdaje sobie sprawę z kultu, jakim jest otaczany. Jewgienij nigdy nie spotkał człowieka bardziej wyrachowanego i cynicznego niż Stalin, który jednak potrafił się okazać bardziej przesądny niż gruziński wieśniak. Być może pragnął przywołać cień osławionego świętego Cerkwi prawosławnej, by zażegnać zły los, który sprzysiągł się przeciwko ojczyźnie.

Enkawudzista wydmuchnął kłąb dymu papierosowego prosto w twarz księcia Aleksandra. Po trzydziestu pięciu latach rewolucji doszedł oto do następującego wniosku: lud czci tyranów i autokratów. Czy mają błękitną, czy czerwoną krew. Jeden car zastąpił drugiego na tronie Rosji. Stalin wzbudzał strach, ale także wielbiły go miliony Rosjan, którzy widzieli w nim wcielenie odwagi w obliczu najeźdźcy.

Koba16 o tym wiedział i zręcznie grał na tych uczuciach. W dwudziestą rocznicę rewolucji październikowej on, komunista ze stali hartowanej, złożył żarliwy hołd dawnym carom.

Jewgienij skrzywił się przed obrazem. Trzeba czegoś więcej niż obraz, aby pokonać teutońskie hordy. Ostatni raport, który otrzymał na temat sytuacji militarnej, był więcej niż niepokojący.

Chociaż Moskwa wywinęła się ze szponów Hitlera, położenie Rosjan było nadal krytyczne. Padło kluczowe miasto Rostów nad Donem. Kiedy rozeszła się zapowiedź, że zostanie poddane, przez cały Związek Radziecki przetoczyła się fala paniki. Niczym gigantyczna szrama linia frontu przecinała z północy na południe zmartwione oblicze Mateczki Rosji. Szrama licząca cztery tysiące kilometrów, poszarpana w zależności od coraz bardziej krwawych ofensyw i kontrofensyw. Na północy od blisko roku Niemcy oblegali Leningrad, mieszkańcy, których nie ewakuowano, umierali zarówno z głodu, jak i od spadających na nich ośmusetkilogramowych bomb. Dawny Sankt Petersburg, miasto carów, które stało się miastem wodza rewolucji, stawiało jeszcze opór atakom jednostek pancernych, nikt jednak nie wiedział, jak długo zdoła wytrzymać. W środkowej części frontu naziści utrzymywali się na zajętych pozycjach niczym drapieżcy wczepieni w ofiarę. A poniżej, już całkiem na południu, leżał Stalingrad wtulony w załom Wołgi – był to nowy cel najeźdźcy. Jeżeli miasto padnie, Niemcy rozleją się aż po Kaukaz i zajmą rozległe pola naftowe w rejonie Morza Kaspijskiego. Byłby to koniec Związku Radzieckiego, nawet gdyby wróg nie zajął Moskwy.

Drzwi otworzyły się bezgłośnie.

– Czeka na was – oznajmił kapitan.

– Za kilka minut ma przyjść mój znajomy. Możecie się nim zająć?

– Jest na liście protokolarnej? – zapytał podejrzliwie oficer.

– Nie, ale towarzysz Stalin na pewno będzie chciał się z nim spotkać.

Jewgienij zgniótł papierosa w wazonie, zabrał raportówkę i wszedł do sanktuarium „czerwonego cara”. Rzęsiste jasne światło zalewało pomieszczenie o ścianach w całości pokrytych boazerią z takiego samego znakomitej jakości dębu jak drzwi. Obszerna sala podzielona była na dwie części: w jednej stało duże biurko, a na nim maska pośmiertna Lenina zamknięta w szklanym kloszu, w drugiej długi stół, którego używano podczas narad. Na ścianach wisiały cztery obrazy. Obowiązkowe portrety Marksa i Lenina, ale także carskich marszałków Kutuzowa i Sokołowa, którzy się wstawili podczas wojen napoleońskich.

Ojczulek Narodu stał przed szeroką ścianą z okien, które oferowały rozległy widok na Moskwę.

– Ach, Jewgieniju, przychodzisz w samą porę na widowisko! – zawołał dyktator, nie odwracając się. – Podejdź tu. – Stalin z egzaltacją na twarzy obserwował gorejące niebo. – Posłuchaj śpiewu Nocnych Czarownic.

Jewgienij zbliżył się do niego i usłyszał przybierający na sile głuchy pomruk dolatujący od północy. Nagle stado wielkich srebrnych ptaków przemknęło przed nimi, siejąc złotymi refleksami. Kokpity dwudziestu dwupłatowców Polikarpow Po-2, zwanych kukuruźnikami, migotały w słońcu, lecąc nisko nad ziemią. Były tak blisko, że Jewgienij rozróżniał sylwetki pilotów. Skrzydła oscylowały wzdłuż osi głównej, jakby maszynami kierowali linoskoczkowie.

Bombowce wykonały eleganckie manewry pod moskiewskim niebem, po czym zniknęły na zachodzie.

– Zręczni piloci, Iosifie. Czemu nazywasz ich czarownicami?

– Za sterami siedzą kobiety, mój drogi – odparł Stalin, zamykając okna. – Walczą w pięćset osiemdziesiątym ósmym pułku i chciały oddać mi cześć. Są tak dzielne podczas nalotów, że wrogowie przewalili je Nocnymi Czarownicami. Uderzają, kiedy słońce znika za horyzontem. To jeszcze jeden dowód na wyższość socjalizmu. Nasi angielscy i amerykańscy przyjaciele na pewno by nie powierzyli samolotów kobietom.

Rozległo się pukanie do drzwi. Stalin warknął „Wejść!” i do gabinetu wmaszerował kapitan z dokumentami do podpisu w teczce, którą położył na biurku. Twarz władcy Związku Radzieckiego spochmurniała.

– Znów podpisywanie... Wiecznie ślęczę nad papierzyskami.

Jewgienij zerknął na teczkę – był w niej tylko jeden dokument do podpisu. Stalin szybko go przeczytał, wziął pióro, które podał mu oficer, i naskrobał swoje nazwisko w dole kartki.

– Rozkaz dwieście siedemdziesiąty... Ani kroku w tył!

– Czyli? – zapytał enkawudzista, gdy kapitan zmierzał do drzwi, które zaraz zamknął za sobą.

– Po upadku Rostowa chciałem zwiększyć dyscyplinę, bo w Armii Czerwonej doszło do rozprężenia. Wydałem serię rozporządzeń, żeby wzmocnić zapał naszych oddziałów. Powołuję na tyłach wojsk plutony, których zadaniem jest strzelać do towarzyszy, jeśli się wycofują bez rozkazu. Tę metodę pedagogiczną wymyślili Niemcy i u nich dała znakomite rezultaty.

Jewgienij obserwował wodza, zastanawiając się, jak daleko może się posunąć. Nawet jeżeli zdarzały się dezercje, rosyjscy żołnierze walczyli jak lwy z nazistowskim najeźdźcą. Ale żeby nakazywać strzelanie do rodaków... Iście diabelski pomysł, pomyślał enkawudzista, który mimo wszystko nie mógł pohamować podziwu dla tego człowieka ze stali.

Stalin wziął Berina pod rękę.

– I co, Jewgieniju? Masz dla mnie dobre wieści przed przyjazdem tego kapitalistycznego skurwysyna Churchilla?

– Tak. Przyniosłem ci raport moich analityków. Angielski premier przyjeżdża z bardzo dobrym nastawieniem. Wydaje się, że jest pod wrażeniem odwagi czerwonoarmistów w walkach z przeciwnikiem.

– A do moich zamysłów odnosi się równie entuzjastycznie?

– Szanuje cię, towarzyszu. Stanowisz wzór doborowego sojusznika. Churchill nie szczędzi ci pochwał.

Stalin wybuchnął śmiechem.

– Kłamiesz, Jewgieniju! Kłamiesz jak najpodlejszy handlarz bławatny na targu w Tbilisi! Churchill zawsze mnie miał za skrzyżowanie tyrana z rzeźnikiem. W jego osobistym panteonie mieszczę się pewnie gdzieś między diabłem a Hitlerem. Ale tak to już jest z historią, że teraz stałem się jego najwierniejszym sojusznikiem. Ten gangster będzie musiał uścisnąć mi dłoń i wypić za ojczyznę międzynarodowego socjalizmu. – Urwał na chwilę, pogładził wąsa, jakby się z góry rozkoszował tą sceną, po czym podjął głuchym głosem: – Żarty na bok. Co mówią twoi agenci w Londynie i Waszyngtonie? Chcę wiedzieć tylko jedno: czy Churchill wraz z amerykańskimi sojusznikami otworzy wreszcie drugi front na Zachodzie, jak obiecywał?

Jewgienij odkaslnął, zanim rzekł:

– Tak. Przygotowują desant wojsk na wielką skalę. Znamy nawet nazwę: operacja Torch. Odkonczyło się spotkanie szefów sztabów obydwu państw i jeden z naszych informatorów, przywódca związkowy w stoczni w New Jersey, odnotował lawinowy wzrost zamówień na łodzie desantowe.

Stalinowi twarz się rozpromieniła.

– Nareszcie! A więc wylądują na wybrzeżu francuskim. Wiadomo, czy to będzie w Normandii czy gdzie indziej?

Jewgienij odsuwał, jak długo mógł, chwilę zakończenia raportu, teraz jednak został przyparty do muru. Musiał podać kluczową informację, choćby nawet wywołał tym niszczycielski gniew.

– Nie we Francji... Wybrano Afrykę Północną. Maroko, później Algierię i Tunezję, żeby wziąć w kleszcze Afrikakorps pod dowództwem Rommla.

Uśmiech w jednej chwili znikł z twarzy wodza. Berin zastygł w oczekiwaniu na wybuch, nie doszło jednak do niego. Stalin ze zmrużonymi oczami szarpał wąż.

– Durnie – mruknął głuchym głosem. – Tchórze... Trzeba jakoś to rozwiązać.

Jewgienij odetchnął w duchu – nawet w trudnych chwilach Stalin potrafił się wykazać pragmatyzmem.

– Według moich źródeł – powiedział – Amerykanie opowiadali się za lądowaniem w Normandii, ale Churchill storpedował ten pomysł, uważając, że nie są gotowi.

Stalin walnął pięścią w biurko, aż Lenin w szklanym kloszu się zakołysał.

– Stary drań z tego Anglika! Ciągłe ma mi za złe pakt z Hitlerem z trzydziestego dziewiątego. Jakbym wtedy miał wybór... Jakie jest twoje zdanie, przyjacielu?

– Masz rację, towarzyszu, on nie trawi naszego sojuszu z nazistami. Trudno mieć mu to za złe, przecież został sam, kiedy Niemcy zajęli Francję. Poza tym jego wojska faktycznie nie są gotowe, by myśleć o desancie w Normandii. Krótkoterminowo porażka we Francji byłaby dla nas jeszcze bardziej katastrofalna w skutkach.

Stalin chodził tam i z powrotem wzdłuż okien, założywszy z tyłu dłonie zwinięte w pięści.

– Operacja Torch to dla nas za mało! Muszę zażądać rekompensaty.

Jewgienij podsunął mu kolejny dokument.

– Masz słuszność, towarzyszu. Pozwoliłem sobie przygotować listę żądań, które mógłbyś przedstawić Churchillowi.

Stalin wziął kartkę i błyskawicznie ją przeczytał. Zdawał się nabierać kolorów.

– Działa, ciężarówka, amunicja, samoloty, żywność... Jak należy twoim zdaniem zareagować, jeśli stary lis będzie chciał negocjować? Zasadniczo nie powinienem wiedzieć o tym desancie.

Tym razem zamilkł Jewgienij. Kiedy ostatnim razem Stalin zapytał jednego z generałów, jak wypada mu się zachować, wojskowy dwa dni później stanął przed plutonem egzekucyjnym. Pan na Kremlu, jak każdy paranoik, nie ufał nikomu, a już zwłaszcza tym, którzy sądzili, że mogą zająć jego miejsce.

– Nikt nie może być Stalinem zamiast Stalina – odrzekł ostrożnie Berin. – Stalin będzie wiedział, jaką przyjmą postawę.

Czerwony car obdarzył go półuśmiechem.

– Twoja odpowiedź nie jest szczerą, ale świadczy o mądrości. Co tłumaczy, dlaczego tak długo pozostajesz u mojego boku. Ile to czasu pracujesz dla mnie?

Jewgienij poczuł nieprzyjemny dreszcz wzdłuż kręgosłupa. Przetrwiał wszystkie czystki reżimu, nawet tę, która w trzydziestym ósmym roku zdziesiątkowała NKWD. Czternaście tysięcy enkawudzistów rozstrzelano łącznie z ich szefem, którego zastąpił inny rzeźnik najgorszego sortu, a on, Jewgienij, wyszedł z tego cało. Wiedział jednak, że wiatr w każdej chwili może zmienić kierunek i wszystko obrócić wniwecz jak letnia burza, która kładzie pokotem zboże gotowe do zbioru.

– W przyszłym roku będzie dwadzieścia lat...

– I zawsze tak samo lojalny i wierny. Ale też niczego innego nie oczekuję od człowieka, który był przy egzekucji krwawego cara Mikołaja. Bardzo żałuję, że nie mogłem osobiście uczestniczyć w tej wielkiej chwili rewolucji.

Jewgienij zachował kamienną twarz, iście marmurową jak posadzka w antyszambrze.

– Wiesz, co o tym myślę, Koba.

Stalin się roześmiał i objął ręką ramiona oficera.

– Tak, tak... Masakra dzieci, kobiet i służby... Ach, Jewgieniju! Sam nie wiesz, jaki jesteś sentymentalny. Gdybym nie znał twoich bojowych czynów w NKWD, przeniósłbym cię do Teatru Bolszoi, żebyś się zajmował tancerkami.

Berin położył na biurku kolejną kartkę.

– À propos Mikołaja Drugiego... Mógłbyś jeszcze czegoś zażądać od Churchilla. Przeczytaj tę notatkę.

Stalin przebiegł wzrokiem dokument, po czym zwrócił go enkawudziście. Tym razem wydawał się szczerze zdziwiony.

– Są na tropie relikwii cara... Skąd masz tę informację?

– Jak wiesz, nasza siatka informatorów w Niemczech jest ciągle aktywna. Nadal mam agenta w aparacie SS. Właśnie mnie w związku z tym zaalarmował.

Stalin patrzył na słońce znikające na zachodzie.

– Relikwia Romanowów w Anglii? Po tylu latach bezowocnych poszukiwań... Nigdy nie odpuszczasz.

– Sam wiesz, jak bardzo ta historia leży mi na sercu. Relikwia mogłaby nam bardzo pomóc. Możesz o niej pogadać z angielskim premierem?

Stalin wygiął prostą brew, co było u niego oznaką niezdecydowania.

– To chyba nie najlepszy pomysł. Czemu mielibyśmy brać na poważnie sprawę relikwii?

– Mogę ci przedstawić kogoś, kto cię oświeci w kwestii jej mocy. Czeka w antyszambrze.

Do gabinetu wszedł adiutant, strzelił obcasami i powiedział:

– Otrzymaliśmy raport z dzisiejszych działań wojskowych, towarzyszu. Wieści są złe.

Londyn

Great Russell Street

Muzeum Brytyjskie

Tristan wszystko przewidział, nie wziął tylko pod uwagę jednego: bomby, która dziesiątego maja tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku spadła na Muzeum Brytyjskie, obracając w ruinę całe jedno skrzydło i wywołując pożar w dużej części reszty gmachu. Tablica przy wejściu informowała, że mocno zniszczone muzeum jest zamknięte dla zwiedzających. Wokół budynków ochotnicy z obrony cywilnej trzymali straż przy ziejących dziurach, podczas gdy wolontariusze uprząтали gruz. Tak jednak było wszędzie, albowiem każda londyńska dzielnica ucierpiała od bombardowań przeprowadzonych przez niemieckie siły powietrzne i w całym mieście co krok był teraz plac budowy. I tym sposobem w jednej chwili zachwiało się wszystko, czego Tristan był pewny. A jeżeli relikwiarz Świętego Ciernia został uszkodzony bądź zniszczony? W takim wypadku ostatnia swastyka przepadła na zawsze.

Był wściekły. Odnosił wrażenie, że całe jego życie poszło z dymem. Tyle lat poszukiwań i porażka, gdy był tak blisko osiągnięcia celu... Oniemiały tkwił przed tablicą informacyjną, jakby czytał własny nekrolog. Przechodzący obok jeden z ochotników zagadnął go:

– Hej, proszę pana! Jeśli przyszedł pan na otwarcie po remoncie, to trzeba poczekać do końca wojny.

– Szkody są duże?

– W budynki trafili w sześciu miejscach, o pożarach nie wspominając, więc sam pan widzi! Na szczęście pracownicy ewakuowali muzeum, zanim Adolf zrzucił na nas swoje wybuchowe kartofle.

– Ewakuowali, czyli przetransportowali gdzie indziej dzieła sztuki?

– Co tylko się dało... No, ale tam było siedem milionów eksponatów, to i łatwo sobie wyobrazić, co udało się przenieść...

W Marcasie odżyła nadzieja. Przede wszystkim musiał się dowiedzieć, czy relikwiarz nadal jest tutaj. W ręce trzymał plan muzeum przeznaczony dla turystów. Sala z zabytkami średniowiecznymi mieściła się na parterze. Tristan sprawdził jej

nazwę. Galeria Króla Edwarda VII. Położona w części południowo-zachodniej kompleksu. Rozejrzał się, by ustalić, gdzie to jest w stosunku do wejścia. W kilku krokach dotarł do budynku, którego szukał. Najwyraźniej bomby go oszczędziły. Mocno uszkodzona była natomiast część łącząca go z olbrzymim holem wejściowym muzeum. Kiedy podszedł bliżej, wartujący ochotnicy z obrony cywilnej natychmiast kazali mu się cofnąć. Było ich wielu w tym sektorze i ewidentnie wszyscy nerwowi. Władze widocznie bały się kradzieży. Tristan usunął się na bok, stając naprzeciw jednej z rozbitych ścian, zza której wylaniali się wolontariusze z ciężkimi wiadrami pełnymi gruzu i wysypywali go na pakę ciężarówki.

Przyszedł kierownik, gwizdnął dwa razy i ochotnicy zeszli z placu, zapalili papierosy. Ekipy pewnie zmieniały się co trochę. Marcas podążył za grupką, która skierowała się do pubu. Dyskretnie zajrzał przez okno do środka i uśmiechnął się: nie będzie musiał wypytywać, wystarczy, że posłucha. Aby uzyskać właściwą informację, dość było zawsze dotrzeć tam, gdzie ona krążyła i podlegała wymianie. Ludzka próżność dokonywała reszty. Taktyka zawsze pozostawała ta sama: zidentyfikowanie osoby – mężczyzny lub kobiety – która czuła nieodpartą potrzebę znalezienia słuchacza. I rzadko wybór był niewielki. Rozsiadłszy się w pubie, Tristan podszedł do stołu, przy którym jeden z ochotników z kuflem w garści obwieszczał wszem wobec swoje zdanie.

– No mówię wam: końca wcale nie widać. Tyle tygodni tyramy i co?

Marcas natychmiast zidentyfikował go jako pesymistę, tego, kto wiecznie wszystko widzi w czarnych barwach i zawsze stara się przekonać słuchaczy, wywołując często powierzchowne reakcje.

– Widzieliście, ile zebraliśmy spalonych książek, z ilu gablot pozostały tylko poczerniałe szczątki? A co dzień nam powtarzają, że ewakuowali muzeum, przenieśli w bezpieczne miejsce najcenniejsze przedmioty. Gadanie! Te urzędasy to wszystko dekownicy, którzy palcem nie kiwnęli!

– Przesadzasz jak zawsze! Dobrze wiesz, że oprócz biblioteki i budynku z monetami i medalami reszta muzeum jest prawie nietknięta.

Sprzeciw tylko pobudził pesymistę. Widząc jego poczerwieniałą twarz, Tristan pomyślał, że facet musiał od samego rana dopieszczać w sobie czarne myśli.

– To czemu są skrzydła, do których nie można wchodzić? Czemu tylu gości z obrony cywilnej pilnuje wejścia do nich? Mówię wam, różne rzeczy przed nami ukrywają.

Francuz stwierdził, że dość już usłyszał. W muzeum nadal były cenne przedmioty i aby się dowiedzieć, czy relikwiarz również tam się znajduje, musiał się dostać do strzeżonych partii kompleksu. Wyszedł z pubu, kupił rybę z frytkami w rożku i zasiadł na ławce naprzeciwko muzeum. O ile budynek był dobrze strzeżony, o tyle

usuwających gruz ochotników, którzy krążyli tam i z powrotem, prawie nie pilnowano. Kierownicy grup ograniczali się do zapewnienia rotacji ekip, nigdy jednak nie sprawdzali liczby osób. Tristan zauważył, że niemal wszyscy ochotnicy noszą kombinezony robocze, które szybko pokrywał pył osiadający również na włosach. Podniósł się z ławki. Nie trzeba było wiele czasu, by znalazł handlarza starzyzną i kupił funt mąki: wymieszana z ziemią, doskonale posłużyła za imitację popiołu i drobin cementu.

Popołudnie dobiegało końca. Z biur zaczynały wypływać strumienie urzędniczek, za nimi podążali żołnierze przybyli z całego świata. Hindusi w turbanach, Australijczycy mówiący z ciężkim akcentem, kanadyjscy ochotnicy o barach drwala: całe imperium brytyjskie znajdowało się między Time Square i Westminsterem. Tristan odnosił wrażenie, że wylądował w wieży Babel, tyle obcych języków dźwięczało mu w uszach. Taka różnorodność bardzo mu odpowiadała: nikt nie zwracał na niego uwagi, podobnie jak na ubiór roboczy pokryty kurzem.

Doszedłszy w pobliże muzeum, zerknął na zegarek. Kolejna zmiana ekip miała nastąpić za trzy minuty. Podeszedł bliżej pubu. Wychodziła z niego grupa wolontariuszy. Zauważył w niej mężczyznę trochę starszego od reszty, w ubrudzonej kurtce wojskowej oznaczonej polską flagą. Z pewnością uchodźca. Wydawał się wyczerpany. Marcjas przybliżył się do niego. Do wejścia do muzeum prowadziły długie schody. Polak na pewno będzie miał problem, aby je pokonać. Tristan mu pomoże. W razie kontroli będzie to dobra przepustka.

Nikt jednak o nic nie pytał. Bez problemu wszedł do muzealnego holu. Stropił go zupełny brak kontroli – albo wynikało to z niedoskonałości podjętych środków bezpieczeństwa tak oczywistych, że nikt tego nie zauważał, albo – i to było bardziej prawdopodobne – w partiach kompleksu, w których pracowali ochotnicy, nie było już żadnych cennych zabytków. Za to w części południowo-zachodniej, której strzegła obrona cywilna, musiały być nadal dzieła sztuki i zasadniczo właśnie tam powinien być się znajdować relikwiarz Świętego Ciernia.

Pod gigantyczną szklaną kopułą, częściowo zdmuchniętą wybuchami bomb, poszczególne ekipy miały wyznaczone konkretne prace. Dotąd Marcjas widział tylko grupy uprzątające gruz, w środku natomiast przydzielano zadania w sposób bardziej zorganizowany. Murarze już naprawiali uszkodzone mury, spawacze wspinali się po rusztowaniach aż na szczyt kopuły, aby zrekonstruować naruszone części metalowe.

– Wy idziecie na piętro – polecił jeden z kierujących robotami. – Trzeba dokończyć odgruzowanie galerii etnograficznej. W przyszłym tygodniu dekarze położą nowy dach.

Grupa Tristana pomaszerowała do schodów. W powietrzu wciąż unosił się nieokreślony smród, który drażnił gardło. Kiedy Marcas się rozkaszał, człowiek pracujący obok wyjaśnił:

– W sali z kopułą była biblioteka. Kiedy spadły na nią bomby, dwieście pięćdziesiąt tysięcy tomów poszło z dymem. Efekt: ściany są pokryte drobinami popiołu i powietrze jest mocno zanieczyszczone.

Zdziwiony Francuz wskazał wejścia do sal w głębi zabite deskami.

– Zabezpieczenie przed intruzami. Tam wszystko się zawaliło. Nie ma dojścia do galerii średniowiecznej. Za duże zagrożenie.

Tristan przyjął tę informację jakby nigdy nic. Dotarli do pierwszego piętra i szli teraz długimi, pustymi salami. Podłogi usiane były szkłem z rozbitych gablet. Widocznie ewakuacja odbyła się w pośpiechu. Odłączywszy się od grupy, Marcas rozglądał się po opuszczonych pomieszczeniach. Nad jednymi drzwiami malowidło przedstawiające Izydę wypowiedziało mu, że znajduje się w salach, które przed przeniesieniem zawierały zbiory egipskie. Nie było tu jednak mumii spowitych pasami lnu ani posążków skrybów.

– Hej, ty! Nie masz tu czego szukać! Wracaj do swojej grupy.

Tristan już miał wyjść na korytarz, gdy naraz w głębi ostatniej sali ujrzał coś absolutnie zaskakującego: porzuconą wannę. Na chwilę dołączył do swojej grupy, po czym wrócił tam, skąd go wyproszono. Wtedy zrozumiał swój błąd. Na środku sali stał wysoki szary zbiornik o ściankach pokrytych hieroglifami. Był to sarkofag. Kamienny pojemnik, w którym składano drewniane trumny ozdobione podobiznami zmarłego. Podszedł do niego. Niewątpliwie ciężar eksponatu uniemożliwił przeniesienie go gdzie indziej. Płyta pełniąca funkcję pokrywy była uchylona. Popchnął ją trochę więcej. W szparę wsunął dłoń, potem drugą. Kamienne wnętrze było zimne jak sama śmierć.

Przeszedł go dreszcz – dreszcz radości.

Już wiedział, jak zniknąć w muzeum.

Moskwa

Kreml

Dwie godziny! Tyle trwała narada, na której Stalin i Jewgienij zapoznali się z coraz bardziej katastroficznymi wieściami z frontu. W czerwonym carze wzbudziły one wyjątkową agresję. Już dawno się ściemniło. Berin, siedzący naprzeciwko pana na Kremlu, nie mógł dojrzeć wyrazu twarzy Stalina zajmującego miejsce za biurkiem. Zapadła długa cisza, enkawudzista bowiem nie śmiał się odezwać. Wiedział, że wódz w najwyższym stopniu nienawidzi gości przybywających w ostatniej chwili. Żyjąc z obsesją spisków, w większości wydumanych, Stalin pielęgnował swoją paranoję niczym ogrodnik wiosenne róże. Sumiennie.

– Jewgieniju – burkliwie rzekł pan na Kremlu – nie wydaje mi się, żebym w terminarzu widział nowego gościa umówionego na dzisiejszy wieczór.

– Pozwoliłem sobie go tu ściągnąć, żeby rzucił nowe światło na naturę relikwii.

Stalin naciągnął palce, aż strzeliło w stawach.

– Czytałem twój raport z zeszłego miesiąca, w którym napisałeś, że Hitler i Churchill wysłali ludzi, aby je odszukali. I o nieudanej operacji w Wenecji. Skąd masz te informacje?

– Już ci mówiłem: od jednego z naszych sympatyków¹⁷, który na mój rozkaz wstąpił do SS i robi karierę w jednym z kręgów otaczających Himmlera.

– Ach, bracie... relikwia... twoja obsesja! Opowiadasz mi o niej już ponad dwadzieścia lat, od tamtej chwalebnej nocy w domu Ipatjewa, w którym życie postradał despota Mikołaj. Zauważ, że latami pozwalałem ci na te poszukiwania, dopóki wypełniałeś jak należy swoje zadanie w NKWD.

– I nigdy nie zawiodłem.

– Wiem. Gdyby było inaczej, nie byłbyś tu ze mną, ale na cmentarzu w rodzinnym Nowosybirsku. Jako stały rezydent.

Stalin podkreślił tę uwagę urywanym śmiechem. Berin wzruszył ramionami.

– Koba, przetrwałem wszystkie twoje czystki w ciągu ostatnich dwudziestu lat. Zaczynam wierzyć, że darzysz mnie niejaką przyjaźnią.

– Ciekawe – rzekł dyktator, wstając. – Wydaje się, że jako jeden z nielicznych wcale się mnie nie boisz. Twój przełożony Beria mięknie jak papież na widok dupy

wieśniaczki, ledwie podniosę brwi. A ty jesteś zadziwiająco spokojny.

– To dlatego, że darzę cię ufnością, którą nic nie zachwieje. Wierzę w twój sprawiedliwy osąd.

– Sprytny jesteś, Jewgieniju, ale nie miej mnie za głupca, kadząc mi tak mocno. A wracając do tej historii z relikwiami... Jak wiesz, nie cierpię obskurantyzmu. Epizod seminaryjny wyleczył mnie ze wszystkich tych idiotycznych wierzeń. Wierzę tylko w świętego Marksa, w czarodziejkę elektryczność i w czołg T-3418. To moja święta trójca.

Jewgienij nic na to nie powiedział. Wódz kłamał. Berin od dawna wiedział, że Stalin korzysta z usług uznanej wróżki i kontaktuje się z medium. Odkąd Niemcy najechały Związek Radziecki, a także w okresach zwątpienia i zmęczenia, które zdarzały mu się coraz częściej, zanim podjął ważną decyzję, zapraszał obydwie te osoby do swojej dachy w Kuncewie na przedmieściach Moskwy. Po każdym spotkaniu medium przybiegało do Berina, aby na żywo zdać mu raport w jakimś dyskretnym miejscu, z dala od biur NKWD.

Ostatnie spotkanie okazało się mocno pouczające. Stalin kazał przywołać ducha, by wypytać go na temat historii relikwii nieżyjącego cara i możliwości odnalezienia jej. Medium zapadło w głęboki trans, z którego obudziło się wstrząśnięte i z mocnymi argumentami w garści. Jewgienij wcześniej już odpowiednio je pouczył.

W swoim kremlowskim gabinecie Stalin zapalił fajkę. Jak zawsze model Dunhilla. Jego jedyne ustępstwo wobec pokus kapitalizmu.

– Nie będę łykał tego bajdurzenia tylko dlatego, że Himmler i Churchill wierzą w relikwie.

– Gdyby tak było, wyrzuciłbyś raport do kosza. – Jewgienij się uśmiechnął. – Słyszysz z nienasyconej ciekawości. Znam cię, myślisz sobie, że w tej historii może i jest ziarno prawdy i że szkoda by było przejść obok tego, nie reagując. Dlatego musisz wysłuchać człowieka, który czeka w antyszambrze. Nazywa się Dmitrij Radenko. Profesor Radenko. Nic ci to nazwisko nie mówi?

Stalin nie odpowiedział. Wzrokiem błądził po masce pośmiertnej Lenina, jakby w milczeniu pytał ją o zdanie. Berin wiedział, że jego umysł pracuje na najwyższych obrotach i że Wódz znajdzie odpowiedź. Czerwony car miał niesamowitą pamięć – tydzień wcześniej upokorzył sędziego trybunału rewolucyjnego, wyliczając nazwiska czterdziestu ostatnich rozstrzelanych za działalność kontrrewolucyjną w czasie czystki w tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym roku.

– Hm... – mruknął dyktator. – Zdaje się, że ma wspaniałą żonę, tak? Apetyczną blondynkę, aktorkę, która zagrała w Aleksandrze Newskim...

Jewgienij się uśmiechnął. Pozwolił, by Stalin rozwinął ciąg swoich myśli.

– Przypuszczam jednak, że nie przyszedł tu z uroczą małżonką – podjął wódz. – Radenko pracuje dla ciebie w NKWD, kieruje wydziałem specjalizującym się w truciznach, tak?

– Wolę go nazywać „wydział trzydziesty pierwszy”. Profesor dopracowuje arsenał chemiczny i biologiczny, w który wyposażymy nasze wojska. Po drodze wynalazł też narkotyki bardzo przydatne, gdy trzeba się pozbyć pojedynczych wrogów.

– Beria mi mówił, że zajmuje się też badaniami nad transmisją myśli i nad różnymi innymi bardzo nieortodoksyjnymi kwestiami. Znaczący nieortodoksyjnymi z marksistowskiego punktu widzenia.

– Przeciwnie, Iosifie! Tu chodzi o naukę, a dokładnie o postrzeganie pozazmysłowe. Wyniki są więcej niż obiecujące. Profesor Radenko to materialista w każdym calu, dlatego jest zdania, że magia i rzeczy nadprzyrodzone to fenomeny, które nauka powinna zbadać, żeby je odmitologizować.

Stalin skrzyżował ręce z przodu i oparł się o ścianę koło okna.

– Dwa lata temu towarzysz Beria sugerował, żebym zatrudnił telepatów, by wysondować mózg Hitlera. Wyśmiałem go wtedy... W jaki sposób Radenko jest powiązany z relikwiami?

– Wolę, żeby sam ci powiedział, jeśli się zgodzisz.

Stalin kiwnął głową. Jewgienij otworzył drzwi antyszambru i skinął na siedzącego na kanapie niewysokiego człowieka o skórze równie pomarszczonej, jak wytarty był jego garnitur.

Profesor Radenko, brunet o zamkniętej dziobatej twarzy, w okularach w drewnianej oprawce, wszedł do gabinetu niepewnym żółwym krokiem. Berin nieustannie się zastanawiał, jak taki brzydka zdołał oczarować kobietę tak piękną jak jego żona.

Naukowiec skłonił się z szacunkiem przed Stalinem, który w zamian obrzucił go lodowatym spojrzeniem.

– Naczelnicy truciciel NKWD! Cóż za zaszczyt! – powiedział dyktator. – Zamieniam się w słuch. Na co najmniej dziesięć minut. Podobno masz dla mnie jakieś rewelacje.

– Potrzebowałbym przynajmniej godziny, żeby wam wszystko wyjaśnić, towarzyszu. Ja...

– Dosyć – przerwał mu Stalin, nalewając wódki do bursztynowego kieliszka. – Już straciłeś cenne sekundy. Golnij sobie pysznej gorzałki. Jednym haustem, towarzyszu.

Jewgienij posłał naukowcowi uspokajające spojrzenie. Drobnej postury profesor wychylił kieliszek i się wyprostował.

– Wszystko się zaczęło w maju tysiąc dziewięćset dwudziestego trzeciego roku. NKWD wysłało do Tybetu wyprawę badawczą, żeby przypieczętować sojusz z lokalnymi władzami. Chodziło o utworzenie przyczółka, który pozwalałby

propagować idee rewolucyjne w Indiach należących do imperium brytyjskiego. Zwrócono się z tym do mnie, bo rok wcześniej już poprowadziłem wyprawę z przyjacielem malarzem i odkrywcą. Ale nasza misja poniosła porażkę: lamowie zamknęli nas w więzieniu. Dla nich reprezentowaliśmy diabła, jednego z diabłów, bo w ich panteonie nie brakuje demonów wszelkiej maści.

– Pamiętam tę historię – rzekł Stalin. – Inicjator tego mętnego planu został rozstrzelany za brak kompetencji.

– Siedziałem w zamknięciu blisko rok – ciągnął Radenko, nie odnosząc się nijak do tej uwagi. – Byłem raczej dobrze traktowany i wkrótce, kiedy się zorientowali, że nie stanowią zagrożenia, pozwolili mi poruszać się swobodnie. Niedługo potem udostępnili mi też swoje biblioteki. Przez wiele miesięcy pewien mnich tłumacz pomagał mi zrozumieć ich cywilizację, zwyczaje, głównie za pośrednictwem ich świętych ksiąg.

Stalin westchnął donośnie.

– Ta opowieść mnie nudzi, towarzyszu. Wolałbym posłuchać twojej żony, jak mi deklamuje wiersze Majakowskiego.

– Odrobinę cierpliwości, Koba, pozwól mu skończyć – szepnął Jewgienij.

Profesor wyjął zwój pergaminu, który rozłożył na biurku. Pokrywał go skreślony drobnym, ciasnym pismem tekst w kolumnach rozdzielonych ilustracjami, które przedstawiały smoki i potwory.

– Z Tybetu przywiozłem ten manuskrypt. Opowiada o legendarnym mieście wzniesionym tysiące lat temu na granicy Himalajów. Nosiło nazwę Szambala albo Agartha. Jego budowniczowie należeli do cywilizacji, która przetrwała globalny kataklizm. Potop spowodowany nierozważnym użyciem tajemniczej, przerażającej siły kundalini.

– Świetne! – Stalin zaśmiał się urągliwie. – Akurat bardzo by mi się przydała tego typu broń, żeby rozprawić się z Hitlerem. Nie przywiozłeś aby z sobą trochę tej kundalini, towarzyszu?

– Nie... Chodzi o to... – wyszeptał przestraszony naukowiec.

– Mówcie dalej, Radenko. Wódz żartuje.

– Według tradycji kundalini to cudowna energia obecna we wszystkim na świecie, w skałach, roślinności i istotach żywych. Kundali to pierwotne źródło kundalini, energii, która według adeptów jogi przepływa przez nasz rdzeń kręgowy. Jest źródłem życia i zniszczenia. I według tego manuskryptu uratowani z Szambali wykuli cztery relikwie w kształcie swastyk, aby w każdej zawrzeć część tej powszechnej siły.

Stalin nachylił się nad tekstem i położył palec na rysunku przedstawiającym olbrzyma o szmaragdowym ciele. Postać miała cztery twarze i czworo ramion. Oczy

jarzyły mu się rubinowo. Końce rąk miał odcięte, a na ich miejscu znajdowały się luzem płonące swastyki.

– A to co? – warknął Stalin. – Jakiś pieprzony starożytny nazista?

– Ta postać przedstawia króla boga Kundalego, dawcę siły kosmicznej, władzy i nieśmiertelności. Proszę zwrócić uwagę na cztery swastyki wychodzące z ramion bóstwa: symbolizują rozproszenie relikwii. Tłumacz mi wyjaśnił, że według legendy jedna z nich jest ukryta gdzieś w tybetańskiej jaskini, ale pozostałe trzy przeniesiono w nieznane miejsca. Rok później zostałem uwolniony. W tym czasie nauczono mnie też sztuki sporządzania tybetańskich trucizn i leków. Dzięki towarzyszowi Berinowi tę wiedzę oddałem w służbę rewolucji.

– Jak się poznaliście?

– Spotkałem profesora Radenkę w Moskwie na jednym z jego wykładów na temat Tybetu. Kiedy przedstawił legendę o relikwiach, od razu skojarzyłem ją z legendą cara Mikołaja. Zatrudniłem profesora jako dyrektora programów chemicznych i bakteriologicznych. W wolnym czasie gromadzi wszelkie informacje o relikwiach.

Wzrok Stalina stwardniał.

– O tych poszukiwaniach nigdy nic mi nie mówiłeś, Jewgieniju... No dobra... A Hitler i Churchill jak się o tym dowiedzieli?

– Nie mamy pojęcia – odparł Berin. – Za to w trzydziestym dziewiątym roku wyprawa do Tybetu zorganizowana przez SS zakończyła się odzyskaniem jednej relikwii. Wiemy też, że Anglicy posłali swoich ludzi na południe Francji i do Wenecji po kolejne dwie swastyki.

Stalin znowu zapatrzył się w białą maskę Lenina, po czym na powrót skierował uwagę na małego profesora.

– Ciekawe, ale dotąd nie usłyszałem przekonujących informacji o mocy tych cacek. Na razie mówiłeś nie jak naukowiec, ale jak babcia, która za dużo się naczytała wschodnich baśni.

Twarz Radenki spurpurowiała. Wstał i oparł pięści na blacie.

– Te relikwie nie mają w sobie nic magicznego – oznajmił. – Jestem dogłębnie przekonany, i nie ja jeden, że w dawnych czasach istniała cudownie rozwinięta cywilizacja. Cywilizacja, która władała bardzo zaawansowanymi technologiami nie za sprawą czarów czy magii, ale dzięki nauce na bardzo wysokim poziomie. Cywilizacja ta nie znała podziałów klasowych ani pieniądza, każdy w niej pracował dla dobra wspólnoty. Nie było wojen, morderstw ani kradzieży. Najwyższy przewodnik, którego autorytet wszyscy uznawali, czuwał nad losami i szczęściem swojego ludu.

Twarz Stalina pojaśniała.

– No słowo dam, opisujesz mi tu nasze wspaniałe społeczeństwo socjalistyczne. Byłbym je doprowadził do właściwego etapu, gdyby wojna nie pokrzyżowała mi planów.

Przerażony Jewgienij utkwiał wzrok w wodzu. Kłamstwo było piramidalne. Ale przy takich właśnie okazjach Koba był najbardziej przekonujący.

Profesor wypiął pierś.

– Tak, towarzyszu, społeczeństwo marksistowsko-leninowskie sprzed kilkudziesięciu tysięcy lat. Istniało przed Rzymem, przed Egiptem, przed Sumerem! Dlatego tak ważne jest odnalezienie pozostałości po tej kulturze, będzie bowiem można unaocznic światu, że socjalizm rewolucyjny mieści się w naturalnym porządku historii. Gdyby jednak udało nam się zdobyć jedną z relikwii z Agarthi, gdybyśmy mogli zbadać jej technologię, wyprzedzilibyśmy wszystkie narody świata. I to by było najważniejsze. Ku wielkiej radości klasy pracującej i jej najwyższego wodza.

Stalin odłożył fajkę i wolno zaklaskał kilka razy, po czym utkwiał spojrzenie w oczach profesora.

– Spijam twoje słowa jak miód, Radenko. Ale chciałbym mieć pewność co do twojej szczerości. Widzisz, wódka, którą cię poczęstowałem, zawierała jedną z twoich trucizn, którą dostarczył mi towarzysz Beria. Antidotum mam pod ręką. Powiedziałeś całą prawdę?

Profesor zbladł. Wlepił wzrok w kieliszek. Jewgienij chciał coś wtrącić, lecz Stalin powstrzymał go ruchem dłoni.

– Powinieneś uważać się za szczęściarza, Jewgieniju, że ciebie też nie poczęstowałem tym samym. Nie lubię, jak ukrywasz przede mną niektóre elementy swojej działalności.

– Wiedziałem, że będziesz zdecydowanie sceptyczny, dlatego nie chciałem marnować twojego czasu.

– To sam osądzam. No więc, profesorze?

– Przysięgam, że to szczerą prawdą! Na głowę mojej żony i dwóch synów.

Stalin obserwował Radenkę, który wił się w miejscu przez dwie niekończące się minuty.

– Litości...

– Koba! On zawsze był lojalny!

Czerwony car oderwał wreszcie wzrok od profesora.

– Zintensyfikujecie badania nad swastyką cara. Osobiście będę przy tym pracował...

– Wziął do ręki wódkę i wprost z butelki pociągnął długi łyk. – Czysta rozkosz! – Wybuchnął gromkim śmiechem na widok ulgi na stropionej twarzy profesora. – Zastanawiam się, czyby nie wywinąć takiego numeru Churchillowi.

Londyn
Great Russell Street
Muzeum Brytyjskie

Zapadła ciemność. Leżący w sarkofagu Tristan nasłuchiwał dźwięków dokoła. Każde muzeum, zwłaszcza nocą, wie dzie własne życie. Zaludniają je zjawy stworzone przez wyobraźnię. Marcas nie mógł się opędzić od myśli, kogo przed tysiącami lat pochowano w grobowcu, który teraz on zajmował. Wyobrażał sobie cierpliwe ruchy rzemieślnika, który wyrył hieroglify na ściankach, balsamistów, którzy przygotowali ciało, zanim umieszczono je na wieczność w kamiennej trumnie... Ponieważ sarkofag był wąski, Francuz złożył ręce na piersi niczym starożytna mumia egipska. Co by było, gdyby gorliwy strażnik zajrzał nagle do niego? Ani chybi padłby jak długi albo uciekł z wrzaskiem.

Tristana, który od kilku godzin cierpliwie czekał w kamiennej trumnie, dziwiło, że ani razu nie słyszał obchodu. Muzeum wydawało się zupełnie puste. Widocznie nikomu nie przyszło do głowy, że ktoś mógłby się w nim zamknąć, a jeśli nawet, to hipoteza ta została zwyczajnie wyśmiana. Często luka w rozumowaniu, która pozwala rozwiązać problem, znajduje się tam, gdzie sprawa dla kogo innego jest oczywista. O ile jednak Marcasowi udało się dostać do środka, najtrudniejsze wciąż miał przed sobą. Ta część muzeum, do której miał się udać – galeria średniowieczna – wydawała się niedostępna: łącznik był zniszczony i nawet jeśli zdoła się do niego przedostać, przyjdzie mu posuwać się naprzód pod resztkami konstrukcji grożącymi w każdej chwili zawaleniem i pogrzebaniem go pod tonami gruzu. Nie wiedział nawet, czy podłoga wytrzyma. O ile się orientował, całość aż do piwnic była rumowiskiem. Po raz kolejny wstrzymał oddech, by lepiej słyszeć. Liczył, że stara podłoga zaskrzypi pod nogami strażnika, gdyby przyszedł. Skupiał się, lecz nie dochodził do niego żaden dźwięk.

Interesowała go teraz odpowiedź na pytanie, kiedy będzie mógł wyjść z kryjówki. Czy już wystarczająco długo nasłuchiwał kroków obchodu? A jeśli strażnicy robili go o późniejszej godzinie? A jeżeli w pobliżu był strażnik, lecz stał w miejscu? A jeżeli... Tristan przywykł do takiej gonitwy myśli – był to język strachu. Znajdując się w odległości być może kilkunastu metrów od ostatniej swastyki, musiał wytrzymać

nagły wzrost ciśnienia i zadbać, aby z tego powodu nie popełnić błędów fatalnych w skutkach.

Nie mógł dłużej leżeć w tej pozycji, i tak już zupełnie ścierpł. Ostrożnie wysunął się na zewnątrz. Staął, przeciągnął się i bezgłośnie stawiając nogi, ruszył w kierunku rzędu okien wychodzących na ulicę. Wyrzął dyskretnie. Strażnicy wciąż tam byli, lecz z ich strony nie spodziewał się problemów. Nie obchodziło ich wnętrze muzeum. Niektórzy grali w karty, inni już spali. Tristan czuł się jak nastolatek szczęśliwy, że udało mu się uciec spod nadzoru dorosłych. Dodawało mu to wigoru, jasności myśli, której mu brakowało, odkąd wrócił z Wenecji. Był sam i wolny w samym sercu jednego z największych muzeów na świecie. Aż chciało mu się tańczyć. W jednej chwili zniknęły wszystkie dotychczasowe wątpliwości. Wielka gra mogła się zacząć.

Przeszedł przez kolejne sale egipskie aż do schodów. Sfatygowany parkiet zdawał się pochłaniać jego kroki. Nadal panowała kompletna cisza, tylko na zewnątrz wiatr kołysał prowizorycznym oświetleniem zamontowanym wzdłuż ściany frontowej. Dzięki niemu zresztą Tristan mógł się posuwać bezgłośnie. Dotarł do podestu. Dalej schody znów opadały na dół do głównego holu. Jeżeli gdzieś w środku jest choćby jeden strażnik, będzie właśnie tutaj. Marcas przycupnął przy balustradzie, po czym powolutku zaczął schodzić stopień po stopniu. Powoli wyłaniał się przed nim hol. Tristan przystanął. Na lewo od niego środek szerokich schodów przykrywał czerwony chodnik przytrzymywany na każdym stopniu złożonym długim prętem. Marcas przesunął się bliżej i odkręcił śrubę mocującą pręt. Hol, w którym przed bombardowaniem mieściła się biblioteka, wyglądał jak plac budowy: sterty metalowych części, worki cementu, taczki pełne piasku... Francuz wypatrzył puszkę farby. Wycelował i rzucił śrubę, która trafiła w metal, po czym spadła na rusztowanie i kilkakrotnie odbiła się od ziemi. Skulony w cieniu czekał.

Kiedy echa dźwięków ucichły, w holu nadal nikt się nie pojawił. Tristan był sam. Czym prędzej zbiegł na dół, znalazł lewar i młotek i pospieszył do zabitych drzwi, które broniły dostępu do galerii średniowiecznej. Deski zamocowano w pośpiechu, toteż bez większego problemu oderwał je lewarem, a uderzenie młotkiem dopełniło dzieła. Stał wtedy w obliczu nieopisanego chaosu, zagrożenie czaiło się wszędzie: od góry, gdzie zwisały potrzaskane belki, i od dołu, gdzie ziały wielkie leje. W jednej chwili zrozumiał, czemu tego sektora nikt nie pilnuje: był nie do przebycia. Nawet gdyby przemykał przez to rumowisko, natrafiłby albo na niestabilną ścianę gruzu, albo na naruszone podłoże. Właściwie do wyboru miałyby bądź wpaść do ciemnego leja, bądź dokonać żywota przysypany zgliszczami.

A od galerii średniowiecznej dzieliło go raptem kilkadziesiąt metrów. Mimo mroku widział wejście do niej, lecz zaraz za nim ział lej po bombie. W miarę jak wzrok coraz

lepiej przywykał do ciemności, Tristan dostrzegał kolejne szczegóły. Zrujnowany strop tworzył jakby gęszcz masztów statku rozbitego przez sztorm. Przyjrząwszy się dokładniej, spostrzegł, że większość połamanych belek wspiera się o siebie w górze. Gdyby udało mu się wspiąć na którąś, może zdołałby przejść po nich jak po gałęziach korony drzewa.

Wrócił do holu. Na próżno szukał metalowych klamer – w końcu natrafił na sznury, a przetrząsając stertę narzędzi, znalazł dwie siekiery. Trudno, będzie musiał sobie poradzić z tym, co ma.

Kiedy ruszał z powrotem ku galerii średniowiecznej, na ziemię padło światło i Marcas przywarł do rusztowania. Mocno ująwszy siekiere w dłoń, czekał. Źródło światła było w okolicy wejścia do muzeum. Rytmicznie kołysało się na podłodze. Tristan pojął, że ktoś idzie z lampą w ręce. Nie słyszał jednak żadnych kroków. Nagle światło zgasło. Marcas odważył się zerknąć w stronę wejścia. Ciężkie przeszklone drzwi prowadzące na zewnątrz były zamknięte. Kiedy Tristan się od nich odwracał, strumień światła pojawił się kilka metrów dalej, ale tym razem lekko przyćmiony, jakby przenikał przez tkaninę. Tristan znów się schował za metalowymi rurami rusztowania. Jeśli ktoś szedł przez hol, była szansa, że go nie dostrzeże.

Nagle pojaśniało okno po lewej.

Jedyne niezastłonięte storą.

Marcas się wściekł: nie zauważył tego! Po drugiej stronie musiał być patrol, który robił obchód muzeum. Światło znikło i refleks znowu pokazał się na podłodze, znacząc kroki strażników przed każdym oknem.

Tristan pozbierał sznur i siekiery, przeszedł przez byłą bibliotekę i znalazł się przed zrujnowanym łącznikiem, który musiał pokonać. Jedna belka sterczała w górę, a ponieważ stykała się z innymi, próbował ucześcić do niej sznur, lecz na darmo. Rzucanie lassa nie przyda się więc w pokonaniu rumowiska, które zamykało drogę. Mrok utrudniał wszelkie czynności, mimo to Marcas wypatrzył belkę grubszą niż inne, spoczywającą ukośnie na stercie gruzu. Podeszedł do jej podstawy: belka była wystarczająco szeroka, by wspiąć się po niej, opierając stopę za stopą, nie było natomiast czego się przytrzymać. Wziął do ręki siekiere i wbił ją jak najwyżej, przytrzymał się trzonka, podciągnął, opierając nogi na belce, i znów jak najwyżej wbił drugą siekiere. W ciągu kilku minut doszedł do szczytu i zeskoczył z belki. Odnosił wrażenie, że jest na wyspie pośród morza, z którego wyłaniają się pozostałości murów sterczących jak kikuty. Szczęśliwie mur od ulicy trzymał się jakoś i chronił go przed wścibskimi spojrzzeniami.

Wejście do galerii, nad którym Tristan górował, znajdowało się już w odległości kilku metrów. Drzwi wyważone siłą wybuchu zwisały nad dziurą w ziemi, trzymając

się resztki ściany na jednym zawiasie. Jeśli Marcas chciał wejść do galerii, nie miał teraz wyboru: musiał te drzwi wykorzystać jako trampolinę. Odłożył sznur i siekiery i wziął rozpęd. Kiedy się odbił, drzwi runęły, Tristan jednak zdążył się uchwycić brzegu leja po drugiej stronie i podciągnąć na łokcie. Mimo rąk pokaleczonych odłamkami kamieni zdołał się wywindować na twardy grunt, tak że tylko nogi zwisały mu w próżni. Brakowało mu tchu, był poraniony po pachy, ale żył. Odczołgał się kawałek wśród gruzu i stanął na nogach.

Galeria średniowieczna w ogóle nie ucierpiała. Żadnej gabloty nie opróżniono. Wyjął z kieszeni anielski klucz i skręcił w lewo, ku Sali Waddesdon.

Relikwiarz był na miejscu.

Dotąd Tristan widział go jedynie na czarno-białym zdjęciu. Teraz aż go zatkało na widok takiego piękna. Wokół wgłębienia, w którym spoczywał cień z korony Jezusa, mnóstwo połączonych postaci ozdobionych kamieniami szlachetnymi miotało się w mękach końca świata i sądu ostatecznego. Tristana przeszedł dreszcz. Musiał odszukać zamek i wsunąć w niego klucz Jamesa Hadlera. Starannie oglądał każdą scenkę, aż w końcu w tylnej ścianie odkrył dwoje rzeźbionych drzwi, które zdawały się zamykać wgłębienie. Po lewej widniała szpara. Marcas wsunął w nią anielski klucz, który jednak się nie obrócił. Widocznie należało go włożyć właściwą stroną, tak by wklęsłości wyryte na kluczu dopasowały się do mechanizmu otwierającego. Ciche szczęknięcie uświadomiło mu, że się udało. Zastygł, wahał się, czy zajrzeć do skrytki. Nagle wydumany szaleństwem wydał mu się cały zestaw znaków i odkryć, które przywiodły go od mieszkania przy rue Varenne do domu przy Gordon Square, od dawnych kamieniołomów w Paryżu do Muzeum Brytyjskiego w Londynie. A jeżeli od początku się mylił? Jeżeli to wszystko było tylko wytworem wyobraźni?

Istniał tylko jeden sposób, aby się o tym przekonać.

Sięgnąć do skrytki.

Dłużej się nie wahał.

Palcami wyczuł szczególny kształt swastyki.

Wydobył ją ostrożnie. Była mniejsza od relikwii z Tybetu i z Montségur, lecz Tristan wiedział, że moc żadnej nie zależy od wielkości. Wsunął ją pod koszulę.

Na chwilę zawróciło mu się w głowie. Ile ludów ją czciło? Ilu ludzi przed nim jej pożałowało? A teraz czuł ją na swojej skórze – ostatnią swastykę, tę, która wszystko mogła zmienić.

Stało się wtedy coś dziwnego. Zawrót głowy się nasilił. Wokół wszystko pociemniało. Z piersi, z miejsca, gdzie dotykała jej swastyka, rozeszła się fala gorąca i rozprzestrzeniła na całe ciało. Jak korzenie rośliny, które w błyskawicznym tempie rozrastają się w żyznej, wilgotnej ziemi. Energia – bo tym właśnie to było – nasyciła

jego krew i mięśnie. Zachwiał się i przytrzymał relikwiarza, aby nie upaść. Wzrok mu się zamglił. Mózg przechodził w stan ciekły, błyski jasności rozdzierały na strzępy jego świadomość. Czuł, że odchodzi. Ciało już nie należało do niego. Zachwiał się, niezdolny znieść takie cierpienie.

– Nie... Nie teraz...

Nogi się pod nim ugięły i osunął się na ziemię. Już nie był w muzeum. Napływały obrazy.

Stromy brzeg morski smagany wiatrem. Linia czarnego horyzontu odcinającego się od jaskrawoniebieskiego nieba. Głuchy pomruk fali przybojowej w oddali. Wszystko wydawało się takie realne. Obrócił głowę. Wszędzie wokół niego wznosiły się sterczące skały, powyginane, ostre, wrogie niczym armia kamiennych barbarzyńców. Jak lunatyk szedł tym opuszczonym przez wszystkich pustkowiem.

Śnił. Na jawie.

Nagle wysoki, ciemny posąg przesłonił mu pole widzenia.

Kobieta. Kamienna kobieta. Ręce miała wyciągnięte przed siebie, w dłoniach trzymała otwartą szkatułkę.

Podszedł bliżej, aby przyjrzeć się jej twarzy, która wydawała mu się znajoma. Serce skoczyło mu w piersi. Erika. Błagała go z niemym przerażeniem w oczach.

Naraz pokruszyły się ręce posągu, szkatułka spadła na ziemię i ukazała się swastyka. Wiatr dmuchnął gwałtownie. Tristan z trudem potrafił ustać. Kamienna bogini zachwiała się do tyłu. Chciał ją złapać, lecz wszystko wokół poczerniało. Tristan stracił przytomność, gdy Erika spadła z wysokiego klifu.

Londyn

Paradise's Garden

Moira nie cierpiała Anglików, niemniej doceniała pewne dobrodziejstwa ich cywilizacji. Na pierwszym miejscu figurowały babeczki przekładane gęstą śmietaną, cornish clotted cream, najlepiej z Kornwalii. Dalej czarna herbata assamska o wyraźnej goryczce, pochodząca wyłącznie z północno-wschodnich Indii. Kiedy Crowley zatelefonował, aby pilnie umówić się z nią na spotkanie w Paradise's Garden, niewielkiej herbaciarni otwartej do późna i położonej dwa kwartały od jej mieszkania, Szkarłatna Czarodziejka ani chwili się nie wahała. Mag pewnie miał nowe dokumenty, za wszelką cenę jednak chciał uniknąć wchodzenia do burdelu pilnowanego jego zdaniem przez służby wywiadowcze.

Kiedy weszła do herbaciarni, od razu wypatrzyła Crowleya siedzącego przy stoliku w głębi, obok kasy. Wnętrze lokalu było skromnie udekorowane: ściany pomalowane na lekko wyblakły wrzosowy kolor, obrazy przedstawiające stylizowane kwiaty herbaciane i nieodłączny portret króla Jerzego VI. W niedużej witrynie przy kasie wystawiono słodczyce oferowane tego dnia. Moira z zadowoleniem odnotowała, że są również babeczki gotowe do jedzenia. Paradise był prawie pusty, w środku znajdowała się tylko jedna para zapatrzona w siebie i rozmawiająca po cichu. Moira złożyła zamówienie pracownicy przy kontuarze i usiadła naprzeciwko Crowleya.

– Mam nadzieję – zagaiła – że masz świeże dokumenty, dla których warto było się ruszyć.

– O tak... Zauważ, że wybrałem lokal zgodny z twoimi upodobaniami. Ja stawiam. Jak wiesz, zawsze nienawidziłem tego wstrętnego orientalnego naparu, od którego żółkną zęby i psuje się cera.

Moira z uśmiechem uważnie przejrzała menu.

– Nie mam wiele czasu. Mówiłeś, że chyba cię śledzono, kiedy ostatnio byłeś u mnie?

– Tak, wychodząc, minąłem się z jedną z młodszych koleżanek z SOE – szepnęła Crowley. – Nie sądzę, żeby znalazła się tam przypadkowo.

Moira odłożyła kartę i skinęła na kelnerkę za kontuarem.

– Wiem. Myśmy też ją zauważyli. Jest teraz w rękach naszych niemieckich przyjaciół.

Crowley ani drgnął, kiedy kelnerka stawiała na stole herbaciarkę z różowej porcelany. Począł, aż się oddaliła, po czym nachylił się do Moiry.

– Byłoby bardzo niezręcznie, gdyby coś jej się stało – zauważył.

– A to czemu? Zrobiłeś się sentymentalny, Aleisterze?

Podniosła herbaciarkę i nałapała sobie bursztynowego naparu.

– Skądże, ale w SOE bardzo by się nie spodobało, gdyby jedną z ich agentek poturbowano. Ci ludzie mają duże poczucie solidarności.

Moira z lubością popijała łyżkami herbatę, nie odrywając wzroku od oczu maga.

– Mmm... pyszna... Chociaż znam inną odmianę kwiatów assamskich, pikantniejszą... Posłuchaj, Aleisterze, mnie zależy, żeby nie ściągać uwagi na siebie. Co powiedziałeś szefowi, temu Malorleyowi?

– Że poszedłem do mojego dawnego burdelu po ostatnią część należności za udziały.

– Uwierzył?

Moira poczuła, że ogarnia ją jakieś przyjemne odrętwienie. Odstawiła filiżankę na spodek i pomasaowała sobie skroń.

– Co się dzieje, Moira? Nie czujesz się dobrze?

– Gorąco mi... – powiedziała, odpinając ostatni guzik bluzki. – Mam...

Poczuła na ramionach czyjeś dłonie. Obejrzała się i zobaczyła nad sobą nieznanego człowieka. Chciała wstać, lecz siły naraz ją opuściły. Próbowwała się odwrócić do Crowleya. Na próżno. Odnosiła wrażenie, że mięśnie szyi zastygły jej jak gips.

– Ty draniu... Coś mi... dodałeś...

– A, to tylko drobny odwecik za to, co mi zrobiłaś w zeszłym roku w Hellfirze, żeby mieć mnie w garści. Nie martw się, chłopcy z SOE zapewnili mnie, że ten narkotyk owszem, paraliżuje mięśnie, ale świadomość pozostaje nietknięta. Idealnie dla spaceru zakochanych.

– Spa... cerku...

– Komandor Malorley aż przebiera nogami z niecierpliwości, tak bardzo chce cię poznać.

Moira poczuła, że usta robią się jej jak z kamienia. Właściwie nie mogła się już poruszyć. Kiedy ją podnieśli, by przenieść do samochodu czekającego przy tylnym wyjściu z herbaciarni, ogarnęło ją przerażające uczucie, że spoczywa w trumnie. W trumnie ciała. Własnego ciała.

Położyli ją na tylnym siedzeniu auta, ford włączył się do ruchu. Aleister siedział obok niej.

– Wiem, że mnie słyszysz, moja śliczna. Jak to jest, stracić kontrolę nad swoim ciałem? Nieprzyjemne uczucie, prawda? Mógłbym cię wykorzystać, jak by mi się żywnie podobało. Widzisz? W tej chwili głaszczę cię po udzie, a ty nic nie czujesz. Mógłbym sięgnąć wyżej i nawet byś o tym nie wiedziała. Jesteś jak sparaliżowana do końca życia, jak roślina trzymana gdzieś w czeluściach szpitala.

Moira postrzegła jedynie hałas uliczny i niebo widoczne w kawałku szyby za fasadami kamienic. Gdy przejechali dalej, pojawiły się też drzewa. W duchu wezwała bóstwa nocy, aby przysły jej z pomocą. Powtarzała inkantacje w głowie, lecz nic to nie dawało. Była sama w ciele z bezkształtnej gliny i jej magia niczemu nie służyła.

Po niemal godzinie samochód przystanął przed domkiem myśliwskim otoczonym gęstym lasem. Moira zaczynała odzyskiwać kontakt z własnym ciałem, odrętwienie stopniowo ustępowało. Dwaj ludzie wynieśli ją z wozu i położyli na ziemi jak tobołek z brudną pościelą. Zawadziła łokciem o żwirową ścieżkę, aż przejmujący ból rozszedł się jej po ramieniu.

– Moglibyście... uważać... dranie...

Zdziwiła się, że znów może mówić, choć usta nadal były jak z kartonu. Nikt nie raczył jej odpowiedzieć – porywacze złapali ją za nogi i pod pachy i ponieśli do domu. Crowley maszerował obok, od czasu do czasu obrzucając ją brzydkim spojrzeniem.

Wniesiono ją na piętro do pokoju o poczerniałej boazerii i ścianach w całości obwieszonych trofeami myśliwskimi. Głowy jeleni, dzików, saren, wypchane przepiórki... Były ich tam setki. Jakby wszyscy myśliwi Zjednoczonego Królestwa się zmówili, aby umieścić tam swoje ofiary. Posadzono ją na krześle z nogami i rękami w kajdankach.

Naprzeciwko miała człowieka przywiązanego do kaloryfera. Głowa żałośnie zwisała mu z przodu. Na brudnej koszuli widoczne były ślady krwi.

– Ach, nasza ulubiona czarodziejka – rozległ się męski głos. – Przyjechaliście za wcześnie, jeszcze nie skończyłem przesłuchania, ale to nic... Panie mają pierwszeństwo. Pozwoli pani, że się przedstawię: komandor Malorley. Mam nadzieję, że narkotyk przestał już działać. Może pani mówić?

– Tak... Nie macie powodu ani prawa, żeby mnie porywać.

– W państwie demokratycznym podczas wojny służby bezpieczeństwa, takie jak moja, mają wszelkie prawa. Zechce pani rzucić okiem na ścianę po swojej lewej?

Moira odwróciła głowę i ujrzała duże zdjęcie okaleczonego ciała młodej kobiety rozciągniętej na nagrobku.

– Poznaje pani? – zapytał Malorley. – Zamordowała ją pani w zeszłym roku, żeby pogrążyć Aleistera. Jest gotów świadczyć przeciwko pani. A kiedy przekazemy prasie pani nazwisko, pojawi się w gazetach wypisane dużą czcionką. Właścicielka klubu Hellfire uważa się za Kubę Rozpruwacza...

Moira nie wyglądała na przejętą, już odzyskała pewność siebie. Splunęła na podłogę, aby się pozbyć mdłego smaku z ust, ale również po to, by zaakcentować swoją pogardę.

– Nie ja jedna zobaczyłabym swoje zdjęcie w gazetach. Mogłabym wyjawić nazwiska stałych bywalców mojego klubu. Wysoko postawionych osobistości. Deputowanych, policjantów, znanych lekarzy, dyplomatów, duchownych, dziennikarzy... Może nawet członków rodziny królewskiej. Co miesiąc spisuję w notesiku moich klientów i... ich praktyki. A że jestem przewidująca, każę ich też fotografować podczas seansów. Systematycznie. To moje ubezpieczenie na życie.

– Przezorna z pani kobieta.

– Moi bliscy wiedzą, że jeśli zniknę, mają wysłać te zdjęcia do gazet. Nawet pod groźbą cenzury prasa ze złośliwą lubością je opublikuje. Przez ten skandal podniesie się taka fala błota, że nie dorówna jej poziom Tamizy podczas przyływu.

– Mam gdzieś pani szantaż, mnie on nie dotyczy. Chcę wiedzieć, coście zrobili z naszą agentką, która stała na czujce przed pani burdelem, kiedy ostatnio był u pani Aleister. Albo mi pani powie, albo zaraz pożegnamy się na zawsze.

Moira wzruszyła ramionami.

– Nie odważy się pan, jest pan za dobrze wychowanym angielskim dżentelmenem. I proszę pamiętać o zdjęciach moich klientów, ja...

Na jej policzek spadł cios, aż głowa Moiry odskoczyła.

– Powtarzam pytanie: gdzie jest moja agentka, pani O'Connor? Nie obchodzi mnie żaden skandal, nie należę do pani klientów.

– Ty pieprzony Angliku! Blefujesz!

Malorley podszedł do człowieka przykutego do kaloryfera i podniósł jego głowę. Lewa połowa twarzy była sina, na brodzie zakrzepł strumyk krwi. Malorley stanął za nim i oparł mu dłonie na ramionach.

– Przedstawiam pani Grahama Slendersa, szefa niedużej firmy transportowej, spółki założonej w Devonshire w trzydziestym piątym roku. W zeszłym miesiącu potężna burza spustoszyła tamten region i jedna z ciężarówek firmy Slendersa wylądowała w stawie. Kiedy służby ją wydobyły, wśród przewożonego ładunku dorsza odkryto trzy skrzynki z dynamitem. Powiadomiono naszych kolegów z MI6. Oszczędzę pani szczegółów dochodzenia, które doprowadziło do naszego przyjaciela Grahama, posiadacza doskonałej jakości radiostacji niemieckiej produkcji. – Malorley odciągnął

głowę więźnia do tyłu. – Po przesłuchaniu w przyjaznej atmosferze nasz tu obecny przyjaciel wyznał, że pracuje dla Abwehry. Wie pani, to ci niemieccy agenci, którym przekazuje pani informacje.

Crowley zerknął na obojętną Moirę, która siedziała, jakby jej to w ogóle nie dotyczyło.

Malorley nachylił się nad twarzą swojego więźnia.

– Graham zdradził naszą ojczyznę tak samo jak pani.

– Moją jedyną ojczyzną jest Irlandia! Kraj, który okupujecie i dręczycie.

Malorley skinął na jednego ze swoich ludzi, który stanął za przykutym człowiekiem.

– Kończymy, Tom.

Agent SOE powolutku wyjął z kieszeni linkę i obwiązał nią szyję szpiega. Slenders potoczył wokół wzrokiem, bełkocząc:

– Nie, wszystko wam powiedziałem...

Nie dokończył zdania.

Twarz mu spurpurowiała, oczy wyszły z orbit, drgający język wysunął się z boku. Jeszcze się wzdrygnął, po czym jego ciało osunęło się na podłogę. Ludzie Malorleya rozpięli kajdanki, którymi Slenders był przykuty, i pociągnęli trupa za nogi w stronę drzwi. Komandor odczekał, aż jego podwładni wyjdą, po czym zwrócił się do poblądłej Irlandki:

– Gdybym był dżentelmenem, nigdy by mnie nie powołano na stanowisko, które zajmuję w SOE. Dlatego jeśli nie odpowie pani na moje pytania, czeka panią to samo co świętej pamięci pana Slendersa. Łącznie z nieprzyjemnymi atrakcjami po drodze. I w najbliższych dniach wyłowię z Tamizy pani wzdęte zwłoki, a ja z rozkoszą poczytam artykuły o wybrykach pani klientów, sącząc markowy stary koniak.

Crowley nachylił się nad nią.

– Idź na współpracę, Moiro. Inaczej cię zabije i będzie to bolało.

Irlandka straciła pewność siebie. Obrzuciła Malorleya spłoszonym spojrzeniem.

– Puści mnie pan, jeśli powiem, gdzie ona jest, i na tym zakończymy sprawę?

– W żadnym razie. Odtąd będzie pani pracowała dla nas jako podwójna agentka i za pani pośrednictwem będziemy się kontaktowali z przyjaciółmi z Abwehry.

Szkarłatna Czarodziejka zdawała się wahać. Myśli jej się kotłowały, gdy szukała rozwiązania. Musiała zyskać na czasie. W końcu kiwnęła głową.

– Dziewczyny nie ma w Hellfirze. Przewieźli ją do Southgate, do magazynu hurtowni mięsnej na samym początku Salvation Road. Tyle wiem.

Malorley skinął na jednego z agentów.

– Pojedziemy tam od razu. Macie jej nie spuszczać z oczu.

– Mogę dostać wody? – szepnęła Moira.

– Oczywiście, nie jesteśmy z Gestapo.

Obdarowała go zawiedzionym uśmiechem.

– Pieprzony angielski hipokryta... Stosujecie takie same metody. Jeśli pan zmieni obóz, napiszę panu list polecający do SS.

Malorley bez odpowiedzi opuścił pomieszczenie, zabierając ze sobą Crowleya. Wyszli na korytarz prowadzący na drugi koniec budynku.

– Zasadniczo Moira ma rację – odezwał się mag. – Nigdy bym nie pomyślał, że z zimną krwią może pan zabić człowieka.

Trzymający wartę agent otworzył im drzwi większego pomieszczenia, w którym przy stole siedzieli trzej mężczyźni i grali w karty.

Crowley stanął jak wryty. Jednym z graczy był człowiek, którego na jego oczach chwilę wcześniej uduszono. Oprawca z dość markotną miną siedział naprzeciw niego.

– Trójka asów! Pieniążki do mnie! – ucieszył się zmartwychwstały, przysuwając do siebie stosik drobnych monet.

Agenci zaczęli się podnosić, kiedy do środka wszedł Malorley.

– Siedźcie, panowie. Jak tam zmartwychwstanie, Malcolmie?

Mężczyzna pomasaował sobie szyję.

– W porządku, komandorze, tyle że ten osioł Fitzpatrick trochę za mocno ścisnął. Naprawdę niewiele brakowało.

– Że też nie pocisnąłem bardziej! Na Świętego Jerzego! Że też nie pocisnąłem! Nie ograłby mnie w pokera. Ale ja mu jeszcze pokażę...

Malorley klepnął w ramię niedoszłego zabójcę.

– Nie ma czasu, jedziesz z nami do Southgate. Trzeba działać szybko.

Już wychodzili, gdy zadzwonił telefon. Komandor odebrał, rozpoznał głos swojej sekretarki.

– Naprawdę nie mam teraz czasu – rzucił zirytowany.

– Zlokalizowano właśnie Tristana. Przebywa w centrum Londynu.

– Na Boga! Gdzie?

Sekretarka przez moment milczała, tak bardzo ją oszołomiło to, co miała powiedzieć.

– W Muzeum Brytyjskim.

Zaskoczony Malorley popatrzył na okno, jakby się upewniał, że jest noc.

– Ale muzeum jest o tej porze zamknięte... poza tym w ogóle jest nieczynne przez bombardowania. Pomyłka. Nie zwracajcie sobie tym głowy.

Sekretarka jednak nie odpuszczała:

– Ekipa, która pilnuje muzeum, jest w stu procentach pewna: widziano, jak Tristan Marcas wchodził dziś po południu do muzeum z grupą ochotników uprzątających

gruz, ale nikt nie widział, żeby wychodził.

– Jak go rozpoznano?

– Nie wiem. Jakie są rozkazy, komandorze?

Malorley zasłonił dłonią mikrofon słuchawki i zwrócił się do maga:

– Crowley, jedziecie do Southgate beze mnie. Postarajcie się przywieźć dziewczynę żywą.

Kiedy mag szybkim krokiem wychodził, Malorley na powrót przyłożył słuchawkę do ucha.

– Wzmocnić nadzór wokół muzeum. Zaraz tam będę.

Londyn

Great Russell Street

Muzeum Brytyjskie

Niczym Łazarz powstały z martwych Tristan wychynął z nicości. Dotknął koszuli. Relikwia była na miejscu. Podniósł się powoli szczęśliwy, że wyrwał się z tego przerażającego koszmaru. Jak długo był nieprzytomny? Nie miał pojęcia. Z dwiema innymi relikwiami nigdy nie doświadczył czegoś podobnego. Może każda miała inną moc? Wsunął artefakt do kieszeni spodni i zawrócił do sarkofagu. Swastyka była jego talizmanem, magicznym kluczem do lepszego świata, w którym nie ma ani Himmlera, ani Malorleya. Marcasa ogarnęła przemożna euforia, jakby moc relikwii już na niego działała. Koniecznie musiał się uspokoić, zanim pierwsze ekipy wejdą do muzeum. A przede wszystkim nie mógł popełnić żadnego błędu. Przesunął pokrywę sarkofagu do pierwotnego ułożenia, tak że była jedynie lekko uchylona. Nie było raczej zagrożenia, że ktoś zwróci uwagę na taki szczegół, lecz Marcos bezwzględnie potrzebował panować nad wszystkim.

Zszedł schodami do holu i sprawdził rusztowania, materiały, narzędzia, szukając, czy nie zostawił jakiegoś śladu, który mógłby go wydać. Czuł się osobliwie – zarazem jak zwierzyna i myśliwy. Stał przed wejściem do galerii średniowiecznej. Zamocował na powrót deski, które je zagradały. Nie mógł pozwolić, by ktoś się czegoś domyślił. Po śmierci Jamesa Hadlera już nikt nie wiedział, że w Muzeum Brytyjskim ukryto ostatnią swastykę, i nikt nigdy się nie dowie, że Tristan ją odnalazł.

Teraz musiał zdecydować, jak wyjść z kompleksu: albo dyskretnie się przyłączy do grupy sprzątającej i podczas pierwszej przerwy zniknie, albo wykorzysta to, że ciągle ktoś wchodzi do muzeum i wychodzi na zewnątrz, i rozplynie się zaraz z rana.

Nie zdążył dokonać wyboru. Głośno zaskrzypiały ciężkie drzwi muzeum: zaczynał się dzień pracy.

Museum Street

Godziny mijały, a Malorley czekał. Ulokował się na drugim piętrze kamienicy, z której wykuszowego okna widać było wejście do muzeum. Właścicielka, starsza pani mówiąca z akcentem walijskim, wystraszyła się jak nigdy w życiu, kiedy w środku nocy do jej domu zakołatali agenci SOE. Przerazona oddała im do użytku salon, nie starając

się nawet zrozumieć, o co chodzi. Stamtąd komandor i jego ludzie pilnowali głównego wejścia do muzeum, które właśnie otwarto.

– Na razie nikt nie wyszedł.

Malorley nie odpowiedział. Próbował połączyć w całość nieliczne informacje, którymi dysponował. Wszystko zaczęło się od tego, że pewien gadatliwy handlarz starzyzną opowiedział w pubie, jak to człowiek mówiący z francuskim akcentem zostawił mu nowe ubranie w zamian za używaną odzież roboczą. Nikt by nie zwrócił na to uwagi – w Londynie roiło się od francuskich uchodźców – gdyby nie policjant przy barze, który przypomniał sobie o liście gończym rozesłanym przez ludzi Malorleya do wszystkich londyńskich komisariatów. Agenci SOE raz-dwa skojarzyli tę informację z odbudową Muzeum Brytyjskiego i podjęli obserwację. Okazało się, że mieli nosa: ostatecznie zidentyfikowali Marcasa w grupie ochotników, którzy palili papierosy przed wejściem do muzeum. Nikt jednak nie widział, aby Francuz wyszedł stamtąd przed nocą.

– Macie pewność, że nadal jest w środku? – zapytał Malorley po raz dziesiąty.

– Na sto procent – odpowiedział jeden z agentów. – Nie mógł wyjść z innej strony, bo cały perymetr otacza obrona cywilna.

Malorley pokręcił głową. W gruncie rzeczy odrzucał fakty, tak były niewiarygodne: skoro Tristan został na noc w muzeum, znaczy, że natrafił na ślad ostatniej swastyki i właśnie ją zabiera. Mistrzowskie posunięcie. Tyle że Marcas nie raczył powiadomić o tym SOE. Bez wątpienia mieli go na oku szpiegów na niemieckim żołdzie, dlatego musiał działać sam... no chyba że tym razem postanowił pracować na własne konto.

– Komandorze, to co robimy, jeśli podejrzany wyjdzie?

– Macie go przejąć.

– Po cichu czy...

Spojrzenie Malorleya stwardniało.

– Żywego. Chcę go żywego.

Muzeum Brytyjskie

Kiedy ekipa uprzętająca gruz szła przez sale egipskie, dołączył do niej Tristan. Nikt tego nie zauważył. Na miejscu pracy przydzielono mu taczki i łopatę, zaczął więc sprzątać poczerwiałe zwłoki książek. Na schodach służbowych ułożono chwiejne deski, po których zjeżdżano taczkami na parter. Nikt nie lubił tego odcinka, zdarzyły się tam już wypadki. Tristan zaproponował, że będzie wywoził gruz. Gdy dostał pierwsze taczki, obliczył, ile czasu zajmie mu pokonanie całej trasy i powrót. Trzy minuty na dojście do holu, dwie na przebycie go, kolejne dwie na dotarcie do kontenera ustawionego przy wejściu. W sumie siedem minut, do tego droga powrotna na piętro, trwająca dłużej. Czyli około piętnastu minut, zanim zauważą, że go nie ma.

Dość czasu, by zniknąć. Teraz wystarczyło wybrać najlepszy moment na wydostanie się na zewnątrz. Przedtem jednak musiał dokonać ostatniej metamorfozy. Naprzeciw niego Polak w łachmanach przerzucał łopata zgliszcza. Jak wielu tutaj był ochotnikiem, który pracował za trzy posiłki dziennie. Tristan poprosił go o papierosa. Polak wzruszył ramionami. Wtedy Marcas zaproponował, żeby za cztery papierosy zamienili się ubraniami. Polak nie wahał się długo, toteż gdy Tristan, odziany jak żebrak, zwiózł drugi ładunek, był odmieniony nie do poznania.

Museum Street

Nikt dotąd nie wyszedł z muzeum. Malorley popatrzył na zegarek. Minęła już godzina, odkąd ekipy sprzątające weszły do środka. Jeżeli Tristan odnalazł swastykę, na pewno parzy go w ręce. Czemu nie wychodzi? Chyba że wpadł, ale wtedy pojawiłaby się tu policja. Malorley zwrócił się do jednego ze swoich agentów:

- Mike, kiedy robotnicy mają przerwę?
- Co dwie godziny. Wychodzą na zewnątrz na papierosa albo żeby coś zjeść.
- Ilu wychodzi naraz?
- Około czterdziestu.

Komandor się skrzywił. Niepodobna wszystkich upilnować. Będą musieli wykazać się pomysłowością.

– Mike, leć i ściągnij mi tu trochę gazeciarzy. Zapłać im, niech obejrzą sobie Marcasa na zdjęciu. Jak grupa ochotników wyjdzie z muzeum, dzieciaki mają się wmieszać między nich.

- A jeśli któryś rozpozna Francuza?
- Ma udać, że się pośliznął, i z krzykiem uczepić się jego nóg. To nam da czas na interwencję.

Mike wybiegł, by zebrać nowe posiłki.

Muzeum Brytyjskie

Sztafeta piasku szybko malała. Dwaj robotnicy wrzucali go łopatami do obracającej się betoniarki. Jeszcze kilka razy i będzie gotowe. Pomocnik dolał wiadro wody, żeby zaprawa łatwiej się mieszała. Odsuwając się, potrącił człowieka w łachmanach, który z trudem pchał taczki pełne popiołów.

– Teee, Polak, nie możesz uważać? – warknął pomocnik, jakby się zwracał do jakiegoś pomiotła.

Murarze wybuchnęli śmiechem.

- Widziałeś jego łachy? Istny żebrak!
- Jeśli walczą tak, jak się ubierają, to nic dziwnego, że Hitler spuścił im lanie.

Tristan oddalił się ze spuszczoną głową. Rasizm był nie tylko niemiecką przywarą. Ci niewdzięcznicy powinni się wstydzić, Polacy walczyli z Niemcami jak lwy. Na

próżno. I byli najliczniejszą grupą partyzantów. Uśmiechnął się mimo wszystko – jego przebranie działało.

Zbliżał się do wyjścia. Szerokie drzwi były otwarte. Marcas postawił taczki i rozejrzał się po dziedzińcu. Nie było tam nikogo oprócz jednego człowieka z obrony cywilnej, który palił papierosa. Trzy kroki i przejdzie przez drzwi, po pięciu będzie na zewnątrz, po siedmiu – wolny. Pokusa była zbyt silna. Ruszył szybko naprzód.

Museum Street

– Załatwione, Mike znalazł gazeciarzy. Już tu idą – zameldował jeden z agentów.

Malorley wziął lornetkę, ujrzał jednak nie dzieci wymachujące egzemplarzami „Timesa”, lecz zupełnie co innego.

– Ktoś właśnie wyszedł z muzeum.

Wszyscy agenci rzucili się do okna. Jeden wybuchnął śmiechem.

– A cóż to za strach na wróble?

– Widziałeś te łachy?

– A ja widzę, że zmyka nam sprzed nosa! – ryknął Malorley.

Wszyscy jak jeden mąż wypadli z salonu i niczym stado kruków pobiegli dalej, na ulicę. Malorley znów spojrzął przez lornetkę na wejście do muzeum. Uciekinier już pokonał schody i skręcał właśnie w lewo ku Bloomsbury. Komandor zaklął: jego ludzie się rozproszą i zgubią go. Czym prędzej wybiegł z mieszkania. Jeżeli to faktycznie Tristan, szybko skręci w boczne uliczki i zniknie. Część miasta pomiędzy Great Russell Street i Bloomsbury była płataniną podwórek i uliczek, nie wspominając o ruinach wielu zbombardowanych domów. Tristanowi wystarczy zaszyć się w jakiejś opuszczonej piwnicy i poczekać. Nikt go wtedy nie znajdzie.

Znalazłszy się na ulicy, Malorley pobiegł w kierunku przeciwnym do muzeum. Jeśli nie zawodziła go intuicja, miał szansę natrafić na Marcasa.

Streatham Street

Marcas zwolnił kroku. Lepiej nie zwracać na siebie uwagi. Pójdzie spokojnie do domu Jamesa Hadlera i ulokuje się gdzieś w pobliżu, by obserwować wejście. Na chodnikach co rusz widziało się żebraków wszelkich nacji, nikt już na nich nie zwracał uwagi. Jeżeli dom nie będzie pod obserwacją, wróci do niego, ale jedynie po to, by zabrać wartościowe przedmioty. Sprzeda je na czarnym rynku. Mając pieniądze...

– Tristan!

Marcas stanął jak wryty. W Londynie jego imię znał tylko jeden człowiek. Odwrócił się. Zdyszany Malorley stał oparty łokciem o niski parapet.

– Wiem, że masz... swastykę... Nie zepsuj... wszystkiego... Powiedz... czego chcesz.

Marcas ani drgnął. Nie odezwał się słowem.

– Uwierz mi... daję ci słowo... że to twoje ostatnie zadanie... Daj mi relikwię... Później zrobisz... co zechcesz.

Tristan myślał o tym, co mu powiedziała Erika. A jeżeli wraz z Gehlenem spiskowała, żeby go zniszczyć? Gdyby obydwójce oświadczyli, że w Wenecji wcale nie wyrzucił swastyki do laguny, lecz oddał ją nazistom... wtedy ani Malorley, ani nikt inny nie zdołałby go uratować.

– Zawsze cię wspierałem, Tristanie – przekonywał komandor. – Pomyśl o swoim ojcu...

Nie dokończył zdania. Znikąd pojawił się nagle furgon dostawczy i wyhamował, blokując drogę. Pierwszy wyskoczył Conrad, za nim jeszcze dwaj agenci Abwehry i Suzan.

Niemiec dobył browninga i wycelował w Malorleya oddalonego o jakieś dziesięć metrów. Pierwszy pocisk rzucił komandora na ścianę, drugi powalił go na ziemię.

– Tristan, tutaj! – krzyknął Conrad.

Przerażony Marcas stał nad Malorleyem, który wił się na ziemi. Nie mógł go zostawić, żeby szeszł tutaj niczym pies. Nie posłuchał Niemca, lecz przykląkł obok komandora.

– Tristan, co ty wyczyniasz?

Naraz na drugim końcu ulicy wyłonili się agenci SOE z bronią w rękę i otworzyli ogień do furgonu. Conrad się odwrócił, by z kolegami odpowiedzieć na ostrzał, krzycząc:

– Suzan! Zabierz relikwię, osłaniamy cię!

Dziewczyna nisko pochylona przed kulami przesuwiała się w kierunku Marcasa, który trzymał Malorleya za rękę. Komandor spoczywał w kałuży krwi.

– Zostaw swastykę tutaj... Błagam...

– Obiecuję, że zostawię. Wyciągnę pana z tego.

– Nie, to koniec... Dołączę do twojego ojca. Cieszę się, że cię zobaczyłem... Dobra robota... – Oczy mu się rozszerzyły. – Z tyłu... Uważaj...

Tristan odwrócił głowę i zobaczył nad sobą Suzan stojącą z bronią wycelowaną w niego.

– A więc się znacie – syknęła, przystawiając mu pistolet do skroni. – Ty pierdolony zdrajco! A ja zdrajców...

Nie dokończyła. Jeden z agentów SOE posłał w jej stronę serię strzałów, po której zakręciła się jak pijana tancerka i padła na ziemię u stóp Tristana.

Conrad się obejrzał.

– Suzan, nie! – krzyknął.

Jeden z Niemców z rozmachem poturlał granat w stronę agentów SOE. Za późno zauważyli zagrożenie – wybuch odrzucił ich do tyłu.

Conrad skorzystał z tego i podbiegł do żony leżącej bez zmysłów. Tristan chciał podnieść pistolet, który Suzan wypuściła z ręki, lecz uprzedził go jeden z Niemców, drugi tymczasem pomagał Francuzowi wstać. Tristan nic nie mógł zrobić. Znalazł się w pułapce.

– Zwijamy się! – krzyknął Conrad. – Zaraz tu będzie więcej Angoli. – Tulił Suzan do piersi. – Trzymaj się, kochana. Uratuję cię!

Na pustej uliczce ryknął silnik forda. W kilka sekund furgon zniknął z Bloomsbury, wioząc Tristana i ostatnią relikwię. Ciało Malorleya zostało na chodniku.

Londyn

Piwnicę spowijał mrok, skądś tylko sączył się strumyk światła. Korzystając z ciemności, szczur ulokował się na prawym udzie Laure. Ciepło brzuszka gryzonia dawało się wyczuć przez materiał spodni. Kontakt ze szczurem budził we Francuzce wstręt, niemniej jego obecność dodawała jej otuchy.

Rozległ się dźwięk kroków. Laure wyprostowała się jak dźgnięta. Serce zabiło jej szybciej – na pewno oprawcy wracali. Wymacała językiem właściwy ząb trzonowy. Pora z tym skończyć.

– Żegnaj, Tommy – szepnęła do szczura. – Zostawię cię samego. Dbaj o siebie.

Zaczerpnęła głęboko powietrza. Ostatnie hausty tlenu. Powiedziano jej, że połknięty cyjanek błyskawicznie zatrzymuje serce. Wszystko przebiegnie bardzo szybko.

Drzwi się otwarły z iście piekielnym skrzypieniem.

Błysnął snop światła.

Laure nie chciała już oglądać swoich oprawców. Z całych sił zacisnęła szczęki i wrzasnęła:

– Odpierdolcie się!

Zagryzała zęby trzonowe, na próżno jednak – kapsułka nie chciała pęknąć.

Raz jeszcze spróbowała, kiedy stały już przed nią ciemne sylwetki. Oślepią wycelowaną w siebie latarką nie była w stanie dojrzeć oprawców.

– Laure, już dobrze! Jesteśmy tutaj.

Rozpoznała głos, ale się zastanawiała, czy to aby nie sen. Zmrużyła oczy, usiłując dojrzeć twarz.

– Pan...

– Jest pani uratowana!

– Pan Crowley... co...

Światło latarki się obniżyło i pojawiła się nad nim pyzata twarz maga. Laure poczuła, że ktoś zaczyna ją rozwiązywać. Szczur uciekł w mgnieniu oka.

– Malorley był bardzo przekonujący w rozmowie z Moirą, tak że w końcu wyjawiała, gdzie uwito pani gniazdko.

Dwaj agenci rozwijali druty pętające Francuzkę. Crowley zauważył poranioną dłoń dziewczyny.

– Biedulko... Trzeba to opatrzyć, i to szybko, zanim wda się infekcja. Zawieziemy panią do szpitala.

– Jest taka... para – wybełkotała Laure. – Młody Niemiec i Angielka. Oni mnie przesłuchiwali. Złapaliście ich?

Crowley pokręcił głową.

– W magazynie było tylko dwóch facetów, zajęliśmy się nimi. Najważniejsze, że pani żyje.

Laure miała ochotę mocno go uściskać.

– Jeszcze nigdy... tak bardzo się nie ucieszyłam na pana widok.

– Zapamiętam to sobie i kiedyś poproszę, żeby się pani ze mną przespała.

Zdołała się uśmiechnąć, gdy agenci pomagali jej stanąć na nogi.

– A komandor?

– Szuka Tristana. Pani przyjaciel jest w Londynie.

Laure się wzdrygnęła.

– Tak bardzo... chciałabym go zobaczyć... i powiedzieć, że o mało nie połknęłam cyjanku.

Crowley profetycznym tonem zauważył:

– To nie był jeszcze pani czas. Wiedziałem. Chroni panią Gwiazda tarota.

– Umówmy się raczej, że trucizna Jego Królewskiej Mości nie grzeszy jakością.

Już ruszała do drzwi, gdy naraz poczuła na języku drobne granulki. I niepostrzeżenie w ustach rozszedł się jej słodkawy smak migdałów.

Ogarnęła ją panika.

– O Boże... Nie!

– Co się dzieje?

Laure szlochała, w oczach miała strach.

– Kapsułka... pękła... Ja...

– Wypluj to natychmiast! – krzyknął mag, popychając głowę Francuzki w dół.

Dziewczyna czuła, że umysł zachodzi jej mgłą. Wszystko wokół się rozmazywało.

– Trzymaj się! Musisz zwymiotować. Pomogę ci.

Przywarł wargami do jej ust, jakby robił oddychanie usta-usta, zamiast jednak dmuchnąć, splunął jej soczyście na język. Jeden z agentów obrzucił go zniesmaczonym wzrokiem.

– Ohyda...

– Masz pan lepszy pomysł? Jeśli natychmiast nie zwymiotuje, umrze!

Francuzce żołądek podszedł do gardła, wytrzeszczyła oczy i wyrzygała trochę brązowej żółci.

– Za mało! – warknął Crowley, wtykając jej dłoń do ust. – Muszę sięgnąć do przełyku.

Wpychał palce coraz najgłębiej, a Laure zrywami wymiotowała w najlepsze, brudząc podłogę. Wszystko wokół niej wirowało, czuła się, jakby ciało rozpuszczało się jej od środka i wypływało przez usta.

– Laure, nie wolno ci zasnąć!

Dziewczyna się osuwała, czepiając się Crowleya.

– Kapsułka... dobrej ja...

Oczy jej się zamgliły. Puściła rękaw maga i legła na ziemi.

Wydział S

Izba chorych

Lekarz znowu się pochylił, by osłuchać nagie ciało leżące na łóżku polowym. Przyłożył ucho do piersi i wstrzymał oddech, aby lepiej słyszeć. Obok niego pielęgniarka zwilżała pobielające wargi Laure. Lekarz się wyprostował.

– Serce jeszcze wytrzymuje, ale bije słabiutko.

Crowley zaklął.

– To samo pan mówił dziesięć minut temu!

– Trudno się spodziewać błyskawicznej poprawy jej stanu. Wszystko zależy od siły organizmu i odporności na wchłoniętą truciznę.

– Słowem, nic pan nie wie!

Lekarz ze znużeniem machnął ręką.

– I tak szczęście, że jeszcze żyje. Zaraz przygotuję mieszankę odtruwającą i podam jej jak najszybciej. Potem już wóz albo przewóz.

– A mnie to nie wystarczy, proszę sobie wyobrazić! Teraz ja się nią zajmę.

– I co niby zamierza pan zrobić?

Crowley ujął lekarza i pielęgniarkę za ręce i podprowadził ich do drzwi.

– Coś bardzo prostego: ożywić ją.

Aleister został sam. Zdjął prześcieradło okrywające nagą Laure i ułożył ją tak, że jej ciało utworzyło trójkąt, którego jednym z wierzchołków było krocze, następnie zdjął marynarkę, zakasał rękawy koszuli i położył dłonie na skroniach dziewczyny.

– O boże dolnych rejonów, zaklinam cię, żebyś się nie pożywiał duszą tej śmiertelniczki. O piekielne bóstwo, nie ściągaj w ciemności życia tej nieszczęsnicy! O panie otchłani, nie rób jej tej łaski, że wkrótce cię pozna!

Crowley poczuł pod palcami tętnienie w żyłę.

– O Belialu, nie wbijaj swego chciwego pazura w ciało pozbawione obrony. O Zebubie, nie bierz jej w swe demoniczne władanie. A ty, Samaelu, nie ściągnij jej w noc Zła.

Otworzyły się drzwi. W progu stanął lekarz z fiolką w ręce.

– Co pan robi? Wzywa pan demony?

Crowley spojrzał na niego ze wzgardą.

– Miałbym wzywać demony, podrzędne sługi? Za kogo mnie pan ma? Musi pan wiedzieć, nieszczęsny ignorancie, że kiedy zwracam się do Diabła, rozmawiam z nim twarzą w twarz!

Lekarz bez odpowiedzi podszedł do Laure, odkręcił fiolkę i wlał jej do ust zawartość.

– Więcej to da niż pańska szarlataneria.

– Chybaś pan na głowę upadł! Jeżeli się ocknie, to tylko dlatego, że mam moc przemawiania do Najniższego!

– Pan oszalał! Złożę o tym raport. Tacy ludzie jak pan nie mają tu nic do roboty. Pana miejsce jest w szpitalu dla psychicznie chorych.

Przy ostatnich słowach Crowley odskoczył jak pokropiony wodą święconą. Nienawidził, kiedy traktowano go jak szaleńca. U lewej ręki zgiął trzy palce, a wskazujący i kciuk skierował ku lekarzowi.

– Mocą tego znaku niechaj Szatan wysuszy twoje ciało, zgnilizną strawi twoją duszę...

Przerwał mu gwałtowny kaszel. Laure otworzyła oczy. Wystraszona patrzyła na Crowleya.

– Co pan... robi?

– Nic. Zupełnie nic. Jak pani się czuje?

– Jakbym nie miała ciała, jakby się rozpuściło... – Chwyliła dłoń maga. – Gdzie Malorley?

Po skrzywieniu Crowleya zrozumiała, że postawiła złe pytanie.

– Przykro mi, Laure. Brał udział w operacji odbicia Marcasa i sprawy źle się potoczyły. Dostał kilka razy z broni. Nic więcej nie wiem.

– A Tristan?

– Niemcy go zabrali. Znikł.

CZĘŚĆ CZWARTA

Dawni bogowie, wyszedłszy z ciemności, znów zajęli miejsce pośród ludzi: bóstwa zapomniane od czasów Hiperborei, od epoki krainy Mu i Posejdonis, noszące inne imiona, lecz te same atrybuty. Dawne demony, które także wróciły, podsycaly mocno żar złowróźbnych ofiar i znowu sprzyjały magii pierwotnej.

Zothique Clarka Ashtona Smitha, amerykańskiego autora science-fiction

Ludzie wierzą w los, bogowie wierzą w siebie.

Thule Borealis Kulten

Lotnisko w Gouvieux

Stanowisko dowództwa Luftwaffe we Francji

Letni wiatr, porywisty i kapryśny, rzucał focke-wulfem Fw 58, lecz pilotowi udawało się utrzymać kurs na świetlne oznakowanie lądowiska oddalonego o kilkaset metrów.

– Proszę się trzymać, będzie trzęsło! – ostrzegł lotnik dwóch pasażerów.

Tristan złapał się skórzanych uchwytów pod sufitem, Conrad wczepił się w podłokietniki swojego fotela. Nad ich głowami migotała żarówka, barwiąc czerwienią ciemne wnętrze dwusilnikowej maszyny.

Tristan usiłował rozpoznać przez iluminator miejsce, gdzie lądowali, ale na próżno się starał. Wyjąwszy oświetlenie pasa, które włączono, kiedy się zbliżyli, resztę ziemi spowijały ciemności.

Tak jak jego umysł.

Poniósł porażkę na całej linii. Bezapelacyjnie.

A za kilka minut dołączy znowu do obozu zła. I swoją cenną zdobycz złoży u stóp zwycięzców.

Wszystko rozegrało się w pobliżu muzeum. Mógł się pozbyć Niemców i zatrzymać ostatnią relikwię. Zakończyć sprawę olśniewającym zwycięstwem i odzyskać wolność. Los jednak zdecydował inaczej. Podobnie jak w Wenecji. Tyle że tym razem naziści wygrali. Gorzej – na jego oczach zginął Malorley.

Malorley. Przyjaciel jego ojca. Protektor Tristana. Człowiek, który mu zlecił to cholerne poszukiwanie relikwii.

Wciąż obracał w myślach tragiczną scenę niedaleko muzeum. Nie zdołał nawet zamienić kilku słów ze swoim mentorem. Najgorsza jednak dla Marcasa chwila nastąpiła w samochodzie, który wywoził z Londynu jego i całą grupę agentów Abwehry. Zanim udało im się dowieźć Suzan do zaprzyjaźnionego lekarza, Conrad, oszalały z powodu stanu żony, zaczął się rozwodzić na temat uprowadzenia i torturowania Francuzki będącej agentką SOE. Na podstawie opisu Tristan zidentyfikował Laure.

Ona także zapłaciła wysoką cenę na polu grozy.

Przez całą długą trasę przez Anglię, gdy zmierzali ku bliżej nieokreślonymu pasowi startowemu w Kencie, gdzie czekał samolot, Tristan czyhał na chwilę nieuwagi Niemców, aby spróbować ucieczki. Daremnie.

Teraz maszyna podchodziła do lądowania. Odkąd Tristan wszedł na pokład, modlił się, aby się rozbiła i aby ta przeklęta relikwia zaginęła w wybuchu. Niechby ich ostrzelali z myśliwców RAF-u nad kanałem La Manche. Los jednak raz na zawsze postanowił sprzyjać planom nazistów. Tristan pogrążał się w niemej rozpacz. Nawet wichura, która się podniosła, nie mogła sobie poradzić z focke-wulfem.

– Nie rób takiej miny! – wrzasnął Conrad siedzący naprzeciwko. – Fw 58 oprze się każdej burzy. Niemiecka jakość!

– Daj Boże – skłamał Tristan, czując, jak pusty żołądek skręca się mu w rytm turbulencji.

Maszyna wreszcie dotknęła ziemi. Ciężko. Podskoczyła jeszcze trzy razy, po czym znieruchomiała na końcu pasa i skręciła w kierunku ciągu hangarów, które zapłonęły światłami.

Tristan wyjrzał przez iluminator i zdumiał się tym, co zobaczył. Nie wylądowali na zwykłym lotnisku. Wszędzie wokół równiutko jak na paradye stały setki samolotów bojowych. Bombowce Heinkel He 177 o pyzaty dziobie, ciężkie myśliwce Messerschmitt Me 410 ostatniej generacji, transportowe Junkersy Ju 290 – Tristan patrzył na prawdziwą powietrzną armię. Aż zadał sobie pytanie, czy Niemcy przypadkiem nie planują nowej ofensywy przeciwko Anglii.

– Gdzie jesteśmy? – spytał zaintrygowany.

– W dowództwie operacyjnym Luftwaffe – odpowiedział gromko pilot, przekrzykując ogłuszający warkot silników. – I należy się panom komitet powitalny.

Samolot zatrzymał się przed trzypiętrowym szarym betonowym budynkiem zwieńczonym radarem i łopoczącymi na wietrze niemieckimi flagami. Przy baterii dział przeciwlotniczych Tristan dojrzał oddział uzbrojonych żołnierzy. Dwaj oficerowie w galowych mundurach stali wyprostowani sztywno jak kołki przed czarnym lśniącym samochodem, który przypominał metalowego chrząszcza.

– Uroczy komitet powitalny – mruknął Marcas.

Odpiął pas bezpieczeństwa i ujął walizeczkę z relikwią. Silniki już milczały, słychać było jedynie szum wiatru uderzającego w burty maszyny.

– Chciałbym wiedzieć, dlaczego ten zabytkowy przedmiot jest taki ważny dla szefostwa – zagadnął Conrad. – Czemu przez niego Suzan została ranna.

Tristan wstał z fotela.

– Widać wasz Führer uważa, że sztuka może zmienić świat. Lepiej niż armaty.

– Nie jestem w nastroju do znoszenia francuskiego poczucia humoru.

– Przykro mi, ale tylko to mi pozostało.

Otwarto drzwi samolotu i Tristan zeskoczył na płytę, zaraz za nim Conrad. Jeden z oficerów wyszedł mu na spotkanie, drugi pozostał przy samochodzie, tuż przy

drzwiach. Tristan się zastanawiał, czy to wysłannicy Himmlera, Rosenberga czy też agenci Abwehry. Zaczynał się gubić w tym wszystkim.

Mundur oficera SS dostarczył mu odpowiedzi.

– Miło mi pana powitać, Herr Marcas. Ma pan przesyłkę?

– Tak. Komu mam ją przekazać?

Oficer wyciągnął rękę.

– Zajmę się nią. Na pasie czeka samolot do Berlina.

– Co ze mną? – zapytał Tristan, przytrzymując walizeczkę.

– Na tym się kończy pańskie zadanie. Reichsführer jest z pana zadowolony. Uznał, że w nagrodę należy się panu odpoczynek w Paryżu. Dobrze panu robi.

Marcas wcale nie miał ochoty znaleźć się w stolicy wzięty w dwa ognie przez Erikę i Gehlena.

– Bardzo ryzykowałem, żeby misja się powiodła. Dlatego zależy mi na tym, że znalezisko oddać bezpośrednio w ręce Reichsführera.

Oficer nadal się uśmiechał, lecz jego spojrzenie stwardniało. Położył na ramieniu Tristana dłoń w rękawiczce.

– Herr Marcas, jeśli chce pan u nas kontynuować karierę, proszę nie dyskutować nad rozkazami. Poproszę o walizeczkę.

Tristan niechętnie mu ją oddał. Dotąd miał w sobie jeszcze cień nadziei, że coś się zmieni, teraz jednak zupełnie ją stracił. Oficer zajrzał do skórzanego nesesera, po czym zamknął go usatysfakcjonowany.

– Doskonale. Mój podwładny odstawi pana na nową kwaterę. To Francuz jak pan. Proszę się dobrze bawić, zasłużył pan.

– Ja nie mam czasu na zabawę, muszę natychmiast wracać do Londynu – oznajmił Conrad.

Esesman obrzucił go pogardliwym wzrokiem, jakby dopiero teraz odkrył jego obecność.

– To proszę uzgodnić ze swoimi przełożonymi z Abwehry, nie ze mną.

Oficer szybkim krokiem się oddalił i po chwili znikł za ostatnim hangarem.

– Kretyn jak każdy esesman – mruknął Conrad. – Chcieliby mieć wszystkie przywileje i wygodne życie. Sam nie wiem, czemu nie obiliśmy mu pyska. Tobie zresztą też.

Tristan odsunął się od niego, powściągając chęć, by pierwszy mu przyłożyć.

– Za znieważenie albo uderzenie wyższego oficera SS grozi kara śmierci.

– Ale...

– Tak że wracaj torturować jakieś biedne bezbronne dziewczyny, ja mam co innego do roboty.

Dziesięć minut później Tristan zajmował wygodne miejsce na tylnej kanapie Citroëna, który pędził przez noc. Siedzący obok Francuz w mundurze SS żuł wykałaczkę. Właściwie nie wyglądał na idealnego Aryjczyka. Niewysoki, śniady, czarnowłosy, wyrażał się raczej jak szumowina niż oficer elitarnego wojska.

– Jestem Jean Vinas – zagaił. – A ty? Zdaje się, że masz protekcję samego Himmlera, nie?

– Po prostu Tristan.

– Czyli wracasz z Londynu... Ty, powiedz, mówią, że to fajne miasto. Strzelisz se jednego? To koniak, i to nie byle jaki, z porządnego szampana – zachwalał Vinas, wyjmując piersiówkę z kieszeni i podsuwając ją Tristanowi. – Coś robił w Londynie? Rozwalałeś Angoli? Czy pieprzonych gaullistów?

– Nie, dzięki. Zwiedziłem Muzeum Brytyjskie i odzyskałem... pewne dzieło sztuki.

– A co? Jesteś pacykarz?

– Raczej ekspert w dziedzinie obrazów i rzeźb.

– No patrz! Tego nam brakowało! Tyle zgarniamy od Żydów, że słowo daję, potrzebni nam specjaliści jak ty. No i kupa szmalu jest do zgarnięcia. Spryciarz z ciebie, widać na pierwszy rzut oka. Ale jaja, ja złodziej i ty inteligencik, a obaj robimy dla Hitlera.

Tristan pominął to milczeniem, lecz ten człowiek go zaintrygował.

– A co ty robisz dla Führera? Nasi raczej rzadko noszą mundury SS, nie?

– Wiesz, to moje ubranie robocze. Przebrali mnie, jakeśmy jechali na lotnisko. Normalnie robię we francuskim Gestapo. Szkopy zatrudniły całą bandę kumpli, żebyśmy przywrócili porządek w naszym pięknym kraju. Ale po naszymu. Nie słyszałeś o Henrim Lafoncie i inspektorze Bonnym?

– Francuskie Gestapo... Nie słyszałem. W ostatnich latach dużo czasu spędzałem za granicą.

– Szybko załapiesz, o co biega. Przed wojną pan Lafont częściej bywał w pierdłu niż w luksusowych hotelach. Tak samo jak ja. Przyszły szkopy i zaproponowały mu, żeby zmontował ekipę do rozprawiania się z partyzantką i z Żydami. Wiesz, trza pobrudzić se graby z elementem anty, ale oficjalne służby są czyściutkie. Kapujesz?

– Tak, chyba tak.

– I w efekcie pan Lafont werbował, kogo się da. Na początek jednego gliniarza, Pierre'a Bonny'ego, drania jakich mało, gorszego niż niejednen z nas. Mnie Lafont załatwił wyjście z pierdla. No i odtąd służę...

Tristan nie posiadał się ze zdumienia. Chociaż na co dzień przestawał z esesmanami, wciąż odkrywał, do jakich podłości są zdolni.

Vinas z górnej kieszeni kurtki wyjął zielony kartonik ze swoim zdjęciem i runicznym symbolem SS.

– Patrz, to magiczna karta. Soldbuch się nazywa, wydana przez SD przy avenue Foch. Jak ją masz, rządzisz. Otwiera ci wszystkie drzwi. Wystarczy, że ją pokażesz, a wszyscy leją po nogach.

– Naprawdę...

– A najbardziej robią w portki gliny. W tamtym roku zrobiliśmy skok na bank przy rue des Victoires. Trzy melony! Pierwszy napad za okupacji. Tak, tak, szanowny panie. I wiesz co? Jak nas psy wyśledziły, pomachaliśmy im soldbuchami i spieprzali jak zające.

– Winszuję...

Skończyły się lasy i citroën jechał teraz przez wyludnione wioski. Nadchodził świt, ciemne niebo jaśniało. Mały gestapowiec znów łyknął koniaku i schował piersiówkę do kieszeni.

– Zejdzie jeszcze z godzinkę. Metę mamy u burżujów w Szesnastej Dzielnicy. Ty też tam się przytulisz. Służby mają z dziesięć pożydowskich mieszkań jak ta lala. Podrzucę cię tam i dam ci klucze. Wieczór przyjedzie po ciebie szofer. Należy ci się porządna balanga w stolicy.

– Jestem wykończony. Naprawdę nie mam ochoty na świętowanie.

– Nie pieprz, koleś! Będziesz miał cały dzień na odpoczynek, inteligenciku. Nie pożałujesz. Zabalujemy w Szoferce.

– Gdzie?

– A tak, wyleciało mi ze łba, żeś wrócił z księżyca... Tak żeśmy nazwali rezydencję pana Lafonta. Kamienicę przy rue Lauriston, siedzibę francuskiego Gestapo. Raz w miesiącu robi tam imprezę. Farciarz z ciebie, jesteś na liście gości. – Vinas poklepał Marcasa po udzie. – Życie jest piękne, nie?

– Lepiej, żeby było nie do zniesienia – mruknął Tristan ze znużeniem w głosie.

Londyn

Szacowna księgarnia Hildebrand Rarity mieściła się przy Morpeth Terrace, uliczce, która biegła wzdłuż katolickiej katedry westminsterskiej. Laure nigdy nie była w tej bogatej dzielnicy w pobliżu Victoria Station, ale wystarczyło jej kilka minut, aby się zorientować w topografii. Jak londynce czystej krwi.

Kiedy dochodziła do księgarni, jej wzrok przykuła monumentalna budowla w stylu neobizantyjskim, cała z czerwonej cegły i białego kamienia. Dawało się wyczuć, że episkopat polecił naczelnemu architektowi, aby wyraźnie się różniła od anglikańskiego opactwa westminsterskiego, gotyckiego rzecz jasna i stojącego kilka kwartałów dalej. Gdyby Laure miała czas, weszłaby do katedry, by zapalić świeczkę za Malorleya walczącego o życie w szpitalu wojskowym w Chelsea. Jeśli o nią chodzi, czuła się szczęśliwa, że uniknęła śmierci przez otrucie i wyszła z tego z trzema okaleczonymi paznokciami.

Zaczekała, aż przejedzie rozpedzona ciężarówka, po czym przeszła przez jezdnię, kierując się do księgarni. Jej front wydawał się równie zakurzony jak kolekcjonerskie dzieła ułożone ciasno na wystawie.

Raz jeszcze przeczytała karteczkę, którą jej przekazała sekretarka Malorleya. Hildebrand Rarity, Morpeth Terrace 7.

Adres się zgadzał. Dziwne miejsce jak na wezwanie z SOE.

Kiedy Laure pchnęła drzwi, zadźwięczał dzwoneczek. Wnętrze wydawało się puste.

Za regałami rozległo się jakby odchrząknięcie i spomiędzy dwóch rzędów półek uginających się pod ciężarem setek książek wyłonił się człowiek w szarym kitlu, zbudowany jak rugbista. Jego płaska twarz o wydatnych kościach zdawała się wyciosana w granicie. Skrzyżował ręce na muskularnej piersi, jakby dawał Francuzce do zrozumienia, że nie postąpi ani kroku dalej.

– Zamknięte z powodu inwentaryzacji – burknął. – Zapraszam w przyszłym miesiącu.

– Szkoda, bo znajomy mi powiedział, że dostanę u was oryginalne wydanie Rzyka Kristatosa.

– Wersję ilustrowaną?

– Tak, Yaroslava Horaka.

Nauczyła się hasła i odzewu na pamięć, lecz za diabła nie wiedziała, o co chodzi. O ile w ogóle istniało takie dzieło i jego autor. Księgarz jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki usunął się jej z drogi.

– Pójdzie pani korytarzem koło kasy. W magazynie są moi koledzy, powiedzą pani co dalej.

Pod jego inkwizytorskim spojrzeniem Laure przeszła we wskazane miejsce i znalazła się w jakby poczekalni, której pilnowało dwóch ludzi siedzących na zardzewiałych metalowych krzesłach. Obaj mieli przewieszzone przez ramię pistolety maszynowe. Laure machnęła im przed nosem legitymacją SOE.

– Kazano mi tu przyjść na dziewiątą.

– Muszę panią przeszukać – powiedział jeden z cerberów, drugi tymczasem szukał jej nazwiska na ręcznie spisanej liście.

– Ależ proszę.

Zrobiwszy swoje, strażnik obdarzył ją bladym uśmiechem.

– Proszę za mną.

Otworzył metalowe drzwi i ruszył kolejnym rzęście oświetlonym korytarzem.

– Gdzie jesteśmy? – spytała Laure.

– Nie jestem upoważniony do udzielania tej informacji – odparł sucho.

Laure przystanęła na moment. Dotarli do obszernej sali oddzielonej szkłem. W środku tego akwarium krążyło około dwudziestu osób w mundurach. Na ceglanych ścianach wszędzie wisiały mapy, na stołach znajdowały się liczne aparaty telefoniczne o żywych barwach. Istny sztab. Laure podążyła za strażnikiem, idąc wzdłuż szklanej ściany. Naraz dostrzegła, że w pomieszczeniu pojawił się biały dym. Z sufitu opadały gęste kłęby, zewsząd dobiegał przeraźliwy dźwięk dzwonka. Francuzka zastygła w miejscu. Ludzie w akwarium rzucili się do szafek, z których powyciągali maski i zadziwiająco spokojnie je nakładali. Następnie grzecznie ustawili się w szeregu i gęsiego wyszli z pomieszczenia na oczach przerażonej Laure. W niecałą minutę kolumna zniknęła w głębi korytarza.

– Co się dzieje?

– Ćwiczenia na wypadek ataku gazowego. To pomieszczenie służy do szkolenia ekip, które pracują w kwaterze głównej.

Strażnik wprowadził ją do malutkiego pokoiku bez okien, wyposażonego tylko w metalowy stolik i w dwa krzesła ustawione naprzeciw siebie. Na jednym mężczyzna około czterdziestki siedział z głową pochyloną nad teczką z dokumentami. Zsunięty na bok kapelusz zasłaniał mu prawą połowę twarzy.

– Dzień dobry, Laure, proszę spocząć – powiedział, nie patrząc na nią.

Agentka usiadła na metalowym krześle. Nigdy nie widziała tego człowieka w korytarzach SOE. Ale ta służba zatrudniała tylu ludzi...

– Gdzie jesteśmy? – zapytała z niepokojem w głosie.

– W centrum Orchidea – odpowiedział mężczyzna, nie przerywając przeglądania dokumentów. – Wróg zna adres naszej kwatery głównej przy Baker Street, dlatego wolimy dyskretniejsze miejsce.

– Kim pan jest?

– Nie mam nazwiska. Proszę mówić mi „major”, to wystarczy.

I podniósł na nią wzrok, ukazując niemal smutne jasne oczy. Były jakby wyblakłe i głęboko osadzone w oczodołach. Mężczyzna siedział zwrócony do niej półprofilem. Laure zauważyła, że prawa część jego twarzy jakby się zapadła. Teraz zrozumiała, dlaczego major nosi kapelusz zsunięty na bok – w ten sposób próbował ukryć swoje okaleczenie.

– Uważnie przejrzałem pani akta – powiedział człowiek bez nazwiska. – Coś nas łączy.

– Mianowicie?

Odwrócił twarz do światła i poklepał palcem okaleczony policzek.

– Oboje pokosztowaliśmy zatrutego jabłka.

– Nie rozumiem.

– Kapsułka z cyjankiem... Ja też z niej skorzystałem, kiedy w Reims zostałem aresztowany przez Gestapo. Niemcy zmusili mnie do wymiotów, ale trucizna zdążyła zaatakować błony śluzowe i mięśnie policzka. Nie skarżę się, miałem szczęście, bo francuscy partyzanci zdołali mnie odbić.

Laure nie wiedziała, co powiedzieć. Nie mogła oderwać oczu od jego na poły wypalonej twarzy.

– Pani los bardziej sprzyjał niż mnie – ciągnął, kładąc teczkę z dokumentami na stole. – Uciekła pani porywaczom i trucizna nie zdążyła zadziałać. Szczęście to najważniejszy czynnik w naszym szpiegowskim rzemiośle. A ja lubię się otaczać szczęściami.

– Przepraszam, ale nie bardzo rozumiem, co tu robię. Jestem z wydziału S, którym kieruje komandor Malorley.

Człowiek bez nazwiska pokręcił głową.

– Po nieudanej akcji przy Muzeum Brytyjskim wydział S został uśpiony. Jego zadanie skasowano, a pani przełożony nie jest w stanie sprawować swojej funkcji. Zostaje pani z powrotem przeniesiona do wydziału F, który zajmuje się działaniami w pani ojczyźnie. Jestem tutaj, aby panią ocenić. Dramatycznie brakuje nam agentek, które moglibyśmy wysłać w teren.

– Mogę się zobaczyć z komandorem?

– Nie.

– A z moim kolegą Aleisterem Crowleyem?

– Ach, z tym magiem... – rzekł z bladym uśmiechem, który przerodził się w grymas.

– Wysłaliśmy go na wieś, żeby odpoczął w wyspecjalizowanym ośrodku. Zajmą się nim psychiatrzy. Zastanawia mnie wybór Malorleya. Przecież ten spec od nauk okultystycznych przejawia ewidentne zaburzenia osobowości. Może seria elektrowstrząsów przywróci mu rozum.

– Ten człowiek uratował mi życie! Mógłby pan się zachować po ludzku.

– Ludzkie zachowania to w naszym fachu drogi luksus.

– Zauważyłam – powiedziała, machając zabandażowaną dłońią. – A w ogóle to nie spytał pan, czy interesuje mnie pańska propozycja. Nie przyszło panu do głowy, że seans manikiuru uodpornił mnie dokumentnie na zabawy w szpiega?

Człowiek bez nazwiska bez cienia emocji prześliznął się wzrokiem po jej ręce, jakby oglądał owada.

– Raport medyczny wskazuje, że za trzy miesiące odzyska pani pełną władzę w palcach.

– Mówiłam o swojej głowie. Myślałam, że umrę w tamtej piwnicy! Nie chcę więcej zaznać czegoś podobnego.

– Nie interesuje pani ratowanie ojczyzny? Przecież tym się pani kierowała, wstępując w nasze szeregi. Została pani wysłana do Wenecji i...

– To wszystko bajki! – przerwała mu. – Straciłam czas na uganianiu się za mrzonkami.

Major pokiwał głową i wstał, wkładając teczkę pod pachę.

– Proszę to przemyśleć. Na razie będzie pani przydzielona do administracji przy Baker Street. Jedna z pracownic jest w ciąży, bez problemu pani ją zastąpi.

Laure zaśmiała się urągliwie, machając znowu okaleczoną ręką.

– Ho, ho...! Posada sekretarki. A to dopiero awans! Z maszyny do pisania aż będą szły iskry.

– Nic nie będzie pani pisała. To dział logistyki operacji w Europie. Będzie pani uczestniczyła w planowaniu misji. Może za jakiś czas zmieni pani zdanie.

– Mocno wątpię.

– W takim razie wygramy wojnę bez pani.

Paryż

Kamienica przy rue Lauriston 93

Kelnerzy w liberii lawirowali między szacownymi gośćmi w salonie przeładowanym złoceniami. Francuzi występowali w smokingach, Niemcy w galowych mundurach, panie w sukniach wieczorowych. Jak zwykle pan Henri Lafont sprosił kolaboracyjną paryską śmietankę towarzyską – w hierarchii pionowej i poziomej. Wyszukaną mieszaninę ambitnych wysokich funkcjonariuszy, egzaltowanych dziennikarzy germanofilów, aferzystów, którzy się wzbogacili na czarnym rynku, wyższych oficerów Wehrmachtu i SS, aktorek pnących się ku sławie, luksusowych prostytutek i ludzi z półświatka szukających protektorów.

Wspaniałe przyjęcie z „kiełbasą przepijaną szampanem”, jak mawiali paryżanie niechętni porozumieniu francusko-niemieckiemu.

Na podwyższeniu ozdobionym gigantycznymi bukietami szkarłatnych róż i nieskazitelnie białych lilii orkiestra złożona z dziesięciu muzyków grała modne melodie nadawane na szarozielonych falach stacji Radio Paris.

Tristan wziął kieliszek szampana z tacy przemykającego obok kelnera, obserwując z fascynacją i odrazą cały ten elegancki świat. Nigdy nie przypuszczał, że można wydać tak luksusowe przyjęcie, podczas gdy zwykli Francuzi od dawna muszą się zadowalać żywnością racjonowaną.

Dwie atrakcyjne kobiety w sukniach ze srebrno-szmaragdowej lamy zakołysały przed nim biodrami. Jedna z nich, brunetka o filuternych ustach, obrzuciła go uwodzicielskim spojrzeniem. Coś szepnęła na ucho przyjaciółce, po czym się odwróciła i skierowała na parkiet.

Tristan odwrócił wzrok od kobiety i podszedł do okazałego bufetu zastawionego tacami z owocami morza i srebrnymi podłużnymi półmiskami z górami grubych plastrów pieczystego i dziczyzną. Kelnerka z uśmiechem podała mu napełniony talerz.

Nie dał się prosić. Umierał z głodu. Kiedy złodziejaszek w esesmańskim przebraniu odstawił go do luksusowego apartamentu przy avenue Mozart, padł na łóżko i obudził się dopiero pod wieczór. Zdążył tylko wziąć prysznic i zastanowić się nad swoim położeniem. Wydawało się, że może się swobodnie poruszać, przed budynkiem nie spostrzegł nikogo, kto by wyczekiwał i chciał go śledzić. Wczesnym wieczorem do jego

drzwi zapukał szofer, który przywiózł mu smoking w odpowiednim rozmiarze i miał go odstawić na przyjęcie w kamienicy przy rue Lauriston. Po jakimś wahaniu Marcjas zgodził się pojechać. Na samą myśl, że ma postawić nogę w siedzibie Gestapo, robiło mu się niedobrze, może jednak był to kolejny test na wierność, któremu poddawało go SS. Tak czy owak, był uziemiony w Paryżu, dopóki nie odezwą się jego berlińscy przełożeni. Już go nie potrzebowali, poszukiwania zostały zakończone. W każdej chwili mógł przyjść rozkaz, żeby go wyeliminować kulą w łeb.

W jego wyczerpanym umyśle wyłoniła się twarz Eriki. Na pewno za pośrednictwem Gehlena już wiedziała, gdzie Marcjas przebywa, lecz jeszcze się z nim nie skontaktowała. Teraz, gdy na powrót trafił w łapy SS, Erika znowu stawała się dla niego największym zagrożeniem. W każdej chwili mogła go wydać z wyrachowania lub z zazdrości. Jakiś głosik podszeptował mu jednak, że Niemka nadal go kocha.

Mózg ponownie mu się przegrzewał, był na granicy paranoi.

Zastanawiał się chwilę, czyby nie nawiązać kontaktu z siatką z rue de l'Oratoire i nie przekazać wiadomości do Londynu. Tylko co powie Anglikom? Że relikwię wyekspediowano do Berlina? Że zdecydowanie nawalił?

Był teraz dla wszystkich równie użyteczny jak maszyna do szycia dla rzeźnika.

Orkiestra niespiesznie zaczęła grać dawną melodię niepasującą zupełnie do tandetnej dekoracji sali, do zbyt zdobnych żyrandoli i nadmiernie przystrojonych ścian. Tristan jednak miał w nosie program muzyczny wieczoru – skupiał się na plastrze soczystej pieczeni wołowej.

– Jak się ma pieścioszek Himmlera? Nie trza stać tak samotnie, stary.

Tristan się odwrócił. Jean Vinas, mały gestapowiec, stał przed nim w towarzystwie młodej blondynki, która przewyższała go więcej niż o głowę.

– Rybko, przedstawiam ci mojego przyjaciela Tristana. Nie wygląda, ale to as od starych obrazków i rzeźb.

– Milutki – zagruchała dziewczyna. – Mogłabym mu przedstawić parę wolnych koleżanek...

– I na dokładkę ma wejścia w Berlinie. U samego szefu SS, wiesz, u Himmlera.

– Bez przesady... – zaoponował Marcjas.

W tej chwili muzyka ucichła. Na podwyższenie wszedł korpulentny jegomość i przykleił nalaną, spoconą twarz do srebrnego mikrofonu. Wszyscy skierowali wzrok na niego.

– To pan Lafont – szepnął Vinas. – Prawdziwy twardziel! Patrz tylko na tych frajerów, jedzą mu z ręki, a jeszcze dwa lata nazad Lafont walił żelazną miską w kraty celi w pierdłu.

Szef francuskiego Gestapo podniósł ręce z szerokim uśmiechem na twarzy.

– Przyjaciele, poproszę o chwilę uwagi. W pierwszej kolejności chcę podziękować panu ambasadorowi Rzeszy, jego ekscelencji Ottonowi Abetzowi, który uczynił nam ten zaszczyt i przyjął zaproszenie.

Blondyn o prostokątnej twarzy skłonił się lekko w odpowiedzi na oklaski.

– Chciałbym również podzielić się radością – ciągnął Lafont – że Francja wielkimi krokami ściga politykę rasową Niemiec. Jak państwo wiedzą, w czerwcu marszałek Pétain podpisał doskonałą ustawę, która każe wszystkim Żydom, dużym i małym, nosić ten ich okropny symbol, żółtą gwiazdę Dawida. Nareszcie! Czas najwyższy. Jeśli ktoś z państwa chce ją nosić na wyłogu smokinga, mogę taką dostarczyć w promocyjnej cenie. Zostałem udziałowcem przedsiębiorstwa, które je produkuje. Próbkę otrzymają państwo przy wyjściu. – Urwał na kilka sekund, obserwując reakcję zgromadzonych, po czym zadowolony z siebie parsknął śmiechem. – Oczywiście żartuję.

Zewsząd dobiegły śmiechy kwitujące poczucie humoru gospodarza.

– Chcę też uczcić datę magiczną dla wszystkich tu obecnych – kontynuował. – Chodzi mi o szesnasty lipca tego roku, kiedy to odbyła się obława na Vélodrome d’Hiver. Powitajmy sekretarza generalnego policji obecnego wśród nas, pana Reného Bousqueta! Może państwo nie wiedzą, ale to on dwa tygodnie temu zorganizował tę znakomicie przeprowadzoną operację przesiedlenia żydowskich rodzin.

Wszystkie spojrzenia skierowały się na ubranego jak spod igły szczupłego bruneta, który wzniesionym kieliszkiem szampana pozdrowił gospodarza.

– Chwali się często niemieckie zorganizowanie, i słusznie – mówił dalej Henri Lafont – ale tym razem możemy być dumni z naszych narodowych rozwiązań. Pan Bousquet mi wyjawiał, że w ciągu dwóch dni pojmano ponad trzydzieści tysięcy Żydów, mężczyzn, kobiet i dzieci. W tym tempie do końca roku uporamy się we Francji z żydowskim zagrożeniem. A wszystko dzięki pięciuset francuskim policjantom i żandarmom, którzy pozamykali tę hołotę. Podziękujmy im za wyrzeczenia i odwagę!

– A co się stało z tymi Żydami? Gdzie się podzieli? – zapytał starszy człowiek z obwisłymi wąsami. – Chybaście ich nie posłali do Jerozolimy?

– Wszyscy pociągami pojechali do obozów koncentracyjnych w Polsce, gdzie odkrywają, jak smakuje praca na świeżym powietrzu. Już wy się nimi dobrze zajmiecie, prawda, pułkowniku Knochen?

Esesman o pucołowatej twarzy, szef niemieckich służb porządkowych w Paryżu, uśmiechnął się szeroko.

– Obiecuję! Już są tam, gdzie ich współbracia pojmani w Belgii i w Holandii. Pragnę zauważyć, że w przeciwieństwie do tego, co państwo sobie myślą, my, narodowi socjaliści, potrafimy być delikatni i poetyccy. Nazwaliśmy to rasowe sprzątanie

operacją Wiosenny Wiatr. Życzę państwu i sobie, żeby ten wiatr jeszcze powiał, aż na zawsze wymiecie wrogów Wielkiej Rzeszy.

Rzęsiste oklaski powitały tyradę esesmana. Tristan poczuł zimny dreszcz na grzbiecie. Wielokrotnie słyszał w Berlinie i na zamku Wewelsburg aluzje do obozów koncentracyjnych na Wschodzie. Dla nikogo z dowódców SS los Żydów nie był tajemnicą.

Tristan z odrazą wysłuchiwał tych okropności. Pora opuścić to zgromadzenie demonów w ludzkiej postaci. Oddychanie tym samym co one powietrzem stawało się torturą.

Kiedy Henri Lafont schodził z podwyższenia do gości, orkiestra zaczęła grać tęskną Lili Marlene. Na parkiecie tanecznym kręciły się przytulone pary.

Marcas ruszył w stronę wyjścia, przepychając się między ludźmi. Minał odpowiedzialnego za obławę sekretarza generalnego policji, który prowadził ożywioną rozmowę z krępyim człowiekiem o surowej twarzy ozdobionej zadzierzystem wąsem.

– Drogi panie Darnand¹⁹, nalegam. Kluczem do nazistowskiej wielkości jest SS. Bez Himmlera i jego oddziałów budowla się zawali i Hitler spadnie z tronu. Reichsführerowi podlegają wszystkie służby porządkowe i wywiadowcze, poza tym kieruje imperium przemysłowym, rządzi częścią wojsk z dywizjami Waffen SS. A SS to państwo w państwie i żelazne ostrze polityki rasowej reżimu. Himmler jest kimś więcej niż tylko dowódcą. To mistyk pomnożony przez technokratę. Jedyiny w swoim rodzaju. Ewidentnym dowodem na to jest jego przemysłowe podejście do rozwiązania problemu żydowskiego. Wszystko prowadzi do niego. Obozy, deportacje, prawa rasowe w krajach okupowanych, grabieże...

– Zapomina pan o charyzmie Führera. Naród idzie za nim.

– Owszem, ale gdyby Himmler nie pilnował porządku, panowałby chaos. Praktycznie co dzień mam do czynienia z esesmanami i muszę panu powiedzieć, że oni się uważają za prawdziwych panów Niemiec.

– Może... Ale nie są niepokonani. Widział pan, co się stało w Pradze po zamachu na Heydricha. Niemcy o mało nie stracili gruntu pod nogami. Taka jest granica ich skuteczności. Gdyby coś takiego przydarzyło się Himmlerowi, wcale nie jestem pewien, czy SS by się pozbierało. Generałowie Wehrmachtu pożarliby je na surowo.

– Ano prawda, że jego śmierć mogłaby mocno przyhamować operację Wiosenny Wiatr.

– Życmy mu zatem zdrowia. Naprawdę bardzo bym chciał, żeby Francja raz na zawsze pozbyła się tego talmudycznego plemienia.

Tristan dość się nasłuchał. Zemdlilo go, kiedy padło wyrażenie „przemysłowe podejście do rozwiązania problemu żydowskiego”. Antysemicka zaraza doprowadzała do szaleństwa każdego, kto ją złapał.

Klucz do nazistowskiej wielkości.

Bousquet użył trafnego określenia. Marcas wystarczająco dużo przebywał w obecności Reichsführera, aby ocenić zasięg jego władzy.

Te słowa nie przestawały krążyć mu po głowie.

W chwili gdy zbliżał się do wyjścia, nadział się na Vinasa.

– Podobała ci się przemowa szefa?

– Nie mam pewności, czy deportowani korzystają w Polsce ze świeżego powietrza. Wieść gminna niesie, że w obozach na Wschodzie masowo mordują Żydów.

Mały gestapowiec wzruszył ramionami.

– Fakt, trochę za daleko się posuwają, zwłaszcza z kobietami i dzieciarnią, ale w naszym fachu nikt nie będzie sentymentalny. No, inteligenciku, korzystaj z wieczoru! Patrz, chybaś wpadł w oko księżnej Eufrozynie.

Stojąca po drugiej stronie bufetu olśniewająca brunetka w srebrnej sukni wpatrywała się w Tristana tęsknym wzrokiem.

– Prawdziwa arystokratka czy przezwisko?

– Jasny gwint, dla jednych czysta błękitna krew, dla innych zwyczajna czerwona! Zwerbowałimy nieduże kółko splukanych markiz, księżnych i baronowych. Otwierają przed nami drzwi do wyższych sfer i zadzierają kiece w służbie Wielkiej Rzeszy. Mówimy na nie „gestapowskie hrabianki”. Przedstawić ci ją?

– Nie, dzięki. Pójdę już. Wolę być w dobrej formie, jeśli jutro Himmler wezwie mnie do Niemiec.

– Ale ponurak z twojego kumpla! – wtrąciła blondyna, ciągnąc gestapowca za rękaw. – Idziesz tańczyć?

Tristan nie słuchał dziewczyny. Z przewodu kominka dobiegały go jakby zduszone jęki.

– Dziwne... Ze ściany wychodzą chyba krzyki – zauważył.

Vinas westchnął i odepchnął blondynę.

– Mimi, idź, weź se homara z bufetu i potańcz z nim. Ja muszę coś załatwić.

Pospieszył do Henriego Lafonta i szepnął mu coś na ucho. Lafont, wyraźnie niezadowolony, skinął na dyrygenta orkiestry. Słodka melodia Lili Marlene przeszła w donośny walc wiedeński.

Gestapowiec wrócił do Tristana i wyciągnął go z salonu.

– Zanim pójdziesz, musisz poznać drugą stronę medalu. Otworzyłem przed tobą drzwi do raju, a teraz otworzę do piekła.

Londyn

Lewisham

Whitburn Road

Conrad wolnym krokiem wracał własnym śladem ze wzrokiem utkwionym w ziemi, jakby szukał zgubionego klucza czy czegoś innego, w końcu się zatrzymał, schylił i coś podniósł z chodnika. Tyle że rękę miał pustą. Mimo ciemności cała ta scenka miała na celu jedynie sprawdzenie, czy nie jest śledzony. Oparł się o ścianę, zapalił papierosa i przyjrzał się kolejno każdemu oknu. Mogli się za nimi kryć ludzie Malorleya i rzucić się na niego jak stado sępów. Uspokojony zadzwonił pod numer sześćdziesiąt dwa, gdzie widniała tabliczka lekarza. Drzwi się uchyliły powoli, wyjrzał przez nie starszy człowiek o przeredzonych włosach i nieufnym spojrzeniu, wpuścił Niemca do środka.

– Dobry wieczór, Conradzie. Pańska żona odpoczywa na górze. Cieszę się, że pan już jest, niecierpliwie czekała na pański powrót.

Weszli obaj po rozchwianych schodach. Conrad przyszedł tu nie po raz pierwszy. Lekarz, długoletni sympatyk nazizmu, należał do siatki Abwehry, a jego gabinet służył jako przechowalnia dla przejezdnych agentów. Tym razem jednak doktor się włączył, aby podjąć próbę kurowania Suzan.

– Jak ona się ma? – zapytał Conrad.

– Obawiam się, że źle. Nafaszerowałem ją morfiną, bo bardzo cierpi. Obrażenia ma liczne i głębokie. Udało mi się wyjąć trzy pociski, ale jeden został, bo utkwiał za blisko serca. Powinna trafić na salę operacyjną. Ale... – Urwał i położył Conradowi dłoń na ramieniu. – Zna pan procedury w takich przypadkach.

– Nie musi mi pan przypominać. Zakaz leczenia agentów przez wroga. Kiedyś już się do niego musiałem zastosować. Nie ma innej możliwości? Może udałoby się ją przewieźć do Francji samolotem, którym ja tu przyleciałem?

Lekarz pokręcił głową.

– Nie przeżyłaby transportu. Przykro mi, wiem, jak mocno jesteście ze sobą związani...

– Ja to wiem znacznie lepiej, doktorze.

Conrad pchnął drzwi pokoju na poddaszu. W spowitym półmrokiem pomieszczeniu unosiła się woń środków dezynfekujących, która przyprawiała o zawrót głowy. Wiadro

stojące w nogach łóżka wypełniały brudne kompresy i wystrzępione bandaże. Z mocno bijącym sercem Conrad usiadł przy żonie.

Suzan wyglądała jak przyrośnięta do łóżka. Twarz miała bladą, wychudzoną, oczy półprzymknięte. Conrad ujął jej dłoń. Była lodowata.

Po raz pierwszy od lat agent Abwehry był o krok od załamania. On, który nie odczuwał nawet cienia żalu, gdy musiał zabijać wrogów Rzeszy, stracił hart ducha, kiedy koło fortuny się obróciło i bezlitosna kostucha się przymierzała, by przeciąć żywot jego żony. Omal nie krzyczał z gniewu i bezsilności. Szczególnie psioczył na tę przeklętą relikwię, która zniszczyła mu życie.

Poczuł, że Suzan ściska mu dłoń.

– Conrad... kochany... to ty?

– Zostawię państwa – rzekł lekarz, który przystanął w drzwiach. – Proszę zawołać, jeśli będą państwo czegoś potrzebowali.

Agent przyłożył dłoń do rozpalonego czoła Suzan.

– Zostanę już z tobą. Wszystko będzie dobrze. Dzięki tobie wykonaliśmy zadanie.

Suzan nagle się wzdrygnęła, jakby usłyszała złą nowinę. Uniosła głowę, wybałuszając oczy. Mocno chwyciła męża za nadgarstek.

– Nie... Daliśmy się... nabrać.

– Komu?

Brakowało jej tchu, czyniła nadludzkie wysiłki, aby dalej mówić.

– Tristanowi... Na ulicy... Anglik... go znał... znali się.

Conrada ze zdumienia aż zatkało. Dali się oszukać, a Suzan umrze.

– Powiadom Berlin... szybko... To zdrajca.

Paryż

Siedziba francuskiego Gestapo

Rue Lauriston 93

Tristan i Vinas przeszli korytarzem i zatrzymali się przed uchylonymi drzwiami pokoju.

– Pokój niebieski... Raj – szepnął kolaborant. – Nasyć oczy, chłopie.

Tristan wsunął głowę i zaskoczony ujrzał grupę nagusieńkich mężczyzn i kobiet przewalających się w różnych pozycjach na łożu z baldachimem. Na podłodze nakrytej perskim dywanem kobieta o obfitym biuście w esesmańskiej czapce skrapiała szampanem dwóch leżących pod nią mężczyzn. Zauważyła Tristana i skinęła na niego, aby do nich dołączył. Tristan na oczach rozweselonego Vinaso czym prędzej się wycofał.

– Jak chcesz, możesz przygruchać hrabinę i dołączyć do zabawy. Hrabina to kocha.

– Bez żartów... Już rozumiem, skąd dochodziły krzyki.

Vinas pokręcił głową.

– Źle myślisz. Chodź.

Zeszli po schodach do piwnic i dotarli do szeroko otwartych żelaznych drzwi.

– Mamut znów zapomniał zamknąć – zezłościł się Vinas. – A to drzwi do piekła.

Rozległo się przeraźliwe wycie. Gestapowiec wprowadził Tristana do długiego pomieszczenia o szarych murach ociekających zielonkawą wilgocią. Pośrodku znajdowała się wbudowana wanna, w drugim końcu piwnicznej izby trzech mężczyzn stali przed człowiekiem przywiązany do czegoś w rodzaju kobyłki. Jego poharatana twarz spływała krwią. Jeden z oprawców kręcił młynka szeroką łopatką pokrytą żyletkami. W drugiej części izby rozległo się szlochanie. Tam na ziemi leżały dwie kobiety.

– Abel! – ryknął Vinas. – Ile razy ci mówiłem, żeby zamykać drzwi? Na górze szef ma przyjęcie.

Człowiek z łopatką, olbrzym o pokiereszowanej twarzy, obejrzał się na niego.

– Wybacz. Ten Żydek nie chce podać nazwisk swoich kumpli, którzy mieli galerie sztuki. Jak tak dalej pójdzie, trzeba będzie się zająć mamusią i córunią.

– Przysięgam, że... nic nie wiem... Litości – błagał torturowany biedak.

Tristan z przerażeniem spojrział na kobiety.

– Chyba nie zamierzacie ich torturować?

Vinas wzruszył ramionami.

– To zależy. Większość wcześniej pęka i nie trza brudzić se rąk, ale czasem nie ma lekko.

– A jeżeli on mówi prawdę? Jeżeli nic nie wie?

– Ha, to trudno, kobitki nie mają szczęścia... Ja tam bab się nie tykam, ale Abel Mamut nawet to lubi. Technika naszych niemieckich przyjaciół z Gestapo. Bezkonkurencyjna, jak trza coś wyciągnąć z partyzantów albo z Żydów, którzy pochowali dzieła sztuki. Między nami mówiąc, zdaje się, że metodę dopracował twój kumpel Himmler.

– To nie jest mój kumpel – burknął Tristan. Odnosił wrażenie, że wszystkie potworności, które słyszał i oglądał, zawsze prowadzą do złowieszczego Reichsführera.

Torturowany człowiek z płaczem coś bełkotał.

– Co się z nimi stanie? – zapytał Tristan, którego zemdliło.

– Jak Żydek będzie współpracował, przekabacimy go, żeby został informatorem, a kobitki wrócą do domu. Żywe zawsze będą elementem nacisku. Jeśli Żydek odmówi, zabawimy się z nimi na jego oczach, a potem cała trójka zażyje kąpieli w Sekwanie z nogami obciążonymi jakimś żelastwem.

Tristan nie odwrócił wzroku – popatrzył na katowanego, potem na przerażone kobiety.

W głowie zapłonęła mu iskierka i wybuchła gniewem. Przestał nagle mieć wątpliwości, już nie czuł się przybity. Nie mógł nic zrobić, by uratować tych nieszczęśników, ale teraz wiedział, jak zahamować źródło zła. To takie oczywiste! Dawno temu powinien był przejrzeć na oczy. Jeszcze tylko musi odzyskać wcześniejszą pozycję.

– Dość już widziałem. Bardzo pouczające.

Jak automat wyszedł z piekielnej piwnicy, za nim podążył gestapowiec. Na górze znów szli korytarzem, przy którym odbywała się orgia. Marcjas stwierdził, że raj znajduje się dokładnie nad piekłem. Zacisnął pięści i przyspieszył kroku, by jak najszybciej dotrzeć do wyjścia. Kiedy mijali drzwi prowadzące na salony, stanął przed nim kapitan SS.

– Herr Marcjas, pilny telefon z Berlina, z biura Reichsführera. Może pan odebrać w gabinecie sekretarza pana Lafonta. Zaprowadzę.

Tristan poczuł na karku zimny dreszcz. Los znowu dawał znać, że o nim pamięta.

Vinas aż gwizdnął.

– Jasny gwint, telefon od samego Himmlera! Możesz mu powiedzieć o mnie. Aryjczyku jak ta lala.

– Nie omieszka.

Marcas pomaszzerował za esesmanem i wszedłszy do pokoju, zamknął drzwi. Kiedy podniósł słuchawkę, natychmiast rozpoznał damski głos.

– Winszuję odnalezienia relikwii – powiedziała Erika von Essling. – Właśnie dotarła do Ahnenerbe. Patrząc na nią. Dziwne, ale wydaje się, że ta swastyka wydziela jakąś własną energię. O mało nie straciłam przytomności. Ale nic nie szkodzi, to wielki dzień dla Rzeszy.

– Miło mi, że się cieszysz, ale nie jestem dziś w towarzyskim nastroju. Wyszedłem dopiero co z piwnicy, w której torturują jakiegoś biedaka na oczach jego żony i córki.

– Przykro mi... Chciałam też podzielić się z tobą dobrą nowiną.

– Nie mogę się doczekać.

– Za tydzień odbędzie się specjalna ceremonia dla uczczenia czwartej relikwii – powiedziała archeolożka. – Poprosiłam Reichsführera, żebyś był na niej. Przynajmniej tyle możemy zrobić, przecież dzięki tobie mamy tę swastykę. Przy okazji Himmler osobiście odznaczy cię Krzyżem Żelaznym Pierwszej Klasy.

Zapadła długa cisza.

– Jesteś tam, Tristanie?

Francuzowi serce skoczyło w piersi. Znajdzie się w pobliżu relikwii. Ale nie to było najważniejsze: oświecił go ten wieczór zakrapiany alkoholem, obsceniczny, rozwiązły, krwawy.

– Tak... Nie mogę się doczekać, kiedy was zobaczę. Gdzie?

– Na Bornholmie, duńskiej wyspie na Bałtyku. Ahnenerbe otworzyło tam biuro terenowe. Poślę po ciebie samolot. Chciałam ci powiedzieć... Brakuje mi ciebie.

– A mnie ciebie, Eriko. Jestem...

Nie zdążył dokończyć, rozłączyła się bowiem.

Tristan wyszedł z gabinetu rozgorączkowany. Wielka gra znów się zaczynała, tym razem jednak wiedział, jak się zakończy. I że teraz on będzie wodzirejem.

W korytarzu prowadzącym do salonu natknął się nos w nos na Vinasa z ożywieniem rozmawiającego z Henrim Lafontem. Mały gestapowiec dokonał prezentacji. Gospodarz wyciągnął rękę do Marcasa, który ją uścisnął z uczuciem, że ujmuje w dłoń śmiertelnie jadowitą żmiję.

– Sam Himmler zadzwonił do pana? – ekscytował się Lafont.

Tristan w pierwszej chwili chciał odpowiedzieć wymijająco, lecz zaraz się zreflektował.

– Tak. Za kilka dni osobiście odznaczy mnie Żelaznym Krzyżem Pierwszej Klasy.

Lafont gwizdnął przeciągle.

– Ho, ho, diabelnie wysoko pan sięga! Też bym chciał go mieć, nawet Drugiej Klasy. Żeby zadziwić niemieckich przyjaciół.

Tristan się uśmiechnął, choć wyglądało to raczej na skrzywienie.

– Można by to załatwić...

– Dam, co pan zechce. Pieniądze, kobiety... Nawet moją ulubioną kochankę.

– Aż tyle nie żądam. Niech pan tylko wypuści ludzi, którzy teraz siedzą w piwnicy, i da słowo, że o nich zapomni.

Lafont zmarszczył brwi i zwrócił się do Vinas:

– Czemuście ich przymknęli?

– Płotki. Żydzi. Mamut twierdzi, że facet zna właścicieli galerii, którzy ukrywają obrazy. Ale mnie to się nie widzi.

Lafont obrzucił Tristana podejrzliwym wzrokiem.

– Czemu pan chce, żeby ich uwolnić? Tylko niech pan mi nie mówi, że z dobroci serca. Nigdy nie spotkałem protegowanego Himmlera, który by się zatroszczył o żydowską rodzinę.

– Przed wojną znałem ojca tego człowieka – skłamał Tristan. – Wydobył mnie z tarapatów, kiedy miałem problem z policją. Dzięki niemu uniknąłem pudła...

Twarc szefa francuskiego Gestapo pojaśniała.

– A, z wdzięczności, to rozumiem! I na pewno uda się panu załatwić dla mnie Żelazny Krzyż u swojego szefa?

– Gdybym powiedział, że tak, byłaby to czysta kpina z pańskiej inteligencji, ale tak wszystko poukładam, że pańska prośba znajdzie się na szczycie listy.

Lafont poklepał go po ramieniu.

– Załatwione! Vinas, każ ich zaraz wypuścić i przeproś. Daj im parę franków na drogę, żeby się pozbierali po tyłu emocjach. A teraz przepraszam, idę do moich przyjaciółek w niebieskim pokoju.

Odszedł kołyszającym się krokiem, cały zadowolony.

– Mam ci podesłać szofera, żeby cię odwiózł? – zapytał Vinas.

– Nie, świeże powietrze dobrze mi robi.

– Widzimy się jutro?

– Zobaczymy. Miłego wieczoru.

Tristan pożegnał złodziejaszka i wyszedł z budynku. Miał teraz już tylko jedną obsesję: doprowadzić do końca to, co uważał za swoje priorytetowe zadanie. W tym celu jednak musiał uprzedzić Londyn. Przyspieszył kroku, modląc się, aby siatka z rue de l'Oratoire była nadal aktywna.

Chłodny wiatr owiał mu twarz. Chyba nigdy jeszcze Marcas nie miał tak jasnego umysłu. Tak żywego. W gruncie rzeczy mało go obchodziło, czy Londyn przeprowadzi operację na czas. On wiedział, co teraz jest ważne. Wcale nie relikwia. Los go dopadł i trzymał za kołnierz kurtki kolaboranta pierwszej klasy. W jednym jedynym celu.

Należało koniecznie odciąć głowę monstrualnemu potworowi, jakim było SS, które siało postrach w całej Europie. Powinien był dawno to zrobić. Rozmowa dwóch kolaborantów na przyjęciu była znakiem z niebios.

Należało zabić Himmlera.

Rok wcześniej w Wenecji Marcas miał okazję usunąć Hitlera. Odciąć głowę wężowi. W ostatniej chwili jednak wybrał odzyskanie relikwii, tak silną miał obsesję jej odnalezienia.

To był błąd. Potworny błąd.

Drugiego nie popełni.

Himmler zapłaci za Hitlera. Zapłaci za wszystkie ich zbrodnie.

Zaczął się odliczanie. Za siedem dni. Na Bornholmie. A dokładnie w chwili, kiedy szef SS będzie mu wręczał Żelazny Krzyż. Tristan wyjmie wtedy z kabury lugera i strzeli z bliska. Wpakuje cały magazynek w tę jego szczurzą twarz.

To będzie jego ostatni cios. W samo serce nazistowskiej hydry.

Jeden cios, który być może zmieni bieg tej wojny. Gruntowniej i pewniej niż jakakolwiek relikwia.

*Dacza w Kuncewie
Przedmieście Moskwy*

Panowała noc, jednakże las, który otaczał rozległą drewnianą daczę, był rzęsiście oświetlony. Reflektory obejmowały cały perymetr bezpieczeństwa. Nawet wiewiórka by nie przemknęła do prywatnego domu Stalina. Dyktator tego wieczoru wydawał protokolaną kolację na cześć Churchilla przybyłego trzy dni wcześniej z dyplomatyczną świtą oraz przedstawicielem amerykańskiego prezydenta.

Jewgienij czubkiem buta zgniótł żabkę, której kumkanie drażniło go od dobrego kwadransa. Oprócz trzystu strażników zwykle pilnujących obiektu – samych enkawudzistów – rozkazał, aby w promieniu dziesięciu kilometrów od daczy w koncentrycznych kręgach zajęły pozycje dwie jednostki pancerne i trzy oddziały piechoty. W sumie zatem strzegło jej prawie tysiąc ludzi. Nie licząc dwudziestu baterii przeciwlotniczych rozstawionych w strategicznych punktach.

Prawdopodobieństwo, że Niemcy zorganizują zamach, było bliskie zera, ale Jewgienij, któremu Stalin zlecił ochronę posiadłości, wolał nie ryzykować kariery i życia w razie czego. Napięcie w powietrzu było niemal namacalne, wiedział, że tego wieczoru toczy się gra o wszystko między jego Wodzem i Anglikami. Obydwie delegacje usiłowały doprowadzić do porozumienia, lecz odmowa ze strony anglosaskich sojuszników otwarcia drugiego frontu we Francji wprawiła Stalina w parszywy humor. Brytyjczycy mieli wyjechać nazajutrz, toteż każda ze stron mierzyła straszne konsekwencje braku wspólnego oświadczenia. Jewgienij wcześniej znowu nalegał, by Wódz dodał relikwię do listy swoich żądań w zakresie sprzętu. Gdyby był wierzący, modliłby się do Boga o szczęśliwe zakończenie konferencji. On jednak wolał przyzywać mary Lenina.

Zadowolony z inspekcji północnej części posiadłości Jewgienij przeszedł przez bujnie zarośnięty ogród i przez cieplarnię prowadzącą do głównego wejścia. Było to jedno z ulubionych miejsc Stalina, który się szczyił, że ma rękę do roślin. Dyktator godzinami pielęgnował to, co u niego rosło, a trzech ogrodnicy, zatrudnieni w pełnym wymiarze godzin, nie żalowali trudu, by go zadowolić. Ich gorliwość bazowała na wysokiej płacy, trzy razy większej niż pobory strażników, i na strachu, żeby nie zesłano ich na Syberię, gdyby mszyce obsiadły krzewy różane albo grzyby załęgły się

na arbuzach, nowej ogrodniczej namiętności Wodza. Stalin osobiście posadził dwa rządki arbuzów, które kazał podawać w trakcie wydawanych oficjalnych obiadów czy kolacji.

Jewgienij dotarł do drzwi daczki, skinął głową oficerom na warcie i wszedł do domu. Zerknął na zegar ścienny. Dwudziesta trzecia dziesięć. Znając Wodza, wiedział, że danie główne jeszcze nie zostało podane i że alkohol leje się strumieniami. Upijanie biesiadników było strategią całkiem skuteczną. Ważne negocjacje Stalin zawsze prowadził po zakrapianych kolacjach, w odróżnieniu bowiem od większości gości miał mocną głowę.

Tym razem jednak znalazł w Churchillu godnego przeciwnika. Angielski premier przetrwał już trzy posiłki sowicie podlewane alkoholem, nie okazując oznak nadużycia trunków.

Jewgienij dyskretnie uchylił drzwi do jadalni. Wokół długiego odświeżonego stołu, nakrytego śnieżnobiałym obrusem i ozdobionego wazonami ogniście czerwonych róż, dwunastu członków delegacji angielskiej i rosyjskiej wznosiło kieliszki z rżniętego kryształu naprzeciwko Churchilla i Stalina, którzy stali wyprostowani jak syberyjskie brzozy.

– Za odwagę narodu rosyjskiego i determinację jego przywódcy, marszałka Stalina! Oby nasze kraje potrafiły ufnie współpracować, by wygrać tę wojnę!

Angielski premier wypił duszkiem kieliszek kaukaskiego wina, kątem oka obserwując gospodarza. Czerwony car nie kazał się prosić i także wychylił toast.

– Dla ludzkości wstaje nowy dzień – rzekł, odstawiając pusty kieliszek. – Liczę, że w nieodległej przyszłości napijemy się w jadalni niemieckiego urzędu kanclerskiego. Może nawet przy zwłokach Hitlera!

Wokół rozległy się śmiechy. Był to ósmy toast od początku kolacji i właśnie na stół zaczęły wjeżdżać prosięta z różna. Amerykański ambasador Averell Harriman, specjalny wysłannik prezydenta Roosevelta, gawędził z sowieckim ministrem spraw zagranicznych Mołotowem, tym samym, który trzy lata wcześniej podpisał z Niemcami pakt o nieagresji.

Angielski i rosyjski przywódca usiedli, po nich to samo zrobiła reszta biesiadników. Wszyscy w przyjemnym gwarze rzucili się na jedzenie. Jewgienij zamknął drzwi. Uśmiechnął się, myśląc, że prawdziwe danie główne, negocjacyjne, zostanie spożyte później w przyległym saloniku. W okrojonym gronie.

Godzinę później obaj przywódcy rozmawiali w towarzystwie tłumaczy w pomieszczeniu rozmyślnie urządzonym bardzo oszczędnie. Jewgienij stanął po drugiej stronie drzwi i słuchał uważnie.

Rozproszone światło, które padało spod sufitu, znaczyło cieniami twarze obu mężów stanu. Oblicze Stalina zupełnie się zmieniło. Jowialność zniknęła jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, pozostała jedynie zimna maska. Wyglądał, jakby nie wypił ani kropli alkoholu.

– Panie premierze, jutro pan wyjeżdża, a nie doszliśmy do zadowalającego porozumienia. Co mnie martwi. Moi współpracownicy dostarczyli panu wykaz tego, czego potrzebujemy.

Churchilla na chwilę aż zatkało.

– Nie może pan się tyle domagać. Nawet Anglia nigdy nie dostała takiej pomocy od Amerykanów. Proszę zrewidować swoje żądania. Są nierealne.

Stalin spochmurniał jeszcze bardziej.

– Kiedy my tu sobie rozmawiamy, mój naród masakrują naziści. Przez to, że odmawia pan otwarcia drugiego frontu we Francji, u nas leje się rzeka krwi. Rosyjskiej krwi, którą pan będzie miał na rękach.

Churchill podniósł się nagle.

– Nie będę słuchał umoralniających pouczeń człowieka, który odpowiada za śmierć przed wojną milionów istnień ludzkich w wyniku krwawych czystek i zorganizowanego głodu. I w dodatku paktował z Hitlerem, przez co Polska przestała istnieć, a Francja poniosła klęskę! Proszę więc sobie darować takie gierki ze mną.

Tłumacze wymienili przerażone spojrzenia. W pomieszczeniu zapadła cisza ciężka jak czołg T-34. Stalin aż pobladł z gniewu.

Churchill usiadł na powrót, wziął do ręki butelkę whisky i hojnie nalał gospodarzowi.

– Skorośmy sobie powiedzieli, co nam leżało na wątrobie, niech pan łyknie szklaneczkę. Nie przyjechałem tu prosić pana o rękę, tylko z myślą o przebyciu razem kawałka drogi do Berlina i wyekspediowaniu Hitlera do piekła. – Podniósł swoją szklaneczkę i nie odrywając wzroku od rozmówcy, ciągnął: – Do licha, niechże pan się zastanowi! Jesienią wylądujemy w Afryce Północnej, przegonimy Afrikakorps i stamtąd przedostaniemy się na Sycylię, a potem do Włoch. Ten błazen Mussolini nie zdoła nas zatrzymać, a Hitler w pośpiechu będzie musiał wycofać część wojsk z frontu rosyjskiego, żeby go wspomóc. Jeśli chodzi o desant we Francji, to odkładamy go tylko o rok albo dwa. Jeżeli jednak na to się pan nie zgadza, dopijmy tę butelkę i niech pan walczy dalej. Sam!

Stalin łyknął whisky, po czym niespiesznie powiedział:

– Wie pan, że Stalin znaczy po rosyjsku stal... Sądzę jednak, że jest pan wykuty z tego samego stopu. Potrafię poznać człowieka na moją miarę.

– Dziękuję za porównanie, ale mnie zawsze wystarczało moje nazwisko. W przeciwieństwie do pana, drogi Iosifie Dżugaszwili.

Była prawie druga nad ranem, kiedy wreszcie się dogadali. Churchill marzył już tylko o jednym, o łóżku, gdy odprowadzający go do wyjścia Stalin zagadnął:

– Mam jeszcze jedną prośbę.

– Znowu...? Czy to się kiedyś skończy? Jeżeli król Anglii ma odśpiewać Międzynarodówkę na balkonie pałacu Buckingham, to niet!

Stalin się uśmiechnął.

– Nie chodzi o króla, ale o cara. Nasz wywiad mi doniósł, że pewien cenny przedmiot, który należał do nieżyjącego cara Mikołaja Drugiego, znajduje się podobno w pańskim kraju. W imię dziedzictwa narodowego Rosji chciałbym go odzyskać.

Churchill zmarszczył brwi. Spodziewał się wszystkiego prócz tej niestosownej prośby.

– Doprawdy... Nic o tym nie wiem...

– Oczywiście, że pan wie, Winstonie. Chodzi o relikwię w kształcie swastyki. Naprawdę nic to panu nie mówi? Należała do dynastii Romanowów i po śmierci cara trafiła do Anglii. Pradawna swastyka, którą otacza dziwna legenda. Na pewno nic pan o niej nie wie?

– Proszę mi wierzyć, Józefie, że w tej chwili nie mam czasu na legendy.

Czerwony car zaczął się śmiać.

– Przed chwilą lepiej pan kłamał, ale nieważne. Jestem dobrze poinformowany: wiem, że trafiła w ręce waszych agentów z SOE. Toteż dla dobra łączących nas teraz stosunków stanowczo się domagam, abyście nam ją zwrócili.

Churchill uciekł w milczenie. Kwestia relikwii znowu wypływała. I to za sprawą tego diabła Stalina. Ewidentnie miał świadomość jej mocy. Jak komunista, materialista najgorszego sortu, mógł wierzyć w takie bajania?

– Wywiem się u naszych służb i priorytetowo zbadam pańskie żądanie zaraz po powrocie do Londynu.

– Tylko bez lania wody ze mną, Winstonie. Chcę tę relikwię. Już.

Churchillowi się wydało, że za Stalinem dostrzega zirytowane oblicze Roosevelta, który każe mu rzucić jakiś ochłap rosyjskiemu niedźwiedziowi. Problem w tym, że niczego nie miał w zanadrzu.

– W porządku, będę szczery. Pańskie informacje są prawdziwe, ale niepełne. Faktycznie ta... relikwia była w Muzeum Brytyjskim, ale wykradli ją agenci Abwehry. Udało im się zbiec do Niemiec.

– Chyba panu nie wierzę. A gdzie się podziewa ta, którą odnaleźliście na południu Francji?

– Nie wiem, o czym pan mówi. Daję słowo.

Stalin nie potrzebował wiedzieć więcej. Widział, że Anglik jest zażenowany i bezczelnie kłamie. Jewgienij wcześniej mu objaśnił zainteresowanie Hitlera i Churchilla tymi przedmiotami. Pan na Kremlu przyglądał węż, obserwując Churchilla, który otarł czoło. Może i rację ma pułkownik NKWD – te relikwie z pewnością są bardzo ważne, skoro angielski premier tak reaguje.

Postanowił, że da podwładnemu wolną rękę.

Niemcy

Berlin

Służba łączności Abwehry

Podoficer odpowiedzialny za łączność z agentami w Anglii wpadł jak burza do gabinetu przełożonego.

– Cóż to, Hermannie? Zobaczyłeś ducha Hindenburga? – zażartował dyżurny oficer.

– Powinien pan przeczytać tę wiadomość. To pilne. Przyszła od Conrada, jednego z naszych agentów w Londynie.

– Pilne... Churchill złapał trypra w Moskwie? No pokaż.

Oficer nałożył na nos okulary i przebiegł wzrokiem świstek. Zbladł, ujrawszy nazwisko Himmlera, i natychmiast podniósł słuchawkę telefonu.

– Proszę mnie połączyć z admirałem Canarisem. Priorytet absolutny, kod pomarańczowy.

Minęło kilka chwil, po czym w słuchawce rozległ się chrapliwy głos nawykły do wydawania rozkazów:

– O co chodzi, pułkowniku?

– Jeden z naszych agentów w Londynie donosi, że pewien Francuz pracujący dla SS jest podwójnym agentem. Nazywa się Tristan Marcas i w czwartek został przewieziony z Anglii do Paryża. Ma dla Reichsführera Himmlera jakiś zabytek zrabowany w Anglii.

– Zabytek... dla hodowcy drobiu... – mamrotał admirał Canaris. – I naprawdę zwraca mi pan głowę czymś takim? Proszę przekazać tę informację kontrwywiadowi w RSHA. A następnym razem, jeśli zależy panu na zachowaniu stopnia, proszę nie marnować mojego czasu takimi bzdurami.

Pułkownik usłyszał trzask odkładanej słuchawki.

– I co? – zapytał podoficer.

– Muszę zadzwonić do tych sukinkotów z SS. Wcale mi się to nie uśmiecha...

Okupowana Dania

Wyspa Bornholm

Port w Rønne

Ścigacz torpedowy S-22 z pełną prędkością dopływał do celu podróży. W palącym słońcu snopy piany tworzyły majestatyczne srebrzyste arabeski. Przy relingu na rufie Tristan pełną piersią wdychał chłodne, słone powietrze. Aby się oczyścić po krótkim pobycie w Paryżu.

Bornholm rósł w oczach, unosząc się na granicy między kobaltowym niebem a ciemnym, gładkim Morzem Bałtyckim. Tristan z żołądkiem wywróconym na nice zapalił pierwszego papierosa. Rejs z niemieckiego portu Kolberg²⁰ trwał krótko, raptem dwie godziny. Marcas nigdy w życiu nie był na pokładzie tak szybkiego okrętu, kapitan ścigacza jakby chciał pobić hipotetyczny rekord prędkości. Podobnie jak pilot Luftwaffe, który przywiózł go poprzedniego dnia z Le Bourget pod Paryżem na lotnisko w Kolbergu w północnych Niemczech.

Prędkość. Jedna z niewielu cech, które Tristan był skłonny zaliczyć Niemcom na plus.

Błyskawicznie podbili Europę, w trzy dni zajęli Francję. Choć obcował z nimi z bliska, wciąż nie pojmował, czy to efekt militaryzacji ich umysłów czy też Hitler obudził w swoim narodzie jakiś niesamowity gen chyżości.

Znów przystawił do oczu lornetkę, przepatrując wybrzeże. Ku jego zaskoczeniu Bornholm bardziej przypominał wyspę śródziemnomorską niż dzikie, surowe wikińskie sanktuarium – przynajmniej na podstawie wyobrażenia, jakie miał o nordyckim krajobrazie. Bujna roślinność w różnych odcieniach zieleni porastała łańcuszek wzgórz, gdzieś tam tylko widać było domy o purpurowych dachach.

Bornholm. Jeszcze niedawno nie miał pojęcia o istnieniu tej skandynawskiej enklawy. Zmieniło to przeznaczenie. A więc tutaj dobiegnie końca jego poszukiwanie relikwii, które trzy lata wcześniej, w roku 1939, rozpoczęło się akcją w klasztorze Montserrat w Katalonii, daleko na południu, w odległości kilku tysięcy kilometrów od tej wyspy. W głowie jak w kalejdoskopie przewijała mu się mieszanka wspomnień. Krwawa korrida na hiszpańskiej arenie, poszukiwania w katarskim zamku Montségur, poznanie Eriki, która wciąż go chwytала za serce. Wskutek splotu wydarzeń stali się

sojusznikami i razem przedsięwzięli szaloną wędrówkę przez Europę: ona dla Rzeszy, on dla obozu przeciwnego.

A teraz tutaj rozegra się koniec partii, na ziemi Dalekiej Północy. Tu zakończy się wyścig.

I najprawdopodobniej jego życie.

Rozmyślania przerwał mu gwizdek. Załoga ścigacza krzątała się na dziobie, z chmury piany wyłaniał się port w Rønne.

Tristan zszedł do kajuty, gdzie zostawił swoje rzeczy, wyjął z torby czapkę z trupią główką i lugera, którego przypiął do pasa. Popękane lustro zawieszane obok oficjalnego portretu Hitlera ukazało mu równie popękany wizerunek esesmana. Wrócił na pokład z szarą torbą, także zaopatrzoną w znak Czarneho Zakonu, minął dwóch marynarzy, którzy ostentacyjnie odsunęli się na bok. Podobnie jak kapitan, który przez całą drogę ledwie się do niego odzywał. Najwyraźniej ludzie Himmlera nie cieszyli się popularnością w Kriegsmarine.

Ścigacz minął długiego niszczyciela o poszyciu pomalowanym dla kamuflażu w zygzaki, zakotwiczonego w odległości kilku kabli od wejścia do basenów portowych, po czym jednostka łagodnie przybiła do betonowego pomostu wyposażonego z boku w szereg powykrzywianych opon. Ze sterówki dobiegł kolejny gwizdek, marynarze przymocowali cumy do żelaznych kołków i przerzucili trap. Tristan zszedł po chwiejnej kładce odprowadzany nienawistnym wzrokiem kapitana.

Owiało go letnie, prawie ciepłe powietrze przesycone smrodem mazutu i spalonego oleju. Szedł pomostem w kierunku wejścia do doku, w którym kotwiczyły trzy okręty, przysadziste i groźne. Zastanawiał się, jak ważna strategicznie musi być ta niewielka wyspa, skoro w porcie stoi tyle jednostek. Po drugiej stronie basenu portowego dziesięć trałowców wносиło nieco stylu nie tak bojowego, bardziej pasującego do czerwono-żółtych szop rybackich i przyjemnych dla oka domów z ukwieconymi balkonami, które tworzyły iście pocztówkowy wizerunek Rønne.

Tristan minął oddział żołnierzy SS stłoczonych na pontonie. Ciągle ten sam widok. Gdziekolwiek się znalazł w Europie, wszędzie roiło się od wojskowych mundurów. Jakby Niemcy w przyspieszonym tempie odradzali się po porażce w Wielkiej Wojnie, by wyprodukować dla Führera pokolenie żołnierzy gotowych do użycia.

Dotarłszy do punktu kontrolnego, Tristan dostrzegł blondynkę stojącą przed samochodem wojskowym bez dachu zarezerwowanym dla oficerów SS. Francuzowi szybciej zabiło serce. Erika dotrzymała słowa, przyjechała po niego. Przeszedł na drugą stronę barierki na oczach żołnierzy i chciał ją uścisnąć, lecz wyprężyła się w postawie na baczność i wyszczeła nieprzyjemnie brzmiące Heil Hitler, regulaminowo unosząc rękę w pozdrowieniu. W pierwszej chwili zmartwiało, lecz zaraz

sobie uświadomił, że jest w esesmańskim mundurze. A esesman nie zwykł obściskać się publicznie z kochanką. Niechętnie odpowiedział na jej salut, po czym wsiedli do VW 82 Kübelwagena, który ruszył z kopyta. Erika nie odzywała się ani słowem. Błyskawicznie zmieniała biegi, wciskając klakson i jadąc slalomem drogą, która biegła wzdłuż morskiego brzegu. Tristan trzymał się uchwytu na drzwiach.

– Spodziewałem się przywitania trochę... cieplejszego.

– Z tym poczekamy, aż znajdziemy się w strefie nie tak pilnowanej. W punkcie kontrolnym widziałam dwóch ludzi z Gestapo. Dobrą miałeś podróż?

– Niezbyt spokojną, ale naprawdę żaden ze mnie marynarz. Dokąd jedziemy?

– W miejsce, gdzie Ahnenerbe prowadzi wykopaliska, dalej na północ. Tam też odbędzie się ceremonia poświęcona ostatniej relikwii.

– Czemu na tej wyspie? Co szczególnego widzi w niej Himmler?

– Poznasz odpowiedź, kiedy dotrzemy na miejsce.

Droga szybko skręciła w głąb wyspy, wybrzeże zostało za nimi. Marcas obserwował Erikę, która prowadziła z rozwianymi włosami. W jej zachowaniu coś się zmieniło. Unikała jego spojrzenia i wydawała się jakaś odleglejsza. Chłodniejsza. Tristanowi zabrzmiał w głowie dzwonek alarmowy. A jeżeli cała ta historia z odznaczeniem i ceremonią to pułapka? Pułapka, żeby się go pozbyć? Po co jednak ścigali go aż na tę wysepkę na końcu świata?

Samochód zwolnił, gdy przejeżdżali przez wioskę Nyker – nieciekawą, pominąwszy ufortyfikowany kościół, okrągły i pobielony wapnem. Tristan zawiesił wzrok na budowli. Nigdy takiej nie widział.

– Dziwna architektura jak na kościół.

– Powstał w dwunastym wieku. Na wyspie są jeszcze trzy w tym stylu – wyjaśniła obojętnie. – Zbudowano je, żeby odpierać ataki.

– Ahnenerbe je badało?

– Och, nie. Himmler uważa je za chrześcijańską skazę. W zeszłym roku chciał je nawet wyburzyć, na szczęście wyperswadował mu to lokalny kierownik Ahnenerbe. Tradycja podaje nawet, że zbudowali je templariusze w celach ezoterycznych. Ich kształt rotundy zadziwiająco przypomina świątynię na planie koła postawione w wielu komandoriach zakonu w różnych krajach europejskich.

– Fascynujące... Nie sądziłem, że dotarli aż tak daleko na północ Europy.

Za wioską samochód znów przyspieszył. Erika podjęła:

– Niestety tej tezy nie potwierdza żaden dowód, prawdopodobnie templariuszy nigdy tutaj nie było. Z historycznego punktu widzenia wyspa jest ciekawa tylko dlatego, że była ojczyzną Burgundów, barbarzyńskich plemion, które najechały twój kraj i założyły Burgundię.

Wtem po wyjeździe z serpentyny Erika gwałtownie zahamowała i zatrzymała się tuż przed nowiutkim czołgiem stojącym na środku drogi z lufą wycelowaną w nich.

Berlin

Bendlerblock

Pułkownik Abwehry wybrał numer bezpośredni do swojego odpowiednika z kontrwywiadu RSHA. Esesmani, którzy wszystkich wokół pouczali w kwestiach lojalności i skuteczności, tym razem nieźle oberwą. Czekał dobrą minutę, zanim w słuchawce rozległ się kobiecy głos:

– Dyżurka SD Ausland. W czym mogę pomóc?

Przedstawiwszy się regulaminowo, pułkownik odpalił bombę:

– Dzwonię z polecenia admirała Canarisa, żeby was ostrzec o próbie infiltracji przez podwójnego agenta, który dla was pracuje. To Francuz nazwiskiem Tristan Marcas. Właśnie wrócił z misji w Londynie. Wylądował we Francji na lotnisku w Gouvieux i zaraz opieką otoczyło go miejscowe SS. Abwehra może wam przekazać dowody i zeznania, które go dotyczą.

Kobieta odpowiedziała lodowatym głosem:

– Natychmiast zajmujemy się pańską informacją. Proszę mi przekazać wszelkie dane. Powiadomię oficera odpowiedzialnego za operacje we Francji.

*Bornholm**Punkt kontrolny w Nyker*

Z drewnianej chatki stojącej na poboczu drogi wyłonili się trzech esesmani i otoczyli samochód. Po chwili wyszedł czwarty człowiek w czarnym skórzanym płaszczu i podszedł do auta od strony Eriki. Podała mu dokumenty swoje i Tristana, przejrzał je z uśmiechem.

– Pani dyrektor, zawsze miło panią widzieć. Kim jest pani towarzysz?

– Untersturmführer Kanner, obecność Gestapo zawsze działa krzepiąco. Tristan Marcas właśnie przybył do portu. Na zaproszenie samego Reichsführera, który ma go odznaczyć Krzyżem Żelaznym Pierwszej Klasy.

– Francuz... Dziwne – mruknął policjant, zerkając podejrzliwie na Tristana. – Pewnie bardzo się przysłużył Niemcom, skoro ma dostać medal z rąk samego szefa. Nie obrazi się pani, że przedzwonię, aby się upewnić, że jest na liście gości bazy?

– Ależ skąd! Proszę robić swoje.

– Widzę, że nie ma to jak zaufanie – ironicznie stwierdził Marcas.

– Z powodu obecności Himmlera wszyscy chodzą nerwowi. Po zamordowaniu Heydricha w Pradze wzmocniono środki ostrożności i ochronę dygnitarzy reżimu.

Policjant wrócił pięć minut później, oddał dokumenty Tristana i skinął załodze czołgu, by umożliwiła przejazd. Zamienił jeszcze kilka żartobliwych słów z Eriką, po czym ruszyli dalej.

– Znacie się? – zapytał Marcas, kiedy samochód znów jechał pośród łąk i pól.

– Nie pierwszy raz tędy jadę. No i jestem kobietą...

Marcas wyciągnął rękę w stronę uda Eriki i przysunął się do niej. Chciał wykorzystać ostatnie godziny życia, jakie mu jeszcze zostały.

– Trudno nie zauważyć. A właśnie, moglibyśmy po drodze gdzieś się zatrzymać?

Poczuł, że samochód jeszcze przyspiesza.

– Nie jestem pewna, czy to dobry pomysł. Przez to, co nas łączy, możemy sobie napytać biedy.

– Dotąd nigdy ci to nie przeszkadzało – zauważył Tristan głosem, w którym przebijał zawód.

– Czasy się zmieniają.

Rozczarowany Tristan się odsunął i na powrót usadowił w fotelu jak wcześniej.

– Czy to sposób, by mi dać do zrozumienia, że ty i ja...

Odwróciła głowę do niego. Jej twarz wydawała się smutna, lecz zdeterminowana.

– Nie. To bardziej skomplikowane, niż myślisz... Nawet między nami. W Paryżu byłeś niemal wrogi.

– Ty też.

– Od tygodni jestem ciągle pod presją i nie mam głowy myśleć o nas. Zobaczymy po ceremonii, dobrze?

– Tak, jasne – mruknął Tristan bez przekonania.

Wiedział, że ten wieczór będzie dla niego ostatni na ziemskim padole.

Samochód mknął drogą między łąkami złocistego zboża falującego na wietrze. W górze, pod jasnoblękitnym niebem jak napięte płótno, stado mew skręcało w kierunku wschodnim. Tristan pomyślał o spokoju i powabach tego miejsca.

– Dlaczego Himmler tak jest związany z tą wyspą? – zapytał.

– Uważa ją za świętą ziemię – odparła po chwili Erika. – Przede wszystkim dlatego, że w porównaniu z resztą Europy późno wprowadzono tu chrześcijaństwo, około dziesiątego wieku. Po drugie, wyspa obfituje w pozostałości z czasów pogańskich, jak sam zobaczysz. Jesteśmy w Midgardzie, ziemi ludzi Północy. Himmler wierzy w legendę, według której to jedna z kolebek zaginionej cywilizacji Hiperborejczyków. Ponad pięćdziesiąt tysięcy lat temu, zanim oś biegunów się przesunęła, Skandynawia była ciepłym, bujnie porośniętym rajem, a Bałtyk zaledwie jeziorem. Bornholm, połączony wtedy z dzisiejszą Danią, był jednym z najświetniejszych i najpotężniejszych ośrodków mitycznego kontynentu, po którym została nam Thule Borealis i cztery swastyki.

– Masz dowody archeologiczne?

– Ahnenerbe po inwazji na Danię założyło tu stałą placówkę badawczą. Szukamy wszędzie śladów, które by potwierdziły tę hipotezę. Do niedawna na darmo...

Na skrzyżowaniu skręciła w lewo w zrytą koleinami drogę gruntową, która prowadziła w gęstą dąbrowę zarośniętą paprociami. W miarę jak zagłębiali się w las, wokół gęstniał mrok przecinany tu i ówdzie pojedynczymi promykami światła, cienkimi i ostrymi jak szpada. Powietrze, znacznie teraz chłodniejsze, przesyciło wonie wilgotnej ziemi i torfu. Tristan doświadczał osobliwego uczucia. Przytłaczającego. Irracjonalnego. Choć nie potrafił tego nazwać, w okolicy zdawała się panować duszna, niemal wroga atmosfera. Erika zerknęła na niego kątem oka.

– Kiedy byłam mała, matka często mówiła, że lasy są jak czary, mogą być dobroczynne lub złowróżbne. To ulubione tereny wróżek i czarodziejek.

– Mądra kobieta... Skłaniałbym się ku drugiej kategorii.

– Ja jestem tu w swoim żywiole – powiedziała łagodnym głosem. – W cichym królestwie bóstw dawnej religii Północy, Asów i Wanów, w świątyni leśnego ludku. Czuję się uspokojona z dala od gwaru ludzi i ich żelaznych marzeń.

– Naprawdę w to wszystko wierzysz?

Po raz pierwszy tego dnia obdarzyła go swoim olśniewającym uśmiechem.

– Jasne, że nie, ale zawsze lubiłam legendy i za legendę uważam to wszystko. Jestem naukowcem. Sam wiesz, jaka ze mnie materialistka. Nawet Himmler nie ma pojęcia, jak wielka. Kiedy widzę niektóre poszukiwania prowadzone przez Ahnenerbe, aż mi się w głowie kręci od takiej obrazu zdrowego rozsądku.

– Czyżbyś przede mną też coś ukrywała?

– Kto wie...? Ale wróćmy do legend. Otwórz szeroko oczy, bo wjeżdżamy na ziemię gadających kamieni.

Po obu stronach drogi za drzewami w regularnych odstępach wznosiły się szare kamienie różnej wielkości. Niektóre miały kształt ostro zakończzonego stożka, inne były proste jak menhiry. Wyglądały niczym zęby pogrzebanego potwora.

– Na wszystkich tych kamieniach – ciągnęła Erika – wyryto runy. Są ich setki na całej wyspie, może nawet więcej. Ustna tradycja mówi, że najstarsze sanktuaria znajdowały się właśnie w tych lasach. Kiedy w trzydziestym ósmym roku przyjechała tu pierwsza ekipa z Ahnenerbe, badacze sądzili, że kamienie liczą tysiące lat i że znaleźli dowód na istnienie Hiperborejczyków. Ale musieli się wycofać z tego przeświadczenia. Kamienie datuje się na okres między jedenastym a dwunastym wiekiem. Nie są starsze.

Skręciła w prawo, w drogę równie zrytą koleinami. Wracało światło, drzewa rzedyły, dawni bogowie znikali. Wyjechali z lasu i podążyli bitą drogą, która biegła wśród łąk. Znowu pokazało się morze. Musieli być niedaleko wybrzeża. Po lewej na wzgórku porośniętym szmaragdową trawą wyłoniły się imponujące kształty na pół zrujnowanej warowni. Jej ufortyfikowane mury z szarego kamienia i czerwonej cegły w świetle chylącego się ku zachodowi słońca przybierały delikatnie pomarańczowy odcień.

– Kolejny zamek... Zważywszy na upodobanie Himmlera do starych kamieni, przypuszczam, że ceremonia odbędzie się w jego murach?

– Błąd. Reichsführer nie cierpi tego kasztelu wzniesionego na cześć Ukrzyżowanego z Jerozolimy. Hammershus zbudowało biskupstwo szwedzkie, żeby wyryć w kamieniu dominację Kościoła na wyspie. Bardzo zły wybór na praktykowanie rytuałów SS.

Z dużą prędkością jechali teraz w dół drogą, która biegła wzdłuż wysokiego granitowego klifu.

– Dojeżdżamy... Zaraz będziesz miał swoją odpowiedź. Patrz, to jedna z najlepiej strzeżonych tajemnic Trzeciej Rzeszy.

Wyjechali z ostatniego ciasnego zakrętu i znaleźli się na brzegu morza, na szerokiej plaży pokrytej białymi wygładzonymi kamykami, ujętej między granitową ścianą a migoczące fale. Tristan ze zdziwienia wybałuszył oczy. Nie mógł uwierzyć w to, na co patrzył.

– A niech mnie...

Erika zatrzymała wóz.

– Witaj w bazie Walhalla sześćdziesiąt sześć, mitycznej bramie do królestwa bogów.

Berlin

RSHA

SD Ausland

Prinz-Albrecht-Palais

Kapitan SS odpowiedzialny za sekcję francuską klął przy telefonie. Połączenie z Paryżem było przerywane. A jego zadanie miało absolutny priorytet. Abwehra uprzedziła ich, że w samym sercu SS mają podwójnego agenta. Należało zapobiec skandalowi i gdyby się udało definitywnie załatwić ten problem tak, by Reichsführer o niczym się nie dowiedział...

Odnalezienie śladu Tristana Marcasa w Paryżu nie stanowiło trudności. W SS wszystko było perfekcyjnie scentralizowane, tak że szybko skontaktowano go z szefem francuskiego Gestapo, ciemnym typkiem z nizin, lecz wyraźnie dobrze poinformowanym. W słuchawce rozległ się głos przerywany trzaskami. Kapitan wznowił rozmowę:

– Źle pana słyszę, Herr Lafont. Może pan powtórzyć?

– Mówiłem, że Marcas poleciał do Niemiec. Zdaje się, że do Kolbergu.

– Nie powiedział po co?

– Powiedział, a jakże. Himmler osobiście ma go odznaczyć. Krzyżem Żelaznym Pierwszej Klasy. Przy okazji, ja też oddałem duże usługi Niemcom i...

Nie zdążył dokończyć, kapitan bowiem zbladł jak kreda i rzucił słuchawkę na widełki. Wypadł z biura, przebiegł przez ciemny korytarz i bez pukania wszedł do gabinetu przełożonego.

– Panie pułkowniku! Mamy straszny problem!

Bornholm

Wysokie granitowe klify tworzyły jakby nieprzebyty mur. W jednej jego połaci, wychodzącej na rozległy biały kamienisty brzeg, widniało wejście do oświetlonej od środka gigantycznej groty wysokości pięciopiętrowego budynku. Pracowały przed nią potężne maszyny budowlane. Najbardziej niesamowita była jednak obecność dwóch ogromnych radarów – Tristan nigdy takich nie widział – posadzonych na szynie niknącej w grocie. Wybrzeże na całej długości chroniły zasieki zaopatrzone w dwie wieże strażnicze. W górze, na klifie, widać było baterie przeciwlotnicze i szereg mocnych reflektorów dalekiego zasięgu. Nawet od strony morza dostęp był zamknięty. Na wodzie, kilka kabli za małą wysepką przypominającą niedźwiedzia wyciętego w skale, rysowała się sylwetka krążownika.

– To nazywasz stanowiskiem prac wykopaliskowych? – zdumiał się Tristan. – Wygląda jak oszańcowany obóz. Czego szukacie z radarami w tej monstrualnej grocie?

Ruszył za Eriką, która wysiadła z samochodu.

– Mówiłam ci przecież, że badacze z Ahnenerbe przeszukują wyspę. Niecały rok temu, kiedy inwentaryzowali kamienie z napisami na falezach, jeden z nich wpadł do rozpadliny. Ekipa ratunkowa odkryła wtedy w skale tunel wydrążony rękami człowieka. Na jego ścianach specjaliści odsłoniли znaki runiczne o wiele starsze od kamieni ustawionych na powierzchni. A później znaleźli system korytarzy prowadzących dużo poniżej poziomu morza. Istny labirynt.

– Podmorskie galerie... – szepnął Tristan. – Nie sądziłem, że wikingowie byli w stanie przeprowadzać tak skomplikowane prace.

– Pudło. Wikingowie nie mają z tym nic wspólnego. Tunele wydrążono prawdopodobnie jakieś dziesięć tysięcy lat temu. Co najmniej. Mamy do czynienia z relikami cywilizacji nieznanymi archeologom. O wiele starszej od tej, która postawiła na wyspie kamienie z runami. A to nie koniec. Chodź.

Minęli posterunek kontrolny, lecz tym razem żołnierze o nic nie pytali Eriki.

– Tunele schodzą pod ziemię na pozór bez powodu. Z początku myśleliśmy o kopalniach, ale na wyspie nie ma żadnych złóż rud metali albo metali szlachetnych.

– Domyślałem się, że wysłaliście ludzi na poszukiwania?

– Tak, ale nie da się wszystkiego przetrząsnąć. Tych korytarzy są setki! Niejeden został w jakiejś części zasypany i dalej nie ma dostępu. Inne prowadzą do szerszych tuneli, które dochodzą do jeszcze innych. W ciągu pół roku straciliśmy trzech ludzi w tej plątanie. Nie udało się ich odnaleźć.

– Wobec tego trzeba się trzymać jednej sieci i sporządzić jej plan. Może uda się zrozumieć jej funkcję.

– Właśnie dlatego skoncentrowaliśmy się na najszerszych odcinkach. Z rozkazu Reichsführera zbadanie ich jest zadaniem priorytetowym. Widzisz okręt tam, na morzu? Kotwiczony dokładnie nad jedną z podmorskich galerii. Kłopot w tym, że sieć co rusz jest zablokowana, tak że trzeba w te miejsca podsyłać sprzęt odgruzowujący, by oczyścić drogę.

Tristan obserwował maszyny, które krążyły od wejścia do groty ku sztucznemu pagórkowi usypanemu z gruzu wywiezionego spod ziemi.

– Czemuście wydrążyli takie gigantyczne wejście?

– Żeby było gdzie ulokować bazę stanowiska i schować sprzęt budowlany. W tym sektorze jesień i zima są bardzo surowe. Ale grota przyda się też jako miejsce przechowania „rogów Lokiego” w razie ataku z powietrza.

– Przepraszam, czego?

– Masz przed sobą najmłodsze dziecko operacji specjalnych Rzeszy. „Rogi Lokiego” to eksperymentalne radary o bardzo dużym zasięgu. Teoretycznie mogłyby chronić przestrzeń powietrzną w promieniu tysięcy kilometrów.

– A dlaczego trafiły tutaj, na stanowisko prac wykopaliskowych?

– Marszałek Goering wypożyczył je Himmlerowi na trzy miesiące w celu przetestowania, ale też w nadziei, że wesprze jedną z obsesji Reichsführera: Ziemi pustej w środku. Radary mają wysłać fale do stratosfery, żeby można badać ich odbicie. Doświadczenie ma być przeprowadzone w jesieni.

Mina Tristana świadczyła, że jest wstrząśnięta.

– Tylko mi nie mów, że wierzysz w te bzdury.

– Jasne, że nie, ale skoro sprawia to przyjemność Reichsführerowi, ja też się cieszę.

– Załóżmy, że tak jest, nadal jednak nie rozumiem, czemu organizujecie tutaj ceremonię. Chyba nie tylko dlatego, że odkryliście tu w skałach korytarze?

– W zeszłym tygodniu stało się coś nowego. Dokonaliśmy odkrycia, które wszystkich zaskoczyło. Chodź.

Dotarli do sztucznej groty. Była tak szeroka, że zmieściłyby się w niej trzy pociągi jeden obok drugiego. Na ścianach kołysały się girlandy żarówek dających żółte światło elektryczne. Ruch tam panował jak w mrowisku, wszędzie krzątali się robotnicy,

koparki drążyły grunt, wydobywając ziemię i kamienie. W głębinach groty niknęły trzy tunele.

Przekroczyli szynę od radarów i doszli do drewnianej szopy postawionej pod skalną ścianą. Nad stołem zarzuconym lampami i różnymi narzędziami pochylał się mężczyzna. Wpatrywał się w mapę przyłożoną sporym kamieniem.

– Hans, oto nasz gość Tristan.

Mężczyzna podniósł głowę. Miał jasne oczy, gęstą brodę, szczupłe ciało, na którym wisiały drelichowe spodnie i kurtka. Ocierał chusteczką czoło lśniące od potu. Erika dokończyła prezentację:

– Tristanie, przywitaj się z profesorem Hansem Bolgarem, kierownikiem poszukiwań. Brał też udział w ekspedycji Schaeffera do Tybetu w trzydziestym dziewiątym roku. Czyli w wyprawie, która odnalazła pierwszą relikwię.

Badacz przywitał się z Tristanem,omal nie gruchocząc mu kości dłoni.

– Miło pana poznać, Herr Marcas, dużo słyszałem o panu i o wsparciu, jakiego pan udzielił Ericie przy poszukiwaniu pozostałych relikwii. Sądzę, że wysoko pan oceni nasze odkrycie. Proszę za mną! Jest tu obok.

Podążyli wzdłuż ściany groty, potem weszli do szerokiej szczeliny w skale, poszerzonej i wzmocnionej balami.

– Proszę spojrzeć! Czy nie jest wspaniały?

Tristan oniemiał.

Promienie zachodzącego słońca oświetlały posąg wysokości ponad dwóch metrów. Popiersie mężczyzny, którego wykrzywiona twarz wyrażała dojmujące cierpienie. Wyglądał jak zamurowany od pasa w dół. Ręce miał wyciągnięte do przodu, dłonie złożone w kształt misy.

– Nie do wiary! – wyjąkał Marcas. – Identyczny jak w Montségur.

– I jak w Tybecie.

– W takim razie musiał trzymać w rękach relikwię! Czyżby tę, którą odnalazłem w Londynie?

Erika pokiwała głową.

– Tak. Profesorze, wyjaśni mu pan?

– W drodze do bazy jechał pan wzdłuż zamku Hammershus zbudowanego przez księcia biskupa Szwecji w trzynastym wieku. Jak pan wie, wyspa niedawno została schryścianizowana i władza w miejscu pogańskich sanktuariów systematycznie stawiała kościoły i zamki, żeby zaznaczyć swoją dominację. Kiedy odkryliśmy sieć podziemnych tuneli, wpadłem na pomysł, by przejrzeć w Rønne archiwa wyspy. Ostatecznie odkryłem osiemnastowieczną książkę napisaną przez miejscowego historyka na temat dziejów Hammershusu. Według jednej z kronik cytowanych w tej

pracy pewien szwedzki cysters, który odwiedził zamek, odkrył pogański posąg, na którym położono cenny krzyż. Widząc w tym znak od Boga, mnich wyruszył w świat, by ewangelizować dalekie ziemie. Po długiej wędrówce dokonał podobno żywota w Rosji nawrócony na prawosławie.

Erika pogładziła posąg po policzku.

– Ten szwedzki mnich umarł w najbardziej renomowanej klasztorze w Rosji. W klasztorze Ipatjewa...

Tristanowi po karku przeleciał dreszcz.

– W tym samym, z którego cztery wieki później wyruszył Michał Romanow, założyciel dynastii Romanowów!

– Tyle że relikwia nigdy nie należała do Rosjan – wyjaśnił profesor. – Dlatego po prostu odzyskujemy naszą własność.

– Proszę mi odświeżyć pamięć, z łaski swojej – poprosił Tristan ironicznie. – Pan jest Niemcem, a nie Szwedem czy Duńczykiem... Pański tytuł własności jest równie wydumany jak Rosjan.

Brodacz zmierzył go wzrokiem dotknięty do żywego.

– Płynie w nas ta sama nordycka krew w przeciwieństwie do pana, panie Francuzie przebrany za esesmana.

– Ano tak, podobnie jak krew mnichów tybetańskich, u których była jedna ze swastyk. Uderzające podobieństwo rodzinne...

Ich pojedynek słowny przerwał chrzest gąsienic. Pojawił się przed nimi ciągnik, a za nim grupa żołnierzy z zakasnymi rękawami.

– Uwaga! – krzyknął kierownik poszukiwań. – Dobrze wam radzę: stosować się do poleceń co do joty! Jeśli go uszkodzicie, wszyscy migiem traficie na front wschodni!

Pojazd ustawił się przed posągiem, który żołnierze ostrożnie zabezpieczali kocami.

Tristan i Erika odeszli ku wyjściu z groty, zostawiając Bolgara dyrygującego żołnierzami.

– Co oni robią? – zapytał Marcas.

– Na wieczorną ceremonię – wyjaśniła Erika – posąg stanie na górze, na wzniesieniu nad klifem. Himmler zwróci mu relikwię. Uważa, że ten rytuał zregeneruje jej moc. Później posąg z relikwią zostanie przetransportowany do Wewelsburga i ustawiony w krypcie, w której są pozostałe swastyki.

– Przecież to kompletne wariactwo.

– Nie, przynajmniej nie dla tych, którzy wierzą w świat czarów. A Reichsführer do nich należy.

Pod zmierzającym niebem rozległ się głuchy warkot.

– O proszę, o wilku mowa... – skomentowała to Erika.

Chwilę później warczenie silników rozbrzmiało tuż nad nimi i w górze pojawił się heinkel.

– Osobisty samolot Reichsführera. Punktualnie. Przywozi swastykę. Według grafiku ma odebrać w mieście paradę wojskową, a potem przyjechać tutaj. Mamy dwie godziny, żeby się przygotować.

Tristan rozpoznał błysk, który zapłonął w oczach Eriki.

Berlin

RSHA

SD Ausland

Prinz-Albrecht-Palais

Szef SD Ausland, siedząc w swoim gabinecie przestronnym jak sala konferencyjna i wyposażonym jak foyer luksusowego hotelu, od dobrych dziesięciu minut czekał na połączenie z sekretariatem Himmlera. Zgniół w popielniczkę ledwie nadpalonego papierosa. Kolejnego. Nienawidził biurokratów. Gdyby to od niego zależało, posłałby wszystkich na praktyki do obozu koncentracyjnego. Na tym SS nic by nie straciło, a Rzesza jeszcze mniej. W końcu ktoś odebrał telefon.

– Standartenführer Schellenberg. Czym mogę służyć? – zapytał ktoś bardzo ułożonym głosem.

– Proszę tylko o jedno, ale szybko: o połączenie z Reichsführerem. Pilnie.

– To niemożliwe, aktualnie jest nieobecny. I nie mogę udzielać na ten temat żadnych informacji. Nikomu.

– Mnie to nie dotyczy. Wiem, że jest w Danii, a dokładniej na Bornholmie.

Sekretarz na drugim końcu linii zamilkł na chwilę. Skąd Schellenberg, który zajmował się kontrwywiadem, mógł o tym wiedzieć? Dodatkowo Himmler jasno zażądał, aby pod żadnym pretekstem mu nie przeszkadzać.

– Przykro mi. Otrzymałem wyraźne rozkazy od samego Reichsführera.

– Mam gdzieś pańskie rozkazy! Na wyspie jest podwójny agent i za kilka godzin ma być odznaczony przez szefa. Podejrzewam możliwość zamachu. Jeśli do niego dojdzie, nie chciałbym się znaleźć w pańskiej skórce.

– Wedle rozkazu. Natychmiast się skontaktuję z naszymi ludźmi na miejscu.

Bornholm

Noc była cudowna. Wokół pofalowanej wstęgi Drogi Mlecznej migotały gwiazdy. Ukryci za ruinami zamku na miękkiej trawie tulili się do siebie kochankowie.

– Tak bardzo mi ciebie brakowało – wyszeptała Erika.

– A mnie ciebie – wyznał Tristan, całując ją czule. – To jest lepsze niż w Paryżu.

– Zdajesz sobie sprawę, że spotkaliśmy się dzięki relikwiom? Gdyby nie one, nasze drogi nigdy by się nie przecięły.

– Tak... Ale poszukiwania się skończyły – odparł Marcas, skrywając niepokój.

– Zaczynają się kolejne! – zawołała Erika. – Nic nie wiemy o cywilizacji, która je nam przekazała w spadku. Może gdzieś w trzewiach tej wyspy znajdziemy pozostałości po niej, jakieś księgi. Zaginione miasto!

– Jak Troja.

– Tak... Właśnie przez takie marzenia zostałam archeologiem.

– I spełniają się – rzekł łagodnie, ściskając ją mocniej. – Ech, gdyby nie ta przekłeta wojna...

Przez kilka długich minut milczała wtulona w niego, w końcu ujęła jego twarz w obie dłonie.

– Pora iść.

Tristan podniósł się niechętnie.

– Faktycznie...

– Jakoś nie widzę w tobie entuzjazmu.

Wyjął pistolet i wysunął magazynek, by sprawdzić, czy jest pełny.

– Ależ cieszę się... Chodź, żebyśmy się nie spóźnili na ceremonię.

– Tutaj nie musisz się niczego obawiać – zapewniła Niemka. – Luger na nic ci się nie przyda.

– Nigdy nie wiadomo. To na wypadek, gdyby znalazło się paru Duńczyków zarażonych wirusem oporu. W dzisiejszych czasach ta choroba bardzo się rozprzestrzeniła.

– U ciebie naprawdę wszystko w porządku? – zapytała, całując go w usta. – To nie potrwa długo. Dostałam zgodę na kilka dni urlopu... z tobą. Wyszukałam niewielki

letni domek na południu, na plaży nad turkusowym morzem. Bez żołnierzy, bez policjantów. Bez mundurów...

Biorąc ją w ramiona, Tristan poczuł, jak serce mu się ściska. Słowa Eriki go przeszywały. A jego determinacja słabła z każdą mijającą sekundą.

Jeszcze miał wybór. Ostatecznie co go obchodził wynik konfliktu światowego? Dostyc zrobił dla sprawy. Ciągłe mógł zrezygnować z planu zamordowania Himmlera. Zajmie się tym kto inny. A że ostatnia relikwia przepadła? Cóż, są inne sposoby kontynuowania walki. Stany Zjednoczone, Anglia, Rosja – miliony ludzi jednoczyły się w walce z Hitlerem.

Ciepło ciała Eriki, jej pocałunki – to jest życie.

– Złożę dymisję. Chcę żyć z tobą w Niemczech... Kocham cię – szepnęła i pocałowała go namiętnie.

Tristan coraz bardziej chwiał się w swoim postanowieniu.

Nagle za klifami wytrysnęły liczne snopy światła, tworząc rozsrebrzone kolumny.

– Rytuał zaraz się zacznie! – wykrzyknęła Erika, patrząc zafascynowanym wzrokiem.

– Moglibyśmy zostać tutaj i obejrzeć widowisko z daleka.

– Nie ma mowy! Ceremonia będzie monumentalna, za nic w świecie nie chcę jej przegapić. Zawsze lubiłam takie uroczystości.

– Przypuszczam, że tak samo jak zjazdy partii w Norymberdze – rzekł na to Marcas ze znużeniem w głosie.

Czar pryskał. Kochanka Tristana wyglądała jak zaczarowana. Niczym jej rodacy – miliony Odyseuszów urzeczonych śpiewem syreny noszącej na ramieniu opaskę ze swastyką. Francuz uwolnił się z objęć Eriki. Przyszedł czas na wniesienie fałszywej nuty do tego złowieszczonego chóru.

Rønne

W biurach Gestapo, które mieściły się w centrum miasta w niewielkim hoteliku zarekwirowanym przez władze niemieckie, panowało potężne zamieszanie. Na dziedzińcu pełniącym funkcję parkingu żołnierze wskakiwali do ciężarówki. Na piętrze policjant wydzierał się do telefonu:

– Jak to? Nie możecie się połączyć z bazą Walhalla?

– Nie możemy. Wydano rozkaz, żeby nie łączyć żadnych rozmów. To osobiste polecenie Reichsführera, który nie chce, by mu przeszkadzać.

– Natychmiast wysyłam tam oddział. Połączcie mnie z Kannerem!

Punkt kontrolny w Nyker

Policjant palił papierosa, siedząc na czołgu ustawionym na drodze. Śmiertelnie się nudził na tej wyspie na końcu świata. Tutaj nic się nie działo. Nigdy. Już ponad pół

roku prosił o przeniesienie do Kopenhagi, a najlepiej do Norwegii, gdzie pracy nie brakowało – trwała tam walka z partyzantami. Tutaj jednak, na tej rajskiej wysepce, marniał niczym słonecznik pozbawiony słońca.

– Inspektorze, pilny telefon z Rønne! – zawołał żołnierz, który wyszedł z drewnianej chaty.

Policjant rzucił niedopałek, zeskoczył z czołgu i wszedł do chaty. Głos przełożonego wprawiał słuchawkę w wibracje.

– Kanner? Przez wasz punkt przejeżdżał Francuz w esesmańskim mundurze?

– Tak, z panią dyrektor von Essling. Trochę ponad dwie godziny temu.

– To zabójca na żołdzie Anglików, przysłany tu, żeby zamordować Reichsführera. Wysłałem już oddział, ale wy jesteście bliżej. Macie tam zaraz jechać.

Gestapowiec odłożył słuchawkę.

– Nareszcie coś się dzieje!

Bornholm

Pochodzący z zamierzchłych czasów posąg górował nad klifem, ustawiony plecami do morza. Za nim snopy białego światła rzucane z reflektorów przeciwlotniczych umieszczonych poniżej pięły się aż do gwiazd. Ulokowane na obwodzie terenu inne źródła światła iluminowały podstawę wzniesienia.

Tajemniczy bożek znajdował się na końcu wyciętych w skale pradawnych schodów, które zdawały się falować między dwoma rzędami postawionych w pionie głazów przechylonych jak poddani składający pokłon bogu. Zerwał się chłodny wiatr. Łopotał czarnymi flagami ze srebrnym znakiem SS wciągniętymi na szczyt masztów przypominających kolumny.

Nagle zewsząd rozległy się werble. Rytmiczne, miarowe. Odnosiło się wrażenie, że ziemia wibruje od uderzeń gigantycznego serca ukrytego głęboko pod ziemią.

– Umieścili głośniki za tymi postawionymi kamieniami – szepnęła Erika na ucho Tristanowi.

Oboje byli w dole schodów blisko dolmenu, za grupką oficerów SS i archeologów z Ahnenerbe siedzących na ławkach zainstalowanych na tę okazję.

Himmler w czarnym galowym mundurze powoli wstępował po schodach. Za nim w stosownej odległości szedł młody porucznik, niosąc szkatułkę z posrebrzonego metalu. W miarę jak pięli się na szczyt, werble przyspieszały.

Posąg spoglądał na nich z rękami wyciągniętymi jakby w oczekiwaniu na dar.

Himmler skłonił głowę przed bóstwem, po czym otworzył szkatułkę. Wyjął relikwię i złożył ją na kamiennych dłoniach. Werble naraz umilkły. Na wzniesieniu zapadła zupełna cisza. W niej rozległ się głos szefa SS:

– Niniejszym oświadczam, że święta relikwia wraca do swoich prawdziwych właścicieli. Do ojczyzny Hiperborejczyków, kolebki rasy aryjskiej. Niechaj relikwia przyniesie nam całkowite zwycięstwo nad wrogami!

Ukląkł przed bóstwem i pochylił głowę. Werble znowu zagrały.

– Niesamowite! – szepnęła Erika jak zahipnotyzowana. – Godne przedstawienia Parsifala w Bayreuth. Gesamtkunstwerk. Totalne dzieło sztuki!

Tristan przeniósł na nią spojrzenie. Oczy młodej archeolożki błyszczały, jakby coś ją opętało.

Uczucia, które do niej jeszcze żywił, rozwiały się w ciemnościach nocy. Jutro nie skorzysta z domku na plaży.

– Nie da się ukryć, macie zmysł tworzenia widowisk – skłamał Tristan.

Jego umysłem owładnęła inna wizja. Inne widowisko. Również totalne. Wizja cierpienia i krwi. Żyda o skatowanej twarzy i przytulonych do siebie dwóch kobiet, wygłodzonych i przerażonych. Piwnicy w piekielnym gmachu. Piekła przy rue Lauriston w Paryżu. Taka właśnie była prawdziwa natura nazistów. Mogli się afiszować w lśniących aroganckich mundurach i uważać się za rasę wyższą. Mogli grać w parodiach opery Wagnerowskiej pod gołym niebem. A byli tylko oprychami o przerośniętym ego. Łajdakami w hełmach i butach z cholewami, okrutnymi i chciwymi. Obserwując klęczącego pajaca, Tristan zrozumiał, że w swej megalomanii Himmler pewnie żałował, że nie ma większej publiczności. Choć raz gwiazdorzył bez Führera i skupiał na sobie całe światło.

– Sztuka totalna – odezwała się Erika. – Kiedy raz ją zrozumiesz, zrozumiesz wszystko.

– Liczę, że wniosę w nią osobisty wkład.

Werble lekko przycichły, nazistowski dygnitarz raz jeszcze się pokłonił i zszedł po stopniach. Jego adiutant został na górze, by schować relikwię do szkatułki.

Tristan ścisnął rękojeść lugera – mógł strzelić z tej odległości, bał się jednak, że spudłuje.

– Masz szczęście – rzekła Erika, która ujęła go pod ramię. – Himmler osobiście odznaczy cię w tym świętym miejscu Żelaznym Krzyżem.

Nie słuchał jej, całkowicie skupiony na swoim celu.

Podeszli do ławek, gdzie miała się odbyć ceremonia wręczenia odznaczeń.

Teraz była to już kwestia sekund.

Wcielenie zła kroczyło w ich stronę – twarz miało niemłą i arogancką, przepelnioną pychą.

Trzeba mu zmazać z ust ten uśmiech, myślał Tristan. Wystrzeli do niego połowę magazynku, a potem palnie sobie w łeb. Koniec akcji. Piękny.

Himmler był w odległości najwyżej trzydziestu metrów.

Marcas stał bez ruchu. Mógł wyjąć broń i strzelić do ofiary, nie miał jednak pewności, że trafi. Należało poczekać, aż potwór znajdzie się naprzeciw niego. Powolutku dobył lugera z kabury. Wstrzymał oddech, by lepiej się skupić. Kciukiem musnął spust.

Teraz.

Nagle Erika szepnęła mu do ucha:

– Nie rób tego albo będę musiała cię zabić.

Na plecach poczuł dotyk czegoś twardego i zimnego.

– Ja też mam odbezpieczonego lugera. Nic nie rób, bo wszystko zepsujesz.

Tristan zastygł.

W dole rozległy się krzyki – pododdział SS biegł w ich kierunku. Tristan rozpoznał wśród nich gestapowca, który ich kontrolował przy wjeździe do bazy. Dotarłszy do jednego z oficerów, wycelował palcem w Marcasa.

– Verräter! Verräter!

Erika się zachwiała.

Rozbrzmiały wrzaski. Oficer i policjant rzucili się w stronę Himmlera trzymającego w ręce Żelazny Krzyż przeznaczony dla Francuza, żołnierze gnali ku Ericie i Tristanowi, który w tej chwili poczuł, że słabnie nacisk pistoletu na jego plecy. Przechylił się nagle w bok, uderzył Erikę w rękę. Jej pistolet poleciał na ziemię. Niemka uczepiła się Marcasa.

– Tristan! Przestań!

– Puszczaj! Ja...

Nie dokończył, padły bowiem strzały. Zewsząd szły serie z karabinów maszynowych. Nad wzniesieniem zaległa chmura pomarańczowego dymu. Z ciemności wyłaniali się ubrani na czarno ludzie i walili na oślep do żołnierzy niemieckich.

Ochłonawszy z zaskoczenia, Himmler wziął się w garść. Jego ludzie tworzyli wokół niego szaniec z własnych ciał.

Tristan przywarł do stojącego głazu, dookoła świszczały pociski.

Widział, jak dwaj ludzie w czerni trafiają adiutanta Himmlera, który ze szkatułką w ręce padł na trawę. W ciemnościach rozbrzmiało wycie syreny, niżej, na poziomie bazy, rozległ się wybuch.

Erika usiłowała się podnieść, lecz ona również była celem ostrzału.

Wszędzie panował chaos. Ewidentnie oddział ludzi w czerni brał szturmem to miejsce. Tristan za wszelką cenę musiał do nich dołączyć i wydostać się z tej pułapki. Widział, jak Himmler zmyka niczym zając. Znowu mu się nie powiodło.

Usłyszał za sobą:

– Tristan?

Odwrócił się do jednego z napastników, który go zagadnął. Mówił z nieokreślonym akcentem. Lśniącą od potu twarz miał pomalowaną w paski maskujące.

– Tak.

– Chodź, mamy mało czasu. Dostałem rozkaz, żeby cię sprowadzić – oznajmił tamten, wyciągając dłoń, aby pomóc wstać Marcasowi.

Oparta na siedząco o głaz Erika była cała we łzach.

– Uciekaj, Tristanie. Szybko. Inaczej esesmani cię wykończą.

Tristan się schylił, aby ją podnieść.

– Idziesz z nami.

– Nie ma mowy.

Marcas chwycił kochankę za nadgarstek.

– Chodź ze mną! Nie mogę cię...

Cios w kark rzucił go na ziemię. Ostatnim, co zobaczył, była zrozpaczona twarz Erika.

Morze Bałtyckie

Kiedy się ocknął, poczuł dotkliwy ból w górnej części karku. Jakby między dwa kręgi wbito mu rozgrzany do białości pogrzebacz. Wszystko wokół było rozmazane i świat zewnętrzny za nic nie chciał się wyłonić z mgły. Leżał w malutkiej celi bez okna. Obok jakiś człowiek wyciągnięty na pryczy czytał książkę, zupełnie się nie przejmując jego obecnością. Tristan usiadł, lecz wzrok zamglił mu się od nowa. Pod stopami czuł głucho, wibrujące mruczenie.

– Nie podnoś się za szybko, oddychaj głęboko i zaraz dojdiesz do siebie – poradził mu sąsiad mówiący z silnym akcentem rosyjskim.

Tristan siedział, masując sobie oczy. W głowie mu się kłębiło jak we wrzącym kotle.

– Kim... kim jesteś?

– Pułkownik Jewgienij Berin z NKWD. Jesteśmy gdzieś w głębinach Bałtyku. Witamy na pokładzie okrętu podwodnego Staliniec S-13, klejnotu radzieckiej marynarki wojennej.

Marcas powoli odzyskiwał ostrość widzenia.

– Byłem na Bornholmie... Miałem strzelić do Himmlera... Co się stało?

– Przeprowadzaliśmy operację specjalną w celu odzyskania relikwii i przy okazji ciebie.

Nie wierząc własnym uszom, Francuz spytał:

– A odkąd to Związek Radziecki przeprowadza ryzykowny atak w odległości setek kilometrów od swoich baz, żeby odzyskać zabytkowy artefakt?

Jewgienij się uśmiechnął.

– W imię prawa własności, chociaż to akurat w mojej ojczyźnie nie ma większego znaczenia. Dla ciebie to nic nowego, dobrze wiesz, że relikwia należała do cara Mikołaja Drugiego. Dlatego słusznie powinna wrócić do obecnego ZSRR. Okręt wysadzi nas niedaleko Kronsztadu, stamtąd pojedziemy do Moskwy. Towarzysz Stalin chce ją zobaczyć na własne oczy.

– Pojedziemy?

– Tak. Jesteś gościem Związku Radzieckiego.

W kajucie rozległ się dzwonek. Pułkownik wstał.

– Muszę iść na stanowisko dowodzenia.

– I dobrze, przynajmniej rozprostuję nogi.

– Przykro mi, ale na czas rejsu masz zakaz wychodzenia z kajuty. Jedzenie będziemy ci donosili. Przy odrobinie szczęścia dotrzemy do portu za dwa dni. Pod warunkiem, że nie poślą nas na dno niemieckie patrolowce albo miny podwodne.

– Traktujecie mnie jak więźnia? Myślałem, że jesteście sojusznikami.

– Radziecka marynarka jest bardzo ostrożna, jeśli chodzi o wyposażenie. Jeszcze by ci wpadło do głowy, żeby pooglądać nasze urządzenia.

– Mam gdzieś wasze okręty podwodne, towarzyszu! I do cholery, jak się dowiedzieliście, że relikwia jest na Bornholmie?

Zanim Berin otworzył drzwi, wyjął z kieszeni kurtki kopertę i podał ją Francuzowi.

– Masz... Zrozumiesz wszystko. Osoba, która to napisała, poprosiła, żebyśmy cię ewakuowali.

Zamknął za sobą drzwi i dwukrotnie przekręcił klucz.

Marcas wyjął z koperty list i rozłożył.

Tristanie, ukochany.

Skoro czytasz te słowa, znaczy to, że jesteś cały i zdrowy. Z czego się cieszę. Napisałam ten list rano w dniu Twojego przybycia na wyspę, wiedząc, co się stanie wieczorem.

Od kilku lat pracuję dla Rosjan. Tak, tak, wzrok Cię nie myli. I wierz mi, żałuję, że nie jestem w pobliżu Ciebie jako mała myszka, by zobaczyć Twoją minę! W sumie jesteśmy w tym samym obozie. Właśnie dlatego Cię nie wydałam, kiedy odzyskałam pamięć po tym, co zaszło w Wenecji w ubiegłym roku. Z pewnością się zastanawiasz, dlaczego niemiecka arystokratka pracuje dla reżimu komunistycznego.

Coś Ci opowiem. Swoją historię. Ukrytą w najgłębszym zakamarku mojego jestestwa.

Przed wojną poznałam mężczyznę. Mojego pierwszego mężczyznę. Był moim wykładowcą archeologii, człowiekiem starszym ode mnie. A także wojującym socjalistą, który działał, publikując antyfaszystowskie ulotki. Nie podzielałam jego poglądów, ale byłam w nim tak zakochana do szaleństwa, jak może być młodzieńca studentka darząca podziwem swojego mentora. Pewnego ranka został aresztowany, kiedy wychodził z mieszkania, które po kryjomu zajmowaliśmy razem. Przed budynkiem czekała na niego bojówka SA. Wszystko widziałam, stałam przy oknie sparaliżowana strachem. Pobili go, zdarli z niego ubranie, później przywiązali go za nogi do ciężarówki i ciągnęli po bruku przez całą dzielnicę. W końcu dowódca bojówki kazał go oprzeć o drzwi naszej kamienicy i strzelił mu w głowę. Strasznie płakałam i byłam taka przerażona, że nie odważyłam się nawet zejść na dół, by zobaczyć jego

ciało. Jeden z jego przyjaciół zabrał mnie do siebie. Był komunistą i pracował dla NKWD. Powiedział, że jeśli kiedyś zapragnę zemścić się na nazistach, on mi pomoże.

Wyjechałam do rodziców i tygodniami śniłam okropne koszmary. Mój ojciec, łajdak, nawet mnie ukarał, gdy się dowiedział, że miałam kochanka komunistę. A potem ból przemienił się w gniew. W zimny gniew. Nieprzejejdany. W gniew na oprawców mojego pierwszego ukochanego i na ten wstrętny reżim. Później wróciłam na studia i z sukcesem je ukończyłam. Ale najważniejsze, że spotkałam się z tym przyjacielem komunistą. Chciałam się na coś przydać. On wiedział, że za pośrednictwem rodziców mam kontakt z niemiecką śmietanką towarzyską, szczególnie z marszałkiem Goeringiem, który był przyjacielem rodziny. Grałam więc rolę arystokratycznej młodej nazistki, uczestniczyłam w spotkaniach towarzyskich, w obiadach i kolacjach, i wszelkie pozyskane informacje przekazywałam dalej.

Później, kiedy wstąpiłam do Ahnenerbe, zaczęłam pracować dla pułkownika Berina. Jego również pasjonowały swastyki. Przekazałam mu wszelkie informacje związane z naszym poszukiwaniem.

Po Wenecji kilkakrotnie miałam ochotę wyjawić Ci prawdę, nie odważyłam się jednak. Chyba słusznie, bo bardzo by to skomplikowało zadanie każdego z nas. Gdybyś wiedział, jak sobie wyrzucałam, że groziłam Ci w Paryżu! Odgrywałam komedię. Pewnie byłeś na mnie zły. Ale musiałeś wrócić z relikwią, żeby Rosjanie mogli ją odzyskać. Wybacz, że manipulowałam Tobą.

Pisząc ten list, wiem, że dziś jeszcze napomknę Ci o bezpiecznym miejscu na wyspie, aby uchronić naszą miłość, o domku na brzegu morza... Nie osądzaj mnie surowo, ja też chciałam wierzyć, że takie będą ostatnie chwile spędzone razem.

Pułkownik mnie zapewnił, że po przyjeździe do Moskwy zostaniesz odesłany do Anglii przez Iran i Egipt. Obiecał mi, że tak się stanie. Myślę, że to honorowy człowiek. I mam nadzieję, że się nie mylę.

Teraz Rosjanie też mają jedną swastykę.

Spójrz na to od lepszej strony: skończyła się Twoja podwójna gra. Nie będziesz już musiał odgrywać komedii pośród tych monstrów. Ja to co innego. Spróbuję odzyskać swastyki z Wewelsburga, będę musiała jednak zagłębić się jeszcze bardziej w niewysłowione potworności. Dowiedziałam się, że wysocy dostojnicy SS spotkali się na konferencji na przedmieściu Berlina, w Wannsee, aby zaplanować rozległy program eksterminacji Żydów w całej Europie. Ahnenerbe będzie jednym z naukowych trybów tej okropności. Obecnie jest realizowany program strasznych eksperymentów medycznych prowadzony w obozach koncentracyjnych. Przekaż swoim przełożonym w Anglii, że ten koszmar już trwa. Trzeba to zatrzymać. Za wszelką cenę.

Mimo wszystko pragnę zakończyć ten list słowami nadziei.

Wyznałam Ci, że w młodości pokochałam mężczyznę. Teraz kocham innego.
Ciebie.

Nie mam jednak złudzeń – niewielkie są szanse, że nasze drogi znowu się skrzyżują.
W tej wojnie żywot każdego z nas to ledwie gałązka unoszona burzowym wiatrem.
Wiedz, że nie będę miała Ci za złe, jeśli kochasz inną. Jeżeli tak jest, bądź szczęśliwy
i zachowaj dobre wspomnienie o Niemce, która nie chciała maszerować w jednej
kolumnie z innymi Niemcami.

Całuję Cię.

Erika

Tristan położył list na kolanach.

W jego zaczerwienionych oczach zaperliły się łzy.

Londyn

Cmentarz Highgate

Laure siedziała na ławeczce naprzeciwko grobu Malorleya. Promienie sierpniowego słońca grzały jej twarz. Piękny dzień, żeby zostać pochowanym, pomyślała świadoma absurdu tego spostrzeżenia.

Ponownie zerknęła na „Timesa” rozłożonego na kolanach, otwartego na stronie z nekrologami. Komandor zasłużył sobie na krótką wzmiankę zilustrowaną fotografią, która nie oddawała należycie jego powierzchowności. Minę na niej miał ponurą. Notka informowała o jego zgonie w wyniku zatrzymania akcji serca.

Zatrzymanie akcji serca. Brzmiało to lepiej niż „zabójstwo”. A przede wszystkim nie zwracało uwagi. SOE znało tożsamość mordercy. Conrad pochwalił się swym czynem Moirze O'Connor, która czym prędzej doniosła o tym swemu nowemu oficerowi prowadzącemu, człowiekowi o okaleczonej twarzy, następcy Malorleya. Gorzej, że agent Abwehry zadenuncjował Tristana w SS. Co oznaczało, że już po nim.

Laure wpatrzyła się w zdjęcie komandora. Nie dość, że zginął zamordowany, to jeszcze zbrodniarz nie poniesie stosownej kary. Ze względu na rację stanu lepiej było zostawić Conrada w spokoju i pod nadzorem, ratując przykrywkę Moiry, by nadal zwodzić Niemców.

Dobrzy ludzie w grobie, źli na ulicy. Tak to się dzieje, gdy człowiek próbuje naginać zasady moralne. Laure jednak nie chciała dłużej łykać gorzkich pigułek, choćby i były w patriotycznych barwach – poprzedniego dnia złożyła wypowiedzenie w dyrekcji SOE.

Zapowiadał się piękny dzień. Francuzka schowała gazetę do torby i wstała z ławeczki, by złożyć ostatni hołd przełożonemu. Przyniosła czerwoną różę. Zakończona niedawno ceremonia pogrzebowa przebiegła w największej dyskrecji. Komandor właściwie nie miał rodziny z wyjątkiem starszej siostry, zachowującej dużą rezerwę i miłej jak kruk, który podążał za konduktem. Przyszło zatem tylko kilkoro kolegów z SOE, garstka braci masonów z jego łoży i przedstawiciel premiera. Laure się zdziwiła na widok kapitana Iana Fleminga, swojego dowódcy w trakcie operacji weneckiej. Wymieniwszy się wspominkami z czarującym oficerem wywiadu, zgodziła się na spotkanie z nim tego wieczoru.

Życie było za krótkie. Zwłaszcza w czas wojny.

Przeszła na drugą stronę alejki, aby podumać przy płycie nagrobnej, która lśniła w słońcu. Sąsiedni grób zamiatał właśnie ogrodnik zgarbiony niczym starzec. Machał miotłą, pojękując. Francuzka go obeszła i położyła różę na nagrobku. Orodnik zagadnął ją falsetem:

– Spryciara z panny... Było kupić kwiatek w doniczce. Trzyma się dłużej i mniej przy nim roboty.

Laure oniemiała. Ten gbur ją pouczał, ledwie Malorleya pochowano. Rozzłoszczona odwróciła do niego głowę.

– Nie nauczono pana grzeczności? Myśli pan, że...

Urwała. Cementarny ogrodnik odrzucił miotłę. To był Aleister Crowley. Posłał jej uśmiech bardziej przypominający grymas, rozglądając się podejrzliwie dokoła.

– Przykro mi, mała, ale oficjalnie nie mogłem wziąć udziału w pogrzebie.

– Myślałam, że siedzi pan w wariatkowie.

– Owszem, siedziałem, ale tajne służby nie wiedzą, że ordynator szpitala był wiernym klientem Hellfire'u w czasach, kiedy ja kierowałem klubem. Dzięki niemu diagnoza psychiatryczna potwierdza, że jestem wyjątkowo zdrowy na umyśle. Najzdrowszy w całym Zjednoczonym Królestwie.

– Co zamierza pan dalej?

– Oczywiście przez jakiś czas będę pod nadzorem, ale znalazłem nowych protektorów, którzy potrafią odpowiednio docenić moje talenty. W pewnych kręgach sprawa relikwii narobiła sporo hałasu. I choć raz skorzystałem na tym. Ale ciii, to tajemnica.

Laure powiodła spojrzeniem po nagrobku.

– Swastyki... Biedny Malorley, może i lepiej, że nie żyje. Pewnie by się załamał, gdyby się dowiedział, że Niemcy zdobyli londyńską relikwię. Tyle wysiłków na nic.

– Nigdy nie chciał mnie słuchać. Gdyby się zgodził, żebym mu postawił tarota...

– Panie Aleisterze...

Mag pomachał rękami na przeprosiny.

– Pomówmy raczej o pani. Nadal w służbie SOE?

– Nie, właśnie złożyłam wymówienie. Przyjaciel Malorleya załatwił mi spotkanie w sprawie pracy. Za godzinę. Jak się nie uda, zajmę się kwaciarstwem albo otworzę burdel... Zobaczmy.

– Zaraz panią zatrudnię, żeby odtworzyć przedsiębiorstwo godne tego miana! We dwójkę zawojujemy świat!

Laure wybuchnęła śmiechem. Po raz pierwszy, odkąd wyszła ze szpitala.

– Myśli pani czasem o Tristanie? – zagadnął mag.

Laure cmoknęła go w obwisły policzek i szepnęła mu do ucha:

– Codziennie. Ale pamiętam o zasadzie, którą mi wpoił komandor, kiedy mnie zwerbował.

– Jakiej?

– Nigdy się nie wiązać z innym agentem. Dla mnie Tristan Marcas zniknął. Na zawsze. No to na razie, panie magu, może się jeszcze zobaczymy.

– Na pewno się zobaczymy. To zapisane w kartach tarota. I proszę nie zapominać o swojej karcie ochronnej. Przyniosłem pani oryginalny rysunek Gwiazdy, który wykorzystalem w swojej talii tarota. Niech ta karta przyniesie pani szczęście, piękna agentko.

Wsunął jej papierowy rulonik w dłoń, uśmiechnął się po raz ostatni i znikł w krzewach.

Godzinę później siedziała w wygodnym gabinecie na trzecim piętrze dyskretnego budynku przy Duke Street. W siedzibie BCRA21. Naprzeciwko miała dwóch francuskich wojskowych, pułkownika i generała.

– Zapoznałem się z pani aktami, które przekazało nam SOE. Imponujące – rzekł ten, który kazał się nazywać pułkownikiem Passym. – Doprawdy. Bardzo nam brakuje pracowników pani pokroju i płci.

– Dziękuję, ale nie chcę panów okłamywać. Psychiczenie jeszcze nie doszłam do siebie po porwaniu w Londynie. Nie mam pewności, czy już nadaję się do działań operacyjnych.

Generał zapalił papierosa i wpatrywał się w nią bez słowa. Laure była pod wrażeniem obecności człowieka tej rangi.

– W pierwszym okresie możemy panią przydzielić do kontrwywiadu – podjął pułkownik. – Chodzi o wykrywanie wrogich agentów, którzy pragną przeniknąć w nasze szeregi. Niemcy podsyłają nam takich tu, do Londynu. Ma pani w tym niejaki doświadczenie. Co pan o tym sądzi, panie generale?

De Gaulle wstał, prostując swą masywną, rosłą postać.

– Nic widzę żadnych przeciwwskazań. A przy okazji, musi pani wiedzieć, że znałem komandora Malorleya. Wiem o legendzie świętych relikwii i o Hitlerze... Gdybym miał jedną taką swastykę, losy Francji potoczyłyby się zupełnie inaczej.

Uśmiechnął się enigmatycznie, widząc zdziwiony wzrok pułkownika Passy'ego.

– O jakie relikwie chodzi?

– Proszę o tym zapomnieć, pułkowniku. Pani i ja wiemy, o co chodzi. – Zwrócił się do Laure: – Będzie pani musiała przybrać pseudonim. W tej firmie każdy go ma. Poczynając od Passy'ego. Jakikolwiek pani sobie wymyśli. Byle nie był używany przez żadnego żyjącego agenta. Kiedy wygramy tę wojnę, a na pewno wygramy, chcę, by jej

bohaterowie zachowali przydomki, przeszedłszy do cywila. Żeby nigdy nie zapomnieć tych ponurych czasów.

Laure się zamyśliła, po kilku sekundach oczy jej rozbłysły.

– Już mam. Proszę mnie nazywać... Marcjas.

Epilog

Moskwa

Kreml

Baszta Nikolska

Jewgienij z satysfakcją obserwował robotników instalujących potężną wciągarkę przy Baszcie Nikolskiej, która strzegła wejścia na teren Kremla. Po rewolucji każdą z pięciu najwyższych baszt zwieńczono szkarłatną gwiazdą ważącą półtorej tony, symbolem rewolucyjnego triumfu. Jewgienij zdołał przekonać Stalina, by swastykę ukryć w jednej z nich. Moc relikwii będzie promieniowała nad całą Moskwą i chroniła Związek Radziecki.

Kreml stanie się nowym monasterem Ipatjewa dla komunizmu. I gniazdem nowej dynastii czerwonych carów, których ten kraj tak potrzebuje.

Tak właśnie uważał Berin. Stalin zaś gorąco temu przyklasnął.

Pułkownik spojrzał na zegarek – dochodziła trzecia, lecz przywódca państwa wciąż się nie zjawiał. A przecież obiecał, że będzie przy ukrywaniu relikwii w nowej gwieździe, która teraz leżała na ziemi. Rzemieślnicy wykonali na swastykę szklany sześcian do wmurowania w środku gwiazdy.

– Już jestem, Jewgieniju. Wybacz spóźnienie. Z frontu ciągle napływają złe wieści.

Stalin wszedł przez szeroką bramę prowadzącą na plac Czerwony. Zerknął na wciągarkę i podszedł do enkawudzisty.

– Wszystko gotowe, towarzyszu! – zameldował Jewgienij radośnie.

– Nie wiem, czy nie trzeba się wstrzymać z instalacją. – Stalin popatrzył na Berina chytrze i kontynuował: – Niemcy przypuścili kolejną ofensywę na południu. Są o włos od zawładnięcia polami naftowymi na Kaukazie. Jeśli stracimy szyby...

– Tak jest, towarzyszu, ale... jaki to ma związek z relikwią?

– Po drodze jest Stalingrad. Jak dobrze wiesz, jeżeli nazistom uda się zająć miasto, zdobędą panowanie nad Wołgą i odetną tę drogę transportu zaopatrzenia przysyłanego przez Amerykanów. A później ruszą prosto na Kaukaz. I to będzie koniec Związku Radzieckiego. Strategicznie Stalingrad jest teraz znacznie ważniejszy od Moskwy! Rozumiesz, do czego zmierzam?

– Nie bardzo, towarzyszu... Oświeć mnie.

– Postanowiłem wzmocnić nasze siły na całym froncie południowym, ale też posłać tę twoją relikwię do Stalingradu. Jeżeli faktycznie ma moc, którą jej przypisujesz, ustrzeże miasto przed kapitulacją. Jeżeli natomiast wpadnie w ręce hitlerowskich zbirów, będzie to dowód, że jest zwykłym przesądem. Jak widzisz, jestem równocześnie otwarty i pragmatyczny.

Jewgienij oniemiał. Nie dowierzał własnym uszom. Stalin klepnął go w ramię.

– Tę misję powierzam tobie osobiście.

Berinowi dreszcz przeszedł po karku. Wódz posyłał go do piekła. Z biletem w jedną stronę.

– Jak to?

– Jedź tam z relikwią i wróć dopiero po pokonaniu Niemców. Zyskamy wtedy jasność, czy miałeś rację.

– Wiesz, co to oznacza, Iosifie. Przecież tam nadzieja na przeżycie jest minimalna...

– Ano. Ale zostaniesz wielkim bohaterem Związku Radzieckiego, jeżeli ci się uda.

– Koba, czy ja ci w czymś zawiniłem?

Stalin zapalił fajkę, jego wzrok zlodowaciał.

– Gdybym miał do ciebie żal, już byś leżał półtora metra pod ziemią. Dowiedziałem się, że często rozmawiasz z moim jasnowidzem po jego odwiedzinach u mnie na daczce.

Jewgienij chciał w pierwszej chwili zaprotestować, lecz szybko pojął, że to daremne. Stalin patrzył mu prosto w oczy.

– Ale o tym zapomnijmy... Przy okazji zabierz ze sobą tego francuskiego szpiega, który przebierał się za esesmana. Anglicy nie wiedzą, że jest u nas. W Moskwie nie ma dla niego miejsca.

– Dałem słowo, że mu załatwimy powrót do Anglii.

– Ja niczego nie dawałem. A jestem twoim naczelnym dowódcą. Przed wyjazdem masz też przekazać przełożonemu w NKWD dane swojego agenta w kręgu Himmlera. Może nam się przydać. – Dłoń Stalina spoczywająca na ramieniu Berina zrobiła się cięższa. – Powodzenia w Stalingradzie, przyjacielu. Mam nadzieję, że urodziłeś się pod szczęśliwą gwiazdą.

Stany Zjednoczone

Nowy Meksyk

Los Alamos

Gorący wiatr owiewał spękaną ziemię, która ciągnęła się jak okiem sięgnąć. Temperatura powietrza dobiegała do czterdziestu trzech stopni. Nawet nędzne kaktusy, które odgrywały tu rolę roślinności, błagały o łaskę przed spiekotą. Prace przy zakładaniu tajnej Bazy Y, jak nazwała ją amerykańska armia, zwalniały wskutek

nieznośnego upału. Na szczęście robotnicy, którzy mogli pracować tylko nocą, zainstalowali klimatyzację w budynkach badaczy. W jednym z nich, rozległym parterowym domu o ścianach pobielonych wapnem, trzech ludzie obradowali przy zamkniętych drzwiach w biurze pozbawionym okien. Rozkoszowali się chłodem, który opadał od sufitu nieprzerwanym strumieniem.

Sekretarz wojny Henry L. Stimson wrzucił dwie tabletki aspiryny do szklanki wody. Ból głowy nie ustępował. W dodatku Stimson przeleciał z Waszyngtonu przez całe Stany i zaraz wpadł pod zimny prysznic. Skręcił w palcach siwego wąsa, który opadał mu na wargi. Prezydentowi to się nie spodoba. Z całą pewnością. Siedzący naprzeciw sekretarza wojny dwaj naukowcy, wciąż w laboratoryjnym ubraniu, mieli markotne miny.

– Jeśli dobrze rozumiem, oznajmiamą mi panowie właśnie, że projekt został zablokowany, zanim w ogóle się zaczął?

– Tak. Nie udaje nam się ustabilizować materiałów rozszczepialnych. Nie chodzi o to, że nie próbujemy, ale...

Przed wysłuchaniem naukowych wyjaśnień sekretarz wojny wolał zdobyć przewagę.

– Rozumiem... Proszę powiedzieć, czego potrzebujecie, by poprawić... celowność? Jeśli wolno mi tak się wyrazić.

– Czasu, czasu i jeszcze raz czasu.

– Prezydent nie jest w stanie wam go dać. Jak z pewnością panowie zauważyli, toczymy wojnę.

Jeden z badaczy spojrział pytająco na kolegę, jakby szukał jego wsparcia, po czym zaryzykował:

– Proszę posłuchać, byłoby może...

– Słucham z całą uwagą.

– W zeszłym tygodniu jeden z naszych kolegów fizyków z MIT zadzwonił do mnie i usłyszałem ciekawe rzeczy. Otóż nasze służby przesłały mu pewien przedmiot do zbadania. Przywieziony z Anglii. Badając go dogłębnie, kolega odkrył wewnątrz odmianę izotopu uranu o wyjątkowych właściwościach. Nigdy z takim nie miał do czynienia. Pytał mnie, co o tym sędzę.

– Potwierdzam – wtrącił drugi fizyk. – Trudno było w to uwierzyć. Oczywiście na MIT mogli się pomylić w obliczeniach, ale naprawdę warto spróbować. Czy byłaby możliwość dostarczenia nam tego przedmiotu? Z tego, co wiemy, jest przechowywany w ściśle tajnym miejscu, którym dysponuje wojsko.

– Otrzymają go panowie tak szybko, jak tylko się da. Projekt Manhattan, za który panowie są odpowiedzialni, za wszelką cenę musi się posuwać, profesorze Oppenheimer – odparł sekretarz wojny. – Wiedzą panowie coś więcej?

Obaj fizycy wyglądali na zakłopotanych.

– No więc...

– Pomyśli pan pewnie, że się natrząsamy...

– Do licha, panowie! Pracujecie przy największym projekcie naukowo-militarnym w całej historii Stanów Zjednoczonych. Mówcie wreszcie!

– Kolega z MIT mówił, że to znalezisko archeologiczne. Rodzaj relikwii.

Sekretarz wojny popatrzył na nich ze strachem.

– I twierdzą panowie, że ma niespotykane właściwości fizyczne?

– Nie tylko... – wykrztusił jeden z naukowców.

Oppenheimer podrapał się po szyi.

– To swastyka.

Aneksy

1942: Ahnenerbe osuwa się w potworność

Okupacja regionu Kaukazu przez wojska niemieckie doprowadziła nazistów do odkrycia całej mozaiki ludów i plemion. Niektóre z nich zdawały się wyznawać pewne formy religii hebrajskiej. Aby ustalić, kto jest naprawdę Żydem, a kto nie, SS zwróciło się do Ahnenerbe z prośbą o wyznaczenie anatomicznych kryteriów żydowskości. Dla Wolframa Sieversa, szefa Ahnenerbe, było to zadanie niemożliwe do wykonania, ponieważ wcześniejsze badania przeprowadzone na niemieckich uczniach wykazały, że ponad 11 procent żydowskich dzieci ma jasne włosy i niebieskie oczy... Zamówiono jednak stosowne badanie u antropologa Brunona Begera, który podczas wyprawy tybetańskiej w 1939 roku pracowicie mierzył czaszki Tybetańczyków, starając się określić, którzy z nich są pochodzenia aryjskiego. I Beger postanowił zastosować ten sam model badań, aby zdefiniować Żyda. Na początek uznał, że potrzebna mu kolekcja stu dwudziestu czaszek.

Nabył je od Instytutu Anatomii w Poznaniu, którego dyrektor zawarł umowę handlową z agentami lokalnego Gestapo: on im udostępni należący do instytutu piec krematoryjny, żeby mogli się pozbywać ciał wrogów, w zamian jednak będzie pozyskiwał... głowy ofiar. A ponieważ zyski zawsze powinno się maksymalizować, dyrektor sprzedawał dalej żydowskie czaszki za równowartość dzisiejszych stu trzydziestu dolarów.

Ponieważ Beger pilnie potrzebował czaszek, a poznański Instytut Anatomii nie mógł ich nastarczyć, antropolog z Ahnenerbe zwrócił się do Strasburskiego Uniwersytetu Rzeszy – miasto przemianowano ponownie na Straßburg po przyłączeniu do Niemiec Alzacji i Lotaryngii. I w lutym 1942 roku zapadła decyzja, że tenże uniwersytet zadba o zgromadzenie kolekcji żydowskich czaszek przywiezionych prosto z frontu wschodniego, gdzie Wehrmacht i SS dopuszczały się bezprecedensowych masakr ludności żydowskiej. Oficjalne pismo precyzowało nawet zasady zbierania eksponatów: przed egzekucją wybrany obiekt miał być stosownie wymierzony, sfotografowany i wypytany o dane biograficzne; głowę natomiast po oddzieleniu od ciała należało wysłać „w miejsce przeznaczenia w szczelnie zamkniętym metalowym pojemniku zawierającym płyn konserwujący”.

Front wschodni jednak był daleko, a żołnierze niezbyt chętni do współpracy, dlatego Beger skierował uwagę na nazistowski system obozów koncentracyjnych, do których deportowanych Żydów przywożono tysiącami. Za radą Sieversa, swojego przełożonego, Beger postanowił udać się do Auschwitz, by wybrać króliki doświadczalne. W czerwcu 1943 roku miał wyszukane sto pięćdziesiąt osób, mężczyzn i kobiet, wszystkich poddał oględzinom i wymierzył, po czym wyselekcjonował sto piętnaście osób, które wysłano do Alzacji, do obozu koncentracyjnego w Natzweiler. Tam je zagazowano, po czym przeprowadzono szczegółowe sekcje zwłok, które następnie wypreparowano za pomocą maceracji w odczynnikach chemicznych, by pozyskać szkielet. Ta straszna praca w listopadzie 1944 roku jeszcze nie była zakończona, gdy alianci odkryli szczątki dziewięćdziesięciu sześciu osób. Przed ucieczką naukowcy z Ahnenerbe zniszczyli już wypreparowane szkielety, acz przedtem pozbawili je złotych zębów...

Osądzony w Norymberdze Wolfram Sievers został skazany na śmierć za zbrodnie przeciwko ludzkości i stracony w 1948 roku.

Brunona Begera postawiono przed sądem dopiero w roku 1970 za udział w „aferze żydowskich szkieletów”. Skazany został na trzy lata więzienia za udział w zabójstwach, lecz po apelacji zamieniono mu karę na wyrok w zawieszeniu.

Stalin i jego jasnowidze

Były alumn seminarium, który przeobraził się w zatwardziałego marksistę, kremlowski tyran gardził wszystkim, co się wiązało z duchowością bądź ezoteryką. Co nie przeszkadzało mu regularnie zasięgać porady dwojga mediów: karczemnego wróża polskiego pochodzenia, niejakiego Wolfa Messinga, który kazał się nazywać „magiem Stalina”, i rosyjskiej pielęgniarki Natalii Lwowej, zwanej „czerwoną czarownicą”, zdaniem wodza Związku Radzieckiego świetnej w przepowiadaniu przyszłości.

Niedługo po podpisaniu w 1939 roku paktu Ribbentrop–Mołotow Messing jakoby przepowiedział Stalinowi wojnę z Niemcami i zwycięstwo w maju 1945 roku. Choć żadne ludzkie ani inne świadectwo nie potwierdza tej anegdoty upiększanej w miarę kolejnych przekazów i upływu czasu, z całą pewnością Stalin otaczał maga osobistą protekcją od schyłku lat trzydziestych XX wieku. Wizyty Messinga na Kremlu były tajemnicą poliszynela. Natalia Lwowa natomiast zniknęła bez śladu niedługo przed wybuchem wojny, a dotyczące jej dokumenty zniszczyło NKWD²².

Czerwona ezoteryka

Można by się dziwić, że w Związku Radzieckim wysoki urzędnik komunistyczny, materialista, oficer NKWD mógł się interesować mitami ezoterycznymi. A jednak... to prawda. Konstruuując postać Jewgienija Berina, inspirowaliśmy się Glebem Bokijem, jednym z najwyższych postawionych funkcjonariuszy GPU²³. Ten zasłużony

rewolucjonista od początku lat dwudziestych XX wieku kierował potężnym wydziałem specjalnym, służbą zajmującą się podsłuchami w Związku Radzieckim i łamaniem szyfrów zagranicznych. Groźny mistrz sztuki szpiegowskiej, pierwszy w ZSRR wszczął prace badawcze nad parapsychologią i szamanizmem. Nie dlatego, że wierzył w siły magiczne, lecz dlatego, że był przekonany, iż fenomeny zwane paranormalnymi mogą zostać wyjaśnione naukowo.

Według Andrieja A. Znamienskigo, który napisał książkę na ten temat²⁴, 31 grudnia 1924 roku Bokij zorganizował konferencję dla wysokich stopniem oficerów GPU na temat mitycznych krain azjatyckich, Szambali i Agarthy. Mówcą był niejaki Aleksander Barczenko, specjalista nauk okultystycznych. Barczenko, uczestnik wyprawy do Tybetu, wierzył w istnienie zaginionych miast, które działały według zasad dzisiejszego komunizmu: nie było klas społecznych, nie było własności. Rządzone przez mędrca i zgromadzenie wybrańców, stanowiły idealny wizerunek społeczeństwa kolektywistycznego. Trochę jak legendarna Atlantyda.

W Szambali wiedza naukowa stała jakoby na zaskakująco wysokim poziomie, znacznie wyprzedzając swoją epokę. Odnalezienie tych miast oznaczało, że w ręce odkrywców wpadną ukryte księgi i odsłonią tajemnice technologiczne, które być może pozwolą komunizmowi zawładnąć całym światem. Barczenko, zwerbowany przez Bokija, nauczał kadrę kierowniczą partii komunistycznej o tantrach i tradycjach ezoterycznych. We dwóch pragnęli zorganizować wyprawę do Tybetu i niewiele brakowało, aby im się udało. Bokij, zamieszany w skandale seksualne i odpowiedzialny za nieprzyjazne czyny wobec członków partii, narobił sobie zbyt wielu wrogów w łonie sowieckiego aparatu państwowego. Stracił życie przez rozstrzelanie w roku 1937 podczas czystek stalinowskich. W Związku Radzieckim badania nad wykorzystaniem parapsychologii dla celów militarnych prowadzono nadal po wojnie aż do połowy lat siedemdziesiątych XX wieku, głównie na uniwersytecie w Leningradzie.

Dziwna ekspedycja na Rugię

Chociaż na Bornholmie nie ma podziemnego kompleksu korytarzy, użycie radarów w celu udowodnienia teorii o Ziemi pustej w środku jest częściowo prawdziwe. Przynajmniej w odległości stu pięćdziesięciu kilometrów od wyspy.

W kwietniu 1942 roku niemiecka grupa specjalistów od radarów wprowadziła się do bazy Kriegsmarine na Rugii, największej wyspie na Bałtyku należącej do Rzeszy. Ścisłe tajnymi pracami kierował doktor Heinz Fischer, jeden z największych niemieckich ekspertów w dziedzinie badań nad podczerwienią i falami radarowymi. W ciągu kilku dni ekipa zainstalowała stację radiolokacyjną z anteną nachyloną pod kątem czterdziestu pięciu stopni w stosunku do nieba – celem było wysyłanie wiązek fal...

w przestrzeń kosmiczną. Ta operacja miała pozwolić na doświadczalne zweryfikowanie jednej z dwóch teorii o Ziemi pustej w środku²⁵, cieszącej się wielkim wzięciem w środowiskach nazistów, szczególnie wśród członków SS.

Teoria ta opierała się na założeniu, że Słońce, Księżyc, Ziemia i inne planety Układu Słonecznego znajdują się wewnątrz gigantycznej kuli. Trochę tak jak w filmie Truman Show, w którym ogromna kula otacza bohatera, dając złudzenie nieba, słońca i gwiazd. Fale radiowe wysłane przez ekipę doktora Heinza Fischera miały się odbić od wewnętrznej powierzchni tej kuli i wrócić do miejsca, skąd je wyemitowano. Kriegsmarine, która kierowała tą operacją, bardzo się zapaliła do projektu. Teoretycznie bowiem tym sposobem można by uzyskać obrazy angielskiej floty w bazie Scapa Flow, największym kotwicowisku Royal Navy na północy Szkocji. Oczywiście całe doświadczenie zakończyło się całkowitą kląpą.

Tę zadziwiającą historię ujawnił w roku 1946 Gerard S. Kuiper, jeden z największych amerykańskich astronomów. W długim artykule²⁶ na temat badań astronomicznych – poważnych – prowadzonych w Niemczech podczas drugiej wojny światowej poświęcił kilka zdań misji na Rugii: „W niektórych kręgach niemieckiej marynarki wojennej wierzono, że Ziemia jest pusta w środku. [...] Wysocy rangą oficerowie używali nawet wahadełka nad mapami północnego Atlantyku”. Kuiper wyjaśnia, że absurdalna wiara w puste wnętrze Ziemi była rozpowszechniona wśród członków NSDAP ku wielkiej rozpaczycy wybitnych astronomów. Niemniej doświadczenie przeprowadzone z Rugii rzuciło cień na wizerunek zwolenników tej teorii, a lotnik Peter Bender, jeden z najzagorzalszych jej orędowników, trafił do obozu koncentracyjnego.

Jeśli chodzi o doktora Heinza Fischera, to po wojnie Amerykanie wywieźli go w ramach operacji Paperclip, której celem było przeniesienie do Stanów Zjednoczonych jak największej liczby niemieckich inżynierów i naukowców. Oczywiście zainteresowano się nim ze względu na wysokie kompetencje w dziedzinie radarów i promieniowania podczerwonego, a nie z powodu udziału w operacji na Rugii.

Mit o tajnych bazach nazistowskich
i nieznanym podziemnych tunelach

Na Bornholmie nie ma żadnych wydrążonych w skale korytarzy, to czysty wymysł autorów. Wystarczy jednak wpisać w wyszukiwarce internetowej coś w stylu „tajne bazy hitlerowskie”, a otrzymuje się mnóstwo wyników wskazujących na istnienie różnych tajemniczych sanktuariów III Rzeszy w Arktyce, Patagonii, na Grenlandii, w Norwegii, Peru... A nawet na ciemnej stronie Księżyca. Nie należy jednak przykładać do tego wagi. To wątek idealny dla utworów fikcyjnych, lecz z historycznego punktu widzenia nie do obrony.

Owszem, na Ziemi Aleksandry, wyspie położonej około tysiąca kilometrów od bieguna północnego, istniała hitlerowska baza, tyle że meteorologiczna. W okolicach bieguna południowego pozostały ślady przedwojennej wyprawy niemieckiej (z przełomu 1938 i 1939 roku) oraz bazy tymczasowej założonej w regionie zwanym Nową Szwabią. Nie ma natomiast żadnych wiarygodnych dowodów, że stację tę wykorzystywano podczas wojny.

Legenda ta jednak zyska drugie życie w sierpniu 1946 roku przy okazji osobliwych zdarzeń, które wiązały się z fiaskiem wojskowo-naukowej amerykańskiej ekspedycji do tej strefy. Stany Zjednoczone chciały wtedy zająć pozycje strategiczne w rejonie bieguna południowego. W tym celu przeprowadzono operację Highjump – wysłano na miejsce flotę złożoną z dwunastu okrętów (wśród nich był lotniskowiec i okręt podwodny), blisko pięć tysięcy żołnierzy, dwadzieścia hydroplanów i śmigłowców. Kierownikiem wyprawy był słynny admirał Richard E. Byrd, badacz i specjalista od biegunów.

Niestety, wyprawa skończyła się porażką – okręt podwodny zderzył się z górą lodową, jeden samolot się rozbił – i w roku 1947 flota zawróciła. W trakcie ekspedycji nakręcono dokument *The Secret Land*. W roku 1970 w dość tajemniczych okolicznościach ujawniono osobisty dziennik admirała Byrda, a także anonimowe świadectwa żołnierzy, którzy uczestniczyli w operacji. Wedle tych źródeł Amerykanie odkryli rzekomo tajną bazę nazistowską, wciąż działającą, zlokalizowaną w wejściu do gigantycznych podziemnych tuneli wydrążonych przez nieznaną cywilizację. Tę samą, która jakoby podobnymi korytarzami naszpikowała Tybet, Amerykę Południową i Europę.

Jak opowiadano, amerykańska ekspedycja zawróciła w roku 1947, żeby uniknąć pokonania przez osobliwy personel stacji, którą kierował tajemniczy człowiek mówiący z akcentem... niemieckim. Idealny scenariusz dla kolejnego filmu z Indianą Jonesem, lecz bez rzeczywistego oparcia – przynajmniej dopóki nie dowiedzie się czegoś przeciwnego. Autentyczności dziennika admirała Byrda nigdy nie potwierdzono. Ot, prawdziwy fałszywy dziennik, który spreparowali zwolennicy teorii o Ziemi pustej w środku.

-
- ¹ Czeka – członek Czecha, tajnej policji politycznej w Rosji Sowieckiej w latach 1917–1922, przodkini KGB.
- ² Głupiś!
- ³ Kola – zdrobnienie od Nikołaj (Mikołaj).
- ⁴ W Wielkiej Brytanii słowa „konwent” używa się w odniesieniu do zgromadzenia druidów albo czarownic.
- ⁵ Lord Haw-Haw, naprawdę William Joyce, był Amerykaninem irlandzkiego pochodzenia. Był członkiem ugrupowania Brytyjscy Faszyci, zaprzysiężył nazistą, zbiegł do Niemiec w 1939 r. i stamtąd nadawał radiową audycję propagandową w języku angielskim, przeznaczoną dla obywateli Zjednoczonego Królestwa.
- ⁶ Government Communications Headquarters (GCHQ, Centrala Łączności Rządowej) – brytyjska służba specjalna zajmująca się m.in. przejmowaniem i deszyfrowaniem depech niemieckiej Enigmy.
- ⁷ Reichssicherheitshauptamt (RSHA, Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy) – centrala państwowej policji bezpieczeństwa obejmującej m.in. Gestapo, wywiad i kontrwywiad SS.
- ⁸ Marki cenionych win: Saint-Émilion, Saint-Estèphe, Châteauneuf-du-Pape (przyp. tłum.).
- ⁹ Autentyczne.
- ¹⁰ Rok po objęciu tronu Edward VIII abdykował na rzecz swojego brata, który został koronowany jako Jerzy VI. Oficjalnie zrobił to, aby poślubić amerykańską rozwódkę Wallis Simpson. Nieoficjalnie dlatego, że brytyjskie środowiska polityczne i gospodarcze bardzo się martwiły jego pronazistowskimi sympatiami.
- ¹¹ Tak Churchill nazywał Stalina.
- ¹² Takich unikatowych jajek, wykonanych na specjalne zamówienie carów Aleksandra III i Mikołaja II, powstało w sumie pięćdziesiąt cztery.
- ¹³ Angielski pisarz, autor popularnych powieści, w tym o przygodach niejakiego Allana Quatermaina.
- ¹⁴ Zob. Triumf ciemności.
- ¹⁵ Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych ZSRR, który zarządzał policją polityczną „zobowiązaną zwalczać przestępstwa i utrzymywać porządek publiczny”.
- ¹⁶ Pseudonim Stalina z czasów młodości, zaczerpnięty z opowiadania Aleksandra Kazbegi pt. Ojcobójca o gruzińskim rozbójniku Kobie.
- ¹⁷ Rosjanie utrzymywali groźną siatkę informatorów, byłych komunistów, w różnych kręgach wojskowych i wśród urzędników państwowych. Gestapo nazywało ją Czerwoną Orkiestrą.
- ¹⁸ Czołg, który dzięki zrównoważonej sile ognia, zabezpieczeniu i mobilności był jednym z atutów Związku Radzieckiego w walce z niemieckim najeźdźcą.
- ¹⁹ Joseph Darnand, przyszyły szef francuskiej milicji, organizacji paramilitarnej typu faszystowskiego.
- ²⁰ Niemiecka nazwa Kołobrzegu, kiedy miasto należało do Rzeszy (przyp. tłum.).

- ²¹ Bureau central de renseignements et d'actions (Centralne Biuro Wywiadu i Operacji) stworzone w Anglii przez generała de Gaulle'a.
- ²² W celu zgłębienia tematu można się zapoznać z pracą Władimira Fedorowskiego *Le Département du diable* (Departament diabła), wyd. Plon.
- ²³ Policja polityczna, następczyni WCzK. Później wyłoni się z niej NKWD, a wreszcie KGB.
- ²⁴ Andrei A. Znamenski, *Shambhala, le Royaume rouge* (Szambala, czerwone królestwo), *Camion Noir*. A także: A.A. Bouchkov, *NKVD, la guerre contre les forces occultes* (NKWD, wojna z tajemnymi siłami).
- ²⁵ Druga teoria zakładała, że Ziemia jest pusta w środku i tam właśnie ukrywają się zaginione cywilizacje. Zob. poprzednie tomy cyklu.
- ²⁶ Zob. <http://adsabs.harvard.edu/full/1946PA.....54..263K> (dostęp: lipiec 2021).